



B E R N A R D

# Cornwell

WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM IX



WOJOWNICY  
BURZY



B E R N A R D  
*Cornwell*

WOJOWNICY  
BURZY

TLUMACZENIE  
JAKUB JEDLIŃSKI

  
OTWARTE  
KRAKÓW 2019

*Dla Phil i Roberta*

WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM IX

WOJOWNICY  
BURZY





## NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru, a także Lundres. Bez wątpienia znajdą się czytelnicy będący zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści\* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład nazwa Hayling w 956 roku zapisywana była zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: wolałem nazwę Northumbria zamiast Nordhymbralond, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

WZGÓRZE AESCA	Ashdown, hrabstwo Berkshire
ALENCESTRE	Alcester, hrabstwo Warwickshire
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex
BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BRUNANBURH	Bromborough, hrabstwo Cheshire
CAIR LIGUALID	Carlisle, Kumbria
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CONTWARABURG	Canterbury, hrabstwo Kent
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
DYFLIN	Dublin, Irlandia
EADS BYRIG	Eddisbury Hill, hrabstwo Cheshire
EOFERWIC	York (pod rządami duńskimi przemianowany na Jorvik)
GLEAWECESTRE	Gloucester, hrabstwo Gloucestershire
HEDENE	rzeka Eden, Kumbria
HORN	Höfn, Islandia
FARMA HROTHWULFA	Rocester, hrabstwo Staffordshire
LEDECESTRE	Leicester, hrabstwo Leicestershire
LICCELFELD	Lichfield, hrabstwo Staffordshire
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire
LOCH CUAN	Strangford Lough, Irlandia Północna
MAERSE	rzeka Mersey
MANN	wyspa Man
SAEFERN	rzeka Severn
STRATH CLOTA	Strathclyde, Szkocja
USE	rzeka Ouse
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire

WIRHEALUM

półwysep Wirral, hrabstwo Cheshire

---

\* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka Temes) oraz Kornwalii (w oryginale: Cornwallum). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).



**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**RZEKA W PŁOMIENIACH**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W nocy wybuchł pożar. Ogień wypalał niebo i pozbawiał gwiazdy blasku. Gęsty dym kłębił się nad pasem ziem między rzekami.

Obudził mnie Finan.

– Kłopoty – powiedział tylko.

Eadith poruszyła się, a ja odepchnąłem ją od siebie.

– Zostań tu – rozkazałem i wygrzebałem się spod baranich skór.

Sięgnąłem po pelerynę ze skóry niedźwiedzia i zarzuciwszy ją na ramiona, ruszyłem za Finanem ulicą. Noc była bezksiężycowa, tylko płomienie odbijały się od ogromnego całunu dymu, który nocny wiatr niósł w głąb lądu.

– Będziemy potrzebowali więcej ludzi na murach – rzekłem.

– Już zrobione – odparł Finan.

Pozostało mi więc tylko rzucanie przekleństw. Zatem kląłem.

– To Brunanburh – stwierdził posepnie Finan, a ja znów zakląłem.

Ludzie zbierali się na głównej ulicy Ceasteru. Nadeszła Eadith otulona obszerną peleryną. W jej rudych włosach odbijało się światło pochodni płonących na drzwiach kościoła.

– Co się dzieje? – zapytała zaspanym głosem.

– Brunanburh – odpowiedział ponuro Finan.

Eadith się przeżegnała. Mignęło mi jej nagie ciało, kiedy wysunęła rękę spod płaszcza, żeby dotknąć czoła, chwilę później znów ciasno owinęła

brzuch ciężką wełnianą peleryną.

– Loki! – Wymówiłem to imię na głos. – To bóg ognia, cokolwiek chrześcijanie twierdziliby na ten temat. A Loki jest najbardziej szczwanym z bogów, oszustem, który rzuca na nas czar, zdradza, sprowadza na manowce i rani. Ogień to obusieczna broń. Może nas ogrzewać, osuszać, służyć nam do gotowania, ale też nas zabija. – Dotknąłem kościanego młota Thora, który nosiłem na szyi. – Aethelstan tam jest – powiedziałem.

– Jeśli jeszcze żyje – odparł Finan.

W ciemnościach nic nie można było zrobić. Brunanburh znajdował się w odległości co najmniej dwóch godzin jazdy konnej, a w nocy podróż mogła trwać jeszcze dłużej, musielibyśmy bowiem przedzierać się przez las i prawdopodobnie wpadlibyśmy w pułapkę zastawioną przez ludzi, którzy podpalili burh. Mogłem jedynie czuwać na murach Ceasteru, na wypadek gdyby o świcie wróg nas zaatakował.

Nie obawiałem się tego ataku. Ceaster wzniesli Rzymianie i była to najpotężniejsza warownia w Brytanii. Norwegowie musieliby pokonać wypełnioną wodą fosę i oprzeć drabiny o wysokie kamienne obwarowania, a oni nigdy nie lubili oblegać fortecy. Jednak Brunanburh płonął, któż więc mógł wiedzieć, co przyniesie świt? Gród wybudowała rządząca Mercją Aethelflaed, strzegł on rzeki Maerse, która stanowiła dla Norwegów dogodną drogę w głąb Brytanii. Dawniej na rzece panował gorączkowy rejwach, wiosła zanurzały się w jej wodach, a łodzie o dziobach ozdobionych głową smoka pruły fale pod prąd, wioząc wojowników na niekończące się walki między Norwegami a Sasami, ale Brunanburh zatamował ten ruch. Zaokrętowaliśmy w pobliżu tego grodu flotę dwunastu łodzi, których załogi strzegły potężne wały z drewnianych belek, a Norwegowie przekonali się, że należy się ich obawiać. Odtąd, jeśli

przybijali do zachodniego wybrzeża Brytanii, udawali się do Walii albo gdzieś do Kumbrii, dzikiego kraju leżącego na północ od Maerse.

Tej nocy stało się jednak inaczej. Tej nocy płonęło wybrzeże Maerse.

– Ubierz się – powiedziałem do Eadith. – Dzisiaj już nie pośpimy.

Eadith dotknęła wysadzanego szmaragdami krzyża na szyi.

– Aethelstan – szepnęła, jakby się za niego modliła, dotykając palcami krzyża. Bardzo się do niego przywiązała.

– Żyje albo zginął – rzuciłem szorstko. – Nie dowiemy się tego przed świtem.

Wyruszyliśmy, zanim zaczęło dnieć, do brzasku jechaliśmy na północ, podążając brukowaną drogą biegnącą przez rzymskie cmentarzysko. Zabrałem ze sobą sześćdziesięciu ludzi, wszyscy dosiadali szybkich, lekkich wierzchowców, żebyśmy mogli uciec, gdy natkniemy się na przeważające siły norweskie. Przodem wysłałem zwiadowców, ale ponieważ się spieszyliśmy, nie było czasu na zwykłą ostrożność, czyli oczekiwanie na ich meldunek przed wyruszeniem w drogę. Tym razem naszym ostrzeżeniem miała być śmierć zwiadowców. Opuściliśmy rzymski trakt, żeby podążać ścieżką wyciętą w lesie. Z zachodu nadeszły chmury i zaczęło mżyć, ale przed nami nadal unosił się słup dymu. Deszcz mógłby ugasić pożar wzniecony przez Lokiego, ale nie mżawka, dym więc tylko nas zwodził i wabił.

Później wyjechaliśmy z lasu w miejscu, gdzie łąki zmieniały się w mokradła, a mokradła łączyły się z rzeką. I tam, daleko na zachodzie, na srebrnoszarej połaci wody ujrzeliśmy flotę. Dwadzieścia – trzydzieści łodzi, może więcej – nie sposób było dokładnie określić, ponieważ zostały zakotwiczone blisko siebie, ale nawet z daleka byłem w stanie dostrzec, że ich dzioby ozdabiały norweskie bestie: smoki, węże, wilki i orły.

– Słodki Jezu – powiedział z przerażeniem Finan.

Pędziliśmy ścieżką wydeptaną przez bydło i wijącą się wzdłuż wzniesienia na południowym brzegu rzeki. Jechaliśmy pod wiatr, którego nagłe podmuchy falowały powierzchnię Maerse. Nadal nie mogliśmy dostrzec Brunanburha, ponieważ warownia leżała za wzgórzem porośniętym lasem, ale nagły ruch na granicy kniei zdradził obecność ludzi, moi dwaj zwiadowcy zawrócili więc konie i pocwałowali w naszą stronę. Ktokolwiek ich zaniepokoił, zniknął wśród gęstego wiosennego listowia, a chwilę później pośród szarej mgły ponuro zabrzmiał róg.

– To nie warownia się pali – stwierdził z wahaniem Finan.

Zamiast mu odpowiedzieć, skręciłem ze ścieżki w głąb łądu na porośniętą trawą pastwisko. Zwiadowcy zbliżali się do nas, spod kopyt ich wierzchowców leciały grudy wilgotnej darni.

– Za drzewami są ludzie, panie! – krzyknął jeden z nich. – Co najmniej dwudziestu, może więcej!

– Są gotowi do bitwy – dodał drugi.

– Gotowi do bitwy? – zdziwił się Finan.

– Tarcze, hełmy, broń – wyjaśnił zwiadowca.

Poprowadziłem swoich wojowników na południe. Pas młodego lasu tworzył barierę między nami a Brunanburhem i jeśli wrogowie na nas czekali, z pewnością zaczęli się na tej ścieżce. Podążając traktem, ryzykowaliśmy, że wjedziemy prosto na mur tarcz ukryty między drzewami, natomiast wjechanie w głąb łądu zmuszało przeciwnika do wykonania ruchu, złamania szyku, dlatego spiąłem konia i ruszyłem galopem. Z lewej strony nadjechał mój syn.

– To nie warownia się pali! – krzyknął.

Dym stawał się coraz rzadszy, nadal jednak unosił się za koronami drzew, a szara smuga mieszała się z niskimi chmurami. Wydawało się, że idzie od rzeki, i zacząłem podejrzewać, iż mój syn i Finan mają rację,

twierdząc, że to nie warowania płonie – raczej łodzie. Ale jak wrogowie dotarli do floty? Gdyby zrobili to za dnia, obrońcy fortecy zauważyliby okręty z załogą, a walka w nocy wydawała się niemożliwa. Maerse była płytką rzeką o błotnistych brzegach i żaden szyper nie mógł nawet marzyć o wpłynięciu w bezksiężycową noc tak daleko w głąb lądu.

– To nie warownia! – krzyknął ponownie Uhtred.

Wołał pogodnym głosem, jakby to była dobra wiadomość, ja jednak obawiałem się, że forteca upadła i teraz jej potężne wały chronią zgraję Norwegów. Czemu mieliby palić miejsce, które byli w stanie bez trudu obronić?

Teren się wznosił. Nie widziałem wśród drzew żadnych wrogów. Czy to znaczyło, że ich tu nie ma? Jak liczni są najeźdźcy? Trzydzieści łodzi? Taka liczba z łatwością może pomieścić tysiąc wojowników, i ci ludzie musieli wiedzieć, że nadjedziemy z Ceasteru. Gdybym był ich wodzem, czekałbym tuż za tymi drzewami. Ta myśl podpowiadała mi, że powinienem zwolnić i wysłać przodem zwiadowców. Zamiast to zrobić, pogałem jednak wierzchowca. Na plecach wiozłem tarczę, nie zdjąłem jej z ramion, tylko poluzowałem Oddech Węża w pochwie. Byłem wściekły i przez to nieostrożny, ale intuicja mówiła mi, że wróg nie czeka na nas za lasem. Może napastnicy zaczęli się na drodze, ale marsz w głąb lądu pozostawiłby im niewiele czasu na utworzenie muru tarcz na wyżynie. Pas drzew nadal zasłaniał mi widok na to, co się za nimi kryło, zawróciłem więc konia i znów pojechałem na zachód. Zagłębiałem się w listowie, uchylałem przed gałęziami, pozwalałem wierzchowcowi wybierać drogę między drzewami, a kiedy wyjechaliśmy z lasu, ściągnąłem cugle, zwolniłem, rozejrzałem się i zatrzymałem.

Nikogo nie dostrzegłem.

Moi ludzie przedarli się przez zarośla.

– Bogu dzięki – powiedział Finan.

Warownia pozostała niezdojta. Sztandar z białym koniem Mercji nadal powiewał nad wałami, łopotała też opatrzona godłem z gęsią flaga Aethelflaed. Na obwarowaniach widniała też trzecia chorągiew, którą rozkazałem wykonać kobietom z Ceasteru. Znajdował się na niej smok Wessexu trzymający w uniesionej łapie płonący bełt. Było to godło księcia Aethelstana. Chłopiec prosił, żeby na jego sztandarze umieścić chrześcijański krzyż, ja jednak kazałem wyhaftować płonący grot kuszy.

Nazywałem Aethelstana chłopcem, ale on był już mężczyzną, miał czternaście albo piętnaście lat. Wyrósł, a doświadczenie ukróciło jego dziecięce figle. Niektórzy życzyli sobie jego śmierci, chłopak był tego świadom, więc jego oczy nabrały czujnego wyrazu. Był też przystojny – tak przynajmniej twierdziła Eadith – uważne szare oczy osadzone były w wyrazistej twarzy otoczonej kruczoczarnymi włosami. Nazywałem go księciem Aethelstanem, tymczasem ludzie pragnący jego śmierci mówili o nim „bękart”.

I wielu uwierzyło w ich kłamstwa. Matka Aethelstana, ładna dziewczyna z Kentu, zmarła, wydając go na świat, ale jego ojcem był Edward, syn króla Alfreda, a obecnie władca Wessexu. Edward tymczasem wziął sobie za żonę zachodniosaską kobietę i spłodził drugiego syna, co sprawiło, że Aethelstan stał się niewygodny, tym bardziej iż rozniosła się plotka, że wcale nie jest bękartem, ponieważ jego ojciec potajemnie ożenił się z dziewczyną z Kentu. Nie miało znaczenia, czy ta pogłoska jest prawdziwa – choć ja miałem dobry powód, by wierzyć, że historia o pierwszym małżeństwie nie została wymyślona – bo dla wielu osób w Wessexie Aethelstan był niechcianym synem. W przeciwieństwie do innych dzieci Edwarda nie dorastał w Wintanceasterze, lecz został wysłany do Mercji. Edward uznał chłopca, ale go ignorował i po prawdzie

Aethelstan stanowił dla niego kłopot. Był on najstarszym synem króla, aethelingiem, ale miał młodszego przyrodniego brata, którego mściwa matka pragnęła śmierci Aethelstana, gdyż stał między jej synem a tronem Wessexu. Ja jednak lubiłem Aethelstana. Lubiłem go na tyle, by chcieć, żeby zasiadł na tronie, który należał mu się z urodzenia. Przyszły król musi jednak najpierw nauczyć się męskich zadań, dlatego oddałem mu dowództwo nad warownią i flotą w Brunanburhu.

A teraz straciliśmy flotę. Została spalona. Kadłuby dymiły za zgliszczami przystani, której wzniesienie zajęło nam rok. Wbiliśmy wiązowe paliki głęboko w podłoże i wybudowaliśmy pomost wybiegający poza linię odpływu, tworząc nadbrzeże, przy którym stały na cumie łodzie w rynsztunku wojennym. Teraz przystań przestała istnieć, razem z pięknymi okrętami o wysokich dziobach. Cztery z nich woda wyrzuciła poza linię odpływu i nadal się tliły, z pozostałych zachowały się tylko wypalone wręgi leżące na płyciźnie, a przy końcu pomostu znajdowały się trzy łodzie z dziobem ozdobionym głową smoka przycumowane do zwęglonych palów. Za nimi stało kolejnych pięć okrętów, których załogi wykorzystywały wiosła do utrzymywania kadłubów wbrew przeciwnemu prądowi rzecznemu i odpływowi. Reszta wrogiej floty rzuciła kotwicę w odległości pół mili w górę rzeki.

Na brzegu, między nami a spaloną przystanią, dostrzegłem ludzi. Mężczyzn w kolczugach i hełmach, uzbrojonych w tarcze, włócznie i miecze. Było ich może dwustu, spędzili nieliczne bydło, które udało im się znaleźć, i gnali je ku wybrzeżu, gdzie zwierzęta zarzynano, żeby ich mięso załadować na łodzie. Rzuciłem okiem w stronę warowni. Aethelstan dowodził stu pięćdziesięcioma ludźmi, widziałem, że zebrali się na wałach, ale nic nie robili, żeby przeszkodzić wrogowi w odwrocie.

– Zabijmy kilku tych drani – powiedziałem.



– Panie? – odezwał się Finan, zaniepokojony przewagą liczebną nieprzyjaciela.

– Uciekną – odparłem. – Chcą bezpiecznie dotrzeć do swoich łodzi, nie mają zamiaru walczyć na lądzie.

Wyciągnąłem Oddech Węża z pochwy. Norwegowie na wybrzeżu poruszali się pieszo i byli rozproszeni. Większość przebywała w pobliżu znajdującego się przy lądzie spalonego krańca pomostu, gdzie mogła szybko uformować mur tarcz, ale kilkunastu zmagало się z bydłem. Ich wziąłem sobie na cel.

Byłem wściekły. Dowodziłem garnizonem w Ceasterze, a załoga Brunanburha stanowiła jego część. Gród był oddaloną warownią, został zaatakowany z zaskoczenia, a jego flota spalona. Ja zaś byłem rozsierdzony. Od świtu pragnąłem krwi. Ucałowałem rękojeść Oddechu Węża i spiąłem konia ostrogami. Popędziliśmy cwałem w dół łagodnego zbocza z uniesionymi mieczami i włóczniami. Plułem sobie w brodę, że nie zabrałem ze sobą włóczni, ale było już za późno na żale. Ludzie zajmujący się bydłem dostrzegli nas i próbowali uciec, ale znajdowali się na podmokłym terenie, zwierzęta wpadły w panikę, a kopyta naszych wierzchowców ciężko biły w mokrą od rosy darń. Największa grupa nieprzyjaciół formowała mur tarcz w miejscu, gdzie zwęglone pozostałości pomostu sięgały suchego lądu, ale ja nie miałem zamiaru toczyć z nimi walki.

– Bierście jeńców! – wrzasnąłem do swoich wojowników. – Bierście jeńców!

Jedna z norweskich łodzi ruszyła w stronę plaży, żeby wesprzeć ludzi na brzegu lub umożliwić im ucieczkę. Tysiąc białych ptaków zerwało się z szarej wody, nawołując i skrzecząc, krążyły nad pastwiskiem, na którym nieprzyjaciele ustawiali się w mur tarcz. Zobaczyłem sztandar nad

połączonymi tarczami, ale nie miałem czasu, żeby mu się przyjrzeć, bo mój wierzchowiec jak burza przeciął drogę, zjechał ze skarpy i pokonał nadbrzeże.

– Bierzcie jeńców! – zawołałem jeszcze raz.

Minąłem zarżniętego wołu, którego gęsta ciemna krew zmieszała się z błotem. Zwierzę właśnie ubito, ale rzeźnicy uciekli na nasz widok. Chwilę później znalazłem się między tymi zbiegami i użyłem płazu miecza, żeby powalić jednego z mężczyzn na ziemię. Zawróciłem. Mój koń pośliznął się na błocie, cofnął się i kiedy upadał, wykorzystałem ciężar jego ciała do wbicia Oddechu Węża w piersi drugiego człowieka. Ostrze wyszło mu przez plecy, krew zabulgotała w ustach, a ja spiąłem ogiera ostrogami, żeby uwolnić masywne ostrze z ciała umierającego mężczyzny. Finan mnie minął, po chwili ujrzałem cwałującego Uhtreda, który pochylony w siodle nisko trzymał Dziób Kruka, żeby wbić jego brzeszczot w plecy uciekającego wroga. Norweg o dzikim spojrzeniu zamachnął się na mnie toporem, ale ja bez trudu uniknąłem ciosu. W tym momencie włócznia Berga Skallagrimmrsona przebiła jego plecy, przeszła przez wnętrzności i od strony brzucha ukazał się jej jasny, umazany krwią grot. Berg walczył bez hełmu, w jego jasne, długie jak u kobiety włosy wplecione były drobne kostki i wstążki. Wyszczrzył do mnie zęby, puszczając jesionowe drzewce i dobywając miecza.

– Zniszczyłem jego kolczugę, panie!

– Bierz jeńców, Bergu!

– Najpierw pozabijam jeszcze trochę tych łajdaków, dobrze?

I odjechał, nadal się szczerząc. Był norweskim wojownikiem, miał osiemnaście–dziewiętnaście lat, ale już zdążył być wioślarem załogi, która dopłynęła do przylądka Horn na wyspie ognia i lodu, leżącej na odległym krańcu Atlantyku. Walczył też w Irlandii, Szkocji, Walii. Opowiadał także

o wyprawach łodziami w głąb porośniętych brzozowymi lasami ziem, które, jak twierdził, rozciągają się na wschód od terenów Norwegów. Mówił, że żyją tam lodowe olbrzymy i wilki wielkie jak ogiery. „Powiniennem był po tysiącuroć umrzeć” – wyznał mi, ale przeżył, bo darowałem mu życie. Został moim człowiekiem, złożył mi przysięgę i służąc mi, jednym ciosem ściął głowę uciekającemu najeźdźcy.

– Ha! – krzyknął w moją stronę. – Dobrze naostrzyłem miecz!

Finan znalazł się dostatecznie blisko wody, żeby wojownik ze zbliżającej się łodzi cisnął w jego stronę włócznią. Broń wbiła się w błoto, a Irlandczyk lekceważąco pochylił się w siodle, chwycił drzewce i podjechał do krwawiącego w błocie mężczyzny. Obejrzał się w stronę łodzi, by mieć pewność, że członkowie jej załogi dobrze widzą, co robi, i podniósł broń, żeby zatopić ją w brzuchu wojownika. Później jednak, ku mojemu zaskoczeniu, odrzucił włócznię. Zsiadł z konia i ukląkł przy rannym, przez chwilę z nim rozmawiał, a potem wstał.

– Jeńcy! – zawołał. – Potrzebujemy jeńców!

Z warowni rozległ się dźwięk rogu. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem ludzi wylewających się przez bramę Brunanburha. Nadchodzili z tarczami, włóczniami i mieczami, gotowi do uformowania muru tarcz, który zepchnąłby formacje wroga do rzeki, najeźdźcy byli jednak już gotowi do wycofania się i nie potrzebowali pomocy z naszej strony. Brodząc w wodzie, mijali zwęglone pale i okrążali dymiące się łodzie, żeby dotrzeć na pokład najbliższego okrętu. Zbliżający się statek stanął, uderzając wiosłami o płyciznę. Jego załoga nie miała ochoty zmierzyć się z moimi ludźmi, którzy obrzucali wrogów obelgami i czekali na nich na brzegu z obnażonymi mieczami i skrwawionymi włóczniami. Kolejni najeźdźcy ruszyli wpław w stronę łodzi o dziobach w kształcie smoczych głów.

– Zostawcie ich! – krzyknąłem.

O świcie pragnąłem krwi, ale dokonanie rzezi grupki mężczyzn na mieliźnie Maerse nie mogło przynieść nam żadnej korzyści, a wiązało się z ryzykiem, że stracę dziesiątki ludzi. Główna flota wroga, która musiała wieźć setki wojowników, płynęła już w górę rzeki. Żeby ją osłabić, musiałbym zabić tych kilkuset mężczyzn, a nie zaledwie garstkę.

Załogi najbliższych łodzi obrzucały nas obelgami. Patrzyłem na mężczyzn wciąganych na pokład i zastanawiałem się, skąd nadpłynęła ta flota. Od lat nie widziałem tylu norweskich okrętów. Podjechałem do granicy wody. Jakiś człowiek cisnął we mnie włócznią, ale nie poleciała zbyt daleko, umyślnie schowałem miecz do pochwy, żeby zademonstrować przeciwnikowi, że uważam walkę za zakończoną, i zobaczyłem, jak mężczyzna z siwą brodą daje kiksa młodszeemu, który zamierzał rzucić kolejną włócznię. Kiwnąłem głową w stronę siwobrodego, a on w odpowiedzi podniósł dłoń.

Kim więc byli? Jeńcy wkrótce mieli nam to wyjawić. Wzięliśmy do niewoli około dwudziestu mężczyzn, których moi ludzie odzierali z kolczug, hełmów i kosztowności. Finan znów klęczał obok rannego wojownika i z nim rozmawiał. Skierowałem konia w ich stronę, a potem zatrzymałem się w zdumieniu, bo Irlandczyk wstał i obsikał jeńca, który bezsilnie uderzał dręczyciela dłońią w rękawicy.

– Finan?! – zawołałem.

Zignorował mnie. Mówił do wojownika po irlandzku, a ten odpowiadał mu gniewnie w tym samym języku. Finan roześmiał się, odniosłem wrażenie, że przeklina mężczyznę. Bezlitośnie, zdecydowanie intonował słowa, trzymając dłoń o rozcapierzonych palcach nad jego mokrą od moczu twarzą, jakby rzucał na niego urok. Uznałem, że cokolwiek się dzieje, nie jest to moja sprawa, i obejrzałem się w stronę łodzi znajdujących się na odległym krańcu spalonego nadbrzeża. Dokładnie w tym momencie

chorąży nieprzyjaciela wdrapał się na pokład ostatniego okrętu o wyniosłym dziobie. Mężczyzna ubrany był w kolczugę i z trudem czepiał się burty, do czasu aż oddał chorągiew i wyciągnął obie ręce, żeby dwaj towarzysze wciągnęli go na pokład. Rozpoznałem ten sztandar i ledwie byłem w stanie uwierzyć własnym oczom.

Haesten?

Haesten.

Gdyby na tym świecie miał pozostać tylko jeden bezwartościowy, zdradziecki, obślizły ludzki wypierdek, byłby to Haesten. Znałem go przez całe życie. Darowałem mu jego nędzny żywot, a on złożył mi przysięgę wierności, objął rękojeść Oddechu Węża i łkał rzewnymi łzami z wdzięczności, przysięgając, że będzie moim wasalem, aby mnie bronić i mi służyć, a w zamian otrzyma ode mnie złoto i lojalność. Za ledwie po kilku miesiącach złamał przysięgę i zbrojnie wystąpił przeciwko mnie. Zawarł pokój z Alfredem i tego układu też nie dotrzymał. Poprowadził wojska, żeby złupić Wessex i Mercję, aż w końcu pod Beamfleot przyparłem jego ludzi do muru, a tamtejsze potoki i moczary pociemniały od ich krwi. Wypełniliśmy rowy jego martwymi wojownikami, a kruki tego dnia miały ucztę, ale Haestenowi udało się zbiec. Zawsze mu się udawało. Stracił wojsko, ale pozostał przebiegły i ponownie się zjawił, tym razem służąc Sigurdowi Thorrsonowi i Kanutowi Ranulfsonowi. Obaj zginęli w bitwie, ale Haestenowi znów udało się umknąć śmierci.

Teraz wrócił, jego godłem była biaława czaszka zatknięta na palu. Kpił ze mnie z najbliższej łodzi, która właśnie oddalała się od brzegu. Wojownicy na pokładzie obrzucali mnie wyzwiskami, a chorąży wymachiwał flagą z czaszką. Za tą łodzią znajdował się większy okręt, na którego dziobie widniał olbrzymi smok o wysoko zadartym, wypełnionym

zębiskami łbie. Na rufie dostrzegłem mężczyznę w płaszczu i srebrnym hełmie zwieńczonym skrzydłami kruka. Zdjął hełm i skłonił się przede mną kpiąco. Wtedy rozpoznałem Haestena. Śmiał się. Spalił moją flotę i ukradł kilka krów, ale dla niego było to wystarczające zwycięstwo. Nie był to rewanż za klęskę pod Beamfleot, musiałby zabić mnie i wszystkich moich ludzi, żeby wyrównać krwawe porachunki, ale zrobił z nas głupców i otworzył Maerse przed olbrzymią norweską flotą, która płynęła w górę rzeki, flotą wrogów przybyłych, aby podbić nasze ziemie dowodził właśnie Haesten.

– Jakim cudem taki łajdak jak Haesten prowadzi tylu ludzi? – zapytałem na głos.

– Nie jest ich dowódcą.

Mój syn wprowadził konia na mieliznę i zatrzymał się obok mnie.

– Nie?

– Dowodzi nimi Ragnall Ivarson.

Nic nie odpowiedziałem, ale po plecach przeszły mi ciarki. Znałem to imię, wszystkim nam było ono znane, wzbudzało strach wokół całego Morza Irlandzkiego. Był Norwegiem, który sam siebie nazywał Królem Morza, bo jego włości obejmowały terytoria, gdzie nieokiełznane fale rozbijały się o skały lub piasek. Władał wodami, w których pływają foki i nad którymi latają maskonury, miejscami, w których dmie wichry i rozbijają się statki, gdzie mróz kęsa niczym nóż, a w ciemnościach słycać zawodzenie dusz topielców. Jego ludzie zajęli dzikie wyspy u wybrzeży Szkocji, dawali się we znaki mieszkańcom irlandzkiego wybrzeża oraz zmieniali w niewolników ludność Walii i wyspy Mann. To królestwo nie miało granic, bo gdy wróg stawał się zbyt silny, ludzie Ragnalla wsiadali do długich łodzi i żeglowali do innego dzikiego wybrzeża. Złupili nadmorskie tereny Wessexu, zabierając ze sobą

niewolników oraz bydło. Dopłynęli nawet do Saefern i zagrozili Gleawecestre, ale mury tej warowni ich odstraszyły. Ragnall Ivarson. Nigdy go nie spotkałem, ale go znałem. Znałem sławę, która go otaczała. Nikt lepiej od niego nie żeglował, nikt nie walczył równie zaciekle jak on, nikt nie budził równie wielkiego przerażenia. Był brutalem, piratem, dzikim władcą pustkowi, a moja córka Stiorra poślubiła jego brata.

– Haesten złożył przysięgę Ragnallowi – ciągnął Uhtred. Spojrzał na oddalającą się łódź. – Ragnall Ivarson. – Nie odrywał oczu od floty. – Porzucił ziemie w Irlandii. Powiedział swoim ludziom, że los w zamian dał mu Brytanię.

Haesten nic nie znaczy – pomyślałem. – Jest szczurem, który sprzymierzył się z wilkiem, sponiewieranym wróblem czepiającym się orlego skrzydła.

– Ragnall porzucił ziemie w Irlandii? – zdziwiłem się.

– Tak twierdzą ci ludzie. – Mój syn wskazał na jeńców.

Odchrząknąłem. Niewiele wiedziałem o tym, co dzieje się w Irlandii, ale w ciągu ostatnich kilku lat nadchodziły stamtąd wieści o Norwegach wypieranych z tych terytoriów. Morze przemierzały łodzie z wojownikami ocalałymi z ciężkich walk, a ci, którzy pragnęli zdobyć ziemie w Irlandii, teraz szukali jej na wybrzeżach Kumbrii i Walii, a niekiedy nawet dalej – w Neustrii w kraju Franków.

– Ragnall jest potężny – zauważyłem. – Dlaczegoż miałby wycofać się z Irlandii?

– Bo Irlandczycy go do tego przekonali.

– Przekonali?

Uhtred wzruszył ramionami.

– Mają czarowników. Chrześcijańskich czarowników, którzy czytają w przyszłości. Ogłosili, że Ragnall zostanie królem całej Brytanii, jeśli

opuści Irlandię, i dali mu ludzi, by mu w tym pomogli. – Skinął na flotę. – W tych łodziach podróżuje stu irlandzkich wojowników.

– Król całej Brytanii?

– Tak powiedział jeniec.

Splunąłem. Ragnall nie był pierwszym człowiekiem, który marzył o zapanowaniu nad całą wyspą.

– Ilu ma wojowników? – zapytałem.

– Tysiąc dwustu.

– Jesteś tego pewien?

Mój syn się uśmiechnął.

– Twoje nauki nie poszły w las, ojcze.

– Jakie nauki?

– Że ostrze włóczni w wątrobie jeńca to bardzo przekonujący argument.

Patrzyłem na ostatnie łodzie płynące na wschód. Wkrótce miały mi zniknąć z oczu.

– Beadwulfie! – zawołałem.

Był to drobny, żylasty człowieczek, którego twarz na duńską modłę ozdabiały tatuowane linie, choć był on Sasem. Należał do moich najlepszych zwiadowców i potrafił jak duch przejść przez niczym nieosłoniętą łąkę. Wskazałem głową na znikające łodzie.

– Weź dwunastu ludzi i popłynij za tymi łajdakami. Chcę wiedzieć, dokąd przybiją – powiedziałem.

– Tak, panie – odparł i się odwrócił.

– I, Beadwulfie! – zawołałem, a on spojrzał na mnie. – Postaraj się rozpoznać chorągwie na łodziach. Wypatruj czerwonego topora. Jeśli dojrzysz czerwony topór, chcę o tym wiedzieć, natychmiast!

– Czerwony topór, panie – powtórzył i szybko odjechał.



Czerwony topór był godłem Sigtryggra Ivarsona, męża mojej córki. Ludzie nazywają go teraz Jednookim, bo wyłupiłem mu mieczem prawe oko. Napadł na Ceaster, ale został odparty, jednak wycofując się, zabrał ze sobą Stiorrę. Nie była jego jeńcem, lecz kochanką, i co jakiś czas dochodziły do mnie słuchy na jej temat. Mieli z Sigtryggrzem ziemię w Irlandii. Pisała do mnie listy, bo kazałem nauczyć ją pisać i czytać. „Jeździmy konno po plaży i przez wzgórza – napisała. – Tu jest pięknie. Oni nas nienawidzą”. Miała córkę, moje pierwsze wnuczę, której dała na imię Gisela, po swojej matce. „Gisela jest piękna, a irlandzcy księża nas przeklęli – pisała w liście. – Kocham to miejsce. Mój mąż przesyła ci pozdrowienia”.

Ludzie zawsze twierdzili, że Sigtryggr jest groźniejszym z braci. Mówiono, że jest mądrzejszy od Ragnalla, a jego biegłość w posługiwaniu się mieczem obrosła legendą, ostatnio jednak – czy to z powodu utraty oka, czy też małżeństwa – się ustatkował. Plotka głosiła, że Sigtryggr zadowolona się uprawą ziemi, łowieniem ryb w morzu i obroną swoich włości. Czy byłby jednak równie zadowolony, gdyby jego starszy brat zajął Brytanię? Dlatego właśnie kazałem Beadwulfowi wypatrywać czerwonego topora. Chciałem wiedzieć, czy mąż mojej córki stał się moim wrogiem.

Księżę Aethelstan odnalazł mnie, kiedy ostatni statek najeźdźców zniknął mi z oczu. Przybył z kilkoma towarzyszami, wszyscy dosiadali potężnych ogierów.

– Panie! – zawołał. – Przykro mi!

Machnąłem ręką, żeby go uciszyć, bo moją uwagę ponownie przykuł Finan. Gniewnie wypowiadał potoki słów do leżącego rannego mężczyzny, a ten nie pozostawał mu dłużny. Nie musiałem ani trochę znać dziwnego irlandzkiego języka, żeby wiedzieć, że obrzucają się wyzwiskami. Rzadko miałem okazję widzieć Finana równie wściekłego. Pluł, gardłował,

intonował słowa ciężkie jak uderzenia młotem. Ciskał je w rannego przeciwnika, który pod wpływem tego ataku zdawał się jeszcze bardziej opadać z sił. Zdumieni ich gniewem ludzie gapili się, a po chwili Irlandczyk obrócił się i chwycił leżącą obok włócznię. Wrócił do swojej ofiary, znów wylał z siebie potok słów i dotknął krzyża wiszącego na jego szyi. Później, niczym ksiądz podnoszący hostię, uniósł włócznię w obu dłoniach z grotem skierowanym w dół i przemówił po angielsku. „Boże, wybacz mi” – powiedział.

Po tych słowach mocno uderzył włócznią w dół, krzycząc z wysiłku, który włożył, żeby przebić kolczugę oraz kości i dotrzeć ostrzem do serca. Mężczyznę szarpnął spazm, z ust trysnęła mu krew, jego ręce i nogi przez kilka sekund uderzały o ziemię, po czym umarł. Leżał z otwartymi ustami, przygwożdżony do brzegu włócznią, która przez jego serce sięgnęła do ziemi.

Finan szlochał.

Skierowałem wierzchowca w jego stronę. Zatrzymałem się obok i dotknąłem ramienia Irlandczyka. Był moim przyjacielem, najstarszym przyjacielem, który walczył u mego boku w setkach murów tarcz.

– Finanie? – zapytałem, ale nie spojrzał na mnie. – Finanie! – powtórzyłem.

Tym razem zwrócił twarz w moją stronę, po jego policzkach płynęły łzy, a w oczach ujrzałem rozpacz.

– To chyba był mój syn – odezwał się.

– Kto to był? – zapytałem w osłupieniu.

– Mój syn albo bratanek. Nie mam pojęcia. Boże, dopomóż mi. Nie mam pojęcia, ale go zabiłem.

Odszedł.

– Przykro mi – powtórzył Aethelstan, a w jego głosie pobrzmiwała taka sama rozpacz jak w słowach Finana. Patrzył na dym unoszący się nisko nad rzeką. – Przybyli nocą – powiedział. – Spozregliśmy się, dopiero kiedy ujrzelśmy płomienie. Przykro mi. Zawiodłem cię.

– Nie bądź głupcem – warknąłem. – Nie mogłeś powstrzymać tej floty! – Wskazałem zakole rzeki, gdzie ostatnie łodzie Króla Morza zniknęły za drzewami. Jeden z naszych statków nagle się przechylił i rozległ się syk towarzyszący kłębowi pary, które wymieszały się z dymem.

– Zamierzałem z nimi walczyć – powiedział Aethelstan.

– A zatem jesteś cholernym głupcem – rzuciłem.

Zmarszczył brwi, po czym wskazał na płonące łodzie i zarżniętego wołu.

– Nie chciałem do tego dopuścić! – odparł.

– To ty wybierasz miejsce bitwy – odrzekłem szorstko. – Za murami nic ci nie groziło, po co więc tracić ludzi? Nie mogłeś powstrzymać tych statków. Poza tym oni chcieli, żebyście opuścili gród i z nimi walczyli, a nie jest rozsądne robić to, co jest na rękę wrogowi.

– To samo mu mówiłem, panie – wtrącił się Raedwald, starszy, rozważny Mercjanin, którego umieściłem w Brunanburhu, żeby doradzał Aethelstanowi. Księżę dowodził garnizonem, ale był młody, więc przydzieliłem mu kilku starszych i mądrzejszych wojowników, żeby chronili go przed popełnianiem młodzieńczych błędów.

– Chcieli, żebyśmy opuścili warownię? – zapytał ze zdumieniem Aethelstan.

– A gdzie mieli większą szansę na zwycięstwo? Oblegając gród czy na otwartej przestrzeni, w starciu murów tarcz?

– To samo mu mówiłem, panie – powiedział Raedwald.

Nie zwracałem na niego uwagi.

– Sam wybieraj miejsce bitwy – burknąłem na Aethelstana. – Przestrzeń między uszami służy do tego, żebyś myślał! Jeśli będziesz atakował za każdym razem, gdy zobaczysz wroga, długo nie pożyjesz.

– To samo... – zaczął Raedwald.

– Wiem, mówiłeś mu to samo! A teraz zamilcz!

Spojrzałem na pustą rzekę. Ragnall poprowadził wojska do Brytanii, co jednak miał zamiar z nimi uczynić? Potrzebował ziemi, żeby wykarmić swoich ludzi, i warowni, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Minął Brunanburh czy jednak miał zamiar zawrócić i zaatakować Ceaster? Rzymskie mury czyniły z tego miasta doskonałą bazę, a jednocześnie trudną do pokonania przeszkodę. Dokąd więc zamierzał się udać?

– Ale ty właśnie to zrobiłeś. – Aethelstan przerwał tok moich myśli.

– Co zrobiłem?

– Zaatakowałeś wroga. – Spojrzał na mnie z oburzeniem. – Przed chwilą. Przeprowadziłeś szarżę ze wzgórza, mimo że mieli przewagę.

– Potrzebowałem jeńców, ty żalosna pokrako.

Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób Ragnallowi po ciemku udało się popłynąć w górę rzeki. Musiał mieć niewiarygodne szczęście, dzięki któremu jego olbrzymia flota bez szwanku pokonała muliste zakola Maerse, albo też był lepszym żeglarzem, niż uważano. Dokonał równie imponującego, co niepotrzebnego wyczynu. Miał potężną flotę, a my zaledwie kilkanaście łodzi. Mógł nas zmieść z powierzchni ziemi, nie wykonawszy nawet jednego uderzenia wiosł, a mimo to zdecydował się zaatakować w nocy. Dlaczego podjął takie ryzyko?

– Może nie chciał, żebyśmy zamknęli wejście do kanału? – zasugerował mój syn, i pewnie miał rację.

Gdyby ostrzeżono nas kilka godzin wcześniej, moglibyśmy zatopić nasze łodzie w głównym korycie rzeki. Ragnall koniec końców mógłby

przepłynąć, ale musiałyby czekać na przyływ, a jego najcięższe jednostki miałyby problem z pokonaniem barykady. My tymczasem moglibyśmy wysłać posłańców w górę rzeki, żeby na Maerse powstały kolejne barykady i więcej moich ludzi czekało na flotę nieprzyjaciela. On natomiast prześliznął się nam pod nosem, zadał nam ranę i wpłynął w głąb łądu.

– To Fryzowie – odezwał się smutnym tonem Aethelstan.

– Fryzowie?

– Zeszłej nocy przybyły trzy kupieckie statki, panie. Zakotwiczyły na rzece. Wiozły skóry z Dyflinu.

– Kazałeś je przeszukać?

Pokręcił głową.

– Powiedzieli, że załogę dotknęła zaraza.

– A więc nikt nie wszedł na ich pokład.

– Nie, panie, z obawy przed zarazą.

Garnizon w Brunanburhu miał obowiązek przeprowadzić kontrolę każdej jednostki wpływającej na rzekę przede wszystkim po to, żeby pobrać myto za towar, nikt jednak nie wchodził na pokład statku dotkniętego zarazą.

– Powiedzieli, że wiozą skóry, panie – tłumaczył się Aethelstan. – Uścili też należne opłaty.

– A ty pozwoliłeś im wpłynąć?

Pokiwał głową ze smutkiem. Resztę dopowiedzieli mi jeńcy. Trzy kupieckie statki rzuciły kotwice w miejscu, gdzie koryto Maerse było najwęższe i gdzie istniało największe niebezpieczeństwo wpłynięcia na mieliznę. Zapalili latarnie i nawigowali łodzie Ragnalla przez niebezpieczny odcinek. Reszty dokonał przyływ. Jeśli pozwoli się statkowi dryfować, zwykle będzie podążał najbardziej wartkim prądem w najgłębszym miejscu koryta rzecznego. Ragnall minął więc kupieckie

jednostki i pozwolił, aby rzeka zniosła je do naszej przystani. Następnie spalił nadbrzeże i łodzie, żeby jego okręty mogły bez przeszkód korzystać z rzeki. Teraz z jego morskiego królestwa mogły nadejść posiłki. Zniweczył naszą obronę Maerse i otworzył przed każdą armią wrota do Brytanii.

Pozostawiłem Aethelstanowi decyzję co do dalszego losu jeńców. Było ich czternastu i ksiązę postanowił ich stracić.

– Poczekaj na odpływ – rozkazał Raedwaldowi. – Wówczas przywiąż ich do palów. – Wskazał głową na wypalone słupy sterczące pod dziwnymi kątami z pokrytej wirami rzeki. – Niech utoną podczas przypływu.

Posłałem już Beadwulfa na wschód, ale nie spodziewałem się od niego wieści przez co najmniej dzień. Rozkazałem Sihtriciowi wyprawić ludzi na południe.

– Niech się pospieszą – poleciłem. – I donieś pani Aethelflaed, co się wydarzyło. Powiedz, że potrzebuję ludzi, dużo ludzi, wszystkich jej ludzi!

– W Ceasterze? – zapytał Sihtric.

Pokręciłem głową w zamyśleniu.

– Przekaż jej, żeby przysłała ich do Liccelfeld. I że tam przyjadę. – Odwróciłem się i wskazałem na Aethelstana. – A ty pojedziesz ze mną, ksiązę. Zabierz ze sobą większość załogi Brunanburha. A ty... – spojrzałem na Raedwalda – zostaniesz tutaj. Będziesz bronił tego, co przetrwało. Możesz zatrzymać pięćdziesięciu wojowników.

– Pięćdziesięciu! To za mało...

– Czterdziestu – warknąłem. – A jeśli stracisz warownię, wytnę ci nerki i je zjem.

Mieliśmy wojnę.

Finan siedział nad wodą na wyrzuconej przez rzekę gałęzi. Usiadłem obok niego.

– Opowiedz mi teraz o tym – powiedziałem, wskazując na ciało, w którym nadal tkwiła włócznia.

– Co chcesz wiedzieć?

– Co tylko będziesz chciał mi wyjawić.

Siedzieliśmy w ciszy. Nad nami przeleciały gęsi, bijąc skrzydłami w poranne niebo. Lunał przelotny deszcz. Jeden z trupów puścił gazy.

– Jedziemy do Liccelfeld – odezwałem się.

Finan kiwnął głową.

– Dlaczego właśnie tam? – zapytał po chwili. Zapytał tylko z obowiązku. Nie obchodził go ani Ragnall, ani Norwegowie, nic poza przebitym włócznią ciałem nad brzegiem rzeki.

– Bo nie wiem, dokąd uda się Ragnall, a z Liccelfeld możemy ruszyć zarówno na północ, jak i na południe.

– Zarówno na północ, jak i na południe – powtórzył smętnie.

– Drań potrzebuje ziemi – ciągnąłem. – Będzie próbował zdobyć ją w północnej Mercji albo w południowej Northumbrii. Musimy szybko go powstrzymać.

– Pojedzie na północ – stwierdził Finan, choć nadal mówił bez zainteresowania. – Dlaczego miałyby atakować Mercję?

Wydawało mi się, że ma rację. Mercja stała się silna, a jej granic broniły burhy i ufortyfikowane miasta, na północy zaś leżały niespokojne ziemie Northumbrii. Tereny te należały do Duńczyków, ale duńscy panowie byli skłóceni i walczyli ze sobą. Silny człowiek, taki jak Ragnall, mógłby ich zjednoczyć. Powtarzałem Aethelflaed, że powinniśmy ruszyć na północ i zająć ziemie podzielonych Duńczyków, ale ona nie chciała najeżdzać

Northumbrii, dopóki jej brat Edward nie przyśle z pomocą zachodniosaskich wojsk.

– Bez względu na to, czy Ragnall pojedzie na północ czy na południe – rzekłem – to teraz należy się z nim rozprawić. Dopiero tu przyjechał. Są to dla niego obce ziemie. Haesten oczywiście dobrze się orientuje w terenie, ale do jakiego stopnia Ragnall ufa temu szczerzemu wypierdkowi? A wedle tego, co powiedzieli jeńcy, jego wojownicy nigdy wcześniej razem nie walczyli, więc uderzymy teraz, zanim znajdzie schronienie i poczuje się bezpieczny. Zrobimy to samo co Irlandczycy, sprawimy, że poczuje się niemile widziany.

Znów zapadła cisza. Popatrzyłem na gęsi, próbując z ich liczby odczytać przeznaczenie, ale było ich zbyt wiele, bym mógł je policzyć. Gęś jednak była godłem Aethelflaed, ich pojawienie się z pewnością znaczyło więc coś dobrego. Dotknąłem młota na piersi. Finan dostrzegł ten gest i zmarszczył brwi. Potem chwycił krzyż zawieszony na szyi i szarpnął tak mocno, że zerwał rzemień. Przez chwilę patrzył na srebrną błyskotkę, po czym cisnął ją do rzeki.

– I tak trafię do piekła – burknął.

Przez moment nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Przynajmniej nic nas nie rozdzieli – odezwałem się w końcu.

– Tak – odparł poważnie. – Człowiek, który zabił krewnego, jest potępiony.

– Chrześcijańscy księża tak mówią?

– Nie.

– Skąd więc wiesz?

– Po prostu wiem. Dlatego właśnie brat nie zabił mnie przed laty. Zamiast tego sprzedał mnie temu sukinsynowi, handlarzowi niewolników.



To wtedy, przykuci do jednej ławki przy długim wiośle, poznaliśmy się z Finanem. Nadal nosimy na skórze piętno niewolników, choć nasz właściciel od dawna nie żyje – został zaszlachtowany przez Finana, który wpadł w szal zemsty.

– Dlaczego twój brat chciał cię zabić? – zapytałem, wiedząc, że wstępuję na grząski grunt. Przez wszystkie lata naszej przyjaźni nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego musiał opuścić rodzinną Irlandię.

– Przez kobietę. – Skrzywił się.

– Toś mnie zaskoczył – odparłem drwiąco.

– Jestem żonaty – ciągnął, ignorując moje słowa. – Z dobrą kobietą, była córką króla klanu Uí Néill, a ja byłem księciem swojego ludu. Mój brat też. Księżę Conall.

– Conall – powtórzyłem po chwili milczenia.

– W Irlandii jest mnóstwo drobnych królestw – powiedział posepnie, wpatrując się w wodę. – Drobnych królestw i wielkich królów, więc walczymy. Chryste, jak my kochamy walkę. Uí Néill oczywiście należy do najpotężniejszych klanów, przynajmniej na północy. Byliśmy jego wasalami. Złożyliśmy mu trybut. Walczyliśmy dla niego, kiedy tego zażądał, piliśmy z nim i żeniliśmy się z jego kobietami.

– I ty poślubiłeś jego kobietę? – zachęciłem go do dalszych zwierzeń.

– Conall jest młodszy ode mnie – snuł wątek Finan, nie zwracając uwagi na moje pytanie. – To ja powinienem zasiąść na tronie, ale on poznał pannę od Ó Domhnaillów. Boże drogi, ależ ona była piękna! Nie pochodziła z żadnego znacznego rodu. Nie była córką naczelnika klanu, lecz zwykłą młeczką. I była olśniewająca – opowiadał rzewnie, a oczy błyszczały mu od łez. – Miała włosy czarne jak noc i oczy niczym gwiazdy, a ciało pełne wdzięku jak anioł w locie.

– Jak miała na imię? – zapytałem.

Przyjaciel gwałtownie pokręcił głową, odmawiając odpowiedzi.

– Bóg sprawił, że się zakochaliśmy. Uciekliśmy razem. Wzięliśmy konie i pojechaliśmy na południe. Tylko żona Conalla i ja. Myśleliśmy, że uciekniemy, ukryjemy się i nikt nigdy nas nie znajdzie.

– I Conall ruszył za wami w pościg?

– Uí Néill wysłał za nami pościg. Bóg jeden wie, cóż to była za obława. Każdy chrześcijanin w Irlandii wiedział o nas, wiedział o złocie, które miał dostać za wydanie nas. Tak, Conall ścigał nas z tymi ludźmi.

Nic nie powiedziałem. Czekałem w milczeniu.

– W Irlandii nic się nie ukryje – ciągnął Finan. – Nie sposób się ukryć. Wszyscy cię obserwują. Choćbyś znalazł wyspę na jeziorze, będą wiedzieć, że tam jesteś. Wejdz na szczyt góry, a cię znajdą, znajdź grotę, a złapią cię w potrzask. Powinniśmy byli wziąć łódź, ale byliśmy młodzi. Nic nie wiedzieliśmy.

– Znaleźli was.

– Znaleźli, a Conall zapowiedział, że uczyni nasze życie gorszym od śmierci.

– Sprzedając was Sverriemu?

Sverri był handlarzem niewolników, który nas napiętnował.

Finan przytaknął.

– Obdarto mnie ze złota, wychłostano i kazano czołgać się w gównie, a później sprzedano Sverriemu. Jestem królem, którego nigdy nie było.

– A co z dziewczyną?

– Conall wziął moją żonę jak własną. Księża na to pozwolili, zachęcali go do tego, a moich synów wychował jako własnych. Przeklęli mnie, panie. Moi synowie mnie przeklęli. Ten – wskazał na zwłoki – przeklął mnie przed chwilą. Jestem obłożony klątwą zdrajcą.

– To twój syn? – zapytałem łagodnie.

– Nie powiedział. Może. Albo Conalla. W każdym razie moja krew.

Podszedłem do martwego mężczyzny, oparłem prawą stopę o jego brzuch i wyrwałem włócznię. Nie było to łatwe, a zwłoki wydały obrzydliwy odgłos ssania, kiedy wyszarpywałem szeroki grot. Na piersiach martwego znajdował się krwawy krzyż.

– Księża go pochowają – powiedziałem. – Odmówią modlitwy. – Cisnąłem włócznię na mieliznę i odwróciłem się do Finana. – Co stało się z dziewczyną?

Wpatrywał się pustym wzrokiem w rzekę pociemniałą od popiołów z naszych łodzi.

– Przez jeden dzień pozwolili wojownikom Uí Néill używać sobie z nią do woli. Zmusili mnie, żebym na to patrzył. A potem okazali łaskę, panie. Zabili ją.

– A twój brat posłał swoich ludzi, żeby wsparli Ragnalla?

– To Uí Néill posłał mu na pomoc wojowników. A mój brat nimi dowodzi.

– Czemuż mieliby to robić? – zapytałem.

– Bo dzięki temu ród Uí Néill będzie rządził całą Północą. Irlandią i Szkocją, całą Północą. Ragnall opanuje ziemie Sasów. Na tym polega ich porozumienie. On pomoże im, oni pomogą jemu.

– Zacznie od Northumbrii?

– Albo od Mercji – odparł Finan, wzruszając ramionami. – Ale na tym nie poprzestanie... bo chce wszystkiego.

To było odwieczne marzenie Norwegów, marzenie, które nękało mnie przez całe życie – marzenie o podbiciu całej Brytanii. Raz po raz próbowali je urzeczywistnić i byli bliscy celu, jednak my, Sasi, nadal żyliśmy i odzyskiwaliśmy straty, dzięki czemu połowa wyspy znów należała do nas.

A powinniśmy ulec! Norwegowie byli dzicy, przybywali pełni furii i wściekłości, ich wojska przyćmiewały ziemię. Mieli však jedną fatalną słabość. Byli jak psy, walczyli między sobą i tylko gdy jeden z nich okazał się silniejszy, potrafił warknąć, ugryźć i zmusić pozostałych do podporządkowania się jego rozkazom, ich najazd stawał się niebezpieczny. Jedna porażka prowadziła wszakże do rozproszenia ich wojsk. Wojownicy dopóty pozostawali wierni wodzowi, dopóki odnosili zwycięstwa, jeśli jednak okazał on słabość, opuszczali go tłumnie, żeby znaleźć inną, łatwiejszą do pokonania ofiarę.

Ragnall poprowadził wojska do Brytanii. Armię Norwegów, Duńczyków i Irlandczyków, co oznaczało, że zjednoczył naszych wrogów. Sprawił, że stali się niebezpieczni.

Chyba że nie udało mu się podporządkować sobie wszystkich psów.

Dowiedziałem się czegoś jeszcze od naszych jeńców. Sigtryggr, mój zięć, odmówił wypłynięcia z bratem. Pozostał w Irlandii. Beadwulf mógł uznać inaczej, kiedy dojrzał flagę z czerwonym toporem, zapewne pomyślał, że należy do niego, ale dwaj jeńcy potwierdzili, że bracia posługują się tym samym godłem. To była chorągiew ich zmarłego ojca, krwawoczerwony topór Ivara, jednakże topór Sigtryggra, przynajmniej chwilowo, odpoczywał. Topór Ragnalla wyciął krwawą dziurę w naszej obronie, ale mąż mojej córki nadal przebywał w Irlandii. Dotknąłem kościanego topora na szyi i poprosiłem bogów, żeby się stamtąd donikąd nie wybierał.

– Trzeba ruszać – powiedziałem do Finana.

Musieliśmy ściągnąć klęskę na Ragnalla.

Pomyślałem, że pojedziemy na wschód.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przyszli do mnie zakonnicy. Było ich czterech, a przewodzili nienawidzący mnie bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht. Znałem ich od dzieciństwa i nie miałem dla nich ani za grosz więcej sympatii niż oni dla mnie, przynajmniej jednak byłem teraz w stanie ich odróżnić od siebie. Jeszcze cztery lata temu nigdy nie wiedziałem, z którym bliźniakiem rozmawiam, byli do siebie podobni jak dwa jajka, ale nasza sprzeczka skończyła się tym, że wybiłem Ceolberhtowi zęby, teraz więc wiedziałem, że to ten z braci, który sepleni. I się ślini.

– Wrócisz przed Wielkanocą, panie? – zapytał.

Okazywał mi duży szacunek pewnie dlatego, że wciąż zostały mu ząb albo dwa i chciał je zachować.

– Nie – odpowiedziałem i popędziłem konia krok do przodu. – Godwinie! Zapakuj ryby do sakw!

– Tak, panie! – odkrzyknął.

Godwin, mój służący, razem z trzema innymi mężczyznami przetaczał beczki z magazynu w Ceasterze. Były wypełnione wędzonymi rybami, które ludzie próbowali umieścić w nosidłach z lin w taki sposób, żeby każdy koń juczny mógł przetransportować dwie baryłki. Godwin zmarszczył brwi.

– A mamy w ogóle sakwy, panie?

– W moim magazynie są dwadzieścia dwie sakwy z wełną. Poleć pacholce, żeby je opróżnił! – Obejrzałem się na ojca Ceolberhta. – Jeśli

dokładnie nie usuniemy węłny, kłaczki przykleją się do ryb, a później będą nam się zaczepiać o zęby. – Uśmiechnąłem się do zakonnika. – Oczywiście tym, którzy je mają.

– Ilu ludzi zostanie do obrony Ceasteru? – zapytał surowo brat szczerbatego mnicha.

– Osiemdziesięciu – odparłem.

– Osiemdziesięciu!

– Połowa z nich niedomaga – dodałem. – Będziecie więc mieli czterdziestu sprawnych ludzi, reszta to kaleki.

– Ależ to za mało! – zaprotestował.

– Oczywiście, że za mało – odburknąłem. – Ale potrzebuję wojsk, żeby wykończyć Ragnalla. Ceaster będzie musiał liczyć na szczęście.

– Jeśli jednak nadejdą poganie... – zauważył nerwowo ojciec Wissian.

– Poganie nie będą znali liczebności garnizonu – odrzekłem. – Będą natomiast wiedzieli, że warownia otoczona jest potężnymi murami. Pozostawienie w fortecy tak nielicznej załogi jest ryzykowne, ale ja podejmuję to ryzyko. Będziecie mieli wszystkich mężczyzn z fyrdu. Godwinie! Wykorzystaj te sakwy także do zapakowania chleba!

Wziąłem ze sobą ponad trzystu wojowników, zostawiając w grodzie załogę ledwie wystarczającą do obrony wałów Ceasteru i Brunanburha. Łatwo powiedzieć, że poprowadziłem trzystu ludzi, jakby wystarczyło dosiąść koni, wyjechać z Ceasteru i ruszyć na wschód, ale zorganizowanie wyjścia armii wymaga czasu. Trzeba było wziąć ze sobą własne zapasy. Mieliśmy jechać przez terytoria, gdzie można kupić jedzenie, ale nigdy wystarczająco dużo dla całego wojska. Norwegowie mogli rabować, co chcieli, my jednak musieliśmy płacić za żywność na własnych ziemiach. Dlatego kazałem obładować konia jucznego srebrnymi monetami, a dwóm strażnikom pilnować cennego ładunku. Nasza armia w rzeczywistości

liczyła znacznie więcej ludzi, bo wojownicy brali ze sobą służących i kobiety, których nie mogli zostawić, do tego należało doliczyć pachołków prowadzących zapasowe konie i konie juczne wiozące zbroje, broń, sakwy solonego mięsa, wędzonych ryb, sucharów i sera.

– Wiesz, co wydarza się w czasie Wielkanocy? – zapytał surowo Ceolnoth.

– Oczywiście, że wiem – odparłem. – Robimy dzieci.

– To najbardziej niedorzeczna... – zaczął Ceolberht, ale zmiłkł pod spojrzeniem brata.

– Wielkanoc jest moim ulubionym świętem – ciągnąłem radośnie. – Wtedy robi się dzieci.

– To jest najbardziej uroczysty i radosny dzień spośród chrześcijańskich świąt – pouczył mnie Ceolnoth. – Uroczysty, ponieważ wówczas wspominamy śmierć naszego Zbawiciela, a radosny z powodu jego zmartwychwstania.

– Amen – powiedział ojciec Wissian.

Wissian był kolejnym Mercjaninem, młodym mężczyzną z grzywą przedwcześnie posiwiałych włosów. Dostyc go lubiłem, ale był zastraszony przez bliźniaków. Za nim stał ślepy, uśmiechnięty ojciec Kutbert. Słyszał już nieraz kłótnię na ten temat i dobrze się bawił. Popatrzyłem wilkiem na mnichów.

– Dlaczego to święto wypada wiosną?

– Oczywiście dlatego, że wówczas umarł i zmartwychwstał nasz Pan – odparł Ceolnoth.

– Brednie opowiadasz – rzuciłem. – Dlatego, że wtedy przypada święto Eostre, i dobrze o tym wiecie.

– To nie... – zaczął z oburzeniem Ceolnoth.

– Eostre! – przerwałem mu. – Bogini wiosny! Bogini płodzenia dzieci! Wy, chrześcijanie, ukradliście jej święto!

– Nie zwracajcie na niego uwagi – powiedział Ceolnoth, wiedział jednak, że mam rację.

Eostre jest boginią wiosny, radosną boginią, a to oznacza, że wiele dzieci rodzi się w styczniu. Chrześcijanie oczywiście próbują powstrzymać tę wesołość, twierdzą, że Wielkanoc przypada na czas zmartwychwstania Chrystusa, ale jak zwykle, opowiadają głupstwa. To jest święto Eostre i mimo wszystkich kazań, w których klechy głoszą, że jest to uroczysty i święty dzień, większość ludzi nie zapomniała o swoich powinnościach wobec Eostre, a dzieci uparcie przychodzą na świat każdej zimy. Mieszkam w Ceasterze od trzech lat i zawsze nalegałem, żeby podczas jarmarku celebrować święto bogini. W tym czasie odbywały się pokazy chodzenia po rozżarzonych węglach, występowali żonglerzy, muzycy, akrobaci, organizowano zawody zapaśnicze i wyścigi konne. Rozstawiano kramy, na których sprzedawano wszystko, od glinianych naczyń po ozdoby. Odbywały się także tańce. Księża nie popierali zabaw tanecznych, ale lud i tak tańczył, a to zapewniało pojawianie się dzieci na czas.

W tym roku miało jednak być inaczej. Chrześcijanie postanowili utworzyć biskupstwo Ceasteru i zaplanowali tę uroczystość na Wielkanoc. Nowy biskup nazywał się Leofstan, nigdy go nie poznałem i prawie nic o nim nie wiedziałem z wyjątkiem tego, że pochodził z Wessexu i że przesadnie sławiono jego pobożność. Powiedziano mi, że był uczonym, miał żonę, ale od kiedy został mianowany na biskupa, przysięgł pościć trzy dni w tygodniu i zachowywać celibat. Ślepy ojciec Kutbert przepadał za tego rodzaju bzdurami i doniósł mi o przysiędze złożonej przez biskupa, wiedząc, że to mnie rozbawi.

– Przysięgł zrezygnować z uciech małżeńskich, panie.



– Może jego żona jest stara i brzydka?

– Mówi się, że jest urodziwa – odparł z powątpiewaniem Kutbert. – Biskup miał jednak powiedzieć, że nasz Zbawiciel oddał za nas życie, więc możemy przynajmniej zrezygnować dla Niego z przyjemności cielesnych.

– Ten człowiek jest durniem.

– Nie mogę się z tobą zgodzić – powiedział chytrze. – Ale tak, panie, Leofstan jest durniem.

To właśnie wyświęcenie tego durnia sprowadziło Ceolnotha i Ceolberhta do Ceasteru. Zajmowali się organizacją uroczystości, na którą zaprosili opatów, biskupów i księży z całej Mercji, z Wessexu, a nawet z kraju Franków.

– Musimy zapewnić gościom bezpieczeństwo – nalegał teraz Ceolnoth. – Obiecaliśmy, że miasto będzie chronione przed atakiem. Osiemdziesięciu ludzi nie wystarczy – rzekł lekceważąco.

Udałem, że mnie to martwi.

– Obawiasz się, że nadejdą Duńczycy i wybiją wszystkich przybyłych duchownych?

– Oczywiście, że tak – odparł, a potem zauważył mój uśmiech, co jeszcze bardziej go rozsierdziło. – Potrzebujemy pięciuset wojowników! Może zjawi się król Edward. Z pewnością przyjedzie pani Aethelflaed.

– Nie przyjedzie – zaprzeczyłem. – Będzie ze mną walczyć z Ragnallem. Jeśli nadejdą Norwegowie, najlepiej zrobisz, jeśli będziesz po prostu się modlił. Twój bóg ponoć czyni cuda, czyż nie?

Wiedziałem, że Aethelflaed ruszy na północ, gdy tylko moi posłańcy dotrą do Gleawecestre. Ci sami posłańcy mieli zamówić nowe łodzie u skutników w Saefern. Wolałbym kupić łodzie w Londynie, gdzie zatrudnia się do ich budowy Fryzów, na razie postanowiłem jednak, że kupimy trzy statki w Saefern.

– Powiedzcie im, że chcę najmniejsze łodzie, jakie mają – przykazałem posłom. – Nie więcej niż trzydzieści wiosł po każdej stronie.

Szkutnicy z Saefern budują ciężkie łodzie, szerokie i głębokie. Są one w stanie pokonać wzburzone morze do Irlandii, ale nie sprawdziłyby się na płytkiej rzece. Nie spieszyło mi się. Ludzie potrafiący żeglować takimi łodziami jechali ze mną na wschód. Rozkazałem Raedwaldowi, by pod naszą nieobecność rozpoczął odbudowę przystani. Wiedziałem, że wykona to zadanie dobrze, choć powoli.

Posłałem swojego syna przodem z pięćdziesięcioma ludźmi, wszyscy dosiedli lekkich, szybkich koni. Wyruszyli w drogę dzień przed nami, mieli ścigać wojska nieprzyjaciela, atakować oddziały poszukujące żywności i zacząć się na ich zwiadowców. Beadwulf już ruszył w pościg za wojownikami Ragnalla, ale jego zadanie polegało tylko na poinformowaniu mnie, w którym miejscu wroga armia przybiła do brzegu. Norwegowie nie mogli zbyt się oddalić, bo rzeka po kilku milach przestawała być żeglowna. Znalazszy się na brzegu, wojska Ragnalla zapewne rozproszyły się w poszukiwaniu wierzchowców, żywności i niewolników. Mój syn miał spowalniać ich pochód, nękać ich i – jeśli nie brakowało mu oleju w głowie – unikać większych bitew.

– A co, jeśli Ragnall pojechał na północ? – zapytał Finan.

– Przykazałem Uhtredowi, żeby nie opuszczał ziemi Sasów – odparłem.

Wiedziałem, o co pyta przyjaciel. Jeżeli Ragnall zdecydował się ruszyć na północ, wkroczy do Northumbrii, na ziemie opanowane przez Duńczyków, a jeśli mój syn i jego oddział podążą za nim, nasze wojska znajdą się na ziemi wroga, który będzie miał przewagę liczebną i bez trudu je okrąży.

– Myślisz, że cię posłucha?

– Nie jest głupcem.

– Przypomina ciebie – zauważył Finan z półuśmiechem.

– Co masz na myśli?

– Że przypomina ciebie, więc czy ci się to podoba czy nie, będzie ścigał Ragnalla przez pół drogi do Szkocji, zanim pójdzie po rozum do głowy. – Przerwał, żeby zacisnąć popręg u siodła. – Poza tym skąd będzie wiedział, kiedy kończy się Mercja, a zaczyna Northumbria?

– Będzie ostrożny – odparłem.

– Lepiej, żeby tak było, panie. – Włożył stopę w strzemię i podciągnął się na siodło. Siadł na koniu, chwycił cugle i odwrócił się, żeby popatrzeć na czterech mnichów.

Rozmawiali z pochylonymi głowami, gestykulując.

– Czego oni chcą?

– Żebym zostawił tu wojsko i zapewnił bezpieczeństwo ich cholernym biskupom.

Finan uśmiechnął się szyderczo, usłyszawszy moje wyjaśnienie, po czym odwrócił się i zapatrzył na północ.

– Życie jest do dupy, nie? – rzekł z goryczą.

Nic nie odpowiedziałem, obserwowałem tylko, jak mój przyjaciel poluzowuje w pochwie miecz, Złodzieja Dusz. Wcześniej pogrzebał swego syna, albo bratanka, nad brzegiem rzeki. Osobiście wykopał grób i oznaczył go kamieniem.

– Rodzina – powiedział z goryczą. – A teraz jedźmy już zabijać tych łajdaków.

Podciągnąłem się na siodle. Słońce już wzeszło, ale na wschodzie nadal okrywał je całun szarych chmur. Od Morza Irlandzkiego wiał zimny wiatr. Ludzie dosiadali wierzchowców, konie juczne obładowywano ostatnimi włóczniami, kiedy na północnej bramie zabrzmiał róg. Strażnicy grali na alarm tylko wówczas, gdy dostrzegli coś godnego mojej uwagi,

skierowałem więc wierzchowca w górę głównej ulicy, a moi ludzie – myśląc, że ruszamy – podążyli za mną. Róg zabrzmiał ponownie, gdy galopem mijałem wielki dwór w Ceasterze, a potem trzeci raz, kiedy zeskoczyłem z siodła i wspinałem się po kamiennych schodach prowadzących na mury nad bramą.

W stronę warowni przez rzymskie cmentarzysko pędziło kilkudziesięciu jeźdźców. Rozpoznałem siwego ogiera swojego syna, a potem dostrzegłem, że towarzyszy mu Beadwulf. Zatrzymali się tuż przed fosą. Uhtred spojrzał w górę.

– Są w Eads Byrig! – zawołał.

– Tych drani jest z tysiąc – dodał Beadwulf.

Odruchowo spojrzałem na wschód, choć wiedziałem, że Eads Byrig nie jest widoczne z bramy. Znajdowało się jednak nieopodal. Leżało nie dalej na wschód od Ceasteru niż Brunanburh na zachodzie.

– Okopują się! – krzyknął mój syn.

– Co się dzieje? – Finan dołączył do mnie na murach.

– Ragnall nie poszedł ani na północ – odpowiedziałem – ani na południe.

– A zatem dokąd się udał?

– Jest tu – odparłem, nadal patrząc na wschód. – Nadchodzi.

Do Ceasteru.

Eads Byrig leży na niskiej grani biegnącej z północy na południe. Wzgórze jest po prostu wyższym odcinkiem tego grzbietu. To porośnięty trawą garb wyniesiony niczym wyspa ponad dębami i jaworami, które gęsto porastają jego podstawę. Zbocza pagórka są łagodne i byłyby łatwe do pokonania, gdyby lud zamieszkujący Brytanię długo przed moimi

przodkami, a nawet przed przybyciem Rzymian nie otoczył wzgórza wałami i fosami. Nie są to kamienne mury, jakie Rzymianie wznieśli w Londynie i Ceasterze, ani drewniana palisada, jakie my budujemy, lecz obwarowania ziemne. Ci ludzie wykopali głęboką fosę wokół wydłużonego grzbietu wzgórze, z pozyskanej ziemi utworzyli w rowie stromy nasyp, a następnie wewnątrz tego okręgu wykopali drugą fosę i wznieśli kolejny wał. Choć w ciągu lat ulewne deszcze stopniowo niszczyły wały i wypełniały rowy ziemią, te fortyfikacje nadal są imponujące. Wzgórze nazywane jest grodem Eada. Zapewne kiedyś to miejsce zamieszkiwał jakiś Sas imieniem Ead, który wykorzystywał te wały do obrony swoich stad i rodziny. Gród jednak jest znacznie starszy, niż sugeruje jego nazwa. Podobne porośnięte trawą warownie na pagórkach rozsiane są po całej Brytanii, stanowiąc dowód, że ludzie walczyli o te ziemie, odkąd je zamieszkali, i czasem zastanawiam się, czy za tysiąc lat nadal będą wznosić mury i wystawiać nocne strażę, by wypatrywały wrogów o świcie.

Niełatwo dotrzeć do grodu Eada. Otacza go gęsty las, a wśród drzew prosto zastawić pułapkę. Wojownikom mojego syna udało się zbliżyć do grani, zanim przeważające siły Ragnalla zmusiły ich do odwrotu. Wycofali się na otwarte łąki na zachód od lasu, gdzie zastałem ich podczas obserwowania wrogów zza drzew.

– Pogłębiają fosy. – Tymi słowami powitał mnie jeden z ludzi Beadwulfa. – Widzieliśmy, że łajdaki machają szpadlami, panie.

– Ścinają też drzewa, panie – dodał Beadwulf.

Słyszałem odgłosy uderzeń siekier. Z daleka dochodził nas dźwięk przytłumiony przez wiosenne listowie.

– On wznosi burh – powiedziałem.

Oddziały Ragnalla zamierzały pogłębić stare fosy, usypać wały ziemne i zwieńczyć je drewnianą palisadą.

– Gdzie zakotwiczyły statki? – zapytałem Beadwulfa.

– Przy pułapkach na ryby, panie. – Skinął w kierunku północnym na miejsce, które miał na myśli, chwilę później się odwrócił, gdy dobiegł nas odległy trzask upadającego drzewa. – Wylądowali tam znacznie wcześniej. Mieli sporo czasu, żeby wyciągnąć łodzie z błota.

– Ich flota nadal tam stacjonuje?

– Rano łodzie jeszcze tam były – odparł, wzruszając ramionami.

– Z pewnością strzegą statków – ostrzegł mnie Finan. Podejrzewał, że zastanawiam się nad zaatakowaniem i spaleniem floty Ragnalla, ale to była ostatnia rzecz, o której myślałem.

– Wolałbym, żeby wrócili do Irlandii – wyjaśniłem. – Zostawimy więc w spokoju ich łodzie. Nie chcę pozbawić łajdaków możliwości odwrotu. – Skrzywiłem się. – Wygląda na to, że klechy dostaną to, czego chciały.

– Czyli? – zapytał mój syn.

– Jeśli Ragnall tu zostanie... – odrzekłem – my też nie będziemy mogli się stąd ruszyć.

Myślałem, że poprowadzę swoich trzystu ludzi na wschód, do Liccelfeld, na spotkanie wojsk, które Aethelflaed wysłała z Gleawecestre, skoro jednak Ragnall zamierzał zostać w Eads Byrig, byłem zmuszony bronić Ceasteru. Zawróciłem wszystkie konie juczne do miasta i wysłałem na południe kolejnych posłańców, żeby posłki zawróciły z drogi do Liccelfeld i ruszyły do warowni. A potem czekałem.

Czekałem na Aethelflaed i jej armię. Miałem trzystu wojowników, a siły Ragnalla liczyły ponad tysiąc ludzi. I każdego dnia dołączali do niego kolejni. Była to frustrująca i irytująca świadomość. Garnizon w Brunanburhu mógł tylko obserwować, jak łodzie o dziobach w kształcie smoków płyną w górę Maerse. Pierwszego dnia pojawiły się dwie łodzie, drugiego – trzy, i z każdym kolejnym dniem ich przybywało. Jednostki te

były ciężkie od wojowników pochodzących z najodleglejszych wysp Ragnalla. Inni nadciągali lądem z duńskich osad w Northumbrii, zwabieni do Eads Byrig obietnicami zdobycia saskiego srebra, saskiej ziemi i saskich niewolników. Wojska wroga stawały się coraz liczniejsze, a ja nic nie mogłem zrobić.

Jego siły co najmniej trzykrotnie przewyższały moje, a żeby go zaatakować, musiałbym wprowadzić ludzi do lasu otaczającego Eads Byrig, który stał się śmiertelnością pułapką. Na południe od wzgórza biegła stara rzymska droga, ale drzewa zarosły trakt i gdybyśmy znaleźli się między listowiem, nie dojrzelibyśmy nic na odległość większą niż trzydzieści–czterdzieści kroków. Wysłałem do lasu oddział zwiadowców – wróciło tylko trzech z czterech tworzących go ludzi. Czwarty zginął, a jego ciało wyrzucono na łąkę. Mój syn chciał wziąć wszystkich naszych ludzi i ruszyć do lasu w poszukiwaniu przeciwnika.

– I co byś dzięki temu osiągnął? – zapytałem.

– Muszą mieć strażników pilnujących ich floty i robotników wznoszących obwałowania.

– I co z tego?

– Nie musielibyśmy walczyć ze wszystkimi jego ludźmi. Tylko z jakąś połową.

– Jesteś durniem – odparłem. – Ragnall chce, żebyśmy to zrobili.

– Zamierza zaatakować Ceaster – upierał się Uhtred.

– Nie, to ja chcę, żeby to zrobił.

Na tym właśnie polegała pułapka, w której obaj się znaleźliśmy. Ragnall miał wprawdzie przewagę liczebną, nie był jednak skory do przeprowadzenia szturm na warownię. Jego młodszy brat podczas wcześniejszej próby zdobycia miasta stracił prawe oko i większą część swoich wojsk. Ceaster jest potężnie obwarowany. Ludzie Ragnalla

musieliby pokonać wypełnioną wodą głęboką fosę, najeżoną wiązowymi palami, a następnie pod gradem włóczni, toporów, kamieni oraz w deszczu wylewanych z kubłów nieczystości wspiąć się na mury dwukrotnie wyższe od człowieka. Poniósłby klęskę. Jego ludzie zginęliby pod naszymi murami. Chciałem, żeby podszedł pod miasto i zaatakował nasze fortyfikacje, chciałem uśmiercić jego wojowników pod naszymi bramami i on to wiedział – dlatego właśnie trzymał się z dala od warowni.

My jednak również nie mogliśmy szturmować. Nawet gdyby udało mi się szczęśliwie przeprowadzić przez las wszystkich sprawnych mężczyzn, później musielibyśmy pokonać głęboką fosę i wspiąć się na wał ziemny, na którym wznoszono nową palisadę. Norwegowie i Irlandczycy Ragnalla mieli nad nami liczebną przewagę, doszłoby do ogromnej rzezi, o której ich bardowie ułożyliby triumfalną pieśń wojenną. Jaki nosiłaby tytuł? *Pieśń o Ragnallu Niepokonanym*? Opowiadałaby o ciosach mieczy, umierających wrogach, fosie wypełnionej krwią i Uhtredzie, wielkim Uhtredzie pokonanym w blasku bitewnej chwały. Ragnall pragnął tej pieśni, chciał, żebym go zaatakował, a ja wiedziałem, że on tego chce – i właśnie dlatego nie miałem zamiaru wyświadczać mu tej przysługi. Czekałem.

Mimo wszystko nie próżnowaliśmy. Kazałem swoim ludziom wbić nowe zastrzone pale w fosę otaczającą Ceaster, innej grupie pojechać na południe i wschód, żeby powołać fyrd – pospolite ruszenie rolników i wolnych ludzi, którzy zaludniają burh, nawet jeśli nie są w stanie walczyć z Norwegami na polu bitwy, stając w murze tarcz. Codziennie wysyłałem konnych wojowników, żeby objeżdżali Eads Byrig. Jechali daleko na południe do lasu, a następnie skręcali na północ. Trzeciego dnia ja dowodziłem patrolem, w tym samym czasie kolejne cztery łodzie pojawiły się na Maerse, a każda wiozła co najmniej czterdziestu wojowników.



Mieliśmy na sobie kolczugi i byliśmy uzbrojeni, ale nie wzięliśmy ciężkich tarcz. Ja założyłem stary, zardzewiały pancerz kolczy i pozbawiony ozdób hełm. Miałem ze sobą Oddech Węża, ale zostawiłem chorążego w Ceasterze, nie wyruszyłem w pełnym rynsztunku wojennym, bo nie zamierzałem wdawać się w bitwę. Przeprowadzaliśmy zwiad, wypatrywaliśmy poszukujących posiłków oddziałów Ragnalla i jego patroli zwiadowczych. Zastanawiające było, że nie wysłał do Ceasteru swoich ludzi. Zadawałem więc sobie pytanie, czym się zajmował.

Przekroczyliśmy grań cztery czy pięć mil na południe od wzgórza Ragnalla. Znalazszy się na niższym grzbiecie, skierowałem konia na szczyt mniejszego pagórka, z którego przez chwilę obserwowałem północ, nie zdołałem jednak nic dojrzeć z tego, co działo się na odległym wzniesieniu. Wiedziałem, że Norwegowie wznoszą palisadę, wbijają dębowe pnie w wał ziemny i – o czym Ragnall z pewnością też wiedział – nie miałem zamiaru marnować życia swoich wojowników na atakowanie grodu. Na co więc liczył? Że jestem głupcem, stracę cierpliwość i mimo wszystko zaatakuję?

– Panie.

Sihtric przerwał tok moich myśli. Wskazywał na północ, gdzie w odległości jakiejś mili dojrzałem kilkunastu jeźdźców. Dalej zauważyłem kolejnych, było ich może z dwudziestu. Wszyscy podążali na wschód.

– A zatem znaleźli wierzchowce – zauważyłem.

Z tego, co udało nam się zaobserwować i co powiedzieli nam jeńcy, wynikało, że Norwegowie przywieźli na statkach bardzo niewiele koni, ale oddział poszukujący żywności, za który wzięłem jeźdźców, świadczył o tym, że udało im się zdobyć kilka wierzchowców. Dzięki koniom byli w stanie podróżować dalej w głąb lądu i pozyskać kolejne zwierzęta, choć ludność dowiedziała się już o obecności nieprzyjaciół. W okolicy znajdowało się niewiele osiedli, ponieważ było to terytorium nadgraniczne,

nienależące ani do Duńczyków z Northumbrii, ani do Sasów z Wessexu i ludzie zamieszkujący te obszary zdążyli opuścić domostwa i przegnać stada do najbliższego burhu. Ziemię tę opanował teraz strach.

Ruszyliśmy na wschód, zjechaliśmy z grani na porośnięty lasem teren i podążyliśmy zarośniętą ścieżką wydeptaną przez poganiaczy bydła i ich zwierzęta. Nie posłałem zwiadowców przodem, zakładając, że wojownicy Ragnalla nie mają dostatecznie dużo wierzchowców, żeby wysłać oddział będący w stanie stawić nam czoło, a poza tym nie dostrzegaliśmy ani śladu wroga, kiedy skręciliśmy na północ i wjechaliśmy na łąkę, gdzie wcześniej dostrzegaliśmy jeźdźców.

– Schodzą nam z drogi – zauważył zawiedzionym tonem Sihtric.

– A ty byś nie schodził?

– Im więcej nas zabiją, panie, tym mniej zostanie, żeby bronić murów Ceasteru.

Zignorowałem tę niemądrą odpowiedź. Ragnall nie miał zamiaru tracić ludzi pod murami Ceasteru, w każdym razie jeszcze nie teraz. Co zatem zamierzał? Zdziwiony obejrzałem się do tyłu. Ranek był suchy, a przynajmniej nie padało, choć w powietrzu wyczuwało się wilgoć, wiatr był chłodny. W nocy spadł jednak ulewny deszcz i ziemia nasiąkła wodą, a mimo to nie zauważyłem śladów podków na ścieżce. Jeśli Ragnall chciał zdobyć konie i żywność, musiał znaleźć zasobniejsze osady na wschodzie, w głębi Mercji. A jednak wydawało się, że jego ludzie nie jechali tą drogą. Może nie zauważyłem jakiejś ścieżki, nie chciało mi się jednak wierzyć, bym przeoczył coś równie oczywistego. A Ragnall nie był głupcem. Wiedział, że nasze posiłki przybędą z południa, wydawało się jednak, że nie posłał zwiadowców, aby donieśli mu o nadejściu nowych wrogich oddziałów.

Pytanie brzmiało: dlaczego?

Ponieważ, odpowiedziałem sobie w duchu, nie dbał o nasze posiłki. Spojrzałem na północ, ale nie zobaczyłem nic prócz gęstego lasu oraz podmokłych pól i zacząłem się zastanawiać, co Ragnall dotychczas osiągnął. Puścił z dymem naszą niewielką flotę, co oznaczało, że nie byliśmy w stanie przekroczyć Maerse, o ile nie pojedziemy dalej na wschód, żeby znaleźć niestrzeżony bród. Buduje warownię na Eads Byrig, niemal niemożliwym do zdobycia wzgórzu, o ile nie będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi, żeby pokonać jego wojska. Istniał tylko jeden powód, żeby fortyfikować Eads Byrig – zagrozić Ceasterowi. Ragnall nie wysłał jednak patroli do miasta ani nie próbował zatrzymać zmierzających nam na pomoc posiłków.

– Czy na Eads Byrig jest woda? – zapytałem Sihtrica.

– Na południowy wschód od wzgórza bije źródło – odparł z powątpiewaniem w głosie. – Ale to strużka, panie. Zbyt mała dla całej armii.

– Nie jest wystarczająco silny, żeby zaatakować Ceaster – powiedziałem, myśląc na głos. – Wie też, że nie będziemy narażać życia naszych wojowników pod wałami Eads Byrig.

– On po prostu chce bitwy! – rzucił lekceważąco Sihtric.

– Nie – odparłem. – Nie chce. Przynajmniej nie z nami. – Wpadłem na pewien pomysł. Nie mogłem opowiedzieć o nim na głos, bo jeszcze nie ułożyłem go sobie w głowie, ale domyślałem się, do czego zmierza Ragnall. Zajęcie Eads Byrig było podstępem, pomyślałem, a wroga nie ma, na razie. On się pojawi, ale jeszcze go nie ma. Odwróciłem się do Sihtrica. – Jedź z ludźmi do Ceasteru – rozkazałem. – Wracajcie tą samą ścieżką, którą tu przybyliśmy. Niech ci łajdacy was zobaczą. I powiedz Finanowi, żeby jutro rano poprowadził patrol na granicę lasu.

– Panie?

– Powiedz mu, że ma to być duży oddział! Co najmniej stu pięćdziesięciu ludzi! Niech Ragnall ich zobaczy! Powiedz mu, żeby spatrolowali obszar od drogi do rzeki, niech Ragnall myśli, że planujemy atak od zachodu.

– Atak od... – zaczął

– Po prostu zrób, co mówię – warknąłem. – Bergu! Pojedziesz ze mną.

Ragnall uniemożliwił nam przekroczenie rzeki i zmusił nas do skoncentrowania całej uwagi na Eads Byrig. Udawał, że działa ostrożnie, budując potężną fortecę i celowo nie prowokując nas do wysłania oddziałów bojowych na południe. A jednak to, co wiedziałem na jego temat, sugerowało, że można o nim powiedzieć wszystko prócz tego, że cechuje go ostrożność. Jest wojownikiem. Szybko się przemieszcza, naciera z siłą i nazywa siebie królem. Jest rozdawcą złota, panem, protektorem wojowników. Ludzie będą podążali za nim do czasu, aż jego miecze i włócznie będą zdobywały jeńców i przejmowały gospodarstwa, a przecież nikt się nie wzbogaca, budując warownię w lesie i zachęcając wroga do ataku.

– Przekaż Finanowi, że wrócę jutro albo pojutrze – powiedziałem Sihtricowi, a później skinąłem na Berga i pojechałem na wschód. – Jutro albo pojutrze! – krzyknąłem jeszcze za Sihtrikiem.

Berg Skallagrimmrson był Norwegiem, który złożył mi przysięgę wierności i udowodnił lojalność wobec mnie w ciągu trzech lat, które upłynęły od czasu, kiedy darowałem mu życie na plaży w Walii. Mógł w każdej chwili pojechać na północ do królestwa Northumbrii i przyłączyć się do Duńczyków albo swoich rodaków, którzy z radością powitaliby młodego, silnego wojownika. Berg jednak pozostał mi wierny. Był to młody mężczyzna o szczupłej twarzy i niebieskich oczach, poważny i uprzejmy. Nosił długie włosy na modłę norweską i przekonał córkę

Sihtrica, żeby na lewym policzku igłą maczaną w soku z dębianki zrobiła mu tatuaż.

– Co to jest? – zapytałem, kiedy blizna nadal się goiła.

– Głowa wilka, panie! – odparł oburzonym tonem.

Głowa wilka była moim godłem, a poprzez ten tatuaż on okazywał mi lojalność, ale nawet kiedy blizna się zagoiła, rysunek nadal bardziej przypominał niewyraźny łeb wieprza.

Teraz jechaliśmy na wschód. Nie obawiałem się żadnego oddziału wroga, ponieważ podejrzewałem, do czego dąży Ragnall, i to przeczucie właśnie kazało nam nie zatrzymywać się aż do popołudnia, kiedy skręciliśmy na północ i podążyliśmy rzymską drogą prowadzącą do Northumbrii. Nadal byliśmy daleko na wschód od Eads Byrig, ale kiedy popołudnie zaczęło zmieniać się w wieczór, wjechaliśmy na niskie wzgórze i ujrzałem miejsce, w którym most pozwalał pokonać rzekę, a za nim mężczyźni w kolczugach zgromadzeni wokół dwóch chat wzniesionych na północnym brzegu Maerse. Byli uzbrojeni we włócznie.

– Ilu ich jest? – zapytałem Berga, który miał młodsze oczy ode mnie.

– Co najmniej czterdziestu, panie.

– Nie chce, żebyśmy przeszli na drugi brzeg rzeki, co? – stwierdziłem. – A to oznacza, że musimy się tam przeprawić.

Jechaliśmy godzinę na wschód, wypatrując wrogów, a kiedy zapadł zmierzch, skręciliśmy na północ i dotarliśmy do miejsca, gdzie Maerse wiała się między pastwiskami.

– Czy twój koń potrafi pływać? – zapytałem.

– Cóż, przekonamy się, panie.

Rzeka miała tu szerokość co najmniej pięćdziesięciu kroków, a jej brzegi były muliste i strome. Toczyła mętłą wodę, ale miałem przeczucie, że jest głęboka, więc zamiast ryzykować splawianie koni, pojechaliśmy

w górę nurtu, gdzie odkryliśmy miejsce, w którym błotnista droga prowadziła z południa do brzegu, a druga biegła w górę północnego nadbrzeża, wskazując, że znajduje się tu bród. Z pewnością nie było to główne skrzyżowanie traktów, a raczej odkryte przez rolników miejsce przeprawy, przez którą przeganiali swoje stada. Podejrzewałem, że zwykle poziom wody jest niższy. Rzeka wezbrała pod wpływem deszczu.

– Musimy przedostać się na drugą stronę – powiedziałem i popędziłem konia do wody.

Rzeka sięgała mi butów, potem wyżej, czułem, że wierzchowiec walczy z prądem. Raz się pośliznął, a ja przechyliłem się na bok, myśląc, że wpadnę do wody, ale mój ogier jakimś cudem znalazł oparcie i ruszył do przodu, bardziej pod wpływem strachu niż mojego ponaglania. Berg jechał za mną, po czym spiął ostrogami rumaka, tak że mnie minął i przede mną dotarł do lądu. Jego koń wyskoczył na odległy brzeg, wzbijając fontannę wody i błota.

– Nie znoszę przekraczania rzek wpływ – burknąłem, dołączywszy do niego.

Dotarliśmy do jesionowego zagajnika w odległości mili od rzeki i tam spędziliśmy noc. Uwiązaliśmy wierzchowce, a sami próbowaliśmy zasnąć. Młody Berg spał jak zabity, ale ja większość nocy czuwałem, nasłuchując wiatru w liściach. Nie ośmieliłem się rozpaścić ogniska. Ta ziemia, podobnie jak terytoria na południe od Maerse, sprawiała wrażenie wyludnionej, ale nie mogliśmy mieć pewności, że wrogów nie ma w pobliżu, dlatego trząśłem się z zimna w ciemnościach. O świcie zasnąłem niespokojnym snem, a kiedy się obudziłem, ujrzałem Berga staranie przecinającego bochenek chleba na dwa kawałki.

– To dla ciebie, panie – powiedział, podnosząc większą część.

Wziąłem mniejszy kawałek, a później cały obolały wstałem. Podszedłem do granicy lasu i spojrzałem na otaczającą nas szarość. Szare niebo, szara ziemia. Szara mgła. Szare światło. Usłyszałem za sobą Berga.

– Czy mam osiodłać konie, panie? – zapytał.

– Jeszcze nie.

Podszedł i stanął obok mnie.

– Gdzie my jesteśmy, panie?

– W Northumbrii. Wszystkie obszary na północ od Maerse to Northumbria.

– Twoja ojczyzna, panie.

– Moja ojczyzna – zgodziłem się.

Urodziłem się w Northumbrii i miałem nadzieję tam umrzeć, choć przyszedłem na świat na wschodnim wybrzeżu, z dala od spowitych mgłą pól leżących nad Maerse. Pochodziłem z Bebbanburga, warowni nad morzem, którą podstępnie odebrał mi stryj, i chociaż Aelfric dawno już nie żył, gród znajdował się w posiadaniu jego syna. Pewnego dnia – obiecałem to sobie – zabiję kuzyna i odzyskam swoje dziedzictwo. Przysięgę tę powtarzałem codziennie przez całe życie.

Berg spojrzał w szarą, wilgotną mgłę.

– Kto rządzi tymi ziemiami? – zapytał.

Uśmiechnąłem się półgębkiem, słysząc jego pytanie.

– Powiedz, słyszałeś o Sygfrothyrze?

– Nie, panie.

– Kanucie Jednorękiem?

– Nie, panie.

– Halfdanie Othirsonie?

– Nie, panie.

– Eowelsie Niezłomnym?

– Nie, panie.

– Eowels nie był taki niezłomny... – powiedziałem drwiąco – bo zabił go Ingver Jasny Miecz. Słyszałeś o Ingverze?

– Nie, panie.

– Sygfrothyr, Kanut, Halfdan, Eowels i Ingver – powtórzyłem imiona. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat wszyscy oni obwołali się królami Jorviku. Tylko Ingver żyje do dzisiaj. Wiesz, gdzie leży Jorvik?

– Na północy, panie. To jest miasto.

– Niegdyś to było potężne miasto – powiedziałem posępnie. – Wzniesli je Rzymianie.

– Jak Ceaster? – zapytał poważnie.

Berg niewiele wiedział o Brytanii. Wcześniej służył Rognvaldowi, Norwegowi, który zginął w masakrze na walijskiej plaży. Od tamtej pory był moim człowiekiem, mieszkał w Ceasterze i walczył ze złodziejami bydła przybywającymi z Northumbrii i królestw walijskich. Chętnie jednak się uczył.

– Jorvik przypomina Ceaster – odparłem. – I podobnie jak w przypadku Ceasteru jego siła bierze się z jego obwarowań. Strzeże rzeki, ale człowiek rządzący tym miastem może uważać się za władcę całej Northumbrii. Ingver Jasny Miecz jest królem Jorviku, ale sam tytułuje się królem Northumbrii.

– I nim jest? – zapytał Berg.

– Tak twierdzi, ale prawdę mówiąc, jest tylko naczelnikiem Jorviku. Nikt jednak nie może nazywać się królem Northumbrii, dopóki on włada tym miastem.

– Czyli nie jest zbyt potężny?



– Mury Eoferwicu są potężne – odparłem, używając saskiej nazwy Jorviku. – Są potężne i imponujące. Mój ojciec zginął podczas szturm na nie. A miasto leży w żyznej krainie. Człowiek, który rządzi Eoferwikiem, może być rozdawcą złota, kupować lojalność ludzi, rozdawać posiadłości, hodować konie, dowodzić armią.

– I to robi król Ingver?

– Ingver nie potrafiłby nawet rozkazać psu, żeby sikał – zakpiłem. – Ma może dwustu wojowników. A poza murami? Nie ma nic. Poza murami władzę sprawują inni i któregoś dnia jeden z tych ludzi zabije Ingvera, tak samo jak on zgładził Eowelsa. Wtedy jego zabójca obwoła się królem. Sygfrothyr, Kanut, Halfdan i Eowels też ogłosili się królami i też zostali zamordowani przez rywala. Northumbria nie jest królestwem, jest kłębowiskiem żmij.

– Zupełnie jak Irlandia – zauważył Berg.

– Jak Irlandia?

– Kraj drobnych królestw – odparł. Zmarszczył na moment brwi. – Czasem któryś panujący obwołuje się władcą zwierzchnim. I może nim jest. Mimo to istnieją drobne państewka, a ich królowie walczą ze sobą jak psy. Może się wydawać, że te psy łatwo wybić. Co się jednak dzieje, kiedy się je zaatakują? Jednoczą się.

– W Northumbrii nie ma władcy zwierzchniego. Jeszcze nie – odrzekłem.

– A będzie?

– Ragnall.

– Aha – powiedział ze zrozumieniem. – Pewnego dnia musimy więc zająć te ziemie?

– Pewnego dnia – odparłem.

Chciałem, żeby dzień ten nastął jak najszybciej, ale Aethelflaed, która rządziła Mercją, nalegała, by najpierw wyprzeć Duńczyków z jej kraju. Chciała przywrócić dawne granice Mercji, dopiero wówczas była gotowa poprowadzić wojska do Northumbrii. A nawet wtedy nie najechałaby tych ziem bez błogosławieństwa brata. Teraz jednak zjawił się Ragnall i podbój Północy stał się jeszcze trudniejszy.

Osiodłaliśmy konie i powoli pojechaliśmy na zachód. Maerse leniwie toczyła wody po naszej prawej stronie, wijąc się przez zalane łąki. Nikt nie uprawiał tych ziem. Kiedyś zamieszkiwali je Duńczycy i Norwegowie, ich osady rozrastały się na żyznych ziemiach, my jednak wyparliśmy ich na tereny leżące na północ od Ceasteru i teraz łąki, gdzie niegdyś pasło się bydło, porastały wysokie osty. Nad rzeką przeleciała czapla. Znad odległego morza nadciągnął lekki deszczyk.

– Czy pani Aethelflaed przybędzie, panie? – zapytał Berg, kiedy przeprowadzaliśmy konie przez dziurę w zaniedbanym żywopłocie, a później przez wypełniony wodą rów.

Mgła się podniosła, choć wciąż utrzymywała się nad szerokimi zakolami rzeki.

– Przyjedzie! – powiedziałem i sam się zdziwiłem, jaką przyjemność sprawiła mi myśl o ponownym ujrzaniu Aethelflaed. – I tak by przyjechała z powodu tej komedii wokół nowego biskupa.

Intronizacja to rodzaj uroczystości, który lubiła, choć nie mieściło mi się w głowie, jak ktoś może znieść trzy albo cztery godziny słuchania śpiewów mnichów i rozprawiania księży, podobnie jak nie mogłem pojąć, dlaczego biskup potrzebuje tronu. Jeszcze trochę i będą domagali się korony.

– Przybędzie ze wszystkimi swoimi wojskami.

– I wtedy wydamy bitwę Ragnallowi?

– Będzie chciał wyprzeć go z Mercji, a jeśli Ragnall ukryje się za wałami nowej warowni, nie unikniemy rozlewu krwi.

Skręciłem na północ w stronę niskiego pagórka, który zapamiętałem z najazdów na drugą stronę rzeki. Wzgórze wieńczyła kępa sosen, a z jego szczytu w pogodny dzień dało się dostrzec Ceaster. Tego pochmurnego dnia nie można było nawet marzyć o ujzeniu miasta, zobaczyłem jednak zielony Eads Byrig górujący nad drzewami na odległym brzegu rzeki oraz surowe belki nowej palisady na szczycie wału, a znacznie bliżej flotę Ragnalla w obszernym zakolu Maerse.

Ujrzałem też most.

Początkowo nie byłem pewien, ale zapytałem Berga, który miał znacznie lepszy wzrok ode mnie. Przez chwilę wpatrywał się we wskazane przeze mnie miejsca, po czym przytaknął.

– Budują most z łodzi, panie.

Był to prymitywny most z zakotwiczonych kadłub obok kadłuba łodzi w taki sposób, że połączyły one dwa brzegi, a na ich pokładach ułożono kładkę z desek. Tak wiele koni i ludzi skorzystało już z tego prowizorycznego mostu, że na polach po tej stronie rzeki powstała nowa droga, błotnista wstęga odcinająca się czarnym pasem od jasnozielonego pastwiska, a następnie rozwidlająca się w mniejsze ścieżki biegnące na północ. Dostrzegłem na nich trzy niewielkie grupy konnych jadących od brzegów Maerse w głąb Northumbrii i jeden duży oddział zmierzający na południe, w stronę rzeki.

Na południowym brzegu gęsto porośniętym drzewami ujrzałem dym. Początkowo wziąłem go za gęstną nadrzeczną mgłę, ale im dłużej przyglądałem się smudze, tym większą miałem pewność, że jest to dym z ognisk rozpalonych w lesie. Licznych ognisk, których dym przenikał między liśćmi. To była informacja, że Ragnall pozostawił wielu

wojowników za Maerse. W Eads Byrig stacjonował garnizon wznoszący palisadę, ale nie było tam wystarczająco dużo wody dla całego wojska Ragnalla. A wojownicy ci zamiast budować nowe drogi prowadzące na południe do Mercji, wydeptywali nowe ścieżki biegnące na północ.

– Możemy wracać do domu – powiedziałem.

– Już? – Berg wydawał się zaskoczony.

– Już – odparłem, bo wiedziałem, co planuje Ragnall.

Wróciliśmy do drogi, którą nadjechaliśmy. Poruszaliśmy się powoli, oszczędzając konie. Chłodny poranny wiatr znad Morza Irlandzkiego przyniósł niewielki deszcz, który przypominał mi słowa Finana, że Ragnall zawiązał pakt z Uí Néill. Irlandczycy rzadko przekraczają morze, chyba że w celach handlowych lub w poszukiwaniu niewolników na zachodnim wybrzeżu Brytanii. Wiedziałem, że w Szkocji istnieją irlandzkie osady, a nawet na dzikim zachodnim wybrzeżu Northumbrii, ale nigdy nie widziałem iryjskich wojowników w Mercji ani Wessexie. Mieliśmy tak dużo problemów z Duńczykami i Norwegami, że odpuściliśmy Irlandczykom. Ragnall dowodził wprawdzie tylko jedną załogą irlandzką, ale Finan przechwalał się, że jeden oddział jego rodaków wart jest trzech albo czterech pochodzących z innego plemienia. „Walczymy jak wściekłe psy – stwierdził z dumą. – Jeśli dojdzie do bitwy, Ragnall wystawi Irlandczyków w pierwszym szeregu. Pozwoli im przeprowadzić na nas zaciekły atak”. Dostatecznie często widziałem Finana podczas walki, żeby mu wierzyć.

– Panie! – zawołał nagle Berg. – Za nami, panie!

Obejrzałem się i ujrzałem trzech jeźdźców. Znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni, nigdzie nie mogliśmy się więc ukryć, ale i tak przeklinałem swoją lekkomyślność. Zamyśliłem się, próbując odgadnąć zamiary Ragnalla, i nie oglądałem się za siebie. Gdybym wcześniej

zauważył tych ludzi, moglibyśmy ukryć się w zagajniku albo zaroślach, teraz jednak nie było sposobu uniknięcia spotkania z pędzącymi za nami jeźdźcami.

– Porozmawiam z nimi – oznajmiłem, po czym zawróciłem konia i stanąłem.

Trzej mężczyźni byli młodzi, żaden nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Mieli dobre, szybkie i pełne wigoru wierzchowce. Wszyscy byli w kolczugach, ale nie mieli ze sobą tarcz ani hełmów. Zbliżywszy się, przestali tworzyć zwartą grupę, a w odległości dziesięciu kroków zatrzymali konie. Mieli długie włosy i wytatuowane linie na twarzach, co wskazywało, że są Norwegami – zresztą kogo innego mogłem się spodziewać po tej stronie Maerse?

– Bądźcie pozdrowieni – powiedziałem uprzejmie.

Młody mężczyzna pośrodku popędził konia. Miał dobrą kolczugę, pochwę miecza zdobioną srebrnymi płytkami, a wiszący na jego szyi topór Thora połyskiwał od złota. Długie czarne włosy nasmarowane olejem i przygładzone związał czarną wstążką na karku. Spojrzał na mojego konia, na mnie i na Oddech Węża.

– To dobry miecz, dziadku.

– W istocie jest dobry – odparłem łagodnie.

– Starcy nie potrzebują mieczy – powiedział, a jego towarzysze zarechotali.

– Nazywam się Hefring Fenirson, a to jest mój syn Berg Hefringson – przedstawiłem się grzecznie.

– Powiedz mi, Hefringu Fenirsonie, dlaczego jedziecie na wschód – rzekł młodzieniec.

– A dlaczego nie?

– Bo jarl Ragnall wezwał ludzi na swoją stronę, a wy jedziecie w przeciwnym kierunku.

– Jarl Ragnall nie potrzebuje starców – odparłem.

– To prawda, ale potrzebuje młodych mężczyzn. – Spojrzał na Berga.

– Mój syn nie potrafi walczyć mieczem – rzekłem.

W rzeczywistości Berg posługiwał się mieczem z zabójczą sprawnością, miał jednak niewinny wyraz twarzy, który kazał przypuszczać, że nie przepada za walką.

– A ty jak masz na imię? – zapytałem z szacunkiem.

Norweg wahał się i najwyraźniej nie miał ochoty się przedstawić, ale ostatecznie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

– Othere Hardgerson.

– Przyplłynęliście łodzią z Irlandii? – zapytałem.

– Nie twoja sprawa, skąd jesteśmy – rzucił. – Złożyłeś przysięgę wierności jarlowi Ragnallowi?

– Nikomu nie złożyłem przysięgi – odparłem zgodnie z prawdą. Tylko Aethelflaed miała moje słowo.

– Może jesteś jarlem? – zapytał drwiąco Othere.

– Jestem rolnikiem.

– Rolnik nie potrzebuje dobrego konia – powiedział szyderczym tonem. – Ani miecza. Nie potrzebuje też kolczugi, nawet zardzewiałej. A co do twojego syna – minął mnie, żeby przyjrzeć się Bergowi – skoro nie potrafi walczyć, także jemu nic po kolczudze, mieczu i koniu.

– Chciałbyś je kupić? – zapytałem.

– Kupić! – Othere wybuchnął śmiechem, słysząc tę propozycję. – Dam ci wybór, starcze – powiedział, zwracając się do mnie. – Możecie pojechać

z nami i złożyć przysięgę Ragnallowi albo oddać nam wierzchowce, kolczugi oraz broń i odejść swoją drogą. Co wolisz?

Znałem takich jak Othere. Był młodym wojownikiem wychowanym do walki i nauczonym pogardy dla każdego, kto nie zarabia na życie mieczem. Nudził się. Przepłynął morze, licząc, że zdobędzie ziemię i będzie miał okazję do rabunku. Mimo że ostrożność Ragnalla była w obecnej sytuacji usprawiedliwiona, Othere był sfrustrowany. Musiał czekać, aż Ragnall zbierze więcej ludzi, najwidoczniej rekrutowanych w Northumbrii, wśród Duńczyków i Norwegów zamieszkujących ten rozdierany konfliktami kraj. Othere otrzymał nudne zadanie patrolowania północnego brzegu Maerse i pilnowania granicy przed najazdem Sasów. Chciał zacząć podbój Brytanii i skoro Ragnall nie powiodł go do bitwy, postanowił szukać okazji do walki na własną rękę. Poza tym Othere był nadmiernie pewnym siebie młodym byczkiem, czego więc miał się obawiać, atakując starca?

Pewnie jestem już stary. Broda mi posiwiła, a twarz nosiła ślady upływu czasu, lata pozostawiły swój ślad. Mimo wszystko Othere i jego towarzysze powinni zachować większą ostrożność. Jaki rolnik jeździ na dobrym koniu? Albo ma świetny miecz? Albo nosi kolczugę?

– Dam ci wybór – powiedziałem do wojownika. – Możesz odjechać, dziękując bogom, których czcisz, że darowałem ci życie, albo możesz spróbować zmierzyć się ze mną na miecze. Wybieraj, chłopcze.

Utkwił we mnie przez chwilę wzrok, jakby nie wierzył w to, co usłyszał, po czym się roześmiał.

– Konno czy pieszo, starcze?

– Wybieraj, chłopcze – powtórzyłem, tym razem wymawiając słowo „chłopcze” z pogardą.

– Już jesteś martwy, starcze – odciął się. – Pieszo, stary draniu.

Lekko zsunął się z siodła i miękko zeskoczył na wilgotną trawę. Uznałem, że wybrał walkę pieszą, bo jego wierzchowiec nie był wytrenowanym koniem bojowym, a to mi akurat odpowiadało. Również zsiadłem z konia, zrobiłem to jednak powoli, jakby ruchy utrudniały mi stare kości i bolące mięśnie.

– Mój miecz nazywa się Krwiopijca. Mężczyzna powinien znać imię miecza, który pośle go do grobu.

– Mój nazywa się...

– Po cóż mi imię twojego miecza? – Nie pozwolił mi dokończyć i ponownie się zaśmiał, wyjmując Krwiopijcę z pochwy. Był praworęczny. – Załatwię to szybko, starcze. Jesteś gotów?

Ostatnie pytanie zadał drwiącym tonem. Nie obchodziło go, czy jestem gotów, kpił, bo wyjąłem z pochwy Oddech Węża i niezgrabnie trzymałem miecz w dłoniach, jakbym był nieobeznany z jego rękojeścią. Próbowałem nawet wziąć broń do lewej ręki, zanim przełożyłem ją ponownie do prawej. Wszystko po to, żeby pomyślał, że nie jestem wprawny w tej sztuce. Byłem tak przekonujący, że opuścił ostrze i pokręcił głową.

– Jesteś głupi, starcze. Nie chcę cię zabijać, po prostu oddaj mi swój miecz.

– Z chęcią – odparłem i podszedłem do niego.

Wyciągnął lewą rękę, a ja, odwracając nadgarstek, uniosłem ostrze Oddechu Węża i odtrąciłem jego dłoń, po czym cofnąłem gwałtownie miecz, żeby odsunąć Krwiopijcę, i wykonałem pchnięcie, aby oprzeć czubek broni na jego piersi. Uderzyłem przeciwnika mieczem w kolczugę na mostku, zmuszając go do zrobienia kroku. Othere zatoczył się z wrzaskiem wściekłości, robiąc zamach mieczem niczym kosą, żeby odciąć mi głowę, ja jednak sparowałem jego cios. Ostrza się skrzyżowały,



a ja postąpiłem kolejny krok w przód i uderzyłem go rękojęścią w twarz. Zdołał wykonać półobrót, żeby mój cios padł na szczękę, a nie na nos.

Próbował trafić mnie w kark, ale nie miał wystarczająco dużo miejsca, a ja cofnąłem się o krok, unosząc koniuszek Oddechu Węża, żeby zadał cięcie przez jego twarz. Staralem się jednak, żeby uderzenie nie było zbyt mocne. Z rany połała się krew i zapewne jej widok skłonił towarzyszy młodzieńca do chwycenia za miecze. Słyszałem za sobą uderzenia ostrzy i choć nie widziałem Berga, domyśliłem się, że przystąpił do walki. Doszło mnie sapnięcie i kolejne dźwięki krzyżującej się stali. Othere otworzył szeroko oczy, widząc, co się dzieje.

– No chodź, chłopcze – powiedziałem. – Walczysz ze mną, a nie z Bergiem.

– A zatem do grobu, starcze – warknął.

Zrobił krok do przodu, zamachnął się mieczem, ale cios był łatwy do odparowania. Nie miał dobrej techniki. Był pewnie szybszy ode mnie, bo znacznie młodszy, ale to ja przez całe życie posługiwałem się mieczem. Nacierał, wykonując kolejne pchnięcia, a ja odparowywałem każde jego uderzenie. Po sześciu czy siedmiu zaciekłych ciosach przeciwnika nagle się cofnąłem, opuściłem broń, a brzeszczot jego miecza minął mnie ze świstem. Othere stracił równowagę, a ja pchnąłem Oddech Węża do przodu, ugodziłem go w prawe ramię, przebiłem kolczugę i zadałem ranę. Zobaczywszy, że opuszcza broń, cofnąłem miecz do jego gardła i pozostawiłem tam spływające krwią ostrze Oddechu Węża.

– Mam na imię Uhtred z Bebbanburga, chłopcze, a ten miecz nazywa się Oddech Węża.

– Panie! – Padł na kolana, ale nie był w stanie podnieść ramienia. – Panie – powtórzył. – Nie wiedziałem!

– Zawsze dręczysz starców?

– Nie wiedziałem! – powiedział błagalnym tonem.

– Trzymaj mocno swój miecz, chłopcze, i wypatruj mnie w Walhalli.

Skrzywiłem się, przesuwając ostrze po jego gardle, zamachnąłem się, ponownie cofnąłem broń, następnie znów przejechałem brzeszczotem po szyi pokonanego, a on zaskomlił, kiedy krew trysnęła na trawę. Zaczął się krztusić.

– Trzymaj mocno Krwiopijcę – warknąłem.

Wydawało mi się, że kiwnął głową, potem oczy mu pociemniały i przewrócił się na twarz. Nadal ścisnął miecz w dłoniach, miałem więc ponownie go spotkać przy zastawionym trunkami stole bogów.

Berg rozbroił jednego z dwóch jeźdźców, podczas gdy drugi oddalił się już na dwieście kroków i gorączkowo popędzał konia.

– Mam go zabić, panie? – zapytał Berg.

Pokręciłem głową.

– Zawiezie naszą wiadomość. – Podszedłem do wierzchowca młodzieńca i mocno szarpnąłem w dół. Mężczyzna zsunął się z siodła i runął na murawę. – Jak masz na imię? – zapytałem.

Przedstawił mi się wcześniej, ale zapomniałem jego imienia. To był jeszcze chłopak, młodszy od Berga, i dość chętnie odpowiadał na nasze pytania. Ragnall wznosił potężną palisadę na Eads Byrig, ale rozbił także obozowisko na drugim brzegu rzeki, za miejscem, gdzie łodzie utworzyły most. Zbierał ludzi do nowej armii.

– A dokąd pójda te wojska? – zapytałem.

– Zdobyć saskie miasto.

– Ceaster?

Wzruszył ramionami, nie znał nazwy.

– Pobliskie miasto, panie.

– Budujecie drabiny?

– Drabiny? Nie, panie.

Zdjęliśmy z ciała Otherego kolczugę, zabraliśmy jego miecz i konia, a potem odebraliśmy zbroję, broń i wierzchowca chłopakowi, którego pokonał Berg. Nie był ciężko ranny, raczej przestraszony, i cały drżał, patrząc, jak dosiadamy koni.

– Powiedz Ragnallowi, że nadchodzą Sasi z Mercji. Powiedz mu, że jego wojownicy będą ginąć tysiącami. Powiedz mu, że on sam umrze za kilka dni. Powiedz mu, że to obietnica Uhtreda z Bebbanburga.

Kiwnął głową. Był zbyt przerażony, żeby się odezwać.

– Wypowiedz moje imię, chłopcze – rozkazałem. – Żebyś wiedział, że powtórzysz je Ragnallowi.

– Uhtred z Bebbanburga – wymamrotał.

– Zuch chłopak – skwitowałem, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Biskup Leofstan przyjechał do Ceasteru nazajutrz. Oczywiście nie był jeszcze biskupem, a jedynie ojcem Leofstanem, ale wszyscy w podnieceni nazywali go biskupem i rozpowiadali, że jest świętym za życia i uczonym. Przybycie świętego za życia zostało ogłoszone przez Eadgera, mojego człowieka należącego do ekipy robotników, która w kamieniołomach na południe od rzeki Dee ładowała kamienie na wozy. Głazy te zamierzaliśmy ułożyć w stosy na murach Ceasteru jako prezent powitalny dla Norwegów usiłujących zdobyć mury. Byłem niemal pewny, że Ragnall nie planuje szturm, chciałem jednak przygotować mu odpowiednie przyjęcie, na wypadek gdyby stracił rozum i podjął próbę zdobycia miasta.

– Przyjechało co najmniej osiemdziesięciu tych drani – poinformował mnie Eadger.

– Księży?

– Księży jest dość dużo – odparł ponuro. – Ale reszta? – Przeżegnał się. – Bóg jeden wie, co to za ludzie, panie, w każdym razie jest ich co najmniej osiemdziesięciu i się zbliżają.

Poszedłem na południowe mury i spojrzałem na drogę za rzymskim mostem, ale nikogo nie dostrzegłem. Bramy miasta były zamknięte. Wszystkie wrota prowadzące do Ceasteru miały pozostać zamknięte do czasu, aż ludzie Ragnalla opuszczą okolice warowni. Wieści o przybyciu biskupa rozeszły się jednak po mieście, a ojciec Ceolnoth nadbiegł główną ulicą, przyciskając rąbek długiej sutanny do brzucha.

– Powinniśmy otworzyć bramy! – krzyczał. – „Dosięga bramy mego ludu aż do Jeruzalem”\*!

Spojrzałem na Eadgera, który wzruszył ramionami.

– Brzmi jak Pismo Święte, panie.

– Otworzyć bramy! – krzyczał zdyszany Ceolnoth.

– Po co?! – zawołałem z platformy nad bramą.

Zakonnik nagle się zatrzymał. Wcześniej nie spostrzegł mnie na murach. Spojrzał na mnie spode łba.

– Biskup Leofstan nadjeżdża.

– Bramy pozostaną zamknięte – odparłem, a następnie odwróciłem się, żeby spojrzeć za rzekę. Słyszałem teraz pieśni.

Dołączyli do mnie Finan i mój syn. Irlandczyk patrzył na południe ze zmarszczonymi brwiami.

– Ojciec Leofstan nadjeżdża – wyjaśniłem podniecenie mieszkańców.

Na ulicy zbierał się tłum, wszyscy wpatrywali się w potężne zamknięte wrota.

– Słyszałem – odparł oschle Finan.

Wahałem się, chciałem powiedzieć mu coś pokrzepiającego, ale co można rzec człowiekowi, który zabił własnego krewnego? Finan musiał poczuć na sobie mój wzrok, bo burknął:

– Nie martw się o mnie, panie.

– Kto powiedział, że się martwię?

Uśmiechnął się krzywo.

– Zabiję kilku ludzi Ragnalla. A potem Conalla. To mnie pocieszy. Słodki Jezu! A co to jest?

Zdziwił się na widok dzieci. Szły drogą biegnącą na południe od mostu i – o ile wzrok mnie nie mylił – wszystkie miały na sobie białe komże. Było

ich około dwadzieścioro. Śpiewały podczas pochodu. Niektóre machały gałązkami w takt pieśni. Za dziećmi podążała grupa ubranych w ciemne habity księży, a za nimi człapał tłum.

Do ojca Ceolnotha dołączył jego brat i we dwójkę wdrapali się na mury, z których patrzyli na południe z ekstazą wymalowaną na brzydkich twarzach.

– Cóż za święty człowiek! – powiedział Ceolnoth.

– Trzeba otworzyć bramę! – nalegał Ceolberht. – Dlaczego nikt nie otworzył bramy?

– Bo nie wydałem takiego rozkazu – warknąłem. – Dlatego.

Brama pozostała zamknięta.

Dziwaczna procesja przekroczyła rzekę i zbliżyła się do miasta. Dzieci machały wierzbowymi gałązkami o zwiędłych liściach. Śpiewy przycichły, kiedy dotarły do fosy i zdały sobie sprawę, że dalej nie pójda. Później głosy zamarły, a młody ksiądz utorował sobie drogę między ubranymi na biało chórzystami i zawołał do nas:

– Brama! Otwórzcie bramę!

– Kim jesteście?! – krzyknąłem.

Ksiądz spojrzał na mnie z oburzeniem.

– Ojciec Leofstan nadjeżdża!

– Chwalić Boga! – zawołał Ceolnoth. – On nadjeżdża!

– Kto? – zapytałem.

– Och, najdroższy Jezu! – ekscytował się stojący za mną Ceolberht.

– Ojciec Leofstan! – krzyknął młody ksiądz. – Ojciec Leofstan jest waszym...

– Cisza! Sza! – Wychudzony ksiądz na ośle wydał rozkaz. Był tak wysoki, a jego osioł był tak mały, że duchowny niemal szurał stopami po

ziemi. – Brama musi pozostać zamknięta, bo w pobliżu są poganie! – Zeskoczył z wierzchowca i pokuśtykał po drewnianym moście przerzuconym przez fosę. – Bądźcie pozdrowieni w imieniu Boga żywego!

– Ojciec Leofstan! – zawołał Ceolnoth i pomachał do niego.

– Ktoś ty? – zapytałem.

– Jestem Leofstan, pokorny sługa Boży – odpowiedział chudy ksiądz. – A ty musisz być panem Uhtredem. – Kiwnąłem głową w odpowiedzi. – A zatem pokornie proszę, abyś pozwolił mi wjechać do miasta, panie – ciągnął Leofstan.

Spojrzałem na niechlujnie odziany chór i na podążającą za księżmi cizbę, po czym wzruszyłem ramionami. Leofstan cierpliwie czekał. Był młodszy, niż się spodziewałem, miał szeroką bladą twarz, wąskie usta i ciemne włosy. Uśmiechał się. Miałem wrażenie, że jest zawsze uśmiechnięty. Czekał cierpliwie z uśmiechem, patrząc na mnie.

– Kim są ci ludzie? – zapytałem, wskazując na ciągnący się za nim tłum.

Jeszcze nigdy nie widziałem tylu ludzi w łachmanach. Musiała być ich jakaś setka: kaleki, garbaci, ślepi, a także grupki obłąkanych mężczyzn i kobiet, którzy trzęśli się, bełkotali i ślinili.

– To są maluczcy. – Leofstan położył dłonie na głowach dwójki dzieci. – Sieroty, które znalazły się pod opieką mojej skromnej osoby, lordzie Uhtredzie.

– A tamci? – wskazałem ruchem głowy na jazgoczącą cizbę.

– Dzieci Boże – odparł radosnym głosem Leofstan. – Chromi, kulawi, ślepi! Żebracy i wyrzutkowie. Głodni, nadzy i samotni. Oni wszyscy są dziećmi Bożymi!

– Ale co tutaj robią? – zapytałem.

Leofstan zaśmiał się, jakby uważał, że odpowiedź na moje pytanie jest dziecinnie prosta.

– Nasz Pan nakazał nam opiekować się bezbronnymi, lordzie Uhtredzie. Co powiedział nam Święty Mateusz: „Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie”<sup>\*\*</sup>! Odziać nagich i pomóc ubogim, lordzie Uhtredzie, to być posłusznym Bogu! Ci drodzy ludzie – wskazał ręką na bezradny tłum – to moja rodzina!

– Na słodkie rany Chrystusa – wymamrotał Finan, który po raz pierwszy od wielu dni wydał się rozbawiony.

– Chwalmy Pana – powiedział bez wielkiego entuzjazmu Ceolnoth.

– Wiesz, że wojska Norwegów stacjonują w odległości pół dnia marszu stąd?! – zawołałem do Leofstana.

– Poganie nas ścigają, są wściekli! Ale Pan nas ochroni!

– To miasto niedługo może zostać oblężone – ciągnąłem.

– Pan jest moją siłą!

– A jeśli dojdzie do oblężenia, jak mam wykarmić twoją rodzinę?

– Zostawmy to Panu!

– Nie wygrasz z nim – powiedział łagodnie Finan.

– Gdzie znajdą schronienie? – zapytałem ostro.

– Powiedziano mi, że Kościół ma tu dobra, Kościół więc zapewni im dach nad głową. I się do ciebie nie przybliżą<sup>\*\*\*</sup>.

Burknąłem coś pod nosem, Finan wyszczerzył zęby, a Leofstan nadal się uśmiechał.

– Otwórzcie tę cholerną bramę! – rozkazałem i zszedłem po kamiennych schodach.



Znalazłem się na ulicy, kiedy nowy biskup, utykając, przeszedł przez bramę, a znalazłszy się w mieście, padł na kolana i ucałował uliczny bruk.

– Niech błogosławione będzie to miejsce – zaintonował – i ci, którzy je zamieszkują. – Wstał z wysiłkiem i uśmiechnął się do mnie. – To zaszczyt cię poznać, lordzie Uhtredzie.

Dotknąłem młota Thora na szyi, ale nawet ten symbol pogaństwa nie zgasił uśmiechu na jego twarzy.

– Jeden z tych księży – wskazałem na bliźniaków – pokaże ci, gdzie będziesz mieszkał.

– Czeka na ciebie wspaniały dom, ojczy – powiedział Ceolnoth.

– Nie potrzebuję wspaniałego domu! – zawołał Leofstan. – Nasz Pan nie mieszkał w pałacach! Lisy mają nory, ptaki niebieskie gniazda, nam też wystarczy coś skromnego.

– Nam? – zapytałem. – Wszystkim? Masz na myśli też swoje kaleki?

– Mnie i mojej drogiej żonie – odparł Leofstan i wskazał na kobietę, która zrobiła krok naprzód, występując przed grupę towarzyszących mu księży. Domyśliłem się przynajmniej, że jest kobietą, bo była tak owinięta peleryną i sukniami, że trudno było to stwierdzić. Twarz miała ukrytą w obszernym kapturze.

– To jest moja droga żona Gomer – przedstawił małżonkę, a pakół sukien kiwnął w moją stronę.

– Gomer? – Myślałem, że źle zrozumiałem, bo nigdy wcześniej nie słyszałem tego imienia.

– Imię z Pisma Świętego! – wyjaśnił pogodnie Leofstan. – Powinieneś wiedzieć, panie, że moja droga żona i ja złożyliśmy przysięgę życia w ubóstwie i czystości. Wystarczy nam byle rudera, prawda, najdroższa?

Najdroższa przytaknęła, spośród zwojów kapturów, sukien i płaszczy usłyszałem coś na podobieństwo pisku.

– Ja niczego takiego nie przysięgałem – odparłem zbyt gwałtownie. – Oboje jesteście mile widziani – dodałem niechętnie, bo to nie była prawda. – Ale trzymaj swoją rodzinę z dala od moich wojowników. Mamy robotę do wykonania.

– Będziemy się za was modlić. – Odwrócił się. – Śpiewajcie, dzieci, śpiewajcie! Potrząsajcie wesoło gałązkami. Czyńcie radosny gwar ku chwale Pana, gdy będziemy wchodzić do jego miasta.

W ten sposób biskup Leofstan wszedł za bramę Ceasteru.

– Nie znoszę tego drania – powiedziałem.

– Nie, wcale nie – odparł mi Finan. – Po prostu nie podoba ci się to, że go polubiłeś.

– To uśmiechnięty, przypoehlebny drań.

– Jest sławnym uczonym, świętym za życia i doskonałym księdzem.

– Mam nadzieję, że dostanie robaków i umrze.

– Ponoć mówi po łacinie i w grece!

– Spotkałeś kiedyś Rzymianina? – zapytałem. – Albo Greka? Po jakie licho mówić więc ich cholernymi językami?

Finan się roześmiał. Przyjazd Leofstana i moja złośliwa niechęć do tego człowieka chyba go rozweseliły. Teraz prowadziliśmy stu trzydziestu wojowników na szybkich koniach, żeby przeprowadzić patrol na linii lasu, który otaczał i chronił Eads Byrig. Dotychczas objechaliśmy granice południową i wschodnią, ponieważ stamtąd nadeszliby ludzie Ragnalla, gdyby chcieli najechać wewnątrz Mercji, ale żaden z naszych zwiadowców nie dostrzegł śladu najazdu. Dzień po przybyciu Leofstana pojechaliśmy na zachodnią granicę lasu, a następnie skręciliśmy na północ, ku Maerse. Tam na skraju gęstego boru ujrzeliśmy strażę.

– Myślisz, że on naprawdę żyje w celibacie? – zapytał Finan.

– A skąd mam wiedzieć?

– Jego żona pewnie wygląda jak wyschnięta rzepa, biedak. – Zabił gza na karku swojego ogiera. – Jak ma na imię?

– Gomer.

– Brzydkie imię, brzydka kobieta – stwierdził z grymasem.

To był wietrzny dzień, wysoko na niebie chmury płynęły w głąb lądu. Cięższe chmurzyska zbierały się nad odległym morzem, ale położona o milę od nas Maerse iskrzyła się we wczesnoporannych promieniach słonecznych. Poprzedniego dnia dostrzegliśmy dwie łodzie o dziobach w kształcie smoczych łbów płynące w górę rzeki, w jednej znajdowało się ponad czterdziestu wojowników, druga była mniejsza, ale też wypełniona zbrojnymi. Ciemne chmury na zachodzie zapewne oznaczały, że dziś nowe łodzie się nie pojawią, siły Ragnalla jednak wciąż rosły. Do czego zamierzał je wykorzystać?

Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, zabraliśmy ze sobą kilkanaście koni bez jeźdźców. Wszystkie zostały osiodłane. Z daleka można by uznać, że są to wierzchowce zapasowe, ich przeznaczenie było jednak zupełnie inne. Jechałem powoli, żeby Beadwulf mnie dogonił.

– Nie musisz tego robić – powiedziałem mu.

– To będzie łatwe, panie.

– Jesteś pewien?

– To będzie łatwe, panie – powtórzył.

– Wrócimy jutro o tej samej porze – obiecałem.

– W to samo miejsce?

– W to samo miejsce.

– A zatem zrobmy to, panie – stwierdził, szczerząc zęby.

Chciałem wysondować, co dzieje się na Eads Byrig i przy rzecznej przeprawie na północ od wzgórza. Widziałem most z łodzi na Maerse, a gęsty dym unoszący się nad lasem porastającym północny brzeg rzeki wskazywał, że tam znajduje się główny obóz Ragnalla. Jeśli się nie myliłem, pytanie brzmiało, jak był strzeżony. I jak bardzo posunęły się prace nad obwałowaniami Eads Byrig. Mogliśmy zebrać oddział i pojechać rzymską drogą, która prowadziła przez las, a następnie skręcała na północ i pięła się w górę grani. Nie miałem wątpliwości, że jesteśmy w stanie dotrzeć na niski szczyt Eads Byrig, Ragnall zapewne jednak czekał na nasz atak. Zwiadowcy donieśliby mu o tym, że się zbliżamy, a jego wojownicy napłynęliby w chmarze do lasu, zmuszając nas do odwrotu i desperackiej walki w gęstwinie z ich przeważającymi siłami. Beadwulf był natomiast w stanie – niezauważenie niczym duch – przeprowadzić rozpoznanie wzgórza i obozu nad rzeką, nie zwracając uwagi nieprzyjaciela.

Problem polegał na tym, żeby niepostrzeżenie wprowadzić Beadwulfa do lasu – w tym celu właśnie wzięliśmy ze sobą konie bez jeźdźców.

– Wyciągnijcie miecze! – zawołałem do swoich ludzi, wyjmując Oddech Węża z pochwy. – Teraz! – krzyknąłem.

Spięliśmy wierzchowce ostrogami, skierowaliśmy je na wschód i pocwałowaliśmy w stronę kniei, jakbyśmy chcieli przez las dotrzeć do odległego wzgórza. Wjechaliśmy między drzewa, ale zamiast popędzić ku Eads Byrig, nagle zawróciliśmy konie na południe i ruszyliśmy wzdłuż granicy lasu. Z tyłu usłyszeliśmy dźwięk rogu. Zabrzmiął trzykrotnie. To wartownicy Ragnalla ostrzegali, że zmierzamy w stronę grodu, w rzeczywistości jednak jechaliśmy obrzeżem puszczy. Z zarośli po naszej lewej stronie wynurzył się wojownik, Finan gwałtownie skręcił i zadał cios, po którym jasnoczerwona krew rozprysła pośród wiosennego listowia. Cwałowaliśmy w słońcu, przejechaliśmy przez zarośniętą paprociami

polaną, aby po chwili ponownie znaleźć się wśród potężnych pni i niebezpiecznie nisko rosnących gałęzi. Z kryjówki wyskoczył kolejny zwiadowca Ragnalla, mój syn zajechał go z tyłu i wbił mu miecz w plecy.

Galopowałem przez gąszcz młodej leszczyny i czarnego bzu.

– Poszedł! – zawołał jadący za mną Sihtric.

Po swojej prawej stronie zobaczyłem konia Beadwulfa z pustym siodłem. Nie zatrzymaliśmy się przez kolejne pół mili, ale nie dostrzeżliśmy więcej wartowników. Nadal rozbrzmiewały dźwięki rogu, któremu odpowiadało odległe granie, zapewne ze wzgórza. Ludzie Ragnalla bez wątpienia wdzielali kolczugi i przypasywali miecze, ale zanim zdolali do nas dotrzeć, zawróciliśmy na otwartą łąkę i ścieżkami wydeptanymi przez bydło ruszyliśmy do Ceasteru. Zatrzymaliśmy się w nieregularnej plamie słońca, zebraliśmy jadące luzem konie i czekaliśmy. Na granicy lasu nie pojawili się jednak żadni wojownicy. Ptaki, które w panice wzleciały nad drzewa, kiedy pędziliśmy przez knieję, wróciły do swoich siedzib. Rogi umilkły i znów zapanowała cisza.

Zwiadowcy Ragnalla zobaczyli oddział wjeżdżający do lasu i z niego wyjeżdżający. Gdyby Beadwulf po prostu zeskoczył z siodła, żeby znaleźć kryjówkę, wróg mógłby zauważyć, że jeden wierzchowiec stracił jeźdźca, byłem jednak pewien, że wartownicy nie wpadli na to, by policzyć galopujące luzem konie. Jeden więcej z pewnością nie rzucił się im w oczy. Beadwulf – jak sądziłem – bezpiecznie wmieszał się między naszych wrogów. Szybko nadciągające chmury sprawiły, że ogarnął nas mrok i ciężkie krople deszczu zaczęły kapać mi na hełm.

– Czas wracać do domu – powiedziałem i ruszyliśmy w drogę do Ceasteru.

Aethelflaed przyjechała tego samego popołudnia. Przyprowadziła ponad ośmiuset ludzi i była w złym humorze, którego nie poprawił widok Eadith. Dzień zrobił się burzowy, wiatr rozwiewał długi ogon i grzywę należącej do Aethelflaed klaczy imieniem Gast, podobnie jak długie rude pukle Eadith.

– Dlaczego ona nosi rozpuszczone włosy? – zapytała Aethelflaed, nawet się nie przywitawszy.

– Bo jest dziewczicą – odparłem i popatrzyłem na Eadith spieszącą w deszczu do domu, który dzieliliśmy przy głównej ulicy Ceasteru.

Aethelflaed zmarszczyła brwi.

– Ona nie jest panną. Ona jest... – Ugryzła się w język i nie powiedziała tego, co zamierzała.

– Dziwką? – podpowiedziałem.

– Powiedz jej, żeby nosiła się przyzwoicie i wiązała włosy.

– Czy dziwka powinna nosić związane włosy? – zapytałem. – Większość tych, z którymi miałem przyjemność obcować, wolała nosić je rozpuszczone, ale była jedna czarnowłosa dziewczyna w Gleawecestre, którą biskup Wulfheard lubił chędożyć, kiedy jego żony nie było w mieście, i której nakazywał obwijać włosy dookoła głowy jak sznurem. Najpierw musiała zaplatać warkocz, a potem chciał, żeby...

– Wystarczy! – burknęła. – Powiedz swojej kobiecie, żeby przynajmniej postarała się wyglądać przyzwoicie.

– Sama możesz jej to powiedzieć, pani. A poza tym witaj w Ceasterze.

Ponownie zmarszczyła brwi, po czym zsiadła z klaczy. Nie znosiła Eadith, której brat próbował zabić jej brata, co samo w sobie bez wątplenia jest dobrym powodem, żeby czuć do kogoś niechęć, ale jej nienawiść przede wszystkim wiązała się z tym, że dzieliłem z Eadith łożo. Aethelflaed nie lubiła także Sigunn, która była przez wiele lat moją kochanką, ale kilka zim temu zmarła na febrę. Bardzo ją opłakiwałem. Aethelflaed również

była moją kochanką, a może nadal nią jest, chociaż w nastroju, który zwarzył radość z naszego spotkania, zachowywała się dość nieprzyjaźnie.

– Straciliśmy wszystkie łodzie! – zawołała. – A tysiąc norweskich wojowników stacjonuje w odległości pół dnia drogi od warowni!

– Teraz dwa tysiące – sprostowałem. – I jeszcze co najmniej stu iryjskich zbrojnych.

– Ten garnizon właśnie temu miał zapobiec – wyrzuciła z siebie.

Towarzyszący jej księża spojrzeli na mnie oskarżycielsko. Księża zawsze znajdowali się w pobliżu Aethelflaed, ale teraz miałem wrażenie, że są liczniejsi niż zwykle. Wtedy przypomniałem sobie, że święto Eostre przypada za kilka dni, a wtedy będziemy mieli okazję uczestniczyć w konsekracji skromnego, wiecznie uśmiechniętego Leofstana.

– I co z tym zrobimy? – burknęła Aethelflaed.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem. – Nie jestem chrześcijaninem. Pewnie zaciągniesz nieboraka do kościoła, usadzisz go na tronie, a wszystko to przy akompaniamencie zwykłej w takich okolicznościach kocie muzyki.

– O czym ty mówisz?

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego potrzebny jest nam biskup. Już mamy wystarczająco dużo niepotrzebnych gąb do wykarmienia, a ten nieszczęśnik sprowadził nam do miasta połowę kalek z całej Mercji.

– Co zrobimy z Ragnallem!

– A, z nim! – odparłem, udając zaskoczenie. – Nic, oczywiście.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Nic?

– Chyba że masz jakiś pomysł? Ja nie mam.

– Dobry Boże! – wyrzuciła z siebie i zadrżała pod wpływem uderzenia wiatru, który przyniósł ze sobą strugę deszczu. – Porozmawiamy w auli. Przyrowadź Finana.

– Finan przeprowadza patrol – odparłem.

– Bogu dzięki, że ktokolwiek coś tu robi – warknęła i ruszyła energicznie w stronę halli, imponującego rzymskiego budynku w centrum miasta.

Księża pobiegli za nią truchtem, zostawiając mnie z dwoma bliskimi przyjaciółmi, którzy przybyli z Aethelflaed z północy. Jednym z nich był Osferth, jej przyrodni brat i bękart króla Alfreda. Przez lata uważano go za syna z nieprawego łoża. Przez wiele lat był moim wasalem i jednym z najlepszych dowódców, ale dołączył do dworu Aethelflaed jako jej doradca.

– Nie powinieneś się z nią drażnić – zganił mnie surowo.

– Bo jest w kiepskim nastroju – wyjaśnił z uśmiechem Merewalh, zsiadając z konia. Był dowódcą jej przybocznych wojowników i należał do najbardziej niezawodnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Tupnął kilkakrotnie, przeciągnął się i klepnął wierzchowca po szyi. – Zwyczajnie jest nie w sosie.

– Dlaczego? Z powodu Ragnalla?

– Dlatego, że przynajmniej połowa gości zaproszonych na intronizację Leofstana odmówiła przyjazdu – odparł posępnie Osferth.

– Ci durnie się wystraszyli?

– To nie są durnie, lecz szacowni ludzie Kościoła – odrzekł cierpliwie. – Obiecaliśmy im wspaniałe święta wielkanocne i okazję do radosnego spotkania, a okazało się, że mamy tu wojnę. Trudno się spodziewać, żeby osoby takie jak Wulfheard ryzykowały dostanie się do niewoli! Ragnall Ivarson znany jest z bestialskiego okrucieństwa.



– Dziewczęta z karczmy Pod Snopem Pszenicy ucieszą się, że Wulfheard został w Gleawecestre – powiedziałem.

Osferth westchnął ciężko i ruszył za Aethelflaed. Pod Snopem Pszenicy to przednia gospoda, gdzie pracowały doskonale dziwki, które w większości dzieliły biskupie łoże za każdym razem, gdy jego żona wyjeżdżała. Merewalh znów się do mnie uśmiechnął.

– Dzisiaj nie powinieneś też drażnić się z Osferthem.

– Coraz bardziej przypomina ojca – zauważyłem.

– To dobry człowiek!

– Racja – przyznałem.

Lubiłem Osfertha mimo jego powagi i krytycyzmu. Uważał, że jest przeklęty z powodu swego nieprawego pochodzenia, i próbował pokonać klątwę, prowadząc nienaganne życie. Był dobrym wojownikiem, odważnym i ostrożnym. Nie miałem też wątpliwości, że doskonale wywiązywał się z roli doradcy swej przyrodniej siostry, z którą łączyła go głęboka pobożność.

– A zatem Aethelflaed... – zacząłem, ruszając z Merewalhem w stronę halli – jest zła, bo banda biskupów i mnichów nie mogła przyjechać na uroczystość intronizacji Leofstana na biskupa?

– Jest zła, bo zależy jej na Ceasterze i Brunanburhu – wyjaśnił Merewalh. – Uważa te miasta za swoje zdobycze i nie jest zadowolona z tego, że poganie im zagrażają. – Nagle się zatrzymał i zmarszczył brwi. Wyraz dezaprobaty nie był skierowany do mnie, tylko do młodego ciemnowłosego mężczyzny, który minął nas cwałem, a jego ogier rozpryskał kopytami błoto i wodę z kałuż.

Młodzieniec nagle zatrzymał wierzchowca i zeskoczył z siodła, zostawiając spoconego konia służącemu. Był owinięty czarną peleryną, kiwnął niedbale głową w stronę Merewalha i ruszył w stronę halli.

– Kto to jest? – zapytałem.

– Cynlaef Haraldson – odparł krótko Merewalh.

– Jeden z twoich ludzi?

– Jeden z jej ludzi.

– Kochanek Aethelflaed? – zapytałem ze zdumieniem.

– Na Boga, nie! Chyba kochanek jej córki, choć ona udaje, że nic o tym nie wie.

– Kochanek Aelfwynn! – W moim głosie nadal pobrzmiwało zdziwienie, ale prawdę powiedziawszy, bardziej byłbym zaskoczony, gdyby Aelfwynn nikogo nie miała.

Była ładną i niestałą dziewczyną, która powinna wyjść za mąż już przed trzema albo czterema laty, z jakiegoś powodu jej matce nie udało się jednak znaleźć dla niej odpowiedniego kandydata. Swego czasu wszyscy uważali, że Aelfwynn poślubi mojego syna, ale ten plan nie wzbudził entuzjazmu dziewczyny, a słowa Merewalha sugerowały, że raczej nie ma na to szans.

– Nie zdziw się, jeśli się niedługo pobiorą – powiedział kwaśno.

Ogier Cynlaefa parsknął, kiedy służący prowadził go koło mnie, i zauważyłem, że zwierzę ma wypalone na zadzie wielkie piętno w kształcie liter C i H.

– Czy on to robi wszystkim swoim koniom?

– Piętnuje także psy. Biedna Aelfwynn, pewnie też skończy z jego imieniem wypalonym na tyłku.

Przyglądałem się Cynlaefowi, który zatrzymał się między ogromnymi filarami ozdabiającymi front halli i wydawał rozkazy dwóm służącym. Był młodym, przystojnym mężczyzną o pociągłej twarzy i ciemnych oczach. Miał na sobie kosztowną kolczugę, rzucający się w oczy pas rycerski, z którego zwisała pochwa z czerwonej skóry nabijanej złotymi ćwiekami. Rozpoznałem tę pochwę. Należała kiedyś do lorda Aethelreda, męża

Aethelflaed. Hojny prezent – pomyślałem. Chłopak zauważył, że mu się przyglądam, i skłonił się w moją stronę, po czym odwrócił się i zniknął w olbrzymich rzymskich drzwiach.

– Skąd pochodzi? – zapytałem.

– Jest Sasem zachodnim. Był wojownikiem króla Edwarda, ale kiedy poznał Aelfwynn, przeniósł się do Gleawecestre. – Zamilkł i uśmiechnął się krzywo. – Nie wydaje się, aby Edward zbyt przejął się jego odejściem.

– Szlachetnie urodzony?

– Syn tana – odparł lekceważąco. – Ale jej wydaje się, że słońce świeci mu z dupy.

Roześmiałem się.

– Nie lubisz go.

– To bezużyteczny, zarozumiały wypierdek, ale pani Aethelflaed jest innego zdania.

– Potrafi posługiwać się bronią?

– Dość dobrze – odparł niechętnie Merewalh. – Nie jest tchórzem i ma ambicję.

– To nie najgorzej – zauważyłem.

– Owszem, jak na kogoś, kto chce mnie wygryźć.

– Nie zajmie twojego miejsca – powiedziałem bez wahania.

– Nie bądź taki pewny – odrzekł posępnie.

Poszliśmy za Cynlaefem do halli. Aethelflaed siedziała na krześle za wysokim stołem, Cynlaef zasiadł na taborecie po jej prawej stronie, a Osferth po lewej. Pani Mercji dawała znaki, że Merewalh i ja powinniśmy do nich dołączyć. Palenisko na środku sali dymiło, a wiatr wpadający przez otwór w dachu rzymskiej budowli roznosił gęsty dym po całym pomieszczeniu. Do środka powoli napływali ludzie. Wielu z tych, którzy

nie wyruszyli z Finanem i nie strzegli murów, przybyło, aby posłuchać wieści przywiezionych przez Aethelflaed. Posłałem po Aethelstana, któremu rozkazano dołączyć do nas przy wysokim stole, gdzie zasiedli również mnisi bliźniacy – Ceolnoth i Ceolberht. Wojownicy Aethelflaed wypełniali resztę halli, kiedy słudzy przynosili wodę i nakrycia, żeby nowi goście przy wysokim stole mogli umyć ręce. Inni służący podawali ale, chleb i ser.

– A więc co się tu dziś wydarzyło? – zapytała Aethelflaed, kiedy nalano piwa do pucharów.

Pozwoliłem Aethelstanowi opowiedzieć o zniszczeniu łodzi w Brunanburhu. Chłopak był zakłopotany, relacjonując sytuację, miał uczucie, że zawiódł ciotkę brakiem odwagi. Mimo to przedstawił wszystko w sposób jasny i nie próbował uchylać się od odpowiedzialności. Byłem z niego dumny, a Aethelflaed potraktowała go łagodnie, stwierdzając, że nikt nie mógł przewidzieć, że tej nocy wrogie okręty wpłyną na Maerse.

– Dlaczego jednak nie ostrzeżono nas, że Ragnall nadchodzi? – zapytała ostro.

Nikt jej nie odpowiedział. Ojciec Ceolnoth zaczął coś mówić, patrząc na mnie, ale po chwili zamilkł. Aethelflaed zrozumiała, co chciał przekazać, i spojrzała na mnie.

– Twoja córka wyszła za syna Ragnalla – stwierdziła z dezaprobatą.

– Sigtryggr nie wsparł brata – odparłem. – Zakładam więc, że nie pochwała tego, co robi Ragnall.

– Ale musiał znać jego plany, prawda?

Zawahałem się, a po chwili przyznałem:

– Tak.

Trudno było sobie wyobrazić, żeby Sigtryggr i Stiorra nie zostali wtajemniczeni w jego plany, a ja mogłem tylko się domyślać, że nie chcieli

mnie ostrzec. Może moja córka teraz pragnęła, aby w Brytanii zapanowało pogaństwo, jeśli jednak tak było, dlaczego Sigtryggr nie dołączył do najazdu?

– A twój zięć nie wysłał ostrzeżenia? – zapytała oskarżycielsko Aethelflaed.

– Może to zrobił, ale Morze Irlandzkie jest zdradzieckie – odparłem. – Może jego wysłannik się rozbił.

To nieprzekonujące wyjaśnienie zostało przyjęte przez ojca Ceolnotha szyderyczym parsknięciem.

– Może twoja córka wołała... – zaczął, ale Aethelflaed przerwała mu w pół zdania.

– Zwykle polegamy na wiadomościach przesyłanych nam przez irlandzki Kościół – powiedziała cierpko. – Czy zerwałeś korespondencję z tamtejszymi klerykami i zakonnikami?

Obserwowałem jej reakcje na niezdarne wyjaśnienia mnicha. Aethelflaed była najstarszą córką króla Alfreda, najbystrzejszą z jego liczного potomstwa. Jako dziecko była spostrzegawcza, wesoła i roześmiana. Wyrosła na piękność o jasnozłoty włosach i błękitnych oczach. Małżeństwo z Aethelredem, władcą Mercji, odcisnęło jednak piętno na jej twarzy. Jego śmierć uwolniła ją od wielu trosk, ale zasiadła na tronie i rządy przysporzyły jej pasm siwych włosów. Z pięknej kobiety zmieniła się w przystojną. Jej twarz stała się surowa, szczupła, a nawet nabrała wyrazu podejrzliwości. Niektórzy mężczyźni nadal byli bowiem przekonani, że kobiety nie powinny sprawować rządów, choć większość kochała ją i chętnie za nią podążała. Aethelflaed odziedziczyła po ojcu inteligencję, a także jego pobożność. Wiedziałem, że jest pełna religijnej pasji, ale z wiekiem stała się jeszcze bardziej zależna od księży, aby mieć pewność, że ukrzyżowany bóg chrześcijan będzie po jej stronie. I może tak

było w istocie, bo jej panowanie okazało się pasmem sukcesów. Wyparliśmy Duńczyków, odzyskaliśmy niegdyś należące do Mercji ziemie, ale teraz przybył Ragnall i zagroził wszystkiemu, co osiągnęła.

– To nie przypadek, że przybył w czasie Wielkanocy – powiedział z naciskiem Ceolnoth.

Ani ja, ani Aethelflaed nie rozumieliśmy, jakie to ma znaczenie.

– Dlaczego, ojcze? – zapytała.

– Odzyskujemy ziemie i budujemy burhy, żeby je chronić, polegamy na wojownikach, mających strzec tych grodów. – Temu ostatniemu twierdzeniu towarzyszyło krótkie, mściwe spojrzenie w moją stronę. – Ziemia jednak nie jest bezpieczna dopóty, dopóki Kościół nie umieści dłoni Bożego nadzorcy. Jak ujął to psalmista: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego”\*\*\*\*.

– Beee – odparłem i w nagrodę zostałem zgromiony wzrokiem przez Aethelflaed.

– A zatem uważasz – powiedziała, ostentacyjnie nie zwracając na mnie uwagi – że Ragnall nie chciał doprowadzić do wyświęcenia biskupa?

– Właśnie dlatego przybył teraz – stwierdził Ceolnoth. – I dlatego musimy pokrzyżować mu szyki poprzez intronizację Leofstana!

– Myślisz, że zaatakuje Ceaster? – zapytała Aethelflaed.

– A z jakiegoż innego powodu by tu przyjeżdżał? – odparł gorączkowo Ceolnoth. – Przyproceedził ze sobą tysiąc pogan, żeby nas zniszczyć.

– Obecnie dwa tysiące – poprawiłem go. – Są wśród nich chrześcijanie.

– Chrześcijanie? – zapytała ostro Aethelflaed.

– Ma Irlandczyków w swojej armii – przypomniałem jej.

– Dwa tysiące pogan? – odezwał się po raz pierwszy Cynlaef.

Zignorowałem go. Jeśli chciał, żebym mu odpowiedział, musiał być uprzejmiejszy. Zadał jednak sensowne pytanie i Aethelflaed też chciała usłyszeć odpowiedź.

– Dwa tysiące? Jesteś pewny, że ma tak liczne wojska? – zapytała.

Wstałem i obszedłem stół, tak żeby znaleźć się naprzeciw podestu.

– Ragnall przybył z ponad tysiącem wojowników – stwierdziłem. – I wykorzystał ich do zajęcia Eads Byrig. Co najmniej kolejny tysiąc dołączył do niego do tego czasu, przybywając morzem albo przez Northumbrię, drogami z południa. Jego siły rosną. Ani jedna krowa nie została zrabowana w Mercji, ani jedno dziecko nie zostało zmienione w niewolnika. Nie spalił nawet jednego wiejskiego kościoła! Nie wysłał zwiadowców w pobliże Ceasteru. Ignoruje nas.

– Dwa tysiące? – Aethelflaed znów powtórzyła pytanie zadane przez Cynlaefa.

– Zamiast tego buduje most na Maerse, a jego ludzie wyruszyli na północ. Co znajduje się na północy? – Pozwoliłem, żeby słowa zawisły w zadymionej halli.

– Northumbria – powiedział ktoś uczynnie.

– Ludzie! – zawołałem. – Duńczycy! Norwegowie. Ludzie, którzy mają ziemię i obawiają się, że im ją odbierzemy. Ludzie, którzy nie mają żadnego króla, o ile nie weźmiemy pod uwagę tego słabeusza w Eoferwicu. Ludzie, moja pani, szukający przywódcy, który zapewni im bezpieczeństwo. Ragnall rekrutuje wojowników z Northumbrii, a więc tak, jego wojska codziennie stają się silniejsze.

– Wszyscy stacjonują w Eads Byrig? – zapytała Aethelflaed.

– Trzy, może cztery tysiące. Tam nie ma wystarczająco dużo wody, reszta obozuje nad Maerse, w pobliżu miejsca, gdzie Ragnall wybudował

most z łodzi. Myślę, że właśnie tam zbiera armię i do przyszłego tygodnia będzie miał trzy tysiące wojowników.

Księża się przeżegnali, słysząc te słowa.

– Jak, w imię Boga, damy sobie radę z taką hordą? – zapytał cicho Ceolberht.

– Ragnall – ciągnąłem, zwracając się bezpośrednio do Aethelflaed – dowodzi największą armią stacjonującą w Brytanii od czasów twojego ojca i z każdym dniem jego wojska będą liczniejsze.

– Musimy zaufać Panu! – odezwał się po raz pierwszy ojciec Leofstan. – A także lordowi Uhtredowi! – dodał chytrze.

Aethelflaed zaprosiła biskupa elekta na podium, ale on wolał zostać przy niższym stole. Posłał mi uśmiech, a później z dezaprobatą pokiwał palcem.

– Próbujesz nas nastraszyć, lordzie Uhtredzie!

– Jarl Ragnall jest przerażającym człowiekiem – odparłem.

– Ale my mamy ciebie, a ty rozgromisz tych pogan.

– Sam jestem poganinem.

Zaśmiał się, słysząc moje słowa.

– Pan Bóg nam dopomoże!

– Może więc ktoś mi wyjaśni – zwróciłem się do wysokiego stołu – jak pan bóg pomoże nam pokonać Ragnalla.

– Co do tej pory zostało zrobione? – zapytała Aethelflaed.

– Zwołałem fyrd i wysyłałem ludność potrzebującą schronienia do burhów – odpowiedziałem. – Pogłębiliśmy tutejszą fosę, zaostrzyliśmy pale, zgromadziliśmy kamienie na murach, wypełniliśmy magazyny. Posłałem też zwiadowcę do lasu, żeby przeprowadził rekonesans w obozie wroga i w Eads Byrig.



– Teraz więc pora rozgromić Ragnalla! – zawołał z entuzjazmem Ceolnoth.

– Czy ktoś może wytłumaczyć temu zaślinionemu durniowi, dlaczego nie możemy podjąć walki z Ragnallem? – wypaliłem.

Ciszę w końcu przerwał Sihtric.

– Bo chronią go obwałowania Eads Byrig.

– Ale nie wojska nad rzeką! – zauważył Ceolnoth. – Te siły nie są chronione.

– Tego nie wiemy – odparłem. – Dlatego właśnie posłałem zwiadowcę do lasu. Ale nawet jeśli nie wzniesli palisady, chroni ich puszcza. Jeżeli poprowadzimy wojska do lasu, znajdziemy się w pułapce.

– Możesz przekroczyć rzekę na wschodzie. – Ojciec Ceolnoth postanowił udzielić mi porady strategicznej. – I zaatakować most od północy.

– A po cóż miałbym to robić, ty zramolały durniu? – zapytałem. – Ja potrzebuję tego mostu! Jeśli zniszczę most, uwięzę trzy tysiące Norwegów w samym środku Mercji, a chcę się ich pozbyć! Chcę, żeby te łajdaki przeszły na drugi brzeg rzeki. – Zamilkłem, a później zdecydowałem się powiedzieć to, co podpowiadała mi intuicja. W skrytości ducha żywiłem nadzieję, że Beadwulf potwierdzi te moje przypuszczenia. – Co więcej, oni też tego chcą.

Aethelflaed zmarszczyła brwi i zapytała z niedowierzaniem:

– Chcą znaleźć się na drugim brzegu rzeki?

Ceolnoth mamrotał coś o bezsensie tego pomysłu, ale Cynlaef zrozumiał, do czego zmierzam.

– Lord Uhtred – odezwał się, wymawiając moje imię z szacunkiem – uważa, że Ragnall w rzeczywistości zamierza najechać Northumbrię. Chce zostać królem.

– A zatem dlaczego jest tutaj? – zapytał płaczącym głosem Ceolberht.  
– Żeby Northumbryjczycy myśleli, że zamierza podbić te ziemie – wyjaśnił Cynlaef. – Wprowadza w błąd swoich pogańskich wrogów. Ragnall nie zamierza najeżdżać Mercji...

– Jeszcze nie – powiedziałem z naciskiem.

– Chce zostać królem Północy – dokończył myśl Cynlaef.

Aethelflaed spojrzała na mnie.

– Czy on ma rację?

– Myślę, że tak – odparłem.

– A więc Ragnall nie podejdzie pod Ceaster?

– Wie, co zrobiłem tu jego bratu.

Leofstan spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Jego bratu?

– Sigtryggr zaatakował Ceaster, a my wycięliśmy w pień jego ludzi. Ja wyłupiłem mu oko – wyjaśniłem księdzu.

– A on ożenił się z twoją córką! – Ceolnoth nie mógł darować sobie tej uwagi.

– Przynajmniej ma ją kto wychędożyć – powiedziałem, nie spuszczać wzroku z Leofstana. – Odwróciłem się do Aethelflaed. – Ragnall nie ma zamiaru zaatakować Ceasteru – zapewniłem ją. – Nie w ciągu roku czy dwóch lat. Pewnego dnia? Tak, jeśli będzie miał okazję. Ale nie teraz. A zatem nie, nie podejdzie pod mury – powiedziałem stanowczo, żeby ją uspokoić.

A on zjawił się nazajutrz.

Norwegowie nadeszli spod lasu w sześciu potężnych falach. Nadal nie mieli wystarczająco dużo koni, więc wielu wojowników poruszało się

pieszo, ale wszyscy mieli ze sobą kolczugi, hełmy, tarcze i broń. Wyłonili się spośród odległych drzew pod chorągwiami opatrzonymi godłami z orłami, toporami, smokami, krukami, łodziami i piorunami. Na niektórych flagach widniały chrześcijańskie krzyże, i te – jak się domyśliłem – należały do Irlandczyków Conalla, jedna zaś oznaczona była prostym godłem Haestena: ludzką czaszką nabitą na pal. Największy proporzec ozdobiono krwistoczerwonym toporem Ragnalla i powiewał na wicherze ponad grupą jeźdźców, którzy szli na przedzie wielkiej hordy ludzi powoli ustawiających się w potężny szereg bojowy naprzeciw wschodniego muru Ceasteru. Od strony nieprzyjacielskich oddziałów dotarł do nas dźwięk rogu, jakby obawiali się, że można nie zauważyć ich pochodu.

Finan zdążył wrócić, żeby ostrzec mnie, że zauważył poruszenie w lesie. Dołączył do mnie i mojego syna na murach, skąd obserwowaliśmy olbrzymią armię wyłaniającą się spomiędzy odległych drzew i tworzącą na otwartej równinie szereg o długości pół mili.

– Nie mają ze sobą drabin – zauważyłem.

– W każdym razie żadnej nie widzę.

– Poganie są potężni! – Ojciec Leofstan również wszedł na mury i wołał do nas z odległości kilku kroków. – Ale my zwyciężymy! Czyż nie, panie Uhtredzie?!

Nie zwróciłem na niego uwagi.

– Nie mają drabin – powiedziałem do Finana. – A więc to nie jest szturm.

– A jednak to imponujący widok – zauważył mój syn, patrząc na potężną armię. Odwrócił się na dźwięk słabego pisku dochodzącego ze stopni prowadzących na mury.

To była żona ojca Leofstana, a przynajmniej zawiniątko z peleryn, sukien i kapturów przypominające to, z którym przyjechał.

– Gomer, najdroższa! – zawołał ojciec Leofstan i pospieszył pomóc tobołkowi wejść na strome stopnie. – Ostrożnie, aniołku, ostrożnie!

– Ożenił się z gnomem.

Roześmiałem się. Leofstan był taki wysoki, a tobołek malutki, opatulony w suknie i rzeczywiście przypominał małego, pulchnego gnoma. Gomer wyciągnęła rękę, a jej mąż pomógł jej pokonać ostatnie wytarte stopnie. Pisnęła z ulgą, dotarłszy na szczyt, po czym westchnęła na widok armii Ragnalla, która właśnie szła przez rzymskie cmentarzysko. Stała obok męża, a jej głowa ledwie sięgała jego pasa. Uczepiła się jego sutanny, jakby obawiała się, że spadnie z muru. Chciałem zobaczyć jej twarz, ale była dobrze ukryta pod ogromnym kapturem.

– Czy to są poganie? – zapytała słabym głosem.

– Zachowaj ufność, najdroższa – odrzekł radośnie ojciec Leofstan. – Bóg zesłał nam pana Uhtreda, a Bóg raczy zesłać nam zwycięstwo.– Uniósł szeroką twarz ku niebu, wyciągnął ręce i powiedział: – Wylej gniew swój na narody, o Panie! – zaczął się modlić. – „Mówi do nich w swoim gniewie i w swej zapalczywości ich trwoży”\*\*\*\*\*!

– Amen – pisnęła jego żona.

– Biedactwo – powiedział cicho Finan, patrząc na nią. – Pod tymi wszystkimi ubraniami najpewniej ukrywa szpetotę ropuchy. Pewnie mu ulżyło, że nie musi jej chędożyć.

– Może to jej ulżyło – zauważyłem.

– Może jest piękna – dodał rozmarzonym tonem mój syn.

– Stawiam dwa srebrne szylingi, że wygląda jak ropucha – odparł Finan.

– Zgoda! – rzucił Uhtred, wyciągając rękę, żeby przybić zakład.

– Och, nie bądźcie takimi cholernymi głupcami – burknąłem. – Mam wystarczająco dużo kłopotów z tym przeklętym klerem, nie musicie

dodatkowo chędożyć żony biskupa.

– Jego gnoma, chciałeś powiedzieć – zauważył mój syn.

– Po prostu trzymajcie brudne łapska przy sobie! – nakazałem im, po czym odwróciłem się i ujrzałem jedenastu jeźdźców pędzących na czele potężnego muru tarcz. Nadjeżdżali pod trzema chorągwiami i zbliżali się do murów. – Pora się ruszyć – powiedziałem.

Nadszedł czas, by spotkać się z wrogiem.

---

\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Mi 1, 9.

\*\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Mt 25, 35–36.

\*\*\* Zob. Biblia gdańska, Ps 91, 7.

\*\*\*\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Ps 23, 1.

\*\*\*\*\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Ps 2, 5.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nasze wierzchowce czekały na ulicy. Godric, mój służący, trzymał mój wspaniały, zwieńczony figurką wilka hełm, świeżo pomalowaną tarczę i płaszcz ze skóry niedźwiedzia. Kiedy dosiadałem konia, mój chorąży potrząsał olbrzymią flagą opatrzoną wilczym łbem. Miałem nowego, czarnego jak noc, rosłego i dzikiego ogiera imieniem Tintreg, co znaczy tyle co „udręka”. Dostałem go od starego przyjaciela Steapy, który przed wycofaniem się do włości w Wiltunscirze był dowódcą przybocznych oddziałów króla Edwarda. Tintreg, podobnie jak Steapa, był wytrenowany do walki i narowisty. Lubiłem go.

Aethelflaed czekała już przy bramie północnej. Dosiadła Gast, swojej siwej klaczy, a pod białym jak śnieg płaszczem miała wypolerowaną kolczugę. Towarzyszyli jej Merewalh, Osferth, Cynlaef oraz ojciec Fraomar, jej spowiednik i kapelan.

– Ilu ludzi nadjeżdża od pogan? – zapytała Aethelflaed.

– Jedenastu.

– Przyrowadź jeszcze kogoś – poleciła Merewalhowi.

Ów dodatkowy człowiek razem z naszymi chorążymi oraz towarzyszącymi mi Uhtredem i Finanem miał sprawić, żeby nasza grupa dorównywała liczebnością wysłannikom Ragnalla.

– Przyrowadź księcia Aethelstana! – powiedziałem do Merewalha.

Merewalh spojrział na Aethelflaed, a ona kiwnęła głową.

– Powiedz mu, żeby się pospieszył – rzuciła krótko.

– Niech dranie poczekają – warknąłem, ale Aethelflaed zignorowała moje słowa.

Aethelstan był gotowy do bitwy, miał na sobie kolczugę i hełm, więc czekaliśmy tylko na osiodłanie jego konia. Uśmiechnął się do mnie, dosiadając wierzchowca, po czym złożył ciotce pełen szacunku ukłon.

– Dziękuję, moja pani!

– Zamilcz – nakazała mu Aethelflaed, a następnie zawołała: – Otwórzcie bramę!

Podczas rozwierania się olbrzymie wrota skrzypiały, piszczały i szurały. Ludzie nadal wchodzili na kamienne schody prowadzące na mury, gdy nasi dwaj chorążowie ruszyli przodem przez długi tunel budynku bramnego. Na sztandarach uniesionych ku słabemu wiosennemu słońcu widniały trzymająca krzyż gęś Aethelflaed i mój łeb wilka. Kiedy przejeżdżaliśmy przez most nad fosą, rozbrzmiały uderzenia końskich kopyt o drewniane belki. Po chwili spięliśmy wierzchowce ostrogami i ruszyliśmy w stronę Ragnalla i jego towarzyszy, którzy zatrzymali się w odległości jakichś trzystu jardów.

– Twoja obecność nie jest konieczna – powiedziałem Aethelflaed.

– Dlaczego?

– Bo spotkają nas tylko obelgi.

– Myślisz, że obawiam się słów?

– Myślę, że będzie cię znieważał i spróbuje cię obrazić. A jego zwycięstwem będzie twój wybuch gniewu.

– Pismo Święte uczy, że głupiec mnoży słowa\* – odezwał się ojciec Fraomar. Był to uprzejmy, dość młody mężczyzna, bardzo lojalny wobec Aethelflaed. – Pozwólmy więc nieszczęśnikowi mówić i obnażyć jego głupotę.

Obróciłem się w siodle, żeby popatrzeć na obwarowania Ceasteru. Całą długość fortyfikacji gęsto obsadziliśmy wojownikami, a w grotach ich włócznie odbijały się promienie słoneczne. Pogłębiliśmy fosę, wbiliśmy nowe, zastrzone pale, a mury były obwieszane proporcami, w większości ukazującymi chrześcijańskich świętych. Warownia wygląda imponująco – pomyślałem.

– Jest głupcem, jeśli spróbuje przeprowadzić szturm – stwierdziłem.

– Czemu więc tu przyjechał? – zapytała Aethelflaed.

– Dziś rano? Żeby nas przerazić, obrzucić obelgami i sprowokować.

– Chcę go zobaczyć, chcę się przekonać, jakim jest człowiekiem – oświadczyła.

– Niebezpiecznym – odparłem.

Zacząłem się zastanawiać, ile to już razy w wojennej chwale spotykałem się z nieprzyjacielem przed bitwą. Dla mnie ten rytuał nic nie znaczył, niczego nie zmieniał i o niczym nie decydował, ale Aethelflaed najwyraźniej była ciekawa wroga, więc spełniliśmy wolę Ragnalla i stawiliśmy się, by mógł obrzucić nas obelgami.

Zatrzymaliśmy się kilka kroków od Norwegów. Mieli ze sobą trzy chorągwie. Pośrodku chorążowie dzierżyli największą, opatrzoną czerwonym toporem flagę Ragnalla, z jednej jej strony znajdował się sztandar ozdobiony statkiem płynącym przez morze krwi, z drugiej należąca do Haestena chorągiew z czaszką wbitą na pal. Haesten siedział na koniu pod swoim proporcem i szczyrzył się do mnie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Postarzał się, ale ja zapewne też. Jego hełm był ozdobiony srebrem i wieńczyły go krucze skrzydła. Najwyraźniej doskonale się bawił, w przeciwieństwie do mężczyzny, którego godło stanowiła łódź na morzu krwi. Był to starszy człowiek o szczupłej twarzy, siwej brodzie i szramie biegnącej przez jedną stronę twarzy. Miał doskonały hełm, który osłaniał



jego policzki i był ozdobiony końskim ogonem, kaskadami spływającym po plecach wojownika. Dzwon hełmu otaczała złota obręcz – królewski symbol. Na jego kolczudze widniał złoty krzyż wysadzany bursztynami, co wskazywało, że jest jedynym chrześcijaninem wśród wrogów, którym wyjechaliśmy naprzeciw, wyróżniał się też morderczym spojrzeniem rzucałym Finanowi. Spojrzałem na przyjaciela i dostrzegłem, że jego twarz również stężała od gniewu. Pomyślałem więc, że mężczyzna w zdobnym hełmie musi być Conallem, bratem Finana. W powietrzu wyczuwało się ich wzajemną nienawiść. Wystarczyło jedno słowo, aby wyciągnęli przeciwko sobie miecze.

– Karły! – przerwał ciszę ogromny mężczyzna pod flagą z czerwonym toporem i ścisnął piętami rosłego ogiera, żeby się do nas zbliżyć.

To był Ragnall Ivarson, Król Morza, pan wysp, a może przyszły władca Brytanii. Miał skórzane spodnie wpuszczone w wysokie buty ozdobione złotymi płytkami, takimi samymi złotymi blaszkami udekorowany został jego pas rycerski, z którego zwisał monstrualny miecz. Nie założył ani kolczugi, ani hełmu, wystąpił z nagim torsem przepasanym dwoma skórzanymi rzemieniami, pod którymi rysowały się mięśnie. Pod owłosieniem ciała można było zobaczyć wytatuowane tuszem na skórze orły, węże, smoki i topory – wijące się od brzucha po szyję otoczoną złotym łańcuchem. Ramiona miał ozdobione srebrnymi i złotymi bransoletami zdobytymi podczas podbojów, a w jego długie brązowe włosy wplecione były złote pierścienie. Miał szeroką, srogą i ponurą twarz, na jego czole widniał wytatuowany orzeł, którego skrzydła i szpony sięgały kości policzkowych.

– Karły – warknął ponownie. – Przyjechaliście, żeby poddać miasto?

– Masz nam coś do powiedzenia? – zapytała Aethelflaed.

– Czy to kobieta w kolczudze? – Ragnall zwrócił się do mnie może dlatego, że byłem najroślejszym mężczyzną w naszym oddziale, a może dlatego, że miałem najlepsze uzbrojenie. – Wiele widziałem – powiedział do mnie tonem konwersacji. – Widziałem dziwne lśnienie na północnym niebie, owce wciągane przez leje wodne, góry lodowe dryfujące po morzu, wieloryby roztrzaskujące statki na pół, ogień spływający ze zboczy góry jak wymiociny, ale nigdy jeszcze nie widziałem kobiety w kolczudze. Czy to jest stworzenie, które ponoć włada Mercją?

– Pani Aethelflaed zadała ci pytanie – odparłem.

Ragnall spojrział na nią. Lekko uniósł się w siodle i głośno, długo pierdnął.

– Oto i odpowiedź – rzekł widocznie rozbawiony i usiadł.

Aethelflaed musiała okazać niesmak, bo wybuchnął śmiechem.

– Mówiono nam, że władczyni Mercji jest piękną kobietą. Czy to jest jej babka?

– To jest kobieta, która nada ci kawałek swojej ziemi wielkości grobu – odparłem.

Słaba to była odpowiedź, ale nie chciałem wymieniać zniewagi za zniewagę. Zbyt dobrze byłem świadom nienawiści między Finanem a Conallem i obawiałem się, że może dojść do bójki.

– Więc to jest ta władczyni! – zakpił Ragnall. Wzdrygnął się w udawanym przerażeniu. – Jakże ona szpetna!

– Słyszałem, że żadna świnia, koza ani suka nie mogą czuć się przy tobie bezpieczne – powiedziałem rozwścieczony. – Cóż więc możesz wiedzieć o urodzie?

Nie zwrócił uwagi na moje słowa.

– Szpetna! – powtórzył. – Ale dowodzę mężczyznami, którzy nie dbają o to, jak wygląda kobieta. Oni twierdzą, że stare, znoszone buty są

wygodniejsze. – Wskazał głową na Aethelflaed. – A ona wygląda na starą i przechodzoną, pomyśl więc, z jaką radością ją wykorzystają. Może zresztą ona też znajdzie w tym jakąś przyjemność? – Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał jakiejś odpowiedzi.

– Pierdzisz z większym sensem – powiedziałem.

– A ty musisz być lordem Uhtredem – odparł. – Słynnym lordem Uhtredem! – Nagle wstrząsnął nim dreszcz. – Zabiłeś jednego z moich ludzi, lordzie Uhtredzie.

– Pierwszego z wielu.

– Otherego Hardgersona – wypowiedział powoli imię wojownika. – Pomszczę go.

– Pójdiesz w jego ślady.

Pokręcił głową, a złote pierścienie cicho zabręczały.

– Lubiłem go. Dobrze grał w kości i miał mocną głowę.

– Nie umiał posługiwać się mieczem – odrzekłem. – Może uczył się od ciebie?

– Za miesiąc, lordzie Uhtredzie, będę pił mercyjskie ale z twojej czaszki. Moje żony będą używały twoich kości do mieszania w zupie, a dzieci będą bawiły się kosteczkami z twoich palców u nóg.

– Twój brat tak samo się przechwalał – odpowiedziałem. – A plamy krwi jego ludzi nadal są widoczne na naszych ulicach. Jego prawe oko rzuciłem psom, ale nie chciały go tknąć, tak cuchnęło.

Roześmiał się.

– Bogowie uwielbiają mój smród, rozkoszują się nim! Bogowie mnie kochają! I bogowie dadzą mi tę ziemię. A zatem – wskazał na Ceaster – kto dowodzi tym miejscem?

– Pani Aethelflaed – odparłem.

Ragnall popatrzył po swoich towarzyszach.

– Lord Uhtred raczy żartować! Twierdzi, że kobieta dowodzi wojownikami!

Jego ludzie posłusznie się roześmiali, wszyscy z wyjątkiem Conalla, który nadal z wrogością wpatrywał się w brata. Ragnall spojrzał na mnie.

– Czy wszyscy kucacie przy sikaniu?

– Jeśli nie ma nic ważnego do powiedzenia – odezwała się Aethelflaed, w której głosie pobrzmiwała złość – wracamy do miasta. – I niepotrzebnie mocno szarpnęła cugłami Gast.

– Uciekacie? – zadrwił Ragnall. – A ja przyjechałem, pani, z darem. Z darem i obietnicą.

– Obietnicą? – zapytałem.

Aethelflaed zawróciła klacz, żeby posłuchać.

– Opuśćcie miasto do jutra rana, a ja okażę łaskę i oszczędzę wasze nędzne życie.

– A jeśli tego nie zrobimy? – zapytał Aethelstan. Powiedział to wyzywającym tonem, który ściągnął na niego gniewne spojrzenie Aethelflaed.

– Szczeniaczek ujada – zauważył Ragnall. – Jeśli nie opuście warowni, chłopczyku, moi ludzie przeleją się przez wasze mury niczym bałwany gnane wichrem. Wasze dziewczęta będą zapewniać mi rozkosze, wasze dzieci staną się moimi niewolnikami, a wasza broń moimi zabawkami. Wasze ciała zgniją, wasze kościoły spłoną, a wasze wdowy będą opłakiwać śmierć mężów. – Zamilkł i wskazał na swój sztandar. – Możecie wziąć tę chorągiew i zatknąć ją na murach miasta. Wtedy będę wiedział, że opuszczacie warownię.

– Wezmę twoją flagę i użyję jej do wytarcia sobie dupy – odparłem.

– Będzie prościej, jeśli opuścicie warownię – powiedział do mnie takim tonem, jakby mówił do dziecka. – Przenieście się do innego miasta! I tak was tam znajdę, spokojna głowa, ale przynajmniej pożyjecie troszkę dłużej.

– Zapraszamy do nas jutro, spróbuj pokonać nasze mury, czuj się naszym gościem, a twoje życie troszkę się skróci – odpowiedziałem mu, naśladowując jego ton.

Zaśmiał się.

– Będę zachwycony, mogąc pozbawić cię życia, lordzie Uhtredzie. Moi bardowie będą śpiewać pieśni o tym, jak Ragnall, władca morza i król całej Brytanii, sprawił, że wielki lord Uhtred kwilił jak niemowlę! Jak Uhtred zginął, błagając o litość. Jak krzyczał, kiedy wypruwałem mu flaki. – Ostatnie słowa wypowiedział nadspodziewanie gwałtownie, po czym ponownie się uśmiechnął. – Ach, niemal zapomniałem o prezencie! – Skinął na jednego ze swoich ludzi i wskazał na trawę między naszymi wierzchowcami.

– Połóż to tam.

Mężczyzna zsiadł z konia i postawił we wskazanym miejscu drewnianą skrzynię. Był to kwadratowy kufer, mniej więcej wielkości kotła, ozdobiony malowanymi rzeźbieniami. Na pokrywie widniał namalowany krucyfik, a na bokach wizerunki mężczyzn z aureolami. Najwyraźniej była to skrzynka, w której chrześcijanie trzymali Biblię albo relikwie – tak bardzo przez nich poważane.

– Oto mój dar dla was – rzekł Ragnall. – Daję go wam razem z obietnicą, że jeśli do jutra rana nie opuścicie miasta, zostanieie tu na zawsze pod postacią popiołu, kości i żeru dla kruków.

Gwałtownie zawrócił konia i dźgnął go ostrogami. Odetchnąłem z ulgą, kiedy Conall, siwobrody i ciemnooki król Conall, również odwrócił się i odjechał.

Haesten przez chwilę się nie ruszał. Czekał w milczeniu. Wydał mi się taki stary, po prostu był stary. Włosy i broda mu posiwiały, ale zachował szelmowsko kpiący wyraz twarzy. Znałem go od młodości i początkowo mu ufałem, odkryłem jednak, że łamie przysięgi z taką łatwością, jak dziecko rozbija skorupkę jajka. Dążył do tego, aby obwołać się królem Brytanii, ale dotychczas udało mi się udaremnić każdą jego próbę. Po raz ostatni rozgromiłem jego wojska pod Beamfleot. Wyglądało na to, że dobrze mu się powodzi, był obwieszony złotem, jego kolczuga błyszczała, uprząż konia ozdabiały złote płytki, a jego brązowy płaszcz obszyto cennym futrem. Jednakże został wasalem Ragnalla i podczas gdy kiedyś dowodził tysiącami wojowników, teraz stał na czele zaledwie kilkudziesięciu zbrojnych. Musiał mnie nienawidzić, a mimo to się uśmiechał, jakby sądził, że cieszę się ze spotkania. Spojrzałem na niego pogardliwe, co chyba go zdziwiło. Przez chwilę myślałem, że przemówi, ale on pociągnął za cugle i pognął za jeźdźcami Ragnalla.

– Otwórz to – rozkazała Aethelflaed Cynlaefowi.

Zsiadł z konia i podszedł do skrzynki na Pismo Święte. Zatrzymał się, podniósł wieko i odskoczył.

Wewnątrz znajdowała się głowa Beadwulfa. Spojrzałem na nią. Miał wylupione oczy, wyrwany język i obcięte uszy.

– Łajdak – syknął mój syn.

Ragnall dotarł do swojego muru tarcz. Musiał wydać rozkaz, bo szeregi wojowników się rozeszły i włócznicy ruszyli w stronę drzew.

– Jutro jedziemy do Eads Byrig! – zapowiedziałem głośno.

– I zginiemy w lesie? – zapytał z niepokojem Merewalh.

– Ale mówiłeś... – zaczęła Aethelflaed.

– Jutro – przerwałem jej w pół zdania. – Jutro jedziemy do Eads Byrig.

To była spokojna, księżycowa noc. Srebrne światło muskało ziemię. Deszcz odszedł na wschód i na niebie jasno świeciły gwiazdy. Znad morza wiał słaby wiatr, ale bez złych intencji.

Stałem na murach Ceasteru, patrząc na północ i wschód i modląc się do swoich bogów, żeby podpowiedzieli mi, co zamierza Ragnall. Wydawało mi się, że to wiem, ale jak zwykle dręczyły mnie wątpliwości, szukałem więc dobrego omenu. Wartownicy odeszli na bok, żebym miał wystarczająco dużo miejsca dla siebie. Miasto za mną było pogrążone w ciszy, chociaż wcześniej doszły do mnie odgłosy ulicznej bijatyki. Nie trwała zbyt długo. To musieli być dwaj pijacy, którzy zaczęli walkę, ale zostali rozdzieleni, zanim zdążyli się pozabijać. Teraz w Ceasterze panował spokój, słyszałem jedynie wiatr między dachami, dziecko krzyczące przez sen, wyjącego psa, szuranie stóp na murach i stukanie włóczni o kamienie. Żadnego z tych dźwięków nie można było jednak uznać za znak od bogów. Oczekiwałem, że zobaczę umierającą gwiazdę, przed śmiercią przecinającą w płomieniach ciemne niebo, ale wszystkie uparcie żyły.

Ragnall – pomyślałem – też nasłuchuje i wypatruje znaku. Modliłem się, żeby pohukiwanie sowy dotarło do jego uszu i by poznał strach, który wzbudza ten zapowiadający śmierć dźwięk. Wsłuchiwałem się, ale nie słyszałem niczego prócz zwykłych odgłosów nocy.

A później usłyszałem klaskanie. Szybkie i ciche. Rozbrzmiewało i się urywało. Dochodziło z pól na północy, z wyboistych łąk rozciągających się między fosą Ceasteru a rzymskim cmentarzyskiem. Niektórzy z moich ludzi chcieli przekopać cmentarz i wrzucić szczątki do ognia, ale się na to nie zgodziłem. Oni obawiają się martwych, uważają, że starożytne duchy w brązowych zbrojach przyjdą nawiedzać ich sny, ale to właśnie te duchy wzniosły to miasto, wybudowały potężne, chroniące nas mury, teraz więc my winniśmy zapewnić im opiekę.

Klaskanie znów się rozległo.

Powinienem był powiedzieć Ragnallowi o tych duchach. Jego obelgi były lepsze od moich, wygrał ten rytuał obrzucania się zniewagami. Powinienem był przypomnieć sobie o rzymskich grobach i ich tajemniczych nagrobkach, opowiedzieć mu o niewidzialnej armii zmarłych, która nocami powstaje z ostrymi mieczami i bezwzględными włóczykami. Oczywiście wyśmiałyby mnie, ale strach zakorzeniłyby się w jego sercu. Rano – pomyślałem – powinniśmy wylać wino na groby w podzięce za opiekę zmarłych.

Klaskanie ponownie się rozległo, a po nim furkot. Dźwięk nie był przenikliwy, ale też nie melodyjny.

- Trochę wcześniej na lelka – odezwał się za mną Finan.
- Nie słyszałem cię – powiedziałem z zaskoczeniem.
- Poruszam się jak duch – odparł rozbawionym tonem.

Podszedł, stanął obok mnie i wsłuchał się w nagłe klaskanie. Był to dźwięk długich skrzydeł ptaków walczących w ciemnościach.

- Szuka partnerki – rzekł Finan.
- Taka pora roku. Święto Eostre.

Przez chwilę staliśmy w niekrępującej ciszy.

- A więc naprawdę jutro ruszamy do Eads Byrig? – zapytał Finan.
- Tak.
- Przez las?
- Przez łąd do Eads Byrig, a później na północ, do rzeki.

Kiwnął głową. Przez chwilę milczał, wpatrując się w odległe odbicie księżyca w wodach Maerse.

- Nikt inny nie może go zabić – przerwał gwałtownie ciszę.
- Conalla?



– Jest mój.

– Jest twój – zgodziłem się. Zamilkłem, słuchając lelka. – Myślałem, że zabijesz go dziś rano.

– Zrobiłbym to. Żałuję, że go nie zabiłem. Ale zrobię to. – Dotknął krzyża na piersi. – Modliłem się o to, modliłem się, żeby Bóg zesłał mi Conalla. – Przerwał i się uśmiechnął. To nie był miły uśmiech. – A zatem jutro.

Klepnął mur przed sobą.

– Chłopcy potrzebują bitki, jak Boga Kocham, potrzebują. Niedawno omal się nie pozabijali.

– Słyszałem. Co się stało?

– Młody Godric wdał się w bójkę z Heargolem.

– Godric! – To był mój służący. – Co za dureń!

– Heargol był zbyt pijany. Walił w powietrze.

– Mimo wszystko – odparłem. – Mógł go zabić.

Heargol był jednym z przybocznych wojowników Aethelflaed, brutalnym olbrzymem, który przepadał za walką w murze tarcz.

– Odciągnąłem drania, zanim zdołał zrobić mu krzywdę. A później trzasnąłem Godrica, powiedziałem mu, żeby dorósł. – Wzruszył ramionami. – Nic się nikomu nie stało.

– O co się pokłócili?

– U Pijusa jest nowa dziewczyna.

To była karczma. Naprawdę nazywała się Pod Siewką i ten ptak został wymalowany na szyldzie, z jakiegoś powodu nazywano ją jednak U Pijusa. Było to miejsce, gdzie sprzedawano dobre ale i złe kobiety. Święci bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht próbowali zamknąć oberżę, nazywając ją jaskinią rozpusty – którą w istocie była – a to właśnie sprawiało, że

chciałem, aby pozostała otwarta. Dowodziłem garnizonem młodych wojowników, a oni potrzebowali wszystkiego, co im oferowała.

– Mus – powiedział Finan.

– Mus?

– Tak ma na imię.

– Mysz?

– Powinieneś ją zobaczyć – odparł Finan z szerokim uśmiechem. – Słodki Boże w niebiosach, warta jest oglądania.

– Mus – powtórzyłem.

– Nie pożałujesz.

– Czego nie pożałuje? – odezwał się kobiecy głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że na mury weszła Aethelflaed.

– Nie pożałuje ścięcia wielkiej wierzby przy Brunanburhu, pani – odrzekł Irlandczyk. – Potrzebujemy drewna na tarcze. – Skłonił się przed nią z szacunkiem.

– A ty potrzebujesz snu – stwierdziła Aethelflaed. – Jeśli jutro masz jechać do Eads Byrig. – Z naciskiem wymówiła słowo „jeśli”.

Finan wiedział, kiedy się go odsyła. Skłonił się ponownie i powiedział:

– Życzę wam obojgu dobrej nocy.

– Uważaj na myszy – rzuciłem.

Wyszczrzył się, słysząc te słowa.

– Zbiórka o świcie?

– Wszyscy mają się stawić. W kolczugach, z tarczami i bronią.

– Czas zabić trochę tych łajdaków – powiedział Finan.

Wahał się przez moment, czekając, że zaproponujemy mu, aby został. My jednak nie nalegaliśmy, więc po chwili się oddalił.

Aethelflaed zajęła jego miejsce i przez chwilę patrzyła na posrebrzony światłem księżyca krajobraz.

– Naprawdę jedziesz do Eads Byrig?

– Tak, a ty powinnaś posłać ze mną Merewalha i sześciuset wojowników.

– Żeby zginęli w lesie?

– Nie zginą – odparłem z nadzieją, że tak będzie.

Czy lelek był omenem, na który czekałem? Nie wiedziałem, jak interpretować klaszczące odgłosy. Kierunek lotu ptaka, podobnie jak kołowanie jastrzębia czy pohukiwanie sowy, ma znaczenie. Ale furkoczący w ciemnościach dźwięk? Nagle usłyszałem go ponownie i skojarzył mi się z odgłosem tarcz uderzających o siebie, gdy wojownicy tworzą mur tarcz. To był omen, którego szukałem.

– Przecież sam mówiłeś! – Aethelflaed nie ustępowała. – Mówiłeś, że kiedy znajdziecie się między drzewami, nie będziecie mogli dostrzec wrogów. Mogą się kryć za wami. Znajdziecie się w pułapce! Co się zmieniło od tamtej pory? – Zamilkła, a moje milczenie tylko wzmogło jej gniew. – A może to twoja głupota? Pozwoliłeś Ragnallowi obrzucić nas obelgami, więc teraz musisz go zaatakować?

– Jego tam nie będzie – odparłem.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie.

– Nie będzie go tam? – powtórzyła.

– Po co dawałby nam cały dzień na opuszczenie miasta? – zapytałem. – Dlaczego nie kazał nam wyjść o świcie? Albo natychmiast?

Myślała nad zadanymi przeze mnie pytaniami, ale nie znajdowała odpowiedzi.

– Ty mi to powiedz – zażądała.

– On wie, że nie opuścimy miasta, ale chce, żebyśmy myśleli, że mamy cały dzień, zanim poprowadzi szturm. Potrzebuje tego czasu, bo zamierza stąd odmaszerować. Pójdzie na północ przez most z łodzi i nie chce, żebyśmy mu przeszkadzali. Nie ma zamiaru zaatakować Ceasteru. Ma nowe wojska i nie chce stracić dwustu czy trzystu wojowników podczas próby zdobycia murów. Chce poprowadzić armię do Eoferwicu, bo zanim zaatakuje Mercję, musi zostać królem Northumbrii.

– Skąd to wiesz?

– Lelek mi powiedział.

– Nie możesz być tego pewien!

– Nie jestem – przyznałem. – Może zamierza podstępem zwabić nas do lasu i wybić w pień. Ale nie wydaje mi się. Chce, byśmy zostawili go w spokoju i pozwolili się wycofać, a skoro tego chce, czemu nie mielibyśmy mu na to pozwolić?

Aethelflaed położyła dłoń na mojej, dając znak, że zgadza się z moją argumentacją i przystaje na mój plan. Przez dłuższą chwilę milczała.

– Domyślam się, że zaatakujemy go w Northumbrii? – odezwała się w końcu cichym, słabym głosem.

– Od miesiący przekonuję cię, że powinniśmy najechać Northumbrię.

– Żebyś mógł odzyskać Bebbanburg?

– Żeby wyprzeć Duńczyków.

– Mój brat się sprzeciwia.

– Twój brat nie chce, byś została władczynią Sasów – odparłem. – Sam chce być ich władcą.

– To dobry człowiek.

– Ostrożny – odrzekłem.

I tak było. Edward z Wessexu też marzył o koronie Mercji, ale ugiął się przed pragnieniem poddanych, kiedy zamiast niego wybrali jego siostrę, by im przewodziła. Może spodziewał się, że Aethelflaed poniesie porażkę, ale spotkało go rozczarowanie. Teraz jego wojska na północy, w Anglii Wschodniej, wypierały Duńczyków. Edward nalegał też, by jego siostra ograniczyła się do odzyskania dawnych ziem Mercji. Twierdził, że do podboju ziem na północy musiałyby dysponować armią zarówno Wessexu, jak i Mercji, i może miał rację. Uważałem, że powinniśmy przeprowadzić najazd i odebrać kilka miast na południu Northumbrii, ale Aethelflaed postąpiła zgodnie z życzeniem brata. Powiedziała mi, że potrzebuje jego wsparcia. Potrzebowała złota, które Wessex daje Mercji, oraz zachodniosaskich wojowników obsadzających burhy we wschodniej Mercji.

– Za rok, może dwa, Edward umocni się w Anglii Wschodniej, a wtedy przybędzie tu na czele swojej armii.

– To dobrze – odparła.

W jej głosie pobrzmiwała ostrożność, jednak nie dlatego, że nie chciała, by brat połączył wojska z jej siłami – wiedziała, że moim zdaniem powinna uderzyć na północ, zanim Edward będzie gotów do ataku.

– A wtedy poprowadzi obie armie do Northumbrii.

– To dobrze – obstawała przy swoim.

I ten najazd mógłby urzeczywistnić jego marzenie, które podzielał z ojcem Aethelflaed, królem Alfredem – że ludność mówiąca po angielsku będzie żyła w jednym królestwie pod panowaniem jednego władcy. Miało powstać jedno królestwo – Anglia, a Edward pragnął być pierwszym człowiekiem noszącym tytuł króla Anglii.

– Mamy tylko jeden problem – zauważyłem posepnie. – Obecnie Northumbria jest słaba, nie ma silnego władcy i można ją zająć kawałek po

kawałku. A za rok? Ragnall będzie królem, a on jest potężny. Kiedy zasiądzie na tronie, podbicie Northumbrii stanie się znacznie trudniejsze.

– Nie jesteśmy wystarczająco silni, żeby samodzielnie najechać Northumbrię – upierała się Aethelflaed. – Potrzebujemy wsparcia mojego brata.

– Daj mi Merewalha i sześciuset zbrojnych, a w ciągu trzech tygodni zajmę Eoferwic. Za miesiąc od dziś będziesz miała koronę Northumbrii, a ja ci przyniosę głowę Ragnalla w szkatule na Pismo Święte.

Aethelflaed roześmiała się, słysząc te słowa, bo wzięła je za żart. Ale ja nie żartowałem. Ścisnęła mnie za ramię.

– Chciałabym dostać jego głowę w prezencie, na razie jednak musisz się przespać. I ja też.

Miałem nadzieję, że wiadomość od lelka była prawdziwa.

Nazajutrz miałem się o tym przekonać.

Słońce weszło na niebo zasnute strzępiastymi, pędzonymi wiatrem chmurami, kiedy opuściliśmy Ceaster. Siedmiuset wojowników jechało w stronę Eads Byrig.

Jeźdźcy wypływali północną bramą warowni strumieniem kolczug i broni, kopyta wierzchowców uderzały o bruk w bramie, a jasne ostrza włóczni unosiły się ku słońcu prześwitującemu między chmurami, gdy podążaliśmy rzymską drogą na północ, a potem na wschód.

Aethelflaed uparła się, żeby jechać z nami. Dosiadła Gast, swojej siwej klaczy. Podążał za nią orszak złożony z chorążego, dziesięciu doborowych wojowników i pięciu duchownych, w tym biskupa Leofstana. Formalnie nie został jeszcze intronizowany, ale wkrótce miała się odbyć uroczystość. Jechał na łagodnym dereszowatym wałachu.

– Nie lubię dosiadać konia, gdy mogę iść pieszo – zwierzył mi się.  
– Możesz iść piechotą, jeśli chcesz – odparłem.  
– Utykam.  
– Zauważyłem.  
– Kopnął mnie roczniak, kiedy miałem dziesięć lat, to był dar od Boga! – wyjaśnił.

– Twój Bóg rozdaje dziwne prezenty.

Wybuchnął śmiechem.

– Darem, lordzie Uhtredzie, był ból. Pozwolił mi zrozumieć kaleki, choć trochę dzielić ich cierpienie. To lekcja od Boga! Dzisiaj jednak muszę jechać konno, w przeciwnym razie nie zobaczę twojego triumfu.

Jechał obok mnie, tuż za moją chorągwią opatrzoną wilczą głową.

– Dlaczego sądzisz, że odniosę zwycięstwo?

– Bóg ześle ci triumf. Modliliśmy się o to dziś rano. – Uśmiechnął się do mnie.

– Do mojego czy swojego boga?

Roześmiał się, a potem nagle skrzywił. Zobaczyłem grymas bólu przebiegający przez jego twarz, kiedy pochylił się do przodu w siodle.

– Co ci jest? – zapytałem.

– Nic – odparł. – Bóg czasem doświadcza mnie bólem, który przychodzi i odchodzi. – Wyprostował się i uśmiechnął do mnie. – O proszę! Już minął.

– Dziwny to bóg, który zsyła cierpienie na swoich wyznawców – powiedziałem złośliwie.

– Własnego syna oddał na okrutną śmierć, dlaczego nie mielibyśmy znieść lekkiego bólu. – Znów się roześmiał. – Biskup Wulfheard ostrzegął mnie przed tobą. Nazwał cię szatańskim nasieniem. Mówił, że będziesz

sprzeciwiał się wszystkiemu, co spróbuję osiągnąć. Czy to prawda, lordzie Uhtredzie?

– Jeśli zostawisz mnie w spokoju, ojcze, ja dam tobie spokój – odrzekłem kwaśno.

– Będę się za ciebie modlił! Temu nie możesz się sprzeciwić! – Spojrzał na mnie, jakby spodziewał się odpowiedzi, ale ja milczałem. – Nie jestem twoim wrogiem, lordzie Uhtredzie – rzekł łagodnie.

– Zaliczasz się więc do szczęśliwców – stwierdziłem, wiedząc, że jestem gburowaty.

– To prawda! – Nie wziął mi tego za złe. – Moją misją na ziemi jest naśladowanie Chrystusa! Karmić głodnych, odziewać nagich, przynosić ulgę chorym i zastępować ojca sierotom. Twoje zadanie, jeśli dobrze zrozumiałem, polega na zapewnieniu nam bezpieczeństwa! Bóg przydzielił nam różne obowiązki. Ty wypełniaj swoje, a ja zajmę się swoimi. Nie jestem biskupem Wulfheardem! – Wypowiedział te słowa z zaskakującą złośliwością. – Nie będę się wtrącał! Nic nie wiem o wojnie!

Chrząknąłem, co mógł wziąć za wyraz wdzięczności i zgodę.

– Myślisz, że chcę tego jarzma? – zapytał. – Że chcę zostać biskupem?

– A nie chcesz?

– Dobry Boże, nie! Byłem szczęśliwy, lordzie Uhtredzie. Pracowałem na dworze króla Edwarda jako skromny ksiądz. Moje obowiązki polegały na przygotowywaniu dokumentów i prowadzeniu królewskiej korespondencji, ale moją radością było tłumaczenie *Państwa Bożego Świętego Augustyna*. Niczego więcej nie oczekiwałem od życia. Kałamarz atramentu, pęk piór i ojciec Kościoła, by kierował moimi myślami. Jestem uczonym, nie biskupem!

– Dlaczego zatem...? – zacząłem.



– Bóg mnie wezwał – odpowiedział, zanim zdążyłem dokończyć pytanie. – Chodziłem ulicami Wintanceasteru i widziałem ludzi kopiących żebraków, dzieci zmieniane w niewolników, ponizane kobiety, okrucieństwo, kalekich umierających w rowach. To nie było państwo Boże! Dla tych ludzi życie stało się piekłem, a Kościół nic z tym nie robił! Albo robił niewiele! Istniały klasztory i zakony, które zajmowały się chorymi, ale nie dość dużo! Zacząłem więc głosić kazania, próbowałem nakarmić głodnych i pomóc bezbronnym. Głosiłem, że Kościół powinien mniej wydawać na srebro i złoto, a więcej na jedzenie dla głodnych i ubrania dla nagich.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Domyślam się, że to ci nie przysporzyło popularności.

– Oczywiście, że nie! A czemuż zostałem tu wysłany?

– Żeby zostać biskupem. To promocja! – odparłem.

– To kara – powiedział ze śmiechem. – Niech głupi Leofstan radzi sobie z lordem Uhtredem!

– Kara? – powtórzyłem zaintrygowany.

– Dobry Boże, tak. Oni wszyscy się ciebie panicznie boją!

– A ty nie? – zapytałem z rozbawieniem.

– Moim nauczycielem w Chrystusie był ojciec Beocca.

– Ach, Beocca był też moim nauczycielem – powiedziałem.

Poczciwy ojczulek Beocca, kaleki i brzydki – nigdy nie poznałem lepszego człowieka od niego.

– Lubił cię i był z ciebie dumny – rzekł Leofstan.

– Naprawdę?

– Często mi też mówił, że należysz do osób ukrywających swoją dobroć.

Ponownie odchrząknąłem.

– Beocca był pełen...

– Mądrości – przerwał mi zdecydowanym głosem. – Nie boję się więc ciebie i będę się za ciebie modlił.

– A ja ochronię cię przed Norwegami – obiecałem.

– Myślałeś, że dlaczego zamierzam się za ciebie modlić? – zapytał ze śmiechem. – A teraz jestem pewien, że masz ważniejsze sprawy niż pogaduchy ze mną. I niech Bóg będzie z tobą.

Spiąłem konia ostrogami i pogalopowałem na czoło kolumny. A niech to – pomyślałem – polubiłem tego Leofstana. Dołączy do grupki księży takich jak Beocca, Willibald, Kutbert i Pyrlig, których podziwiałem i darzyłem sympatią, grupy, nad którą znaczną przewagę liczebną mieli zepsuci, sprzedajni i nadmiernie ambitni duchowni zazdrośnie strzegący swoich wpływów.

– Cokolwiek będziesz robił, nigdy nie wierz chrześcijanom wmawiającym ci, że należy kochać wrogów – powiedziałem do Berga, który dowodził konnymi.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Dlaczegoż miałbym ich kochać?

– Nie wiem! To takie chrześcijańskie bzdury. Widziałeś jakiegoś wroga?

– Ani jednego – odparł.

Wysłałem przodem zwiadowców. Ragnall wkrótce miał się dowiedzieć, że nadjeżdżamy, i albo zbierze ludzi przeciwko nam, albo – jeśli się nie pomyliłem – odmówi przystąpienia do bitwy. Niedługo się przekonam. Aethelflaed, choć postanowiła zaufać mojemu instynktowi, obawiała się, że postąpiłem pochopnie, a ja nie byłem do końca pewny, czy się nie myli, więc próbowałem przekonać ją, aby została w Ceasterze.

– Co moi ludzie by sobie o mnie pomyśleli, gdybym kulila się za murami warowni, podczas gdy oni ruszają walczyć z wrogami Mercji? – zapytała.

– Że jesteś rozsądną kobietą.

– Jestem władczynią Mercji – powiedziała. – Nie będę miała posłuchu u poddanych, jeśli nie poprowadzę ich do walki.

Podążaliśmy rzymską drogą, która doprowadziła nas do skrzyżowania, gdzie ruiny kamiennych budowli wznosiły się nad głębokimi szybami wykopanymi w solonośnych warstwach, które niegdyś przyczyniły się do bogactwa tego regionu. Starcy pamiętali, jak schodziło się po wysokich drabinach pod ziemię, żeby dotrzeć do białej skały, teraz jednak znajdowały się one na niepewnej ziemi między Sasami a Duńczykami, dlatego rzymskie budynki popadły w ruinę.

– Jak zajmiemy Eads Byrig, może ponownie zaczniemy eksploatować te kopalnie – powiedziałem Aethelflaed. Burh na wzgórzu będzie chronił terytorium w promieniu wielu mil. – Sól pozyskiwana z kopalni jest znacznie tańsza niż z warzenia.

– Najpierw zajmijmy Eads Byrig – odparła ponuro.

Nie dojechaliśmy do starych szybów, bo kilka mil przed skrzyżowaniem skręciliśmy na północ i wjechaliśmy do lasu. Ragnall musiał już wiedzieć o naszym przybyciu, nie próbowaliśmy więc się ukrywać. Jechaliśmy grzbietem grani, starożytnym traktem, z jego wyżyn widziałem zielone zbocza Eads Byrig wznoszącego się ponad morzem drzew i jasny rząd pni nowo postawionej palisady. Po jakimś czasie droga skręciła w lewo w las i straciłem gród z oczu do czasu, aż wyjechaliśmy na wylesiony przez Ragnalla teren wokół starego fortu. Drzewa tu wycięto, zostały tylko pnie, drzazgi i pościanane gałęzie. Nasze pojawienie się na tej wyniszczonej ziemi skłoniło obrońców grodu do obsypania nas gradem obelg, a jeden nawet

cisnął włócznię, która spadła w odległości stu kroków od najbliższego jeźdźca. Jasne chorągwie powiewały ponad wałami, a na największej widniał czerwony topór Ragnalla.

– Merewalhu! – krzyknąłem.

– Panie?

– Zostań tu z setką ludzi! Obserwujcie warownię! Nie zaczynajcie walki! Jeśli opuszczą gród, po prostu ruszcie przodem i nas dogońcie!

– Panie?! – zawołał pytająco.

– Obserwujcie ich! Nie zaczynajcie walki! – krzyknąłem i pojechałem skrajem zachodniego zbocza wzgórza. – Cynlaefie!

Sas mnie dogonił.

– Panie? – Kosztowna czerwona pochwa ozdobiona złotymi blaszkami obijała się o jego bok.

– Zatrzymaj panią Aethelflaed na tyłach!

– Ale ona nie...

– Zrób, co mówię – warknąłem. – W razie konieczności trzymaj jej wierzchowca za uzdę, ale nie pozwól jej dołączyć do bitwy.

Przyspieszyłem i wyciągnąłem z pochwy Oddech Węża, a widok jego długiego ostrza skłonił moich wojowników do zdobycia mieczy.

Ragnall nie wyszedł nam naprzeciw pod Eads Byrig. Na wałach grodu stali wprawdzie ludzie, ale to nie były wszystkie jego wojska. Między ostrzami włóczni pozostały znaczne odstępy, z czego wywnioskowałem, że większość Norwegów ruszyła na północ. Ragnall zacumował łodzie na brzegu Maerse, a następnie obwarował Eads Byrig, żeby wyprowadzić w pole prawdziwego przeciwnika i przekonać słabego króla w Eoferwicu, że jego ambicje dotyczą Mercji. Northumbria tymczasem była znacznie łatwiejszą zdobyczą. Dziesiątki tamtejszych jarłów dołączyły do Ragnalla, niektórzy bez wątplenia w przekonaniu, że poprowadzi ich na południe,

teraz jednak wyśle ich na północ. Zapewne skuszą ich obietnice złota i ziem odebranych królowi Ingverowi i jego poplecznikom oraz nadzieja ponownego najazdu na Mercję po umocnieniu władzy w Northumbrii.

A przynajmniej tak sądziłem. Może się myliłem. Może Ragnall maszerował na Ceaster albo czekał nad rzeką z murem tarcz. Jego chorągiew powiewała nad Eads Byrig, ale to – pomyślałem – był fortel mający na celu przekonanie nas, że kryje się on za nową palisadą. Instykt podpowiadał mi, że przekroczył rzekę. Dlaczego więc zostawił ludzi w Eads Byrig? To pytanie musiało poczekać na odpowiedź, a potem całkiem o nim zapomniałem, bo nagle zobaczyłem przed sobą grupę biegnących mężczyzn. Nie mieli na sobie kolczug. Podążaliśmy nowo wytyczonym traktem między drzewami, który zapewne prowadził z grodu do mostu z łodzi, a ludzie przed nami nieśli torby i beczki. Podejrzewałem, że są to służący, kimkolwiek jednak byli, zobaczywszy nas, rozbiegli się między zarośla. Ruszyliśmy za nimi, uchylając się przed konarami, pierzchało przed nami coraz więcej ludzi, aż nagle zielony cień pod drzewami pojaśniał i zobaczyłem przed sobą otwartą przestrzeń, ziemię usianą prowizorycznymi schronieniami oraz pozostałościami ognisk, i wiedziałem już, że dotarliśmy do miejsca za rzeką, gdzie Ragnall urządził tymczasowy obóz wojskowy.

Skierowałem Tintrega w plamę słońca. Rzeka znajdowała się teraz w odległości stu stóp od nas, a tłum wojowników oczekiwał na przejście przez most. Na odległym brzegu było już rojno od ludzi i koni, większość z nich maszerowała na północ, po naszej stronie rzeki znajdowało się jednak więcej wojowników z wierzchowcami, bydłem, rodzinami i służącymi. Instykt i tym razem mnie nie zawiodł. Ragnall szedł na północ.

I wtedy uderzyliśmy.

Ragnall musiał wiedzieć, że nadjeżdżamy, przypuszczał jednak zapewne, że pojedziemy prosto pod Eads Byrig i tam zostaniemy zwabieni przez wielką chorągiew w przekonaniu, że kryje się za wałami, więc nasze nagłe, szybkie pojawienie się zaskoczyło jego tyły.

Nazywanie ich tyłami było uprzejmością. Na lewym brzegu Maerse zostało kilkuset wojowników, ich służących, trochę kobiet i dzieci oraz pewna ilość wieprzków, kóz i owiec.

– Tędy! – krzyknąłem, skręcając ostro w lewo.

Nie zamierzałem przeprowadzać szarży na spanikowany tłum próbujący dotrzeć do mostu, chciałem natomiast odciąć mu drogę, dlatego go okrążyłem, a następnie pogałem na Tintregu wzdłuż brzegu rzeki w stronę mostu. Co najmniej kilkunastu ludzi pędziło za mną. Jakieś dziecko krzyknęło. Jeden z mężczyzn próbował nas zatrzymać, ciskając we mnie ciężką włócznię, która o włos minęła mój hełm. Zignorowałem go, ale któryś z moich ludzi musiał zaatakować napastnika, bo usłyszałem uderzenie miecza o kość. Tintreg kłapał zębami, prując przez ciżbę zebraną wokół mostu. Ludzie pierzchali w popłochu. Jedni wdrapywali się na pierwszą z brzegu łódź, drudzy skakali do rzeki albo desperacko próbowali uciec do lasu. Wtedy ściągnąłem wodze i zeskoczyłem z siodła.

– Nie! – krzyknęła kobieta, próbując osłonić dwoje małych dzieci, ale ja, nie zwracając na nią uwagi, ruszyłem w stronę miejsca, gdzie deski mostu sięgały mulistego brzegu, i tam się zatrzymałem.

Kolejno dołączali do mnie moi ludzie, zdjęliśmy z ramion nasze tarcze i złączyliśmy ich okute żelazem krawędzie.

– Odłóżcie broń! – krzyknąłem do ogarniętego paniką tłumu.

Teraz nie mieli już drogi ucieczki. Z lasu przybyły setki moich konnych, a bariera z tarcz odcinała im przejście przez Maerse. Miałem nadzieję usidlić poważniejsze siły niż ta obszarpana garstka ludzi, lecz Ragnall

najwidoczniej wymaszerował wcześniej, a my wyruszyliśmy z Ceasteru za późno.

– Podpalają swoje łodzie! – zawołał do mnie Finan.

Irlandczyk dołączył do mnie, ale nie zsiadł z konia. Kobiety piszczały, dzieci płakały, a moi ludzie wrzeszczeli do złapanych w potrzask wrogów, żeby odłożyli broń. Odwróciłem się i zobaczyłem, że liczne statki Ragnalla stoją na piasku lub są przycumowane przy odległym brzegu Maerse, a jego ludzie wrzucają żagwie do kadłubów. Inni podpalali łodzie tworzące prowizoryczny most. Już wcześniej przygotowano je do spalenia, ich kadłuby wypełniono drewnem i nasączono smołą. Kilka statków przywiązanych długimi linami do palów wbitych w łagodnie opadający mulisty brzeg stało w pewnym oddaleniu od pozostałych jednostek. Domyśliłem się, że tych kilka łodzi miało zostać ocalonych od spalenia.

– Ojciec Niebieski, przecież oni puszczają fortunę z dymem! – powiedział Finan, zsiadając z konia.

– Warto poświęcić flotę, żeby zdobyć królestwo – odparłem.

– Northumbrię – domyślił się Irlandczyk.

– Northumbrię, Eoferwic, Kumbrię, zajmie wszystkie te ziemie, całą północną Brytanię stąd do Szkocji! Zjednoczy je pod rządami silnego króla – odrzekłem.

Dym unosił się kłębamii, a płomienie obejmowały kolejne łodzie. Pomyślałem, żeby uratować jedną z nich, ale deski były mocno przybite do pokładów, a łodzie ściśle ze sobą połączone. Nie było czasu na przecinanie i podważanie drewnianych klepek. Most wkrótce miał się obrócić w popiół, ale ja ujrzałem wojownika jadącego przez dym. Postawny mężczyzna siedział na czarnym ogierze, miał nagi tors i długie włosy. To Ragnall jechał płonącym mostem. Zbliżył się na odległość trzydziestu kroków, dym

smagał jeźdźca i wierzchowca. Uniósł miecz, w którego długim ostrzu odbijały się otaczające go płomienie.

– Wróć tu, lordzie Uhtredzie! – krzyknął. Zamilkł, jakby czekał na odpowiedź.

Za nim złamał się maszt, posypały się iskry i uniosły kłęby dymu. On jednak czekał, ale kiedy stwierdził, że się nie odezwę, zawrócił konia i zniknął w ogniu.

– Obyś szczęł – warknąłem.

– Dlaczego zostawił ludzi w Eads Byrig? – zapytał Finan.

Nad rzeką żałosne tyły wojsk Ragnalla poddały się bez walki. W większości składały się z kobiet wrzeszczących na mężów, żeby rzucili broń. Za mną most się rozpadł i płonące łodzie podryfowały w dół rzeki. Schowałem Oddech Węża do pochwy, dosiadłem Tintrega i skierowałem go między ciżbę wystraszonych nieprzyjaciół. Większość moich ludzi zsiadła z koni, zbierała miecze, włócznie i tarcze, chociaż młody Aethelstan nadal siedział w siodle i podobnie jak ja torował sobie drogę między pokonanymi wrogami.

– Co z nimi zrobimy, panie?! – zawołał do mnie.

– Ty jesteś księciem, więc ty mi powiedz – odparłem.

Wzdrygnął się i popatrzył wokół na przerażone kobiety, płaczące dzieci, przygnębionych mężczyzn. Obserwując go, pomyślałem, jak bardzo wydorósł, zmieniając się z psotnego chłopczyka w silnego i przystojnego młodzieńca. To on powinien być królem – przyznałem w duchu. Był najstarszym synem władcy Wessexu i sam powinien zasiąść na tronie.

– Może zabić mężczyzn, zmienić dzieci w niewolników, a kobiety zaprząć do pracy? – zasugerowałem. – Tak zwykle się robi. Ale to są ziemie twojej ciotki. Ona zdecyduje.



Zauważyłem, że Aethelstan przygląda się jakiejś dziewczynie, i podjechałem bliżej, żeby się jej przyjrzeć. Była raczej drobna, z masą niesfornych jasnych włosów, intensywnie niebieskimi oczami i nieskazitelną cerą. Trzymała się kurczowo sukni starszej kobiety, najpewniej matki.

– Jak masz na imię? – zapytałem po duńsku dziewczynę.

Jej matka zaczęła krzyczeć i błagać, po czym padła na kolana i podniosła w moją stronę zapłakaną twarz.

– Ona jest wszystkim, co mam, panie, wszystkim!

– Zamilcz, kobieto – warknąłem. – Nawet nie wiesz, jakie szczęście ma twoja córka. Jak ma na imię?

– Frigga, panie.

– Ile ma lat?

Kobieta wahała się przez chwilę, może miała ochotę skłamać, ale ponownie warknąłem i wówczas wyrzuciła z siebie odpowiedź:

– W Dzień Baldura skończy czternaście, panie.

Święto Baldura przypada na połowę lata, dziewczyna więc spokojnie mogła wyjść za mąż.

– Podprowadź ją tutaj – rozkazałem.

Aethelstan zmarszczył brwi, myśląc, że biorę Friggę dla siebie, i muszę przyznać, że miałem na to ochotę, ale zamiast tego krzyknąłem do jego służącego:

– Przywiąż dziewczynę do ogona swojego wierzchowca – rozkazałem mu. – Ma zostać nietknięta! Nikomu nie wolno jej skrzywdzić! Będiesz jej strzegł, zrozumiałeś?

– Tak, panie.

– A ty? – Spojrzałem na jej matkę. – Potrafisz gotować?

– Tak, panie.

– Szyć?

– Oczywiście, panie.

– Więc zostań z córką. – Odwróciłem się do Aethelstana. – Twój dwór właśnie powiększył się o dwie osoby – powiedziałem do niego, spoglądając na Friggę.

Ależ szczęściarz z tego bękarta – pomyślałem – tyle że nie był bękartem, lecz prawowitym synem króla.

Konni wojownicy obserwujący południe zaczęli wiwatować. Poprowadziłem Tintrega między jeńcami i zobaczyłem ogłaszającego coś ojca Fraomara, spowiednika Aethelflaed. Dosiadał siwej klaczy, której maść pasowała do koloru jego włosów. Stał obok uśmiechającej się do niego Aethelflaed. Podjechałem bliżej.

– Dobre wieści! – zawołała.

– Jakie wieści?

– Chwała Bogu, obrońcy Eads Byrig się poddali – poinformował mnie radośnie Fraomar.

Poczułem zawód. Nie mogłem doczekać się bitwy. Wydawało mi się, że Ragnall pozostawił za wałami Eads Byrig znaczną część wojsk, ponieważ chciał utrzymać nowo wybudowaną warownię, a ja chciałem zgładzić ten garnizon, aby jego los był przestrożą dla naśladowców.

– Poddali się?

– Chwała Bogu, tak!

– Więc Merewalh zajął gród?

– Jeszcze nie!

– Co to znaczy „jeszcze nie”? Przecież się poddali!

Fraomar się uśmiechnął.

– To są chrześcijanie, lordzie Uhtredzie! Ten garnizon składa się z chrześcijan!

Zmarszczyłem brwi.

– Wedle mnie mogą czcić nawet szczypawkę, ale jeśli się poddali, nasze wojska muszą wejść do warowni. Czy zajęli gród?

– Zajmą – odparł ojciec Fraomar. – Wszystko zostało ustalone.

– Co zostało ustalone? – zapytałem.

Aethelflaed wyglądała na zaniepokojoną.

– Zgodzili się poddać – powiedziała, szukając potwierdzenia u spowiednika. Fraomar kiwnął głową. – A my nie walczymy przeciwko chrześcijanom – dokończyła.

– Ja walczę – rzuciłem ostro i wezwałem służącego. – Godricu! Zadmij w róg! – Chłopak spojrział na Aethelflaed, jakby oczekiwał jej zgody. Dałem mu więc kopa i wałęnałem w lewe ramię. – Róg! Dmij w róg!

Pospiesznie zagrał sygnał, a moi ludzie zajęci rozbijaniem przeciwników pobiegli do swoich wierzchowców.

– Lordzie Uhtredzie! – zaprotestowała Aethelflaed.

– Jeśli się poddali, warownia jest nasza – odparłem. – Jeżeli warownia nie została zajęta, to znaczy, że się nie poddali. – Powiodłem wzrokiem od Aethelflaed do Fraomara. – A więc jak jest?

Nie odpowiedzieli.

– Finanie! Zbierz ludzi! – krzyknąłem i ignorując Aethelflaed oraz księdza, pogalopowałem na południe.

Z powrotem do Eads Byrig.

---

\* Zob. Biblia Tysiąclecia, Koh 10, 14.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Powinienem był się domyślić. To Haesten. Miał język, który potrafi zmienić gówno w złoto, i wykorzystał go w rozmowie z Merewalhem.

Natknąłem się na nich w odległości stu kroków od grodu, po zachodniej stronie, gdzie zbocze było łagodniejsze. Każdemu towarzyszyło dwunastu ludzi. Każda ze stron stała kilka kroków za swoim sztandarem. Merewalh oczywiście miał chorągiew, na której widniała gęś Świętej Werburgi, Haesten natomiast zamiast sztandaru z czaszką wbitą na pal miał nowy proporzec – szarą flagę z wyszytym białym krzyżem.

– On nie ma wstydu! – krzyknąłem do Finana, kierując Tintrega w górę zbocza.

Irlandczyk się zaśmiał.

– To śliski drań, panie.

Śliski drań mówił z ożywieniem, kiedy wyłoniliśmy się spośród drzew, na nasz widok natychmiast jednak zamilkł i cofnął się lękliwie w stronę towarzyszy. Pozdrowił mnie po imieniu, ale zignorowałem go, skierowałem Tintrega na pas ziemi dzielący obie strony i zsunąłem się z siodła.

– Dlaczego nie zająłeś grodu? – zapytałem Merewalha, oddając cugle Godricowi.

– Ja... – zaczął, po czym spojrzał za mnie. Aethelflaed i jej świta zbliżali się szybko, a on najwyraźniej wolał poczekać z odpowiedzią na ich przybycie.

– Czy ten łajdak się poddał?

– Jarl Haesten... – zaczął Merewalh, po czym wzruszył ramionami, jakby zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, ani nie rozumiał, co się stało.

– To proste pytanie – rzekłem groźnie.

Merewalh był porządnym człowiekiem i lojalnym wojownikiem, ale odnosiłem wrażenie, że czuje się wyjątkowo niezręcznie. Wzrok uciekał mu w stronę kilku otaczających go duchownych. W ich gronie znaleźli się ojciec Ceolnoth i jego bezzębny brat bliźniak Ceolberht, a także Leofstan. Wszystkim najwyraźniej moje nagłe pojawienie się było wyjątkowo nie w smak.

– Czy się poddał? – zapytałem ponownie powoli i wyraźnie.

Merewalh uniknął konieczności odpowiedzi dzięki Aethelflaed. Wjechała klaczą między księży.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, lordzie Uhtredzie, zwracaj się do mnie – przemówiła lodowatym tonem.

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy ten wypierdek się poddał – odparłem, wskazując na Haestena.

Odpowiedział ojciec Ceolnoth.

– Pani – zwrócił się do niej, jawnie mnie pomijając – jarl Haesten zgodził się złożyć ci przysięgę wierności.

– Co zrobił? – zapytałem.

– Cisza! – rzuciła Aethelflaed. Nadal siedziała w siodle, przez co górowała nad nami. Jej ludzie, przynajmniej stu pięćdziesięciu zbrojnych, podążali za nią znad brzegu rzeki i teraz zatrzymali się w niższej części zbocza. – Powiedz mi, co ustaliliście – zażądała od ojca Ceolnotha.

Ten rzucił mi niepewne spojrzenie, a następnie przeniósł wzrok na Aethelflaed.

– Jarl Haesten jest chrześcijaninem, pani, i szuka twojej opieki.

Co najmniej trzech z nas zaczęło mówić jednocześnie, ale Aethelflaed klasnęła w dłonie, domagając się ciszy.

– Czy to prawda? – zwróciła się do Haestena.

Jarl skłonił się w jej stronę, a następnie dotknął srebrnego krzyża, który miał zawieszony na szyi.

– Bogu niech będą dzięki, to prawda, panie – powiedział spokojnym, uniżonym i przekonująco szczerym tonem.

– Zakłamany łajdak – burknąłem.

Aethelflaed zignorowała mnie.

– Znalazłem odkupienie i przyszedłem błagać cię o łaskę.

– Został odkupiony, pani – powiedział stanowczo wysoki mężczyzna stojący obok Haestena. – Jesteśmy gotowi, a nawet pragniemy, złożyć ci przysięgę wierności i jako bracia w wierze chcemy upraszać o twoją opiekę.

Używał angielskiego z szacunkiem, skłonił się lekko przed Aethelflaed, gdy skończył mówić. Spojrzała na niego ze zdumieniem, bo ten wysoki mężczyzna wyglądał na chrześcijańskiego księdza, a przynajmniej nosił długą czarną szatę przepasaną sznurem oraz drewniany krzyż na piersiach.

– Ktoś ty? – zapytała.

– Ojciec Haruld, pani.

– Duńczyk?

– Urodziłem się w Brytanii, ale moi rodzice pochodzą z za morza – odparł.

– I jesteś chrześcijaninem?

– Z łaski Boga. – Haruld miał surową, ogorzałą twarz i pasma siwych włosów na skroniach. Nie był pierwszym nawróconym Duńczykiem, jakiego spotkałem, ani pierwszym, który został księdzem. – Od urodzenia

jestem chrześcijaninem – powiedział do Aethelflaed. Mówił poważnym, budzącym zaufanie głosem, ale zauważyłem, że nerwowo zaciska i prostuje palce. Denerwował się.

– I chcesz mi wmówić, że ten zjełczały jaszczurczy wypierdek też jest chrześcijaninem? – spytałem, wskazując głową na Haestena.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołała z przyganą Aethelflaed.

– Osobiście go ochrzciłem, Bogu niech będą dzięki – odparł z godnością Haruld.

– Amen – skwitował głośno jego słowa Ceolnoth.

Spojrzałem Haestenowi w oczy. Znałem go przez całe jego dorosłe życie, które w istocie mi zawdzięczał, bo mu je darowałem. Ślubował mi wierność, a ja mu uwierzyłem, bo miał uczciwość wymalowaną na twarzy i emanował szczerością, a jednak złamał każdą przysięgę, jaką złożył. Był niczym łasica, przebiegły i zdradziecki. Jego ambicje znacznie przekraczały osiągnięcia, za co winił mnie, bo los sprawiał, że od czasu do czasu udaremniałem jego plany. Po raz ostatni pod Beamfleot, gdzie rozbiłem jego wojska i spaliłem flotę. Los jednak chciał też, by Haesten wychodził cało z każdego nieszczęścia. A teraz znów niby został złapany w potrzask w Eads Byrig, lecz uśmiechał się, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

– Taki z niego chrześcijanin jak ze mnie – wycodziłem.

– Pani... – Haesten spojrzał na Aethelflaed i ku mojemu zdumieniu padł na kolana. – Przysięgam na krzyż naszego Zbawiciela, że jestem prawdziwym chrześcijaninem – powiedział, pokornie kręcąc głową ze wzruszeniem. Miał nawet łzy w oczach. Nagle rozłożył ramiona i zwrócił twarz ku niebu. – Mój Boże, pokaraj mnie śmiercią, jeśli kłamię.

Dobyłem miecza, ostrze głośno i gwałtownie zazgrzytało podczas wyjmowania z pochwy.

– Lordzie Uhtredzie, nie! – zawołała przerażona Aethelflaed.

– Zamierzałem wyręczyć twojego boga i ukarać go śmiercią. Powstrzymasz mnie?

– Bóg sam sobie poradzi – odparła ostro Aethelflaed, po czym spojrzała na duńskiego księdza. – Ojcie Haruldzie, jesteś przekonany co do nawrócenia jarla Haestena?

– O tak, pani. Gdy udzielałem mu chrztu, widziałem u niego łyzy skruchy i radości.

– Chwalmy Pana – wyszeptał ojciec Ceolnoth.

– Dość tego! – zawołałem, nadal dzierżąc w dłoni Oddech Węża. – Dlaczego nasi ludzie nie zajęli grodu?

– Zajmą – odparł kąśliwie Ceolnoth. – Wszystko zostało uzgodnione.

– Uzgodnione? – zapytała nieufnie Aethelflaed. Jasne było, że podejrzewa, iż księża przekroczyli swoje uprawnienia, prowadząc negocjacje bez jej wiedzy. – Coście takiego ustalili?

– Jarl Haesten błagał o to, by złożyć ci ślubowanie wierności podczas mszy wielkanocnej, pani – wyjaśnił z namaszczeniem Ceolnoth. – Pragnie, aby radość ze zmartwychwstania naszego Pana uświęciła ten akt zgody.

– Nie postawię szczerzego bobka na to, że będzie czekał do święta Eostre, o ile nie zajmiemy grodu dzisiaj.

– Zostanie przekazany w Niedzielę Wielkanocną. Tak uzgodniliśmy – powiedział Ceolnoth.

– W Niedzielę Wielkanocną? – zapytała Aethelflaed i każdy, kto ją znał, potrafił rozpoznać z tonu jej głosu, że nie jest zadowolona. Nie była głupia, ale nie potrafiła porzucić nadziei, że Haesten został chrześcijaninem.

– To będzie okazja do radowania się – przekonywał ją Ceolnoth.

– A kimże ty jesteś, żeby zawierać takie umowy? – zapytałem.



– W tej kwestii decyzje podejmują chrześcijanie – upierał się klecha, patrząc na Aethelflaed w nadziei, że go poprze.

Aethelflaed z kolei spojrzała na mnie, a potem na Haestena.

– Dlaczego mielibyśmy nie zająć grodu teraz? – zapytała.

– Uzgodniłem... – zaczął słabym głosem Ceolnoth.

– Pani – wtrącił się Haesten, podpełzając na kolanach – moim najszerszym pragnieniem jest, aby wszyscy moi ludzie ochrzcili się na Wielkanoc. Kilku jednak się opiera. Potrzebuję czasu, ojciec Haruld potrzebuje czasu! Potrzebujemy czasu, żeby przekonać tych kilku opornych do Pana naszego Jezusa Chrystusa.

– Ty pokrętny draniu – powiedziałem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Przysięgam, że to prawda – rzekł pokornie Haesten.

– Kiedy tak mówi, możesz być pewna, że kłamie. – Spojrzałem na Aethelflaed.

– Gdyby ojciec Ceolnoth nas odwiedzał – ciągnął jarl – albo, jeszcze lepiej, ojciec Leofstan i gdyby nas nauczali, byłaby to niezastąpiona pomoc i błogosławieństwo, moja pani.

– Byłbym szczęśliwy... – zaczął ojciec Ceolnoth, ale zamilkł, gdyż Aethelflaed uniosła dłoń. Przez chwilę milczała i tylko patrzyła na Haestena.

– Mówisz o zbiorowym chrzcie? – zapytała.

– O nawróceniu wszystkich moich ludzi, pani, wszyscy oni przejdą pod łaskę Chrystusa i na twoją służbę – odparł gorliwie Haesten.

– Ilu ludzi, ty wypierdku? – zapytałem.

– Kilku, lordzie Uhtredzie, trwa w pogańskiej wierze. Dwudziestu, może trzydziestu? Ale z Bożą pomocą nawrócimy ich?

– Ilu ludzi jest w grodzie, ty nędzny bękarcie?

Zawahał się, ale zrozumiał, że to błąd, odpowiedział z uśmiechem:

– Pięciuset osiemdziesięciu, lordzie Uhtredzie.

– Tak wielu! – ekscytował się ojciec Ceolnoth. – To będzie światło na oświecenie pogan\* – zwrócił się do Aethelflaed. – Wyobraź sobie, pani, nawrócenie tylu pogan! Możemy ochrzcić ich w rzece!

– Możesz potopić tych drani – burknąłem.

– I, pani... – odezwał się wciąż pozostający na klęczkach Haesten, który zaciskał dłonie i nie odrywał wzroku od Aethelflaed. Przybrał szczery wyraz twarzy i solenny ton głosu. Był najlepszym kłamcą, jakiego spotkałem w całym swoim życiu. – Chciałbym teraz zaprosić cię do warowni! – ciągnął. – Pragnę modlić się w twoim towarzystwie. Śpiewać ku chwale Boga u twojego boku! Ale tych kilku nieprzekonanych nadal zawzięcie obstaje przy dawnych wierzeniach. Mogliby stawiać opór. Trochę czasu to jedyne, o co proszę, odrobina czasu ku Bożej chwale, bym mógł popracować nad tymi zatwardziałymi duszami.

– Ty zdradziecki zafajdany dupku! – warknąłem.

– A jeśli to miałyby przekonać wszystkich tu obecnych – rzekł pokornie Haesten, nie zwracając na mnie uwagi – złożę ci przysięgę wierności, pani, w tej minucie!

– Chwała niech będzie Bogu! – wyseplenił ojciec Ceolberht.

– Jest jeden mały problem – odezwałem się i wszyscy obecni spojrzeli w moją stronę. – On nie może złożyć ci przysięgi, pani.

Aethelflaed rzuciła mi ostre spojrzenie.

– A to dlaczego?

– Bo wcześniej przysiągł wierność innemu panu, a on go z niej nie zwolnił.

– Przysięga złożona jarlowi Ragnallowi przestała mnie obowiązywać, kiedy ślubowałem posłuszeństwo Bogu Wszechmogącemu – odparł Haesten.

– Nadal jednak masz zobowiązania wobec mnie – rzuciłem.

– Ależ ty też jesteś poganinem, lordzie Uhtredzie, Jezus Chrystus zwolnił więc mnie również z tej przysięgi – zauważył przebiegle.

– To prawda! – zawołał podniecony ojciec Ceolnoth. – On uwolnił się od szatana i jego dzieł! Nowo nawrócony chrześcijanin jest zwolniony ze wszelkich przysięg złożonych poganom, Kościół kładzie na to nacisk.

Aethelflaed wciąż się wahała. Wreszcie spojrzała na Leofstana.

– Ty jeszcze nie wyraziłeś swego zdania, ojcze.

Leofstan uśmiechnął się krzywo.

– Obiecałem lordowi Uhtredowi, że nie będę się mieszać w jego kompetencje, jeśli on pozwoli mi zajmować się sprawami należącymi do mnie. – Uśmiechnął się przeproszająco do Ceolnotha. – Raduję się z nawrócenia pogan, pani, ale los warowni? Niestety, ta kwestia wykracza poza zakres moich obowiązków. Oddajmy cesarzowi, co cesarskie, pani. Eads Byrig to sprawa cesarza, a dokładnie mówiąc, twoja.

Aethelflaed energicznie przytaknęła i wskazała na Haestena.

– Ale czy mu wierzysz?

– Czy mu wierzę? – powiedział Leofstan, marszcząc brwi. – Mogę zadać mu parę pytań?

– Zrób to – rozkazała Aethelflaed.

Leofstan pokuśtykał do Haestena i ukląkł przed nim.

– Podaj mi rękę – odezwał się łagodnie, a jarl posłusznie wykonał jego polecenie. – A teraz powiedz: w co wierzysz? – zapytał spokojnie.

W oczach Haestena ponownie pojawiły się łzy.

– Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, Światłość ze Światłości! – Podniósł głos, wypowiadając ostatnie słowa, po czym jakby się zakrztusił. – Wierzę, ojcze! – zapewnił, a po jego policzkach znów popłynęły łzy. Pokręcił głową. – Lord Uhtred ma rację! Byłem grzesznikiem. Łamałem złożone przysięgi. Obrażałem Boga. Ale ojciec Haruld modlił się ze mną, modlił się za mnie, moja żona się modliła i, chwala Bogu, uwierzyłem!

– W istocie, chwala Bogu – zgodził się Leofstan.

– Czy Ragnall wie, że jesteś chrześcijaninem? – zapytał szorstko.

– Musiałem go oszukać – odparł pokornie Haesten.

– Dlaczego?

Leofstan nadal trzymał dłonie jarla w swoich.

– Musiałem szukać schronienia na wyspie Mann i to tam ojciec Haruld doprowadził do mojego nawrócenia – odpowiedział na moje pytanie, patrząc na Aethelflaed. – Otaczali nas poganie, którzy by nas zabili, gdyby poznali prawdę. Więc się modliłem. – Ponownie skierował wzrok na Leofstana. – Modliłem się o wskazanie mi drogi. Czy powinienem tam zostać i nawracać pogan? Bóg odpowiedział jednak, że mam zebrać swoich zwolenników i mieczem służyć Chrystusowi.

– Raczej Ragnallowi – odparłem szorstko.

– Jarl Ragnall zażądał mojej służby, ale ja w tym ujrzałem wezwanie Boga. – Haesten znów zwracał się do Aethelflaed. – Pan nasz podpowiedział mi, jak mam opuścić wyspę! Nie miałem łodzi. Jedyne wiary w Jezusa Chrystusa i Świętą Werburgę.

– Święta Werburga! – zwołała Aethelflaed.

– Moja kochana żona modli się do niej, pani – powiedział niewinnym głosem Haesten.

Swoimi sposobami oślizgły drań dowiedział się o czci, jaką Aethelflaed otacza tę pogromczynię gęsi.

– Ty kłamliwy łajdaku – wycedziłem.

– Jego skrucha jest szczerą – upierał się Ceolnoth.

– Ojczy Leofstanie? – zapytała Aethelflaed.

– Chcę mu wierzyć, pani! – odparł poważnie Leofstan. – Chcę wierzyć, że to cud towarzyszący mojej intronizacji. Że w Niedzielę Wielkanocną będziemy mogli się cieszyć przejściem pogańskiego oddziału na służbę Jezusowi Chrystusowi!

– Chrystus tego dokonał! – wymamlał Ceolnoth.

Aethelflaed nadal się namyślała, patrząc z góry na klęczących mężczyzn. Jakaś jej część z pewnością wiedziała, że ma rację, ale wpływ na nią miała także pobożność, którą odziedziczyła po ojcu. A także gotowość Leofstana, żeby uwierzyć Haestenowi. Leofstan był jej wyborem. To ona przekonała biskupa Contwaraburga, żeby go mianował, pisała listy do biskupów i opatów, w których wychwalała uczciwość i płomienną wiarę Leofstana, posyłała też datki na kaplice i kościoły, żeby zapewnić mu przychylność. Kościół wolałby na jego miejscu bardziej światowego człowieka, który powiększyłby morskie posiadłości i wyłudził więcej od mercyjskiej arystokracji, ale Aethelflaed chciała świętego. A ten święty przedstawiał teraz nawrócenie się Haestena jako znak, że Bóg zgadza się z jej wyborem.

– Pomyśl, pani... – Leofstan wreszcie puścił dłonie jarła. – Pomyśl, jaka radość zapanuje, kiedy poganin poprowadzi swoich ludzi do tronu Chrystusa!

Ten obraz też uwiódł Aethelflaed. Jej ojciec zawsze darował życie Duńczykom, którzy się nawrócili, a niektórym nawet pozwolił osiedlić się w Wessexie. Alfred często również twierdził, że walka toczy się nie o utworzenie Anglii, lecz o nawrócenie pogan na chrześcijaństwo, Aethelflaed postrzegала więc ów zbiorowy chrzest Duńczyków jako oznakę potęgi jej boga.

Podjechała odrobinę bliżej do Haestena.

– Złożysz mi przysięgę wierności teraz?

– Z radością, pani, z radością! – odparł jarl.

Splunąłem w stronę tego zdradzieckiego łajdaka, odszedłem, schowałem Oddech Węża do pochwy i dosiadłem Tintrega.

– Lordzie Uhtredzie! – krzyknęła ostro Aethelflaed. – Dokąd jedziesz?

– Nad rzekę – odpowiedziałem krótko. – Finanie! Sihtricu! I pozostali!  
Za mną!

Odjechaliśmy, żeby zobaczyć farsę, do której miało dojść pod Eads Byrig.

Było nas stu dwudziestu trzech wojowników. Torowaliśmy sobie drogę przez szeregi stronników Aethelflaed, a później skierowaliśmy się na północ, w stronę rzeki.

Kiedy jednak znaleźliśmy się między drzewami i zniknęliśmy z pola widzenia tych głupców otaczających Aethelflaed, poprowadziłem swoich ludzi na wschód.

Ponieważ postanowiłem wyręczyć boga chrześcijan.

I ukarać Haestena śmiercią.

Galopowaliśmy między drzewami. Finan mnie dogonił.

– Co robimy?

– Jedziemy zdobyć Eads Byrig, oczywiście.

– Słodki Jezu.

Nic nie odpowiedziałem, bo Tintreg wjechał do parowu gęsto zarośniętego paprociami, po czym zaczął się wspinać na niewielki wznoszący się nad nim pagórek. Ilu ludzi miał pod sobą Haesten? Twierdził, że pięciuset osiemdziesięciu, ale mu nie wierzyłem. Stracił swoją armię i reputację pod Beamfleot. Nie wziął udziału w bitwie, zdziwiłbym się jednak, gdyby miał stu wojowników, choć Ragnall bez wątpienia zostawił mu też swoich ludzi w grodzie.

– Jak duży jest ten gród? – zapytałem Finana.

– Eads Byrig? Jest duże.

– Ile mierzy kroków po zewnętrznej stronie wałów?

Irlandczyk się zamyślił. Skierowałem wierzchowca lekko na północ i poprowadziłem w górę długiego zbocza, które ciągnęło się wśród dębów i jaworów.

– Dziewięćset? Może tysiąc – zastanawiał się Finan.

– Tego się spodziewałem.

– Z pewnością jest dość duże.

Król Alfred próbował zredukować życie do zasad. Większość z nich pochodziła, rzecz jasna, z pism chrześcijańskich, ale były też inne. Miasta, które wznosił, wymierzano, a każdą piędź ziemi poddawano szczegółowej inspekcji. Również mury miejskie mierzono, żeby określić ich wysokość, grubość i długość. Właśnie ta ostatnia wartość wskazywała liczbę ludzi, która była konieczna do obrony miasta. Została wyliczona przez uczonych mnichów stukających drewnianymi kulkami nawleczonymi na napięte struny. Doszli oni do wniosku, że każdy burh potrzebuje czterech obrońców na każde cztery kroki obwarowań. Za czasów Alfreda Wessex został obsadzony garnizonami, na granicach królestwa powstały liczne grody,

których murów bronił fyrd. Każde większe miasto zostało obwarowane, żeby Duńczycy wdzierający się w głąb królestwa napotkali opór. I murów tych broniła liczba wojowników dokładnie odpowiadająca ich długości. System ten zdał egzamin, dlatego Aethelflaed wprowadziła go w Mercji. Odzyskawszy ziemie przodków, władczyni zapewniła sobie panowanie nad nimi dzięki burhom takim jak Ceaster i Brunanburh i zadbała, aby garnizony były w stanie obsadzić czworgiem ludzi każde pięć kroków murów. Po pierwszym sygnale ostrzegającym o nadchodzącym niebezpieczeństwie ludność z żywym inwentarzem mogła schronić się do najbliższego grodu. Zdobyć burhu wymagało ataku całej armii i Duńczykom nigdy jeszcze nie udało się wziąć żadnej warowni. Ich sposób prowadzenia wojny polegał na rajdach w głąb kraju, braniu niewolników i grabieży bydła. Wojowników obozujących pod murami burhu szybko zaczynały dziesiątkować choroby. Poza tym jeszcze żadna wroga armia nie okazała się wystarczająco liczna, żeby otoczyć warownię i zmusić ją głodem do poddania się. Wznoszenie burhów okazało się skuteczną strategią.

Potrzebni byli jednak ludzie do obsadzenia murów, aby pozostała skuteczna. Każdy mężczyzna w wieku ponad dwunastu lat miał obowiązek brać udział w obronie. Nie musieli być zawodowymi wojownikami, jak ludzie, których prowadziłem teraz przez porośniętą lasem wyżynę, lecz mieli być na tyle silni, aby utrzymać włócznię, rzucić głaz i zadać cios toporem. Fyrd to armia składająca się z rolników, rzeźników i rzemieślników. Nie mieli oni pancerzy kolczych ani tarcz z drewna lipowego, lecz stawali na murach i byli w stanie odeprzeć przeciwników próbujących wejść na obwarowania. Siekiera drwała w dłoniach silnego rolnika zmienia się w budzącą postrach broń, podobnie jak naostrzona motyka, jeśli zada się wystarczająco silny cios. Czterech mężczyzn na



każde pięć kroków muru – a Eads Byrig miał średnicę tysiąca kroków, co oznaczało, że Haesten potrzebowałby co najmniej siedmiuset ludzi, żeby obsadzić całą długość wałów.

– Zdziwiłbym się, gdyby miał choćby dwustu wojowników – powiedział Finan.

– Dlaczego więc tu został?

To było dobre pytanie. Dlaczego Ragnall pozostawił garnizon w Eads Byrig? Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że Haesten szukał opieki Aethelflaed. Został tu, bo takie było życzenie Ragnalla. Zwolniliśmy, konie pokonywały wzniesienie, ich kopyta uderzały o pokrytą liśćmi ziemię. Dlaczego zatem Ragnall zostawił Haestena na tyłach? Nie był on najlepszym wojownikiem w jego szeregach, ale z pewnością był najlepszym kłamcą. I nagle mnie olśniło. Początkowo myślałem, że Eads Byrig jest podstępem zorganizowanym na użytek słabego króla w Eoferwicu, ale tak nie było. Chodziło o to, żeby nas oszukać. Mnie oszukać.

– Został, bo Ragnall wróci – powiedziałem Finanowi.

– Najpierw musi zająć Eoferwic? – zapytał oschle Irlandczyk.

Ściągnąłem wodze Tintrega i uniosłem dłoń, żeby zatrzymać swoich ludzi.

– Pozostańcie w siodłach! – poleciłem im, po czym zeskoczyłem z konia i rzuciłem cugle Godricowi. – Trzymaj Tintrega!

Finan i ja powoli wspięliśmy się po zboczach.

– Armia Ingvera ulegnie wrogowi – stwierdziłem. – To słabeusz. Ragnall zdobędzie koronę bez walki. Jarłowie zbiegną się do niego, przyprowadzą swoich ludzi, będą przysięgali wierność. Nie będzie musiał nawet maszerować do Eoferwicu! Wystarczy, że wyśle trzystu zbrojnych,

aby odebrali stolicę Ingverowi. Spokojnie może wycofać się i tu wrócić. Chce tylko, żebyśmy myśleli, że tam pomaszerował.

Las się przerzedził i mignęły mi surowe nowe belki na wschodnim wale Eads Byrig. Schyliliśmy się i zaczęliśmy skradać, wypatrując wartowników na górze obwarowań.

– A Ragnall musi wynagrodzić swoich popleczników – kontynuowałem. – Cóż lepszego może im zaoferować niż ziemię w północnej Mercji?

– Ale Eads Byrig? – Finan nie wydawał się przekonany.

– To jego punkt zaczepienia w Mercji – odpowiedziałem. – I baza do zaatakowania Ceasteru. Potrzebuje spektakularnego triumfu, czegoś, co będzie znakiem, że jest zwycięzcą. Chce, aby jeszcze więcej ludzi przekroczyło morze, a by ich zwabić, musi zadać potężny cios. Zajęcie Eoferwicu się nie liczy. W ciągu kilkunastu lat na tamtejszym tronie zasiadało kilkunastu władców. Gdyby jednak zajął Ceaster?

– Gdyby – odparł wciąż powątpiewająco Finan.

– Dzięki zajęciu Ceasteru – ciągnąłem – zniszczyłby reputację Aethelflaed, zdobyłby ziemię, objąłby kontrolą rzeki Maerse i Dee, a także opanowałby burhy, które udaremniłyby nam odzyskanie tych terytoriów. Straci ludzi podczas oblężenia, ale może sobie na to pozwolić. Żeby tego dokonać, potrzebuje jednak Eads Byrig. To będzie jego baza. Kiedy ją opanuje, nigdy się go nie pozbedziemy. Jeśli jednak utrzymamy Eads Byrig, oblężenie Ceasteru będzie cholernie trudne.

Tymczasem dotarliśmy na granicę lasu, gdzie przycupnęliśmy w poszyciu i obserwowaliśmy nowo wybudowane obwarowania wznoszące się nad nami. Były wyższe od człowieka i dodatkowo chronione zewnętrzną fosą.

– Ilu widzisz ludzi? – zapytałem.

– Nikogo.

To była prawda. Na wschodnich wałach Eads Byrig nie dojrzeliliśmy ani jednego człowieka czy ostrza włóczni.

– Tam jest platforma obronna – powiedziałem.

Finan zmarszczył brwi. Zastanawiał się. W odległości zaledwie stu kroków od nas znajdował się wał, ale nie było widać obrońców. Musieli znajdować się na nim jacyś wartownicy, skoro nie było ich jednak na platformie, zapewne obserwowali okolice przez szpary między nowymi belkami. Pale były nierówne, ich wierzchołki nie zostały jeszcze przycięte. Palisadę wybudowano w pośpiechu.

– To jest blef – powiedział.

– Wszystko to blef! Nawrócenie Haestena to blef. On tylko chce zyskać na czasie do chwili powrotu Ragnalla za cztery, może pięć dni.

– Tak szybko?

– Zapewne już jest w drodze powrotnej – odparłem.

Teraz wydawało mi się to oczywiste. Spalił most z łodzi, żebyśmy pomyśleli, że opuszcza Mercję, ale by wrócić, musiał tylko pomaszerować kilka mil na wschód, a następnie rzymską drogą na południe do miejsca, gdzie znajduje się most na Maerse. Już nadchodził, byłem tego pewny.

– Ale ilu tych drani kryje się za wałami? – zapytał Finan.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Irlandczyk się zaśmiał.

– A ty zawsze powtarzasz młodemu Aethelstanowi, żeby był ostrożny, zanim wda się w bitwę.

– Jest czas na ostrożność i czas na zabijanie tych łajdaków – odparłem.

Przytaknął.

– Ale jak przekroczymy mur? – zapytał. – Nie mamy drabin.

Wyjaśniłem mu to.

Szturm poprowadziło dwunastu najmłodszych wojowników. Znalazł się wśród nich także mój syn.

Sztuka polegała na tym, żeby szybko dotrzeć do wału i go pokonać. Nie mieliśmy ze sobą drabin, a obwarowania liczyły dziewięć–dziesięć stóp wysokości. Mieliśmy jednak konie.

W taki sam sposób zdobyliśmy Ceaster. Mój syn stanął na wierzchołku i wspiął się na bramę. To samo kazałem zrobić młodemu wojownikom. Podjechać szybko do obwarowań i z grzbietu koni chwycić się górnej części wału. Reszta miała podążyć za nimi. Pałem się do tego, by poprowadzić oddział młodzieńców, ale nie byłem już tak sprawny jak kiedyś. To było zadanie dla młodszych ode mnie.

– A jeśli wewnątrz czeka na nich dwustu wojowników? – zapytał Finan.

– Wówczas nie przejdą na drugą stronę – odparłem.

– A jeśli pani Aethelflaed zgodziła się na zawieszenie broni?

Zignorowałem to pytanie. Podejrzewałem, że szczęśliwi chrześcijanie zgodzili się, żeby Haesten został na szczycie wzgórza do Wielkanocy. Mnie jednak ta umowa nie obowiązywała, Haesten był moim człowiekiem. Przysiągł mi wierność. Nawet jeśli zrobił to dawno temu i wielokrotnie łamał ślubowanie, przysięga pozostaje przysięgą i zobowiązywała go do posłuszeństwa. Chrześcijanie mogą głosić, że ślub złożony poganinowi nie ma mocy, ale nie musiałem w to wierzyć. Haesten był moim człowiekiem – czy mu się to podobało czy nie – i nie miał prawa zawierać rozejmu z Aethelflaed bez mojej zgody. A ja chciałem, żeby łajdak zginął.

– Ruszajcie – powiedziałem do syna. – Ruszajcie!

Dwunastu wojowników spięło wierzchowce ostrogami, przedarło się przez krzaki i wyjechało na otwartą przestrzeń. Poczekalem, żeby przejechali dwadzieścia–trzydzieści kroków, po czym ścisnąłem Tintrega piętami.

– Wszyscy za mną! – zawołałem.

Mój syn wysforował się naprzód, jego koń wspinał się na zbocze. Zobaczyłem, jak ogier Uhtreda wskakuje do fosy i z wysiłkiem ją pokonuje, a mój syn obiema dłońmi sięga szczytu wału. Podparł się stopami i przerzucił nogę na drugą stronę, pozostali wojownicy poszli w jego ślady i podciągnęli się na belkach. Jeden z nich spadł z palisady i potoczył się do rowu. Pozostawione konie stały nam na drodze.

I wtedy mur się zawalił.

Właśnie dotarłem do fosy. Była płytka, bo ludzie Haestena nie mieli czasu jej pogłębić. Nie zostały wbite w nią pale ani inne przeszkody. Stromy, krótki nasyp wznosił się jedynie ku grzbietowi wału ziemnego, w który wbito drągi. Palisada nie została jednak wystarczająco głęboko wkopana i pod wpływem ciężaru ludzi się zawaliła. Hałas spłoszył Tintrega, który uskokzył w bok, a ja go osadziłem. Jeźdźcy minęli mnie, nie myśląc o zeskoczeniu z koni, popędzili wierzchowce na nasyp i leżące pale.

– Z koni! – krzyknął Finan.

Jeden z ogierów pośliznął się i wywrócił. Zwierzę zaczęło się miotać i kwiczeć, zmuszając pozostałe konie do cofnięcia się, przestrzeń między palisadą a fosą nie była bowiem wystarczająco szeroka, żeby pomieścić spłoszone wierzchowce i popędzających je ludzi.

– Z koni! – krzyknął ponownie Finan. – Ruszamy pieszo! Tarcze! Tarcze! Dobyć tarcze!

To był rozkaz do utworzenia muru tarcz. Wojownicy zaczęli zeskakiwać z wierzchowców i przechodzić przez leżącą palisadę. Poprowadziłem

Tintrega za wodze.

– Weź ze sobą konia! – krzyknąłem do Berga.

Pale przede mną zawaliły się w tył do wewnętrznej fosy, za którą wznosił się drugi wał ziemny. To też nie była trudna do pokonania przeszkoda. Moi ludzie wspinali się na zrujnowany wał, dobywając mieczy. Ujrzeliśmy trzy nowo wybudowane chaty sporych rozmiarów, o ścianach z surowego drewna i przykrytych jasnymi strzechami. Za nimi dostrzegłem ludzi, znajdowali się oni jednak na odległym krańcu grodu. Z naszej strony warowni, o ile zdołałem się zorientować, nie było wartowników.

– Uformować mur tarcz! – krzyknąłem.

– Do mnie! – Finan stał tuż za chatami, a jego rozpostarte ramiona wskazywały, gdzie mają się ustawić wojownicy.

– Bergu! Pomóż mi! – zawołałem, a Norweg splótł dłonie i podsadził mnie na siodło. Wyciągnąłem Oddech Węża. – Siadaj na konia i jeźdź za mną! – rozkazałem mu.

Objechałem kraniec naszego pospiesznie uformowanego muru tarcz. Teraz mogłem rozejrzeć się po warowni. Dwustu ludzi? Wątpiłem, aby wrogów było więcej niż dwie setki. Zebrali się w odległej części grodu, zapewne w oczekiwaniu na wynik negocjacji z Aethelflaed, a my znaleźliśmy się na ich tyle. W mniejszej odległości od nas stała liczniejsza grupa kobiet i dzieci, która rozbiegła się na wszystkie strony. Towarzyszyło im kilku mężczyzn – wszyscy uciekali przed nami do wschodniego krańca fortecy.

– Musimy zatrzymać tych uciekinierów – powiedziałem do Berga. – Za mną! – Spiąłem Tintrega ostrogami.

Byłem Uhtredem, panem Bebbanburga w pełni wojennej chwały. Na moich przedramionach połyskiwały bransolety zdobyte na wrogach, na tarczy widniał świeżo odmalowany herb rodowy – czarny łeb warczącego

wilka, a wypolerowany hełm wieńczyła figurka srebrnego wilka. Włożyłem na siebie opiętą, wyczyszczoną piaskiem kolczugę, a mój pas rycerski, pochwa, uzda i siodło zostały ozdobione srebrem. Na szyi miałem złoty łańcuch, buty były obszyte srebrnymi blaszkami. Mój długi miecz ze stali damasceńskiej był siwy od wzorów powstałych w trakcie wykuwania, które pokrywały go od rękoności po głodny krwi sztych. Byłem panem wojny dosiadającym potężnego czarnego ogiera – razem wzbudzaliśmy panikę.

Ruszyłem w ślad za uciekającymi ludźmi, powstrzymałem Tintrega przed kobietą biegnącą z dzieckiem w ramionach. Jakiś mężczyzna usłyszał tętent kopyt i odwrócił się, żeby zamachnąć się toporem. Spóźnił się jednak. Oddech Węża po raz pierwszy tego dnia posmakował krwi. Kobieta krzyknęła. Kroczący z nisko trzymanym mieczem Berg również się postrach wśród tłumu. Mój syn dosiadł konia i poprowadził trzech innych jeźdźców w serce chaosu.

– Odetnijcie im drogę ucieczki! – wrzasnąłem i skierowałem Tintrega w stronę biegnących na czele grupy uciekinierów. Chciałem, żeby pozostali między naszym murem tarcz a większą grupą przeciwników, którzy pospiesznie formowali własny szyk bojowy w odległym krańcu fortecy. – Skieruj ich z powrotem! – krzyknąłem do syna. – Do Finana!

Następnie przegalopowałem na Tintregu przed tłumem, trzymając nisko miecz. Celowo wywołałem panikę. Pognaliśmy kobiety i dzieci w stronę naszego muru tarcz. Psy ujadły, dzieci wrzeszczały, a ciżba zawróciła, chcąc za wszelką cenę uciec przed ciężkimi kopytami i połyskującymi mieczami, gdy nasi wojownicy cwałowali wokół grupy.

– A teraz naprzód! – krzyknąłem do Finana. – Ale powoli!

Stałem nieopodal tłumowi, który przerażony widokiem potężnych rumaków cofał się w stronę naszego posuwającego się do przodu muru tarcz. Kazałem Bergowi obserwować nasze tyły, a sam rozejrzałem się po

warowni. W południowej części dostrzegłem kolejne chaty, ale w większości wewnątrz porośnięte było trawą, na której złożono stosy ogromnych palów. Haesten w odległym końcu zaczął wznosić dwór, tam, gdzie teraz jego ludzie formowali mur tarcz z trzech szeregów, był on znacznie dłuższy od naszego. Okazał się nie tylko dłuższy, ale też głębszy, a nad nim powiewała dawna chorągiew Haestena – biaława czaszka wbita na pal. Mur tarcz wyglądał imponująco. Ludzie Haestena byli niemal tak samo spanikowani jak ich żony i dzieci. Niektórzy krzyczeli i wskazywali na nas, najwyraźniej chcąc ruszyć z miejsca i nas zaatakować, ale inni oglądali się tylko na odległe wały, które – o ile dobrze widziałem – były jedynym odcinkiem obwarowań wyposażonym w platformy obronne. Stacjonujący tam wartownicy wypatrywali oddziałów Aethelflaed. Jeden z wojowników w murze tarcz coś krzyczał, ale był za daleko, żebym mógł rozróżnić słowa.

– Finanie! – wrzasnąłem.

– Panie?

– Spal te chaty. – Chciałem, żeby wojska Aethelflaed zagroziły temu odległemu wałowi, dlatego zamierzałem odwrócić uwagę wartowników. Dym powinien co najmniej dać im do zrozumienia, że warownia Haestena ma kłopoty. – I pospiesz się! – Wskazałem mieczem na wrogi oddział. – Wybijmy ich w pień.

Finan wydał rozkazy i mur tarcz przyspieszył. Wojownicy zaczęli w czasie marszu uderzać mieczami o tarcze, gnając przed sobą uciekinierów.

– Puście ich! – krzyknąłem do syna. – Ale niech zostaną pośrodku warowni!

Zrozumiał natychmiast, o co mi chodzi, zawrócił konia i skierował tłum do północnej części grodu.



– Bergu – wezwałem Norwega. – Załatwmy południowe skrzydło.

– Co robimy, panie?

– Pozwólmy kobietom i dzieciom dołączyć do mężczyzn, ale niech idą prosto przed siebie.

Złamać mur tarcz to trudne i krwawe zadanie. Dwa szeregi wojowników muszą się zetrzeć i dokonać wyłomu za pomocą toporów, włócznie i mieczy. Ale każdego zabitego wroga zastępuje kolejny. Dowodzący oddziałami Haestena miał trzy szeregi wojowników czekających na nas, podczas gdy Finan dowodził tylko dwoma. Nasz mur tarcz nie był wystarczająco głęboki, przeciwnicy mieli przewagę liczebną, gdyby jednak udało nam się złamać ich szyki, trawa porastająca szczyt wzgórza pociemniałaby od ich krwi. Dlatego właśnie kazałem zagnać kobiety i dzieci na tarcze wroga. Uciekinierzy za wszelką cenę chcieli umknąć przed posepnym szczękiem naszych mieczy wybijających rytm uderzeniami o malowane tarcze. Byli gotowi przedrzeć się przez mur Haestena, zarażając paniką jego wojowników. Ich desperacka próba ucieczki przed naszymi sztychami miała nam pomóc uczynić wyłom w szeregach przeciwnika, dzięki czemu moglibyśmy podzielić szereg na niewielkie grupki i rozpocząć rzeź.

Dlatego nasi nieliczni jeźdźcy galopowali po otwartej przestrzeni między dwoma murami tarcz, a kobiety i dzieci, szukając schronienia, ruszyły biegiem w stronę tarcz swoich mężów i ojców. Berg i ja zadbaliśmy o to, żeby nie mogły skierować się ku krańcom szeregu, lecz pędziły ku środkowi linii muru. Finan, widząc, do czego zmierzam, jeszcze szybciej poprowadził swoich ludzi. Moi wojownicy intonowali pieśni, uderzając klingami w wierzbowe tarcze i wznosząc okrzyki.

Wiedziałem, że przed nami łatwe zwycięstwo.

Czułem strach przeciwników i widziałem ich przerażenie. Ragnall ich tu zostawił, przykazawszy pilnować Eads Byrig do swego powrotu, a Haesten postanowił podstępem i kłamstwami zapewnić warowni bezpieczeństwo. Nowe obwarowania robiły imponujące wrażenie, ale okazały się blefem. Pale nie zostały wbite dostatecznie głęboko, więc się przewróciły. Tymczasem my znaleźliśmy się wewnątrz, a Aethelflaed miała wielokrotnie większe siły na zewnątrz, ludzie Haestena wiedzieli więc, że ich koniec jest bliski. Ich rodziny napierały na nich, za wszelką cenę chcąc przebić się przez tarcze i znaleźć po drugiej stronie muru. Finan dostrzegł wyłom i wydał rozkaz do ataku.

– Zabijajcie mężczyzn! – krzyknąłem.

Jesteśmy okrutni. Teraz, gdy jestem stary i najjaśniejsze światło słoneczne zdaje mi się przymglone, a najgłośniejszy ryk fali rozbijających się o skały przytłumiony, myślę o wszystkich tych mężczyznach, których posłałem do Walhalli. Zapełniają kolejne ławy. To dzielni mężczyźni, zbrojni we włócznie i miecze zaciekli wojownicy, ojcowie i mężowie, których krew przelałem i którym pogruchotałem kości. Gdy teraz wspominam bitwę o Eads Byrig, myślę, że gdybym wezwał przeciwników do poddania się, opuściliby sztandar z czaszką i ułożyli stos z mieczy na trawie. My jednak walczyliśmy z Ragnallem Okrutnym, a raczej jego ludźmi, których należało się obawiać bardziej niż samego Ragnalla. Wiedziałem, że koniec końców będziemy musieli stoczyć z nim walkę, że nasz mur tarcz spotka się z jego, i chciałem, aby jego ludzie mieli lęk w sercach, gdy się z nami zmierzają.

Więc zabijaliśmy. Panika wrogów doprowadziła do załamania się ich muru tarcz. Mężczyźni, kobiety i dzieci ruszyli w stronę znajdującej się za nimi bramy, ale było ich zbyt wielu, żeby zmieścić się w wąskich wrotach,

więc stłoczyli się na ich progu. A moi ludzie przystąpili do zabijania. Byliśmy okrutni, byliśmy dzicy, byliśmy wojownikami.

Pozwoliłem Tintregowi samodzielnie wybrać drogę. Kilku mężczyzn wspinało się na wał, ale zrzuciłem ich ciosami miecza. Raczej raniłem, niż zabiłem. Pragnąłem krwi, ale chciałem też, by okaleczeni wojownicy pokuśtykali na północ i przekazali Ragnallowi moją wiadomość. Okrzyki raniły moje uszy. Niektórzy wrogowie próbowali się schronić w na wpół wybudowanym dworze, ale tarczownicy Finana byli w morderczym nastroju. Włócznie dosięgały pleców uciekających. Ojcowie umierali na oczach dzieci, kobiety krzyczały z rozpacz, ale moi bezlitośni wojownicy nie przerywali zabijania, siekania mieczami, zadawania ciosów toporami i ciskania włóczni. Nasz mur tarcz się rozsypał, nie był już potrzebny, bo nieprzyjaciele przestali się bronić, lecz próbowali uciec. Nieliczna grupa starała się jeszcze walczyć. Zobaczyłem dwóch mężczyzn, którzy zwrócili się przeciw Finanowi, i Irlandczyk zawołał do towarzyszy, żeby się odsunęli. Następnie odrzucił tarczę i zaczął z nich szydzić. Odparował ich niezdarne ataki, po czym wykorzystując swoją szybkość, ugodził jednego z nich w brzuch i wbił głębiej ostrze. Uskoczył przed wściekłym ciosem drugiego, wyciągnął sztych z rany i trzymając oburącz broń, zadał pchnięcie w gardło drugiego napastnika. Wydawało się, że robi to bez żadnego wysiłku.

Zaatakował mnie włócznik z wykrzywioną twarzą, krzycząc, że jestem wypierdkiem. Celował bronią w brzuch Tintrega, wiedząc, że jeśli mój koń się przewróci, łatwiej mu będzie dosięgnąć mnie mieczem. Mój hełm, złote i srebrne ozdoby pasa, uzdy, butów i pochwy wskazały mu, że jestem cieszącym się sławą wojownikiem, a zabicie mnie przed własną śmiercią przysporzyłoby chwałę jego imieniu. Może nawet stałoby się tematem dla bardów do składania pieśni, opiewania tego, jak zgładził Uhtreda.

Pozwoliłem mu się zbliżyć, następnie dotknąłem piętą boku wierzchowca, który na mój znak rzucił się w przód, zmuszając wojownika do cofnięcia włóczni. Norweg, zamiast rozpruć koński brzuch, zranił zwierzę w bok. Uderzyłem Oddechem Węża, łamiąc jesionowe drzewce włóczni, a napastnik rzucił się na mnie, chwycił za nogę i próbował zrzucić z siodła. Opuściłem raptownie miecz, ostrze ścięło krawędź jego hełmu, która zmasakrowała mu twarz, ścinając nos i brodę. Krew mężczyzny poląła się na mój prawy but, kiedy puściwszy moją nogę, skręcał się w nagłym spazmie bólu. Zadałem mu kolejny cios, tym razem rozłupując dzwon hełmu. Wydał gulgoczący, przypominający szloch dźwięk, przyciskając dłonie do poranionej twarzy, ja zaś spiąłem Tintrega ostrogami i ruszyłem naprzód.

Obrońcy grodu się poddali. Rzucili na ziemię tarcze i miecze, po czym uklękli na trawie. Osłaniały ich kobiety, krzycząc do moich ludzi, żeby skończyli z tym szaleństwem, a ja uznałem, że mają rację. Odebraliśmy życie już wystarczająco wielu mężom.

– Finanie, bierzcie jeńców! – krzyknąłem.

W tej samej chwili zza bramy rozległ się dźwięk rogu.

Bitwa, która zaczęła się tak nagle, skończyła się równie gwałtownie, można by pomyśleć, że róg był znakiem dla obu stron. Ponownie usłyszałem natarczywy sygnał, po czym zobaczyłem, że tłum zebrany przy bramie cofa się, żeby zrobić miejsce przybywającym.

Pojawił się biskup Leofstan na swoim wałachu, niemal dotykając długimi nogami ziemi. Za nim podążał robiący większe wrażenie oddział wojowników pod dowództwem Merewalha, którzy otaczali Aethelflaed. Następnie ukazał się Haesten, za którym nadjechali kolejni Mercjanie.

– Złamałeś rozejm! – zarzucił mi ojciec Ceolnoth, a w jego głosie wyczułem więcej smutku niż złości. – Lordzie Uhtredzie, złamałeś uroczystą przysięgę, którą złożyliśmy. – Spojrzał na zmarłych leżących na trawie, wypatroszone ciała, których flaki mieszały się z poszarpanymi kolczugami, roztrzaskane hełmy, z których wypływały mózg i krew przyciągające muchy. – Złożyliśmy przysięgę przed Bogiem – rzekł smutno.

Na twarzy ojca Harulda malował się gniew. Ukląkł przy umierającym mężczyźnie i wziął go za rękę.

– Nie masz za grosz honoru! – Splunął w moją stronę.

Skierowałem Tintrega w jego stronę i opuściłem Oddech Węża tak, żeby dotknął karku duńskiego klechy.

– Wiesz, jak mnie nazywają? – zapytałem. – Księżobójcą. Wspomnij jeszcze raz o honorze w mojej obecności, a każę ci zjeść własne gówno.

– Ty... – zaczął, ale uderzyłem go płazem miecza tak mocno, że dotknął głową trawy.

– Kłamałeś, klecho – rzuciłem. – Więc nie mów mi o honorze.

Zamilkł.

– Finanie, odbierz im wszystkim broń! – warknąłem.

Aethelflaed wyjechała przed pokonanych Norwegów.

– Dlaczego? – zapytała gorzko. – Dlaczego?

– Są naszymi wrogami.

– Warownia miała się poddać w Niedzielę Wielkanocną.

– Pani, Haesten jeszcze nigdy w życiu nie powiedział prawdy – odparłem zmęczonym tonem.

– Złożył mi przysięgę!

– Nigdy nie zwolniłem go z tej, którą złożył mnie – odciąłem się, nagle czując do niej złość. – Haesten jest moim człowiekiem, mnie jest winien lojalność! Żadni księża ani modlitwy nie są w stanie tego zmienić!

– A ty... złożyłeś przysięgę mnie – odparła Aethelflaed. – Więc twoi ludzie są moimi ludźmi, a ja zawarłam pakt z Haestenem.

Zawróciłem konia. Biskup Leofstan podjechał bliżej, ale natychmiast się cofnął. Ja i mój wierzchowiec byliśmy cali we krwi, cuchnęliśmy posoką, sztych mojego miecza połyskiwał czerwienią. Stałem w strzemionach i krzyknąłem do ocalałych ludzi Haestena.

– Niech wystąpią wszyscy, którzy są chrześcijanami. – Czekałem przez chwilę. – Pospieszcie się! Niech wszyscy chrześcijanie zbiorą się w tym miejscu. – Wskazałem mieczem pustą przestrzeń między dwoma stosami belek. Haesten otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a ja zamachnąłem się Oddechem Węża i wycelowałem w niego ostrze. – Powiedz jedno słowo, a utnę ci język! – Zamknął usta. – Chrześcijanie niech wystąpią, natychmiast! – ryknąłem. – Ruszyło się czterech mężczyzn. Czterech mężczyzn i może ze trzydzieści kobiet. Nikt więcej. – A teraz spójrz na resztę – zwróciłem się do Aethelflaed. – Popatrz, co mają zawieszane na szyjach, pani. Widzisz krzyże czy młoty?

– Młoty – wyszeptała.

– Kłamał – stwierdziłem. – Powiedział, że wszyscy jego ludzie, z kilkoma wyjątkami, są chrześcijanami, a i ci nawrócą się na święto Eostre, tymczasem spójrz tylko na nich! Są takimi samymi poganami jak ja. Haesten kłamie. On zawsze kłamie. – Poprowadziłem Tintrega między jej ludzi. – Przykazano mu utrzymać Eads Byrig do powrotu Ragnalla, który niedługo się zjawi, więc łągał. On nie potrafi mówić prawdy. Ma kłamliwy język. Łamie przysięgi, pani. Twierdzi, że białe jest czarne, a czarne jest białe, a ludzie mu wierzą, bo jego kłamliwy język pokrywa miód. Ale ja go

znam, pani, jest moim człowiekiem, przysięgał mi wierność. – Pochyliłem się, chwyciłem Haestena za kolczugę, koszulę i płaszcz i podniosłem. Okazał się znacznie cięższy, niż się spodziewałem, mimo to zdołałem przerzucić go przez siodło, po czym zawróciłem wierzchowca. – Znam go całe życie, pani, i przez cały ten okres jeszcze nie zdarzyło mu się powiedzieć jednego słowa prawdy. Wije się jak wąż, kłamie jak pies, a ma odwagę zająca.

Bruna, żona Haestena, zaczęła się na mnie wydzierać z tylnych rzędów zgromadzonego tłumu. Następnie ruszyła w moją stronę, torując sobie drogę potężnymi, mięsistymi pięściami. Nazwała mnie mordercą, poganinem, pomiotem szatana. Ona była rzeczywiście chrześcijanką, wiedziałem to. Haesten zachęcał ją do chrztu, ponieważ dzięki temu król Alfred traktował go pobłażliwiej. Poruszył się na moim siodle, a ja zdzieliłem go w tyłek ciężką rękojeścią miecza.

– Uhtredzie! – krzyknąłem do syna. – Jeśli ta tłusta suka choćby palcem dotknie mnie albo mojego wierzchowca, przetrąć jej kark.

– Lordzie Uhtredzie. – Leofstan chciał mnie powstrzymać, ale cofnął się, spojrzawszy na krew pokrywającą sztych mojego miecza i boki konia.

– Co, ojcze?

– On zna wyznanie wiary.

– Ja też, czy to czyni mnie chrześcijaninem?

Leofstan wyglądał na załamanego.

– A więc on nie wierzy w Chrystusa?

– Nie wierzy – odparłem. – Zaraz ci to udowodnię. – Patrz tylko. Zrzuciłem Haestena z siodła, po czym sam zeskoczyłem na ziemię. Wodze rzuciłem Godricowi. – Masz miecz, dobądź go – rozkazałem jarłowi.

– Nie, panie – odparł.

– Nie będziesz walczył?

Łajdak zwrócił się do Aethelflaed.

– Czyż nasz Pan nie przykazał nam kochać nieprzyjaciół? Nadstawiać drugi policzek? Jeśli mam umrzeć, pani, umrę jako chrześcijanin. Umrę z chęcią, jak nasz Zbawiciel. Umrę, świadcząc o...

Nigdy nie mieliśmy się dowiedzieć, o czym miał świadczyć, bo uderzyłem go w skroń płazem Oddechu Węża. Cios powalił go na ziemię.

– Wstawaj – powiedziałem.

– Pani – zwrócił się do Aethelflaed.

– Wstawaj! – krzyknąłem.

– Wstań – rozkazała mu Aethelflaed. Przyglądała mu się bardzo uważnie.

Haesten się podniósł.

– A teraz walcz, ty oślizły wypierdku! – rzuciłem.

– Nie będę walczył – odparł. – Wybaczam ci. – Przeżegnał się, po czym miał czelność paść na kolana, obiema dłońmi chwycić srebrny krzyż i unieść go przed twarz, jakby się modlił.

– Święta Werburgo! – zawołał. – Módl się za mnie teraz i w godzinie mojej śmierci!

Zamachnąłem się mieczem tak mocno, że Aethelflaed aż krzyknęła. Ostrze świsnęło w powietrzu, kierując się w stronę karku Haestena. To był gwałtowny manewr, zamaszty i szybki, w ostatnim momencie powstrzymałem miecz, tak że zakrwawiony sztych zatrzymał się o cal od skóry Haestena. A on zrobił to, czego się spodziewałem. Opuścił prawą dłoń, w której trzymał krzyż, i chwycił nią rękojeść miecza. Zacisnął rękę na głowni, mimo że nie miał zamiaru dobywać broni.

Dotknąłem sztychem Oddechu Węża jego karku.



– Boisz się, że nie pójdziesz do Walhalli? – zapytałem. – Dlatego chwyciłeś za miecz?

– Daruj mi życie – zaczął błagać. – Zdradzę ci plany Ragnalla.

– Znam jego plany. – Mocniej przytknąłem ostrze do boku jego szyi, a on zadrżał. – Nie jesteś wart tego, żeby z tobą walczyć – powiedziałem i najpierw popatrzyłem na Aethelflaed, a później na jej bratanka. – Aethelstanie, niech Wasza Książęca Mość tu podejdzie!

Chłopak spojrział na ciotkę, ale ona tylko kiwnęła głową. Zeskoczył z konia.

– Będziesz walczył z Haestenem, bo nadszedł czas, abyś zabił jarla, choćby tak żalostnego jak ten. – Odsunąłem miecz od szyi Haestena. – Wstawaj! – rozkazałem.

Haesten wstał. Spojrział na Aethelstana.

– Kazesz mi walczyć z chłopcem?

– Pokonaj tego chłopca, a będziesz żył – obiecałem.

Aethelstan nie był już chłopiętkiem, był gibki i młody, Haesten natomiast miał doświadczenie, ale wiedział, że nie ryzykowałbym życia księcia, gdybym nie był pewny, że młodzik odniesie zwycięstwo. Wiedząc to, Haesten spróbował nieczystej gry. Dobył miecza i ruszył na Aethelstana, który czekał na znak rozpoczęcia pojedynku. Jarl wydał z siebie ryk podczas ataku, a następnie zamachnął się mieczem, ale chłopak był szybki, uchylił się od ciosu i wyciągnął długą klingę z pochwy. Sparował uderzenie, usłyszałem szczęk broni i zobaczyłem, że Haesten wykonuje cios sponad głowy, którym zamierzał rozłupać przeciwnikowi czaszkę na pół, ale młodzieniec odchylił się do tyłu, pozwalając brzeszczotowi minąć się o cal, po czym drwiąco zaśmiał się ze starszego wojownika. Nisko trzymał miecz, zachęcając wroga do kolejnego ataku, ale Haesten był teraz

ostrożniejszy. Zadowolili się okrażeniem Aethelstana, który obracał się za nim, aby stale mierzyć bronią w przeciwnika.

Miałem swój powód, żeby pozwolić Aethelstanowi walczyć i odnieść zwycięstwo. Był wprawdzie najstarszym synem króla Edwarda, a przez to aethelingiem Wessexu, ale miał młodszego przyrodniego brata, a w królestwie niektórzy wpływowi panowie woleli, by na tronie zasiadł młodszy chłopak. Nie dlatego, że był lepszy, silniejszy czy inteligentniejszy, lecz po prostu dlatego, iż był wnukiem najpotężniejszego ealdormana w Wessexie, i żeby zwalczyć wpływy tych możnych, zamierzałem zapłacić bardowi żywym złotem i zlecić mu opisanie tej bitwy. Nie zależało mi, aby pieśń ta wiernie opisywała pojedynek, chodziło o to, by przedstawić Aethelstana jako bohatera, który w północnych lasach Mercji zabił w walce duńskiego wodza. Później zamierzałem posłać barda na południe Wessexu, żeby wykonywał pieśń dla pijących miód przy palenisku mieszkańców dworów. W ten sposób ludzie mieli dowiedzieć się, że starszy syn Edwarda jest wartościowym młodzieńcem.

Moi ludzie teraz drwili z Haestena, wyzywali go od tchórzy i prowokowali do ataku, ale on pozostawał ostrożny. Aethelstan zrobił krok do przodu i zranił Duńczyka, jego uderzenie było niemal przypadkowe, chłopak jednak chciał wybadać zwinność starszego przeciwnika, a to, czego się dowiedział, najwyraźniej go zadowoliło, bo zaczął atakować krótkimi, szybkimi ciosami, zmuszając jarla, by się cofał. Jeszcze nie starał się go zranić, po prostu doprowadził do tego, że wróg stale się wycofywał i nie dawał mu okazji do kontrataku. Potem nagle zrobił krok w tył, wzdragając się, jakby naciągnął sobie mięsień, a Haesten rzucił się na niego. Chłopak zrobił unik i zadał mocny cios, bezlitośnie mocny, szybki jak uderzenie skrzydła jerzyka. Ostrze dosięgło prawego kolana Duńczyka z nieokiełznaną siłą, sprawiając, że się zatoczył. Aethelstan z całej siły

siekał mieczem, żeby przeciąć kolczugę na ramionach Haestena. Duńczyk upadł na trawę. Zobaczyłem na twarzy Aethelstana bitewną radość i usłyszałem płacz zrozpaczonego jarła, gdy młodzieniec stanął nad nim z uniesionym mieczem gotowym do zadania śmiertelnego ciosu.

– Czeka! – zawołałem. – Czeka! Cofnijcie się!

Moi ludzie zamilkli. Aethelstan spojrział na mnie ze zdumieniem, ale posłusznie zrobił krok w tył. Haestenem wstrząsały spazmy bólu, ale zdołał się podnieść z ziemi. Niepewnie stał na rannej prawej nodze.

– Darujesz mi życie, panie? – zapytał. – Zostanę twoim człowiekiem.

– Jesteś moim człowiekiem – odparłem i uniosłem jego prawą rękę.

Wtedy zrozumiał, co zamierzam zrobić, i na jego twarzy pojawił się grymas rozpaczy.

– Nie! – krzyknął. – Błagam, nie!

Ścisnąłem go za nadgarstek i odebrałem mu miecz.

– Nie! – zawodził. – Nie! Nie!

Odrzuciłem miecz i zrobiłem krok w tył.

– Kończ swoje dzieło – rzuciłem do Aethelstana.

– Podaj mi miecz! – Haesten płakał, kuśtykając ku leżącej na ziemi broni, ale zastąpiłem mu drogę.

– Żebyś trafił do Walhalli? – warknąłem. – Myślisz, że masz prawo pić ale z tymi wszystkimi dzielnymi mężami, którzy czekają na mnie w kościanym dworze? Z tymi wszystkimi odważnymi mężami? A czemu to chrześcijanin wierzy w Walhallę?

Nic nie odpowiedział. Spojrzałem na Aethelflaed, a potem na Ceolnotha.

– Słyszeliście? – zapytałem. – Ten dobry chrześcijanin pragnie dostać się do Walhalli. Nadal uważacie, że wierzy w Chrystusa?

Aethelflaed kiwnęła głową, przyjmując mój argument, ale Ceolnoth unikał mojego wzroku.

– Mój miecz! – powiedział Haesten ze łzami płynącymi mu po twarzy, ale ja już skinąłem na Aethelstana i stanąłem z boku.– Nie! – jęczał. – Mój miecz! Błagam cię! – Spojrzał na Aethelflaed. – Pani, podaj mi mój miecz!

– Dlaczego? – zapytała lodowatym tonem Aethelflaed, lecz Haesten nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Aethelflaed kiwnęła głową do bratanka, a on przebił jarla mieczem, zadając mu cios w brzuch, ostrze przecięło kolczugę, przeszło przez skórę, mięśnie i zagłębiło się w ciele. Chłopak uniósł ostrze i rozpruł ciało przeciwnika. Stękał z wysiłku, patrząc wrogowi w oczy, trysnęła krew wymieszana z flakami i rozprysła się po gęstej trawie Eads Byrig.

W ten sposób zginął Haesten Duńczyk.

Nadchodził Ragnall.

Zgładzenie go miało się okazać znacznie trudniejsze.

---

\* Zob. Biblia Tysiąclecia, Łk 2, 32.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wzięliśmy do niewoli zbyt wielu jeńców i zbyt wielu spośród nich było wojownikami, którzy mogli powstać przeciwko nam. Większość z nich należała do zwolenników Ragnalla, niektórzy byli ludźmi Haestena, wszyscy jednak stanowili dla nas zagrożenie. Gdybyśmy puścili ich wolno, dołączyliby do wojsk Ragnalla, które i tak były już wystarczająco silne. Uważałem więc, że należy ich wszystkich zabić, poza jednym. Nie mogliśmy wykarmić niemal trzystu mężczyzn, nie licząc ich rodzin, a miałem w swoich szeregach młodzież, która potrzebowała ćwiczeń w posługiwaniu się mieczem. Aethelflaed wzdragała się przed rzezią. Nie była słabą kobietą – tego nie można o niej powiedzieć. W przeszłości beznamiętnie przyglądała się egzekucjom jeńców, ale teraz była w miłosiernym, czy może raczej czułościowym nastroju.

– Co więc twoim zdaniem mam z nimi zrobić? – zapytałem.

– Chrześcijanie niech zostaną w Mercji – odrzekła, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na garstkę, która wyznawała jej religię.

– A co z resztą?

– Po prostu ich nie zabijaj – odparła szorstko.

Ostatecznie więc poleciłem swoim ludziom poobcinać jeńcom prawe dłonie i zebrać je do worków. Na wzgórzu zginęło czterdziestu trzech wojowników, którym kazałem obciąć głowy. Okaleczonych puściliśmy wolno. Posłaliśmy ich na wschód rzymską drogą. Powiedziałem im, że

w ciągu półtora dnia dotrą do skrzyżowania, a wtedy – jeśli skręcą na północ – znajdą most prowadzący do Northumbrii.

– Kiedy spotkacie swojego wodza, przekażcie mu wiadomość – nakazałem. – Jeśli wróci do Ceasteru, straci więcej niż jedną dłoń.

Zatrzymaliśmy młode kobiety i dzieci. Większość z nich zamierzaliśmy wysłać na targ niewolników w Londynie, kilka dziewcząt jednak zapewne znalazło nowych mężów pośród moich wojowników.

Zdobytą broń zawieźliśmy do Ceasteru, gdzie została rozdana ludziom z fyrdu i zastąpiła motyki i naostrzone szpadle. Później zniszczyliśmy nowe obwałowania Eads Byrig. Nie było to trudne, a pale wykorzystaliśmy do wzniesienia olbrzymiego stosu pogrzebowego, na którym ułożyliśmy bezgłowe zwłoki. Ciała kurczyły się i skręcały pod wpływem ognia, a kłęby dymu niosły na wschód stęchły smród śmierci. Pomyślałem, że Ragnall ujrzy dym i zacznie się zastanawiać, czy to omen. Czy ten widok go powstrzyma? Nie miałem co do tego złudzeń. Z pewnością domyśli się, że to Eads Byrig płonie, ale ambicja skłoni go do zignorowania tego znaku. Nie zmieni planów.

Chciałem odpowiednio go powitać, więc kazałem zostawić czterdzieści trzy pale i wbić je niczym słupy wzdłuż linii obwodu warowni, po czym na każdy nadziać kilka głów. Nazajutrz moi ludzie poprzybijali zakrwawione dłonie do drzew po obu stronach rzymskiej drogi, żeby powracającego Ragnalla najpierw przywitały dłonie, a później pokiereszowane dziobami kruków głowy otaczające zniszczony gród.

– Naprawdę uważasz, że tu wróci? – zapytała Aethelflaed.

– Już jest w drodze – odparłem pewnym siebie tonem.

Ragnall potrzebował zwycięstwa, a żeby podbić Mercję, nie wspominając o Wessexie, musiał zająć burh. Istniały też inne grody, które mógł zaatakować, ale Ceaster musiał go wyjątkowo kusić. Opanowanie tej

warowni umożliwiło mu kontrolę nad szlakami morskimi do Irlandii i podporządkowanie całej północno-zachodniej Mercji. Za to zwycięstwo musiałby zapłacić życiem wielu ludzi, ale on na brak tych ostatnich nie narzekał. Byłem pewny, że powróci.

Nocą, dwa dni po zdobyciu Eads Byrig, staliśmy z Aethelflaed nad północną bramą Ceasteru, wpatrując się w niebo usiane jasnymi gwiazdami.

– Skoro tak bardzo zależy mu na zdobyciu miasta, dlaczego nie zjawił się tu zaraz po przybiciu do Brytanii? – zapytała po chwili milczenia Aethelflaed. – Dlaczego najpierw wyruszył na północ?

– Bo dzięki podbiciu Northumbrii podwoi liczebność swojej armii – odpowiedziałem. – Poza tym nie chciał mieć wroga za plecami. Gdyby zaczął nas oblegać, nie zajmąwszy wcześniej Northumbrii, dałby czas Ingverowi na zebranie wojsk.

– Ingver z Eoferwicu jest słaby – odparła lekceważąco.

Powstrzymałem się od pytania dlaczego – skoro żywiła takie przekonanie – tak stanowczo odmawiała najazdu na Northumbrię. Znałem odpowiedź. Najpierw chciała zapewnić bezpieczeństwo pozostałej części Mercji, nie mogła też przeprowadzić ataku bez wsparcia brata.

– Może i jest słaby, nie zmienia to jednak faktu, że jest królem Jorviku.

– Eoferwicu – poprawiła mnie.

– A Jorvik otoczony jest potężnymi murami – ciągnąłem. – Ingver nadal ma stronników. Gdyby Ragnall dał mu wystarczająco dużo czasu, zapewne zdołałby zebrać jakieś tysiąc wojowników. Moim marszem na północ Ragnall wprowadził Ingvera w panikę. Teraz Northumbryjczycy stanęli przed wyborem: Ingver czy Ragnall, i sama wiesz, kogo wybiorą.

– Ragnalla – odparła cicho.

– Ponieważ jest potworem i wojownikiem. Boją się go. Jeśli Ingver ma choć odrobinę rozumu, wsiadł na statek i jest w drodze do Danii.

- Uważasz więc, że Ragnall tu przybędzie?
- W ciągu tygodnia – strzeliłem. – A może już jutro?

Zapatrzyła się w żarzące się na wschodnim horyzoncie ogniska. Rozpalili je nasi ludzie, którzy pozostali w Eads Byrig, gdzie mieli doprowadzić do końca burzenie obwarowań. Miałem nadzieję, że później znajdą sposób, by zająć tych kilka statków, które Ragnall pozostawił na północnym brzegu Maerse. Na dowódcę tamtejszego oddziału wyznaczyłem młodego Aethelstana, ale zadbałem o to, żeby miał starszych wojowników mogących chłopakowi służyć radą. Mimo wszystko dotknąłem młota Thora, modląc się do bogów, żeby nie zrobił żadnego głupstwa.

- Powinnam uczynić Eads Byrig burhem – odezwała się Aethelflaed.
- To prawda, ale nie zdążysz tego zrobić przed nadejściem Ragnalla.
- Wiem – odparła niecierpliwie.
- Bez Eads Byrig będzie miał jednak kłopot – dodałem.
- A gdybyśmy zatrzymali go dzięki wzniesieniu nowych obwałowań?
- I tak go zatrzymamy – powiedziałem stanowczym tonem. – Wiesz, ile czasu zajmie wybudowanie porządných obwarowań wokół szczytu wzgórza? Nie takiej atrapy, jaką wzniosł Haesten, ale solidnego wału? Całe lato! Rozkazałaś pozostałej części swoich wojsk tu przybyć, mamy ludzi z fyrdu, w ciągu tygodnia będziemy mieli przewagę liczebną nad Norwegami i nie damy im spokoju. Będziemy ich atakować, zabijać, nękać. Ragnall nie zdoła wznieść muru, jeśli jego ludzie będą stale nosili zbroje i oczekiwali ataku. Uczynimy ich życie piekłem na ziemi. Wytrzymają najwyżej dwa miesiące.

- Będzie oblegał Ceaster – odparła.
- W końcu dojdzie do oblężenia i na to liczę! Poniesie klęskę. Te mury są zbyt potężne. Bardziej martwiłbym się o Brunanburh. Wyślij tam



dotkających ludzi i każ wykopać głębszą fosę. Jeśli zajmie Brunanburh, zdobędzie warownię, a my będziemy mieli problem.

– Zamierzam dodatkowo ufortyfikować Brunanburh.

– Każ wykopać głębszą fosę – powtórzyłem. – Głębszą i szerszą, i wyślij tam dwustu ludzi. Wówczas Ragnall nigdy go nie zajmie.

– Zrobimy, jak mówisz – zgodziła się, po czym dotknęła mojego ramienia i się uśmiechnęła. – Wydajesz się bardzo pewny siebie.

– Przed końcem lata zdobędę miecz Ragnalla, a on znajdzie miejsce ostatniego spoczynku w Mercji.

Dotknąłem kościanego topora na swojej szyi i zastanawiałem się, czy wypowiadając te słowa, nie kuszę trzech Norn sprzedających mić mojego życia u stóp Yggdrasilu. Noc była ciepła, a mimo to przebiegł mnie dreszcz.

*Wyrð bið ful ãræd.*

W noc przed świętem Eostre doszło do kolejnej bójki przed karczmą U Pijusa. Zginął Fryz służący Aethelflaed, a drugi uczestnik bijatyki stracił oko. Co najmniej kilkunastu innych mężczyzn odniosło poważne rany, zanim mój syn i Sihtric zdołali ich uspokoić. Uhtred przyniósł mi te wieści, budząc mnie w środku nocy.

– Udało nam się zakończyć bójkę, ale niewiele brakowało, aby zmieniła się w rzeź.

– Co się stało? – zapytałem.

– Mus – odparł bezbarwnym głosem.

– Mus?

– Jest zbyt piękna, mężczyźni się o nią biją – wyjaśnił Uhtred.

– Który to już raz? – warknąłem.

– Trzeci z rzędu, ale po raz pierwszy ktoś zginął.

– To się dopóty nie skończy, dopóki nie powstrzymamy tej małej dziwki.

– Jakiej małej dziwki? – Eadith obudziła się i usiadła, osłaniając piersi skórzaną narzutą.

– Mus – odrzekłem.

– Myszy?

– Jest kurwą – wyłuszczyłem i spojrzałem na syna. – Powiedz Byrdnothowi, że jeśli dojdzie do kolejnej bójki, zamknę tę jego cholerną mordownię.

– Ona już nie pracuje dla Byrdnotha – odparł Uhtred, stojąc w drzwiach, tak że widziałem tylko jego cień na tle rozciągającego się za nim ciemnego podwórca. – A ludzie pani Aethelflaed i tak będą urządzać bijatyki.

– Mus nie pracuje już dla Byrdnotha? – spytałem zdziwiony. Wygramoliłem się z łóżka i zacząłem po omacku szukać czegoś do ubrania na podłodze.

– Już nie. Pracowała, ale powiedziano mi, że inne kurwy jej nie lubiły. Była zbyt popularna.

– Skoro więc pozostałe dziewczyny jej nie lubią, co robiła w karczmie?

– Nie było jej tam, robiła swoje magiczne sztuczki w szopie obok.

– Magiczne sztuczki? – burknąłem, po czym wciągnąłem spodnie na tyłek i założyłem cuchnący kaftan.

– W starej szopie. – Syn zignorował moje pytanie. – To jeden z tych starych magazynów na siano, który należy do kościoła Świętego Piotra.

Budynek kościelny! Nie było czemu się dziwić. Aethelflaed oddała Kościołowi połowę miejskich posiadłości i teraz połowa z nich wcale nie była użytkowana. Przyjąłem, że w niektórych Leofstan ulokuje swoje kaleki i sieroty, ale większość zamierzałem przeznaczyć na schronienie dla ludzi

z fyrdu, którzy stanowili drużynę Ceasteru. Wielu z nich już przybyło, mężczyźni i chłopcy z siekierami, włóczniami, motykami i łukami myśliwskimi.

– Dzwonka w kościelnym budynku? – zapytałem i wciągnąłem buty. – Nowemu biskupowi to się nie spodoba.

– Może będzie zachwycony, to bardzo utalentowana dziewczyna – odparł z rozbawieniem Uhtred. – Byrdnoth chce jednak, żeby wyniosła się z szopy. Twierdzi, że psuje mu interesy.

– Dlaczego więc ponownie jej nie zatrudni? Czemu nie wyrzuci pozostałych dziewczyn i jej nie zaangażuje?

– Teraz ona nie chce wrócić, twierdzi, że nie znosi Byrdnotha, jego knajpy i dziewczyn.

– A tacy durnie jak ty zapewniają jej robotę – rzuciłem ze złością.

– Ona jest śliczną małą myszką – powiedział tkliwym tonem.

Eadith zachichotała.

– Droga jest?

– Wcale nie! Daj jej kacze jajo, a obije cię o ściany szopy.

– Jesteś cały posiniaczony, co? – zapytałem, ale nie odpowiedział. – A zatem teraz bili się o nią?

Wzruszył ramionami.

– Tak. – Spojrzał przez ramię. – Ona chyba woli naszych od tych służących Aethelflaed i to jest cała przyczyna kłopotów. Sihtric wziął kilkunastu ludzi, którzy ich rozdzielili, ale na jak długo?

Zarzuciłem pelerynę na ubranie, ale zacząłem się wahać.

– Godricu! – krzyknąłem, a później znów go zawołałem, aż w końcu nadbiegł. Był moim służącym i dobrze się spisywał, lecz nadszedł czas

zatrudnić nowego chłopaka, bo ten był już na tyle dorosły, że mógł stanąć w murze tarcz.

– Przynieś mi kolczugę, miecz i hełm – poleciłem.

– Zamierzasz walczyć? – zapytał ze zdumieniem mój syn.

– Mam zamiar nastraszyć tę mysią dziwkę. Jeśli nastawia naszych ludzi przeciw wojownikom Aethelflaed, działa na rzecz Ragnalla.

Przed karczmą stał tłum mężczyzn, ich wściekłe twarze oświetlały płomienie pochodni umocowane do ścian oberży. Obrzucali wyzwiskami Sihtrica, który z kilkunastoma zbrojnymi pilnował ulicy prowadzącej do szopy myszy. Kiedy nadjechałem, zgromadzeni umilkli. W tej samej chwili pojawił się Merewalh. Popatrzył podejrzliwie na moją kolczugę, hełm i miecz. Był skromnie ubrany w czerń, tylko na szyi miał zawieszony srebrny krzyż.

– Przysłała mnie pani Aethelflaed – wyjaśnił. – Nie jest zadowolona.

– Ja też nie.

– Była na czuwaniu, oczywiście. I ja też.

– Na czuwaniu?

– Czuwanie przez Wielkanocą – odparł, marszcząc brwi. – Całą noc modlimy się w kościele i witamy dzień śpiewem.

– Ależ wariackie życie prowadzicie wy, chrześcijanie – powiedziałem i spojrzałem na tłum. – Do łóżek! – krzyknąłem. – Wszyscy! Koniec przedstawienia!

Jeden z mężczyzn, który wlał w siebie więcej ale, niż miał rozumu, chciał zaprotestować, kiedy jednak ruszyłem w jego stronę z dłonią na rękojęści Oddechu Węża, jego towarzysze odciągnęli go na bok. Stałem, swoją postawą dając znać, że nie pora na żarty, i poczekałem, aż ludzie się rozeszli. Potem odwróciłem się do Sihtrica.

– Czy ta nieszczęsna dziewczyna nadal jest w stodole?

– Tak, panie. – Wydało mi się, że ulżyło mu na mój widok.

Eadith również przyszła. Wysoka, zachwycająco piękna, w długiej zielonej sukni i z ogniście rudymi luźno związanymi włosami. Skinąłem, żeby weszła w uliczkę, a Uhtred podążył za nią. Czekają tam kilkunastu mężczyzn, ale pierzchli, gdy tylko usłyszeli mój głos. Na końcu alejki znajdowało się pięć czy sześć szop – niskie drewniane budynki, które wykorzystywano jako magazyny na siano, ale tylko w jednym migotało światło. Nie prowadziły do niego drzwi, a jedynie otwór, przez który wszedłem do środka. I stanąłem skamieniały.

Na bogów, ależ ta mysz była piękna.

Rzadko widuje się prawdziwą piękność. Większość z nas przeszła ospę, więc twarze mamy pokryte dziobami, zęby, które nam pozostały, pożółkły, a naszą skórę pokrywają brodawki, torbiele i czyraki, cuchniemy też niczym owcze bobki. Każda dziewczyna, która do wieku kobiecego zachowa zęby i gładką skórę, jest uważana za piękność, ale to dziewczę miało coś więcej. Ona promieniała. Pomyślałem o Frigg, niemej dziewczynie, która wyszła za Kanuta Ranulfsona, a teraz mieszkała w dobrach mojego syna. Frigg była cudowna i piękna, ale o ile ona była ciemna i gibka, o tyle ta dziewczyna była jasna i obfita. Leżała całkiem naga z uniesionymi udami, a jej nieskazitelna skóra wydawała się promieniować zdrowiem. Miała pełne, ale nie opadłe piersi, intensywnie niebieskie oczy, wydatne usta i twarz przepełnioną radością – do czasu aż ściągnąłem człowieka spomiędzy jej ud.

– Idź spuścić się do fosy – warknąłem do niego.

Był jednym z moich ludzi. Naciągnął spodnie i wybiegł z szopy, jakby miał dwadzieścia demonów w tyłku.

Dziewczyna opadła na siano. Wyprężyła się z uśmiechem i zachichotała.

– Witaj ponownie, lordzie Uhtredzie – zwróciła się do mojego syna, który nic nie odpowiedział.

Na stogu siana stała osłonięta latarnia i zobaczyłem w jej słabym, migotliwym świetle, że mój syn się rumieni.

– Rozmawiaj ze mną, nie z nim – burknąłem.

Wstała i strzepnęła źdźbło siana ze swojej idealnej skóry. Nie miała na ciele żadnej blizny ani plamy, choć kiedy odwróciła się w moją stronę, zauważyłem na jej czole niewielkie czerwone znamię w kształcie jabłka. Niemal z ulgą przyjąłem, że jednak nie jest ideałem, bo nawet jej dłonie były bez skazy. Kobięce ręce szybko się starzeją, są poparzone od garnków, zniszczone od kądzieli i starte od prania na tarze. Jednak Mus miała dłonie jak niemowlę, miękkie i gładkie. Wydawała się w ogóle nie przejmować swoją nagością. Uśmiechnęła się do mnie i lekko skłoniła głowę z szacunkiem.

– Pozdrowienia, lordzie Uhtredzie – powiedziała spokojnie, ale w jej oczach widziałem rozbawienie z powodu mojego gniewu.

– Kim jesteś?

– Nazywają mnie Mus.

– Jak wołali na ciebie rodzicie?

– Skaranie Boskie – odparła z uśmiechem.

– Więc posłuchaj mnie, Skaranie Boskie – warknąłem. – Masz wybór. Albo będziesz pracować dla Byrdnotha Pod Siewką, albo opuścisz Ceaster. Zrozumiałaś?

Zmarszczyła brwi i przygryzła dolną wargę, jakby się zastanawiała, po czym znów obdarzyła mnie promiennym uśmiechem.

– Ja tylko obchodzę święto Eostre – stwierdziła chytrze. – Mówiono mi, że ty też lubisz to święto.

– Nie podoba mi się za to, że dziś w nocy zginął człowiek, bijąc się o ciebie. – Powstrzymałem irytację z powodu jej bystrości.

– Powiedziała im, żeby się nie bili – odrzekła z szeroko otwartymi oczami i niewinnym wyrazem twarzy. – Nie chcę, żeby się bili. Chcę, żeby...

– Wiem, czego chcesz – syknąłem. – Liczy się jednak to, czego ja chcę! A ja mówię: albo będziesz pracować dla Byrdnotha, albo opuścisz Ceaster.

Zmarszczyła nos.

– Nie lubię Byrdnotha.

– Mnie będziesz lubiła jeszcze mniej.

– Ależ nie – zaprzeczyła i się zaśmiała. – Ależ nie, panie, w żadnym razie.

– Będziesz pracować dla Byrdnotha albo stąd wyjeżdżasz – powtórzyłem.

– Nie będę dla niego pracowała, panie, jest tłusty i obślizły.

– Twój wybór, dziwko – powiedziałem i z trudem oderwałem oczy od jej pięknych obfitych piersi i drobnego ciała, które było jednocześnie jędrne i bujne. A ona wiedziała, że walczę ze sobą, i to ją bawiło.

– Dlaczego właśnie Byrdnoth?

– Bo on nie pozwoli ci sprawiać kłopotów – odparłem. – Będziesz się dupczyć z tym, kogo ci wskaże.

– Łącznie z nim samym. On jest odrażający! To jakby chędożyć się z tłustym wieprzem. – Wzdrygnęła się.

– Jeśli nie chcesz pracować Pod Siewką – powiedziałem, ignorując jej przesadne wyrazy obrzydzenia – musisz opuścić Ceaster. Nie obchodzi mnie, dokąd pójdziesz, ale nie możesz tu zostać.

– Tak, panie – zgodziła się potulnie, po czym spojrzała na Eadith. – Czy mogę się ubrać, panie?

– Ubieraj się – burknąłem. – Sihtricu?

– Panie?

– Będziesz jej pilnował tej nocy. Zamknij ją w jednym ze spichlerzy, a jutro odprowadź do drogi biegnącej na południe.

– Jutro jest Wielkanoc, panie, nikt nie będzie podróżował – odpowiedział nerwowo.

– Więc ukryj ją do czasu, aż ktoś będzie jechał na południe! Wtedy załaduj ją na wóz i dopilnuj, żeby tu nie wróciła.

– Tak, panie.

– A jutro zburzysz te stodoły – zwróciłem się do syna.

– Tak, ojcze.

– Jeśli tu wrócisz – spojrzałem na dziewczynę – wychłosczę cię tak, że skóra zejdzie ci z pleców, zrozumiałaś?

– Zrozumiałam, panie – odpowiedziała skruszonym tonem. Uśmiechnęła się do Sihtrica, swojego dozorca, po czym przykucnęła między stogami siana. Leżały tam w nieładzie jej ubrania, a ona zaczęła zbierać je na czworakach. – Tylko się ubiorę, nie będę już sprawiała kłopotów. Obiecuję.

Mówiąc te słowa, nagle rzuciła się do przodu i zniknęła w dziurze w tylnej ścianie szopy. Chwilę później do wnętrza stodoły wśliznęła się drobna dłoń, chwyciła pelerynę albo suknię i ponownie zniknęła.

– Za nią! – krzyknąłem.

Wymknęła się przez mysią dziurę, zostawiając pod latarnią niewielki stos monet i obrzynków srebra. Pochyliłem się, ale sprawdzwszy, że otwór jest dla mnie za mały, wybiegłem na uliczkę. Na tył szopy nie prowadziło



żadne przejście, a kiedy w końcu znaleźliśmy drogę przez sąsiedni dom, dziewczyna dawno już zniknęła. Stałem u wylotu ulicy, patrzyłem w pustą boczną uliczkę i kłąłem z bezsilności.

– Ktoś musi wiedzieć, gdzie ta dziwka mieszka – powiedziałem.

– To jest mysz, więc potrzebujesz kota – zauważył mój syn.

Chrząknąłem. Przynajmniej wystraszyłem dziewczynę – pomyślałem – może więc przestanie robić głupstwa. I dlaczego woli moich ludzi od służących Aethelflaed? Nie są ani bardziej czyści, ani bogatsi. Domyślałem się, że jest po prostu mąciicielką, którą bawi, gdy się o nią biją.

– Jutro zburzysz te szopy i poszukasz dziwki – rzekłem do Uhtreda. – Znajdź ją i zamknij.

Eadith i ja ruszyliśmy w stronę domu.

– Piękna jest – zauważyła ze smutkiem Eadith.

– Z tym znamieniem na czole? – zapytałem, udając, że się z nią nie zgadzam.

– Jest piękna – upierała się.

– Ty też – odparłem, i to była prawda.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi na komplement, choć jej uśmiech był wymuszony, a nawet naznaczony smutkiem.

– Ile może mieć lat? Szesnaście? Siedemnaście? Powinieneś się z nią ożenić, kiedy ją znalazłeś.

– Jaki mężczyzna ożeniłby się z taką kurwą jak ona? – zapytałem gniewnie, jednocześnie marząc o tym, żeby wziąć ją do łóżka i wychędożyć jej drobne, jędrne ciało.

– Może mąż by ją okiełznał – powiedziała Eadith.

– Może rzeczywiście powinienem się z nią ożenić – odparłem porywczo.

Eadith przystanęła i spojrzała na mnie. Byliśmy przed okazałym kościołem, gdzie odbywało się czuwanie wielkanocne, i przez otwarte drzwi zalało nas światło świec, rzucając cień na jej twarz i odbijając się we łzach na jej policzkach. Wyciągnęła obie ręce, chwyciła z obu stron mój hełm, stanęła na palcach i mnie pocałowała.

Boże, jakimi głupcami czynią nas kobiety.

Zawsze lubiłem zorganizować coś wyjątkowego na Eostre. Nająć zonglerów, muzykantów i akrobatów, ale przybycie Ragnalla na kilka dni przed świętem zniechęciło kuglarzy do przyjazdu do Ceasteru. Z tego samego powodu nie pojawiło się wielu gości zaproszonych na intronizację Leofstana. Mimo wszystko kościół Świętego Piotra był wypełniony po brzegi.

Intronizacja? Za kogo, na boga, ci ludzie się uważali? Królowie zasiadają na tronie. Pani Aethelflaed powinna mieć tron i czasem w Gleawecestre używała tronu zmarłego męża, a kiedy jako lord przystępowałem do rozsądzania spraw, zasiadałem na tronie. Nie dlatego, że pochodzę z królewskiego rodu, lecz dlatego, że reprezentuję królewską sprawiedliwość. Ale biskup? Dlaczego jakiś cwaniak potrzebuje tronu? Wulfheard miał tron bardziej okazały niż król Edward, krzesło o wysokim oparciu ozdobione rzeźbionymi wizerunkami bezmyślnych świętych i rozwrzeszczanych aniołów. Zapytałem raz tego durnia, dlaczego potrzebuje tak dużego krzesła pod swój kościsty tyłek, a on mi odpowiedział, że jest namiestnikiem boga w Herefordzie. „To Boży tron, nie mój” – odparł z zadęciem, chociaż zauważyłem, że zgrzyta ze złości, gdy ktoś inny waży się umieścić swój zadek na jego rzeźbionym krześle.

– Czy twój bóg kiedykolwiek odwiedził Hereford? – zapytałem.

– Jest wszechobecny, więc tak, zasiada na tronie.

– A zatem ty siadasz mu na kolanach? Miło.

Powątpiewałem, aby bóg chrześcijan odwiedził Ceaster, bo Leofstan na swój tron wybrał stołek do dojenia krów. Trójnogi taboret, który kupił na targu, teraz czekał na niego przed ołtarzem. Miałem zamiar wśliznąć się do kościoła w noc poprzedzającą święto Eostre, żeby nadpiłować dwie z nóg grubości palca, ale czuwający pokrzyżowali mi plany.

– Taboret? – zapytałem Aethelflaed.

– To skromny człowiek.

– Biskup Wulfheard twierdzi, że to tron waszego boga.

– Bóg też jest skromny.

Skromny bóg! Równie dobrze można mówić o bezzębnym wilku! Bogowie są bogami, są gromowładni, rozporządzają burzami, są panami nocy i dnia, ognia i lodu, dają i odbierają zwycięstwa. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego ludzie zostają chrześcijanami. No chyba że jest to żart ku uciesze innych bogów. Często podejrzewałem, że to Loki – największy figlarz wśród bogów – wymyślił chrześcijaństwo, bo unosił się nad nim jego szelmowski zapaszek. Wyobrażałem sobie bogów nudzących się pewnej nocy w Asgardzie, zapewne pijanych, i Lokiego zabawiającego ich z typowym dla siebie absurdalnym poczuciem humoru. „Stwórzmy cieślę – zaproponował – i wmówmy ciżbie, że jest synem jedyne boga, że umarł, a potem zmartwychwstał, przywracał ślepcom wzrok grudkami gliny i chodził po wodzie!” Kto by uwierzył w tego rodzaju bzdury? Kłopot z Lokim jest jednak taki, że zawsze za daleko posuwa się w swoich żartach.

Na ulicy przed kościołem wznosiły się stosy broni, tarcz i hełmów należących do mężczyzn oczekujących na intronizację biskupa. Potrzebowali broni, a co najmniej musieli ją mieć pod ręką, bo nasi zwiadowcy wrócili znad górnego biegu Maerse z informacją, że wojska Ragnalla się zbliżają. Widzieli nocą ich ogniska, a o świcie dym snujący się

po niebie na wschodzie. Uważałem, że dotarli już do ruin Eads Byrig. Zaraz potem zapewne ruszy na Ceaster, ale my dostrzeżemy jego armię, dlatego uporządkowane stosy broni i tarcz czekały na mężczyzn przebywających w kościele. Na sygnał alarmu mieli porzucić kazanie biskupa i zająć miejsce na murach.

Tego rana nadeszły też dobre wieści. Aethelstanowi udało się zająć dwie łodzie spośród statków, które Ragnall zostawił na północnym brzegu Maerse. Obie były okrętami wojennymi o szerokich kadłubach i wysokich dziobach. Jedna mieściła sześćdziesięciu wioślarzy, a druga czterdziestu.

– Pozostałe wyciągnięto na plażę i nie byliśmy w stanie ściągnąć ich na wodę – wyjaśnił Aethelstan.

– Nikt ich nie pilnował?

– Było tam sześćdziesięciu–siedemdziesięciu ludzi, panie.

– A ilu ty wziąłeś ze sobą?

– Siedmiu z nas przepłynęło rzekę, panie.

– Siedmiu!

– Pozostali nie umieją pływać.

– A ty umiesz?

– Jak ryba, panie!

Aethelstan i jego sześciu towarzyszy rozebrali się do naga i w środku nocy, w czasie przyływu, przepłynęli rzekę. Udało im się przeciąć cumy dwóch łodzi stojących na kotwicy, które podryfowały w dół Maerse i teraz bezpiecznie stały w pozostałościach przystani przy Brunanburhu. Chciałem ponownie wyznaczyć Aethelstana na dowódcę tej warowni, ale Aethelflaed nalegała, abym na czele garnizonu postawił Osfertha, jej przyrodniego brata. Dla biednego Aethelstana oznaczało to, że musiał cierpliwie brać udział w niekończącej się mszy, która miała zmienić ojca Leofstana w biskupa Leofstana.

Kilkakrotnie zająłem do kościoła. Odbywały się tam zwykłe śpiewy, a kilkunastu księży kołysało dymiącymi kadzielnicami. Opat o brodzie sięgającej pasa wygłaszał kazanie, które trwało co najmniej dwie godziny i zmusiło mnie do schronienia się w karczmie po drugiej stronie ulicy. Kiedy następnym razem zająłem do świątyni, zobaczyłem Leofstana leżącego na posadzce twarzą w dół i z rozpostartymi ramionami. Obecni byli wszyscy jego kalecy, szaleńcy bełkotali i skrzeczeli w tylnej części kościoła, a ubrane na biało sieroty wierciły się niecierpliwie. Większość zgromadzonych klęczała, dostrzegłem Aethelflaed obok żony biskupa, jak zwykle owiniętej w liczne warstwy materiału. Kiwała się w przód i w tył ze złożonymi dłońmi, jakby doświadczała ekstatycznych wizji. Pomyślałem, że to smutny sposób obchodzenia święta Eostre.

Udałem się do północnej bramy, wszedłem na mury i powiodłem wzrokiem po pustej okolicy. Dołączył do mnie syn, ale nic nie powiedział. Dziś rano dowodził strażą, co oznaczało, że miał pretekst, aby nie brać udziału we mszy. Staliśmy razem w niekrępującej ciszy. Na łące między fosą a rzymskim cmentarzyskiem powinien odbywać się teraz tętniący życiem jarmark, zamiast tego na głównej ulicy rozstawiono kilka straganów. Eostre nie byłaby zadowolona, choć zapewne okazałaby wyrozumiałość, gdyż nie należy do mściwych bogiń. Słyszałem historie o niej, kiedy byłem dzieckiem. Opowiadano mi je szeptem, bo ponoć byliśmy chrześcijanami. Mimo to dowiedziałem się o tym, jak w podskokach biega o świcie, rozrzucając kwiecie, zwierzęta podążają za nią parami, a elfy i chochliki zbiegają się wokół niej z trzciniowymi piszczałkami oraz bębenkami z główek ostu i grają swoje nieokiełznane melodie. Eostre śpiewem zaś pobudza świat do kreacji. Spodobałaby się jej Mus – pomyślałem, przypominając sobie jej jędrne ciało, blask skóry, iskierki

radości w oczach i figlarny uśmiech. Nawet wspomnienie o jej jedynej skazie – znamieniu w kształcie jabłka – wydawało mi się pociągające.

– Znalazłeś dziewczynę? – Przerwałem ciszę.

– Jeszcze nie. – Uhtred wydawał się niepokieszony. – Szukaliśmy wszędzie.

– Nie ukryłeś jej gdzieś?

– Nie, ojcze, zapewniam cię.

– Przecież musi gdzieś mieszkać!

– Pytaliśmy. Szukaliśmy wszędzie. Po prostu zniknęła! – Przeżegnał się. – Może ona w ogóle nie istnieje. Może jest nocnicą?

– Nie bądź durniem! – zakpiłem. – Oczywiście, że istnieje. Widzieliśmy ją. A ty nie ograniczyłeś się do patrzenia!

– Ale nikt nie widział jej zeszłej nocy. A była naga, kiedy zniknęła.

– Wzięła ze sobą pelerynę.

– Mimo wszystko ktoś powinien ją zauważyć. Półnagą dziewczynę biegnącą ulicami. Jak ona zdołała tak po prostu zniknąć? A jednak zniknęła. Jest nocnicą! Marą!

Marą? Ta myśl mnie przeraziła, mary przecież istnieją. Podobnie jak duchy, chochliki, trolle, złośliwe istoty, które pojawiają się tylko w nocy. A Mus – pomyślałem – jest złośliwa. Prowokowała kłopoty, nastawiając moich ludzi przeciw wojownikom Aethelflaed. I była zbyt doskonała jak na ziemską istotę. Czy była więc zjawą wysłaną przez bogów, żeby z nas zadrwić? Żeby zadrwić ze mnie. Przypomniałem sobie światło latarni na jej pełnych piersiach.

– Trzeba ją powstrzymać – powiedziałem. – O ile nie chcesz co noc bójkę między ludźmi Aethelflaed a naszymi.

– Nie pojawi się dziś w nocy – odezwał się niepewnym głosem. – Nie będzie miała śmiałości.

– O ile nie masz racji i nie jest marą – odparłem, dotykając młota Thora. Nie odrywałem dłoni od talizmanu.

Bo spod odległej linii drzew, spod lasu porastającego ziemię wokół odległego Eads Byrig nadchodziły wojska Ragnalla.

Ludzie Ragnalla nadciągali w szeregu i robiło to imponujące wrażenie, bo ten szereg nie ciągnął się długą procesją od kniei do rzymskiej drogi, lecz pojawił się na granicy lasu i nagle wypełnił całą przestrzeń. Jeszcze przed chwilą pola były puste, a spomiędzy drzew wyłonił się potężny szereg. Ten pokaz miał wzbudzić w nas lęk.

Jeden z moich ludzi uderzył w żelazną sztabę, która wisiała nad bramą murów miejskich. Służyła jako prowizoryczny dzwon alarmowy, a jej przenikliwy, gwałtowny i głośny dźwięk wzywał obrońców na obwarowania.

– Nie przestawaj – wydałem mu rozkaz.

Zobaczyłem mężczyzn wylewających się z kościoła, spieszących, żeby chwycić za tarcze, hełmy i broń złożone na ulicy.

– Jest ich z pięciuset? – odezwał się mój syn.

Odwróciłem się, żeby popatrzeć na wrogów. Podzieliłem odległą linię na pół, a potem jeszcze na pół, policzyłem wierzchowce i pomnożyłem wynik przez cztery.

– Sześciuset. Może tylko tyle mają koni.

– Ale Ragnall ma więcej ludzi.

– Co najmniej dwa tysiące.

Sześciuset wojowników nie stanowiło zagrożenia dla Ceasteru, jednak nadal kazałem bić na alarm w żelazną sztabę, której dzwonienie rozchodziło się po mieście. Ludzie wchodzili na mury, a Ragnall zapewne widział, jak nad wyniosłymi kamiennymi murami gęstniały ostrza włóczy. Chciałem, żeby zaatakował. Nie istniał łatwiejszy sposób pokonania najeźdźcy niż podczas oblężenia dobrze bronionych obwarowań.

– Był w Eads Byrig – stwierdził mój syn. Patrzył na wschód, gdzie dym ze stosu pogrzebowego nadal zasnuwał niebo.

Sądziłem, że Ragnalla rozwścieczyły głowy, które zostawiłem na jego powitanie z nadzieją, że sprowokują go do przeprowadzenia nierozważnego ataku na miasto.

– Dzisiaj nie uderzy – powiedziałem. – Jest uparty, ale nie jest głupcem.

Od strony szeregu, który teraz powoli posuwał się przez łąkę, rozbrzmiał róg. Dźwięk był równie ostry jak dzwonienie mojej żelaznej sztaby. Za jeźdźcami dostrzegłem piechotę, ale nawet z nią oddziały nieprzyjaciół nie przekraczały siedmiuset wojowników. Nie znajdowali się wystarczająco blisko, żeby przeprowadzić atak, wezwałem jednak obrońców nie dlatego, że spodziewałem się szturm, lecz aby zademonstrować Ragnallowi, że jesteśmy gotowi do walki. Obaj urządziliśmy pokaz sił.

– Szkoda, że nie zaatakują – powiedział smętnie Uhtred.

– Nie dziś.

– Straciłby ludzi, gdyby przeprowadził szturm. – Miał nadzieję, że się mylę, że będzie miał okazję zabijać wojowników próbujących zdobyć mury.

– Ma wystarczająco dużo ludzi, żeby nie przejmować się stratami – odparłem oschle.

– Gdybym był nim... – zaczął mój syn, a potem przerwał.



– Mów dalej.

– Nie traciłbym dwustu wojowników, próbując zdobyć tę warownię. Pojechałbym dalej w głąb Mercji. Na południu są liczne łupy do zdobycia, a tu?

Kiwnąłem głową. Oczywiście miał rację. Atak na Ceaster oznaczał obleganie jednej z najpotężniejszych warowni Mercji, a ziemie wokół miasta były kiepskim terytorium do plądrowania i polowania na niewolników. Ludność poukrywała się w najbliższym burhu razem z rodzinami i żywym inwentarzem. Byliśmy przygotowani na wojnę, a nawet chcieliśmy, żeby wróg zaatakował. Tymczasem nagły marsz na południe uczyniłby z zamożnych gospodarstw łatwy łup.

– Przeprowadzi najazd na centrum, ale chce też zdobyć Ceaster. Nie zaatakuje dziś, ale w końcu to zrobi – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo nie może zostać królem Brytanii, nie zajmą burhów. A także dlatego, że Ceaster jest dziełem Aethelflaed. Wielu mężczyzn nadal sądzi, że kobiety nie nadają się do władania krajem, nie mogą jednak negocjować jej osiągnięć. Ona ufortyfikowała cały ten rejon! Jej mąż był tchórzem. Potrafił tylko szczać pod wiatr, a ona wyparła stąd Duńczyków. Nawet jeśli niczego więcej nie dokona, Ceaster będzie świadczyło o jej zwycięstwie! Jeśli więc Ragnall zajmie to miasto, udowodni, że jest słaba. Będzie miał otwartą drogę do podboju zachodniej Mercji. Po odniesieniu tu zwycięstwa będzie w stanie zniszczyć całą Mercję, i on o tym wie. Nie chce zostać tylko królem Northumbrii, pragnie również opanować Mercję, a to jest warte straty dwustu wojowników.

– Ale bez Eads Byrig...

– Utrata Eads Byrig uczyniła jego życie trudniejszym – przerwałem mu – ale on nadal musi zająć Ceaster! Irlandczycy wypierają Norwegów

z Irlandii, dokąd więc oni mają pójść? Tutaj. Nie mogą jednak tu się osiedlić, gdy kontrolujemy rzeki. – W istocie popełniliśmy błąd, bo kontrolując Maerse, pozwoliliśmy Ragnallowi wpłynąć w głąb Brytanii. – A więc tak... – ciągnąłem – bitwa, która zostanie tu stoczona, nie będzie walką o Ceaster, ale o wszystko! O Mercję, a ostatecznie i o Wessex.

Potężny szereg konnych wojowników się zatrzymał, a mniejsza grupa ruszyła w stronę miasta. Było ich może ze stu, za nimi podążał oddział piechoty. Nieśli dwie chorągwie. Na jednej znajdował się czerwony topór Ragnalla, to samo godło, którym posługiwał się jego brat Sigtryggr, ale drugiej nie znałem. Była to duża czarna flaga. Tylko tyle. Złowrogie wrażenie potęgowało to, że jej brzeg był postrzępiony i powiewał na wietrze od morza niczym podarty łach.

– Co to za chorągiew? – zapytałem.

– Pierwszy raz ją widzę – odparł Uhtred.

Na murach pojawili się Finan, Merewalh i Aethelflaed. Nie rozpoznali flagi. Dziwne zdawało się to, że była dokładnie takiej samej wielkości jak Ragnalla, co sugerowało, że ten, który się nią posługiwał, był mu równy.

– Tam jest kobieta – powiedział Finan, który miał sokoli wzrok.

– To żona Ragnalla? – zapytała Aethelflaed.

– Możliwe – odparł Merewalh. – Ponoć ma cztery.

– Jest ubrana na czarno – stwierdził Finan. Osłaniał dłonią oczy, przyglądając się nadjeżdżającym wrogom. – Jedzie na niewielkim koniu tuż przed czarną chorągwią.

– To nie ksiądz? – zapytał niepewnie Merewalh.

Konni wojownicy zaczęli uderzać mieczami w tarcze. Rytmiczny groźny dźwięk wydawał się wyjątkowo przenikliwy tego ciepłego, słonecznego dnia. Teraz ja też widziałem kobietę. Od stóp do głów ubrana była w czerń, jechała na drobnym czarnym wierzchowcu, który wydawał

się jeszcze mniejszy w porównaniu z ogierami otaczających ją wojowników.

– Ragnall nie wzięłyby ze sobą księdza – odezwał się Finan. – To niemal z pewnością kobieta.

– Albo dziecko – odparłem.

Jeździec był równie drobny, jak koń.

Wojownicy się zatrzymali. Znajdowali się około dwustu kroków od murów, ale poza zasięgiem naszych włóczni czy toporów. Niektórzy wojownicy fyrdu uzbrojeni byli w łuki, jednak ta krótka myśliwska broń nie zdołałaby przebić kolczugi. Ostrzał z tego typu łuków zmuszał przeciwników do ukrywania twarzy za tarczami, był też przydatny przy ataku z mniejszej odległości, ale ostrzeliwanie wrogów oddalonych o dwieście kroków oznaczało marnotrawstwo, które tylko sprowokowałoby ich do kpin.

– Przyjechali na rozmowy! – krzyknąłem. – Nie atakować!

– Jeszcze nie – burknął Finan.

Dość dokładnie widziałem Ragnalla. Jak zwykle, rzucał się w oczy, jego długie włosy powiewały na wietrze i miał obnażony, pokryty tatuażami tors. Spiał wierzchowca i wysunął się kilka kroków naprzód, po czym stanął w strzemionach.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołał. – Przywiozłem ci dar!

Odwrócił się w stronę swojej chorągwi, kiedy piesi torowali sobie drogę między końmi i podeszli do murów.

– O nie! – powiedziała Aethelflaed. – Nie!

– Czterdzieści trzy – rzekłem gorzko. Nie musiałem nawet liczyć.

– Igraj z diabłem, a zostaniesz pochowany – odparł Finan.

Czterdziestu trzech mężczyzn dzierżących miecze popędziło w naszą stronę czterdziestu trzech jeńców. Wojownicy z mieczami ustawili się w nierówny szereg i się zatrzymali, po czym zmusili pojmanych do klęknienia. Brańcy ze związanymi za plecami rękoma w większości byli mężczyznami, ale znalazły się między nimi też kobiety, które z desperacją wpatrywały się w nasz powiewający z murów sztandar. Nie miałem pojęcia, kim są ci więźniowie, poza tym, że muszą być Sasami i chrześcijanami. To była zemsta.

Ragnallowi musiano powiedzieć o czterdziestu trzech głowach czekających na niego na szczycie Eads Byrig i to była jego odpowiedź. Nic nie mogliśmy zrobić. Obsadziliśmy ludźmi mury Ceasteru, ale nie pomyślałem o przygotowaniu konnych do wypadu poza bramy miasta. Mogliśmy tylko słuchać zawodzenia ofiar i patrzeć na spadające miecze, jasną krew tryskającą o poranku i głowy toczące się po gęstej trawie. Ragnall posłał nam promienny uśmiech, gdy jego ludzie wycierali ostrza mieczy o ubrania ofiar.

A potem nadeszła pora na ostatni dar, ostatniego brańca.

Jeniec nie był w stanie się poruszać o własnych siłach. Został przerzucony przez koński grzbiet. Początkowo nie mogłem się zorientować, czy to mężczyzna czy kobieta. Widziałem tylko, że jest odziany na białą i został zrzucony z wierzchowca na mokrą od krwi trawę. Milczeliśmy. Potem zobaczyłem, że to mężczyzna, i początkowo myślałem, że nie żyje. Po chwili jednak powoli się podniósł. Wówczas zobaczyłem, że jest ubrany w białą szatę mnicha. Dziwne było jednak to, że przód szaty jaśniał intensywną czerwienią.

– Chryste – westchnął Finan.

Bo szata nie była ozdobiona czerwoną materią. Była czerwona od krwi. Mężczyzna skulił się, jakby chciał zdusić ból w pachwinach, i w tej samej

chwili na przód wyjechał jeździec odziany w czerń.

Podjechał bliżej, nie zważając na niebezpieczeństwo ze strony naszych włóczni, strzał i toporów. Zatrzymał się kilka jardów od fosy, zdjął kaptur i spojrzał w naszą stronę. Zobaczyliśmy starą kobietę o surowej, pobrużdżonej twarzy, rzadkich siwych włosach i ustach wykrzywionych grymasem nienawiści.

– To, co jemu uczyniłam – powiedziała, wskazując na okaleczonego mężczyznę z tyłu – powinnam tobie uczynić. Wam wszystkim. Po kolei! – Nagle wyjęła niewielki zakrzywiony nóż. – Wykastruję waszych chłopców, zmienię wasze kobiety w dziwki, a wasze dzieci w niewolników. Jesteście przeklęci! Wszyscy! – Ostatnie trzy słowa wykrzyczała i zamachnęła się nożem, jakby chciała, żeby z murów każdy go dostrzegł. – Zginiecie! Jesteście przeklęci przez dzień i noc, ogień i wodę, przez los! – Posługiwała się naszym językiem, angielskim. – Przesuwała się w przód i w tył w siodle, jakby zbierała siły, po czym wzięła głęboki oddech i wskazała nożem mnie. – A ty, Uhtredzie z Bebbanburga, Uhtredzie Znikąd, zginiesz ostatni i najpowolniejszą śmiercią, bo zdradziłeś bogów. Jesteś przeklęty. Wszyscy jesteście przeklęci. – Zarechotała, wydając z siebie niesamowity dźwięk, po czym ponownie wskazała mnie ostrzem. – Bogowie cię nienawidzą, Uhtredzie! Byłeś ich synem, ich ulubieńcem, kochali cię, ale postanowiłeś wykorzystywać swoje talenty w służbie fałszywemu bogu, w służbie obrzydliwemu bogu chrześcijan, teraz więc prawdziwi bogowie cię nienawidzą i cię przeklinają! Rozmawiam z bogami, oni mnie słuchają, podarują mi ciebie, a ja będę zabijała cię tak wolno, że twoja śmierć będzie trwała aż do ragnaröku!

Po tych słowach cisnęła we mnie nożykiem. Nie poleciał daleko, odbił się od muru i wpadł do fosy. Kobieta odwróciła się, a wszyscy wrogowie podążyli za nią do lasu.

– Kto to jest? – zapytała niemal szeptem Aethelflaed.

– Ma na imię Brida.

Wykastrowany mnich zwrócił ku mnie udęconą twarz i zawołał:

– Ojczy!

To był mój syn.

**CZĘŚĆ DRUGA**  
**WIDMOWY PŁOT**

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Brida.

Była saską dziewczyną wychowaną jako chrześcijanka, dzikim dzieckiem, moją pierwszą kochanką, pełną namiętności i ognia. Podobnie jak ja odnalazła starych bogów, ale w przeciwieństwie do mnie nie uznała boga chrześcijan za równie potężnego jak pozostałe bóstwa, lecz uważała go za demona, a chrześcijaństwo za zło, które trzeba wykorzenić, jeśli na świecie ma ponownie zapanować dobro. Wyszła za mojego drogiego przyjaciela Ragnara i stała się bardziej duńska niż Duńczycy. Próbowала mnie skłonić do zdrady, uwieść, przekonać, żebym znów stanął po stronie Duńczyków przeciwko Sasom, a kiedy odmówiłem, znienawidziła mnie. Owdowiała, ale nadal rządziła Dunholmem, ogromną fortecą Ragnara, najpotężniejszą po Bebbanburgu warownią w Northumbrii. Teraz stanęła po stronie Ragnalla i jak się później dowiedziałem, sama zapowiedź wsparcia przez nią Norwegów skłoniła nieszczęsnego króla Ingvera do ucieczki. Brida poprowadziła wojska Ragnalla na południe, wzmocniła swoimi ludźmi jego armię, która dzięki jej wsparciu stała się wystarczająco silna, żeby zaatakować Ceaster. Jej pomoc sprawiła też, że Ragnall mógł sobie pozwolić na to, aby krew jego wojowników wsiąkła w rzymskie mury naszej warowni.

Kiedy miłość się psuje, zmienia się w nienawiść. Kochałem Bridę, ale ją przepełniał gniew, któremu nie byłem w stanie dorównać i który – jak była przekonana – pochodził bezpośrednio od wściekłości bogów. To Brida



nadała imię Oddechowi Węża i rzuciła na niego urok, bo nawet jako dziecko żywiła przekonanie, że bogowie z nią rozmawiają. Była czarnowłosą dziewczynką, szczupłą jak gałązka, gwałtowną jak ogień, w którym poniósł śmierć Ragnar Starszy, na co patrzyliśmy ukryci wysoko pośród drzew. Jedyne dziecko, które urodziła Brida, było moje, chłopiec przyszedł jednak na świat martwy, a ona już nigdy więcej nie zaszła w ciążę. Jej potomstwem stały się więc układane przez nią pieśni i rzucane klątwy. Ojciec Ragnara Starszego, ślepy Rafn, przepowiedział, że Brida wyrośnie na skaldkę i wiedźmę. I tak się stało, tyle że należała do tych najbardziej zgorzkniałych. Zmieniła się w wysuszoną, siwowłosą czarownicę, nucącą pieśni o martwych chrześcijanach i triumfie Odyna. Pieśni nienawiści.

– Ona chce pojmać twojego boga i ponownie przybić go do krzyża – powiedziałem Aethelflaed.

– Raz zmartwychwstał i ponownie także by powstał – odparła pobożnie. Zignorowałem jej odpowiedź.

– Chce też, by Brytania znów czciła starych bogów.

– Przebrzmiałe, stare marzenie – rzuciła lekceważąco Aethelflaed.

– To, że jest to dawne marzenie, nie znaczy, iż nie może się jeszcze ziścić – zauważyłem.

Owo stare marzenie obejmowało wizję Norwegów panujących nad całą Brytanią. Ich wojska wciąż na nowo maszerowały. Najeżdżały Mercję i Wessex, dokonywały rzezi Sasów w bitwach, a jednak nigdy nie udało im się podporządkować całej wyspy. Ojciec Aethelflaed, król Alfred, pokonał najeźdźców, uchronił Wessex i od tej pory my, Sasi, wypieraliśmy Norwegów coraz dalej na północ. A teraz ich nowy wódz, silniejszy niż którykolwiek wcześniej, znów groził nam urzeczywistnieniem tego marzenia.

Dla mnie wojna toczy się o ziemię. Może dlatego, że stryj odebrał mi moje posiadłości, dziką krainę wokół Bebbanburga, a żeby odzyskać ojcowiznę, najpierw musiałbym pokonać Duńczyków, którzy je otaczają. Całe życie próbowałem odzyskać smaganą wichrami warownię nad brzegiem morza i majątki, które niegdyś należały do mnie, a które mi odebrano.

Dla króla Alfreda, jego syna Edwarda i córki Aethelflaed wojna również toczyła się o ziemię, o królestwa Sasów. Alfred ocalił Wessex, a jego córka teraz wypierała Norwegów z Mercji. Edward z Wessexu natomiast odzyskał terytoria w Anglii Wschodniej. Ale oni także z innego powodu gotowi byli ponieść śmierć – w imię swojego boga. Walczyli o boga chrześcijan, uważali, że ta ziemia należy do niego, a upominając się o nią, wypełniają jego wolę. „Anglia – powiedział kiedyś król Alfred – będzie państwem Bożym. Jeśli powstanie, powstanie dzięki Niemu, bo takie jest Jego życzenie”. Przez jakiś czas mówił nawet o Godlandii, ale ta nazwa się nie przyjęła.

Dla Bridy istniał tylko jeden powód – jej nienawiść do chrześcijan. Dla niej wojna była bitwą między bogami, między prawdą a fałszem, i z radością pozwoliłaby Sasom zgładzić wszystkich Norwegów, gdyby tylko porzucili swoją religię i wrócili do starych bogów Asgardu. Teraz wreszcie znalazła wodza, który użyje miecza, włóczni i topora do walki o jej bogów. A Ragnall? Wątpię, by przejmował się bogami. Chciał ziemi, całej, oraz pomocy przybyłych z Dunholmu, zaprawionych w bojach wojowników Bridy.

A mój syn?

Mój syn.

Wyrzekłem się go, wydzieńczyłem i odtrąciłem, a teraz wróg mi go zwrócił. Nie był już mężczyzną. Został wykastrowany. Krew na jego szacie

zakrzepła.

– On umiera – powiedział ze smutkiem biskup Leofstan i zrobił znak krzyża nad twarzą Uhtreda.

Miał na imię Uhtred, to imię w mojej rodzinie zawsze otrzymuje najstarszy syn, ale odebrałem mu je, kiedy został chrześcijańskim mnichem. Nazwałem go Judaszem, chociaż on sam nazywał się Oswaldem. Ojciec Oswald, znany z uczciwości i pobożności, a także z tego, że jest moim synem. Moim synem marnotrawnym. Teraz klęczałem obok niego i wołałem go, używając dawnego imienia.

– Uhtredzie? Uhtredzie!

Ale nie odpowiadał. Jego czoło pokrywał pot, a ciałem wstrząsały dreszcze. Po pełnym rozpaczny okrzyku „Ojcze!” wydawało się, że nie jest w stanie mówić. Próbował, ale zamiast słów wydawał tylko jęki nieznośnego bólu.

– Umiera – powtórzył biskup Leofstan. – Ma przedśmiertną gorączkę, panie.

– Więc go uratuj – warknąłem.

– Jak mam go uratować?

– Tym przecież się zajmujesz, prawda? Leczeniem przeklętych chorych. Wylecz więc go.

Spojrzał na mnie, a w jego oczach nagle ujrzałem przerażenie.

– Moja żona... – zaczął.

– Co z nią?

– To ona leczy chorych, panie. To za pośrednictwem jej rąk Bóg dotyka potrzebujących. To jej powołanie.

– Więc zabierz go do niej.

Folcbald, jeden z moich fryzyjskich wojowników i wyjątkowo silny mężczyzna, wziął Uhtreda na ręce niczym dziecko i poszliśmy za biskupem przez miasto. Fryz powiódł nas do jednego z najbardziej imponujących rzymskich domów przy głównej ulicy. Długa, sklepiona brama prowadziła na otoczony kolumnami dziedziniec, z którego kilkanaścioro drzwi wiodło do obszernych komnat. Nie przypominał mojego domu w Ceasterze i już miałem zrobić jakąś kąśliwą uwagę na temat upodobania biskupa do luksusów, kiedy zobaczyłem, że arkady wokół dziedzińca wypełnione są chorymi leżącymi na siennikach.

– Nie ma dla niech miejsca w środku – wyjaśnił Leofstan, obserwując kulawego odźwiernego, który podniósł krótką żelazną sztabę i uderzał nią w pręt zwisający ze sklepienia bramy. Rozległ się dźwięk podobny do tego, którym obwieszczaliśmy alarm na murach. Odźwierny nie przestawał bić w prowizoryczny dzwon, a ja zobaczyłem owinięte w szaty i zakapturzone kobiety wbiegające do ocienionej bramy. – Siostry wyrzekły się towarzystwa mężczyzn – wyjaśnił biskup. – Z wyjątkiem chorych, umierających i rannych.

– Są zakonnice? – zapytałem.

– To świecki zakon, bliski mojemu sercu! Większość z nich to ubogie kobiety, które chciały poświęcić się służbie Bogu. Inne to grzesznice. – Przeżegnał się. – Kobiety upadły... – Zamilkł na chwilę, jakby nie był w stanie wydusić z siebie potrzebnego słowa. – Ulicznice, panie! Z zaułków! Ale wszystkie te kochane istoty przywodzimy do łaski Pańskiej.

– Kurwy, chciałeś powiedzieć.

– Upadły kobiety, panie.

– I ty mieszkasz tu z nimi? – rzuciłem z sarkazmem.

– Och nie, panie! – Wydawał się bardziej rozbawiony niż urażony tym pytaniem. – To by nie było przyzwoite! Wielkie nieba, nie! Moja kochana

żona i ja mamy niewielkie mieszkanie w uliczce za kuźnią. Chwała Bogu, nie jestem chory, umierający ani ranny!

Odźwierny w końcu odłożył żelazny pręt i ostatnie echo alarmu zamarło, kiedy wysoka, chuda kobieta przeszła przez dziedziniec. Miała szerokie ramiona, ponurą twarz i dłonie jak bochny. Leofstan był wysoki, ale ona go przewyższała.

– Biskupie? – zapytała szorstko. Zwróciła się do niego z założonymi ramionami i popatrzyła na niego z góry.

– Siostró Ymmo – odparł pokornie Leofstan, wskazując na spływającą krwią postać w ramionach Folcbalda – tutaj jest poważnie ranny zakonnik. Potrzebuje opieki mojej żony.

Siostra Ymma, która wyglądała tak, że chętnie ustawiłbym ją w murze tarcz, rozejrzała się i w końcu wskazała kąt pod arkadami.

– Tam jest miejsce, pod...

– Dostanie własny pokój – przerwałem jej – i łóżko.

– On...

– Dostanie własny pokój i łóżko – powtórzyłem szorstko. – Chyba że chcesz, by moi ludzie pozbyli się chrześcijan z tego cholernego miejsca. Ja dowodzę w tym mieście, kobieto, nie ty!

Siostra Ymma obruszyła się i chciała coś powiedzieć, ale biskup ją uspokoił.

– Znajdziemy pokój, siostró!

– Będziecie potrzebowali nowego miejsca – powiedziałem. – W przyszłym tygodniu przybędzie nam co najmniej stu kolejnych rannych. – Odwróciłem się i wskazałem palcem Sihtrica. – Znajdź miejsce dla biskupa. Dwa–trzy domy! Miejsce dla rannych!

– Rannych? – zapytał zmartwiony Leofstan.

– Odbędzie się bitwa, biskupie – odparłem gniewnie. – I to niemała.

Jakiś pokój opróżniono. Zaniesiono tam mojego syna przez dziedziniec i wąskie drzwi. Został delikatnie złożony na łóżku. Mamrotał coś, a ja zatrzymałem się, żeby posłuchać, ale jego słowa nie układały się w sensowne zdania. Później zwinął się, podciągając nogi, i jęknął.

– Wylecz go! – warknąłem do siostry Ymmy.

– Jeśli taka będzie wola Boga.

– Taka jest moja wola!

– Zajmie się nim siostra Gomer – powiedział biskup do siostry Ymmy, która, jak się wydawało, jako jedyna miała prawo stawiać czoło mężczyznom i najwidoczniej wypełniała to zadanie z radością.

– Siostra Gomer jest twoją żoną? – zapytałem, bo to dziwne imię zapadło mi w pamięć.

– Chwalić Pana, jest, a także najukochańszą istotką – odrzekł biskup Leofstan.

– Jakie dziwne imię – zauważyłem, patrząc na syna, który nadal leżał zwinęty na łóżku, pojękując z bólu.

Biskup się uśmiechnął.

– Matka nazwała ją Sunngifu, ale kiedy drogie siostry ponownie rodzą się w Jezusie Chrystusie, otrzymują nowe chrzestne imiona. Dlatego moja kochana Sunngifu teraz jest nazywana siostrą Gomer. A wraz z nowym imieniem Bóg dał jej moc leczenia.

– Zaprawdę dał – rzekła ponuro siostra Ymma.

– Będzie się nim zajmować i modlić za niego – zapewnił mnie biskup.

– Ja też – powiedziałem i dotknąłem młota Thora.

Wyszedłem z pokoju. W bramie odwróciłem się i zobaczyłem opatulone w peleryny i zakapturzone siostry opuszczające swoje kryjówki. Dwie

z nich weszły do pokoju mojego syna, a ja ponownie dotknąłem talizmanu. Wydawało mi się, że nienawidzę starszego syna, ale tak nie było. Zostawiłem go, zwiniętego nad okrutnym okaleczeniem, trzęsącego się, pocącego i bełkoczącego w gorączce. Nie umarł jednak ani tego dnia, ani następnego.

A ja przystąpiłem do zemsty.

Bogowie miłowali mnie, bo tego wieczoru przyszyły z zachodu ponure chmury. Zaciemniły niebo, były ciężkie, czarne i nadeszły niespodziewanie, spiętrzyły się i zasnuły firmament, okrywając całunem zachodzące słońce. A z chmurami nadszedł deszcz i wiatr. Te posępne chmury przyniosły także okazję, a z nią nadeszła również kłótnia.

Wybuchła w halli, podczas gdy z rzymskiej ulicy dochodził hałas wzbijany przez konie. Był to huk kopyt ogromnych ogierów bojowych, uderzających o kamienny bruk, pomieszany z rżeniem i przekleństwami rzucanymi przez wojowników starających się dosiąść tych bestii w ulewnym deszczu. Zbierałem jeźdźców, wojowników burzy.

– W ten sposób Ceaster pozostanie niestrzeżony! – zaprotestował Merewalh.

– Fyrd obroni miasto! – odparłem.

– Fyrd potrzebuje zawodowych wojowników! – upierał się.

Rzadko się ze mną nie zgadzał, w istocie zawsze należał do moich najzagorzalszych stronników, nawet gdy służył Aethelredowi, który mnie nienawidził. Ale mój plan na tę burzową noc go zaniepokoił.

– Fyrd potrafi walczyć – przyznał. – Ale potrzebuje doświadczonych wojowników do pomocy!

– Miasto nie zostanie zaatakowane – warknąłem.

Piorun z hukiem przeciął nocne niebo, wprawiając w popłoch psy zamieszkujące hallę, które szukały schronienia po kątach. Deszcz bił o dach i woda przeciekała przez szpary między rzymskimi dachówkami.

– Po cóż innego Ragnall miałby wracać, jeśli nie zamierza nas jutro zaatakować? – zapytała Aethelflaed.

– Nie zaatakuje ani dziś, ani jutro – odparłem. – A to stwarza nam okazję usidlenia łajdaka.

Byłem gotowy do bitwy. Pod najlepszą kolczugą miałem na sobie długi do kolan skórzany kaftan przepasany szerokim pasem rycerskim, z którego zwisał Oddech Węża. Skórzane spodnie wciągnąłem w wysokie buty wzmocnione żelaznymi kłami. Moje przedramiona były ciężkie od bransolet. Godric trzymał mój zwieńczony figurką wilka hełm i obitą żelazem wierzbową tarczę z wymalowanym godłem Bebbanburga – głową warczącego wilka. Byłem przygotowany na zabijanie, choć większość osób w dworze wzbraniała się przed moim planem.

Stronę Merewalha wziął Cynlaef Haraldson, młody faworyt Aethelflaed, o którym krążyły plotki, że ma poślubić jej córkę. Dotychczas unikał konfrontacji ze mną, przypocholebiał mi się i we wszystkim zgadzał, ale moja propozycja skłoniła go do wyrażenia sprzeciwu.

– Co takiego się zmieniło, panie? – zapytał z szacunkiem.

– Zmieniło?

– Kiedy Ragnall tu był, nie chciałeś poprowadzić ludzi do lasu.

– Obawiałeś się zasadzki – wspomniał Merewalh.

– Jego ludzie przebywali w Eads Byrig – odparłem. – Gród był ich schronieniem, warownią. Jaki cel miało prowadzenie oddziałów przez zasadzkę?

– Nadal jest... – zaczął Cynlaef.



– Nie, nie jest! – burknąłem. – Nie wiedzieliśmy, że obwarowania są atrapą! Myśleliśmy, że to prawdziwa warownia. Teraz to tylko pagórek.

– Ma nad nami przewagę liczebną – zauważył smutno Merewalh.

– I będzie ją miał do czasu, aż zabijemy wystarczająco dużo jego ludzi. Wtedy my zyskamy przewagę.

– Bezpieczniej jest... – zaczęła Aethelflaed, po czym się zawahała. Siedziała na okazałym krześle, prawdziwym tronie oświetlonym migoczącym ogniem na centralnym palenisku. Słuchała nas uważnie, spoglądając ze zmartwionym wyrazem twarzy na przemawiającą osobę.

Księża zebrali się za nią i zgodnie uznali mój plan za nierozważny.

– Bezpieczniej jest? – Chciałem, żeby dokończyła, ale ona pokręciła głową, jakby mówiła, że musi jeszcze przemyśleć to, co zamierzała powiedzieć.

– Bezpiecznie jest zrobić wszystko, żeby uchronić Ceaster przed upadkiem – odezwał się stanowczym tonem ojciec Ceolnoth. – Ludzie mruknęli na znak zgody, a Ceolnoth, ośmielony ich poparciem, wystąpił naprzód i w poświęceniu ognia stanął przed tronem Aethelflaed. – Ceaster jest naszą nową diecezją! Kontroluje znaczne obszary uprawne! Zabezpiecza szlaki morskie. Chroni przed Walijszymi. Broni Mercji przed poganami z północy. Nie możemy go utracić! – Nagle przerwał. Może przypomniał sobie, z jaką bezwzględnością zwykle przyjmowałem strategiczne rady od duchownych.

– „Oglądajcie jego warownie, by opowiedzieć przyszłym pokoleniom”\* – wyseplecił jego brat.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy stracił rozum razem z zębami, ale pozostali księża mamrotali i kiwali głowami na znak zgody.

– Słowa psalmisty – wyjaśnił mi niewidomy ojciec Kutbert. Ten należał do nielicznych księży, którzy mnie popierali, ale zawsze był ekscentrykiem.

– Nie opowiemy o tym przyszłym pokoleniom – wyseplenił ojciec Ceolberht – jeśli utracimy warownię! Nie możemy porzucić murów Ceasteru!

– Oto słowo Boże! Bogu niech będą dzięki! – odparł Ceolnoth.

Cynlaef uśmiechnął się do mnie.

– Tylko głupiec zignorowałby twoje rady – odezwał się z protekcyjnym pochlebstwem. – Pokonanie Ragnalla jest oczywiście naszym wspólnym celem, ale ochrona Ceasteru jest równie ważna!

– A pozostawienie niestrzeżonych murów... – zaczął ze smutkiem Merewalh, ale nie dokończył.

Zadudnił kolejny grzmot. Przez dziurę w dachu zaczęła lać się woda deszczowa i z sykiem wpadać do paleniska.

– Bóg przemawia – stwierdził ojciec Ceolnoth.

Który bóg? Bogiem burzy jest Thor, miałem ochotę mu o tym przypomnieć, ale mówiąc to, tylko bym zraził ich do siebie.

– Musimy chronić się przed burzą, a piorun jest znakiem, że mamy pozostać za murami.

– Powinniśmy zostać... – zaczęła Aethelflaed, ale jej przerwano.

– Wybacz mi, pani, proszę, wybacz mi! – odezwał się biskup Leofstan, wchodząc jej w słowo.

Aethelflaed wydawała się oburzona tym, że jej przeszkadzono, ale zdobyła się na uśmiech.

– Biskupie?

– Co mówił nasz Pan? – zapytał biskup, kuśtykając ku pustemu miejscu obok paleniska, gdzie krople deszczu opryskiwały jego sutannę. – Czy nasz Pan mówił, że mamy zostać w domu? Czy zachęcał, żebyśmy przycupnęli przy domowym ognisku? Czy mówił swoim uczniom, żeby zamknęli drzwi

i skupili się wokół paleniska? Nie! Posłał swoich zwolenników w świat! Parami! A dlaczego? Bo dał im moc nad potężniejszym wrogiem! – mówił z pasją i ze zdumieniem odkryłem, że stanął po mojej stronie. – Królestwa niebieskiego nie rozszerzy się bez wychodzenia z domu – powiedział żarliwie – lecz idąc na cały świat, jak przykazał nam nasz Pan!\*\*

– Święty Marek – odważył się zabrać głos bardzo młody ksiądz.

– Dobrze powiedziane, ojciec Olbercie – pochwalił go biskup. – To przykazanie rzeczywiście znajduje się Ewangelii Świętego Marka! – Kolejny huk grzmotu przeciął noc. Wiatr się wzmógł, ryczał w ciemnościach, zaskowyczały psy. Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej, połyskując w poświacie ognia, w który zacinał, sycząc w jasnych płomieniach. – Przykazano nam iść w świat – podjął swoje kazanie biskup. – Iść w świat i podbijać!

– Biskupie – zaczął Cynlaef.

– Niezbadane są wyroki Pana. – Leofstan nie zwrócił uwagi na Cynlaefa. – Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego Bóg pobłogosławił nas obecnością lorda Uhtreda, lecz jedno wiem na pewno. To lord Uhtred wygrywa bitwy! Jest potężnym wojownikiem Pana! – Zamilkł nagle, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Przypomniałem sobie nawiedzające go bóle. Przez chwilę było widać, że cierpi, zacisnął dłonie na sutannie w okolicach serca, ale po chwili udręka zniknęła z jego twarzy. – Czy ktoś z tu obecnych jest lepszym wojownikiem od lorda Uhtreda? – zapytał. – Jeśli tak, niech wstanie. – Większość mężczyzn już stała, ale wydawało się, że pojmuje, co Leofstan ma na myśli. – Czy ktoś wie o wojnie więcej od lorda Uhtreda? Czy ktoś napawa wroga przerażeniem bardziej niż on? – Zamilkł i czekał, lecz nikt mu nie odpowiedział ani się nie poruszył. – Nie przeczę, że trwa w wielkim błędzie, jeśli chodzi o naszą wiarę, że potrzebuje Bożej łaski i przebaczenia Chrystusa, ale Bóg nam go zesłał, a nam nie wolno odrzucić

tego daru. – Skłonił się Aethelflaed. – Pani, wybacz, że wyrażam swoją opinię, niemniej nalegam, byś posłuchała lorda Uhtreda.

Miałem ochotę go ucałować.

Aethelflaed popatrzyła po sali. Błyskawica oświetliła dziurę w dachu, po niej rozległo się ogłuszające uderzenie pioruna, które wstrząsnęło niebem. Ludzie się kręcili, ale nikt nie zabrał głosu, żeby przeciwstawić się biskupowi.

– Merewalhu – Aethelflaed wstała na znak, że kończy dyskusję – zostaniesz w mieście z setką wojowników. Reszta... – zawahała się, patrząc na mnie, po czym podjęła decyzję – pojedzie z lordem Uhtredem.

– Wyruszamy dwie godziny przed świtem – powiedziałem.

– „Do Mnie należy pomsta”\*\*\* – rzekł radosnym tonem biskup.

Mylił się. Należała do mnie.

Opuściliśmy Ceaster, żeby zaatakować Ragnalla.

Poprowadziłem w ciemność niemal ośmiuset ludzi. Wyjechaliśmy przez północną bramę w burzę tak dziką, jakiej nie pamiętałem. Pioruny wypełniały niebo, błyskawice rozszarpały chmury, deszcz siekł, a wiatr był niczym wrzeszczący potępieńcy. Prowadziłem swoich ludzi, ludzi Aethelflaed, wojowników z Mercji, wojowników burzy – wszyscy dosiadali przednich ogierów, byli ubrani w kolczugi i uzbrojeni w miecze, włócznie oraz topory. Biskup Leofstan stał na obwarowaniach bramy i wykrzykiwał błogosławieństwa, a wiatr niósł jego słowa. „Czynicie dzieło Boże! – wołał. – Pan jest z wami! Jesteście błogosławieni!”

Dzieło Boże polegało na rozgromieniu Ragnalla. Oczywiście wiązało się z nim ryzyko. Może wojownicy Ragnalla właśnie maszerowali w ciemności w stronę Ceasteru, niosąc drabiny i szykując się do walki

i śmierci na rzymskich murach. Zapewne jednak tak nie było. Nie potrzebowiałem omenów ani zwiadowców, żeby wiedzieć, że Norwegowie nie przygotowali się jeszcze do oblężenia Ceasteru.

Ragnall szybko się przemieszczał. Zebrał swoje liczne wojska i ruszył na Eoferwic, a to kluczowe dla Północy miasto poddało się bez walki, Ragnall zawrócił więc, żeby uderzyć na Ceaster. Jego ludzie maszerowali bez odpoczynku. Byli zmęczeni. Kiedy dotarli do Eads Byrig, odkryli skąpane we krwi ruiny, a mieli stawić czoło rzymskiej warowni gęsto obsadzonej obrońcami. Potrzebowali jednego–dwóch dni, może więcej, żeby się przygotować, zbić drabiny, zdobyć żywność i poczekać na maruderów.

Merewalh i pozostali oczywiście mieli rację. Najłatwiejszy i najpewniejszy sposób zachowania Ceasteru polegał na pozostaniu w obrębie warowni i pozwoleniu, by przeciwnicy ginęli na jej murach. I tak by się stało. Większość mężczyzn powołanych w ramach fyrdu zjawiała się z siekierami, motykami i włóczniami. Przybyli ze swoimi rodzinami i żywym inwentarzem, więc ulice miasta zapełniały krowy, wieprze i owce. Mury Ceasteru miały zapewnioną dobrą obronę, choć to nie mogło powstrzymać Ragnalla przed próbą sforsowania obwarowań. Gdybyśmy jednak nie opuścili warowni i czekali na jego atak, całą okolicę pozostawilibyśmy na jego łasce. Przeprowadziłby szturm, najpewniej nieudany, jego wojska były jednak na tyle liczne, że mógł pozwolić sobie na porażkę i ponowne uderzenie. Za każdym razem jego oddziały zapuszczałyby się coraz dalej w głąb Mercji, żeby palić, mordować, brać niewolników i kraść bydło domowe. Wojownicy Aethelflaed byłiby natomiast zablokowani w Ceasterze i zmuszeni do biernego przyglądania się łupieży ziem, których przysięgali bronić.

Dlatego chciałem wyprowadzić ich z warowni. Chciałem teraz mocno uderzyć.

Chciałem uderzyć w mroku kończącej się nocy, uderzyć niczym grom opatrnościowej burzy Thora, uderzyć pośród błyskawic Thora, pośród wiatru i deszczu bogów. Zamierzałem przynieść chaos. Ragnall miał nadzieję, że Eads Byrig będzie jego schronieniem, ale nie miał innego schronienia poza tarczami swoich ludzi, a oni będą przerażeni nawałnicą, zmarznięci i zmęczeni. Jechaliśmy ich zabijać.

A także zabić Bridę. Myślałem o swoim synu, swoim wykastrowanym synu zwiniętym z bólu na łóżku, dotykałem rękojeści Oddechu Węża i obiecywałem sobie, że jego ostrze posmakuje krwi przed wschodem słońca. Chciałem znaleźć Bridę, wiedźmę, która okaleczyła mojego syna, i przysięgałem sobie, że sprawię, iż krzyki tej kanalii zagłuszą nawet grzmot Thora.

Ludźmi Aethelflaed dowodził Cynlaef. Wolałbym Merewalha, ale Aethelflaed chciała, żeby ktoś godny zaufania został na murach, posłała więc swojego faworyta na jego miejsce. Przykazała mu, żeby mnie słuchał. Sama oczywiście miała ochotę jechać ze mną, ale przynajmniej raz udało mi się ją od tego odwieść, mówiąc, że chaos bitewny szarym świtem i podczas burzy to nie jest odpowiednie dla niej.

– To będzie rzeź, pani – powiedziałem. – Tylko rzeź. Jeśli tam pojedziesz, będę musiał dać ci ochronę i ci ludzie nie będą mogli wziąć udziału w walce. Potrzebuję ich wszystkich, a nie chciałbym musieć się martwić o twoje bezpieczeństwo.

Niechętnie zgodziła się z moją argumentacją i na swoje miejsce posłała Cynlaefa, który w milczeniu jechał obok mnie. Ruszyliśmy powoli, nie mogliśmy się spieszyć. Jedyne źródłem światła były przecinające niebo błyskawice, które tworzyły smugi aż do ziemi i rozsrebrały niebo. Ja

jednak nie potrzebowalem światła. Nasze zadanie było bardzo proste. Mieliśmy doprowadzić do chaosu, a żeby tego dokonać, wystarczyło dotrzeć na granicę lasu i poczekać, aż pierwsze promienie świtu padną na drzewa wśród nocnych cieni i pozwolą nam bezpiecznie dojechać do miejsca rzezi.

Świetlisty piorun ukazał się na niebie, kiedy dotarliśmy na granicę łąki. Przed nami wszystko było w czerni: drzewa, krzewy i duchy. Zatrzymaliśmy się w ulewnym deszczu. Obok mnie Finan poruszał się na wierzchowcu. Słyszałem skrzypienie jego siodła i uderzenia końskich kopyt o moką ziemię.

– Upewnij się, że są dobrze rozstawieni – powiedziałem.

– Są – odrzekł Finan.

Rozkazałem jeźdźcom uformować osiem oddziałów. Każdy miał wyruszyć samodzielnie, nie dbając o to, co robią pozostałe. Byliśmy niczym grabie o ośmiu zębach, niczym grabie przeczesujące las. Jedyne zasady obowiązujące tego poranka brzmiały, że wojownicy mieli zabijać, unikać niemożliwego do ominięcia muru tarcz, który w końcu musiał powstać, i wycofać się, gdy zadmę w róg. Zamierzałem wrócić do Ceasteru na śniadanie.

Jeżeli wrogowie nie wiedzieli, że nadjeżdżamy. Jeżeli ich wartownicy nie dostrzegli nas w srebrnym świetle błyskawic Thora, które przecinały moką ciemność. Jeżeli już nie łączyli obitych żelazem tarcz, tworząc mur oznaczający naszą śmierć. To w czasie tego oczekiwania mój umysł wczłógiwał się w jamę tchórzy i skamlał o litość. Rozmyślałem o wszystkim, co może pójść nie tak, i kusiło mnie, żeby znów znaleźć się w bezpiecznym miejscu, żeby zabrać oddziały do Ceasteru, obsadzić mury i pozwolić przeciwnikom zginąć podczas wściekłego szturm. Nikt by mnie za to nie winił, a gdyby Ragnall zginął pod warownią, jego śmierć

zostałaby uwieczniona w kolejnej pieśni o Uhtredzie, którą śpiewano by we wszystkich karczmach w Mercji. Dotknąłem młota Thora. Wzdłuż całej granicy lasu moi ludzie dotykali swoich talizmanów, modląc się do boga lub bogów i czując pełzający strach, który przenikał ich członki zimnem bardziej niż ulewny deszcz i przenikliwy wiatr.

– Niemalże – odezwał się szeptem Finan.

– Niemalże – odpowiedziałem.

Brzask to czas między ciemnością a światłem, nocą a świtem. O tej porze nie istnieją kolory, tylko szarość ostrza miecza, mgły, szarość, która spowija duchy, elfy i chochliki. Wtedy lisy i borsuki wracają do swoich nor, sowy do kryjówek. Kolejny huk pioruna wstrząsnął niebem, spojrzałem w górę, deszcz bił mnie po twarzy, a ja modliłem się do Thora i Odyna. Robię to dla was – pomyślałem – ku waszej uciechu. Bogowie nas śledzą, nagradzają, czasem karzą. U stóp Yggdrasilu trzy wiedźmy obserwują nas i się uśmiechają. Czy ostrzyły teraz swoje nożyce? Myślałem o Aethelflaed, czasem tak chłodnej, a czasem tak bardzo spragnionej ciepła. Nienawidziła Eadith, która była wobec mnie lojalna, tak bardzo mnie kochała i tak bardzo bała się Aethelflaed, a także o Mus, o tej ciemnej istocie doprowadzającej mężczyzn do szaleństwa, i zastanawiałem się, czy kogokolwiek się boi i nie jest czasem posłańcem bogów.

Obejrzałem się na las i dostrzegłem kształty drzew, teraz ciemniejące w mroku, zobaczyłem zacinający deszcz.

– Niemalże – powtórzyłem.

– W imię Boga – burknął Finan.

Zobaczyłem, że się przeżegnał.

– Jeśli dojrzysz mojego brata, pamiętaj, że jest mój – powiedział głośniej.



– Jeśli dojrzę twojego brata, jest twój – obiecałem. Godric podał mi ciężką włócznię, ale wolałem miecz, wyciągnąłem więc Oddech Węża z pochwy i skierowałem go pionowo do góry. Ujrzałem jego ostrze przypominające błysk zamglonego światła w ciemnościach. Koń zarżał. Uniosłem klingę i ucałowałem stal. – Za Eostre – rzekłem. – Za Eostre i Mercję! – I cienie pod drzewami zmieniły się w kształty, w krzaki, pnie, liście szeleszczące na wietrze. Nadal panowała noc, ale nadchodził brzask. – Ruszamy – rzuciłem do Finana. A potem krzyknąłem: – Ruszamy!

Minął czas ukrywania się. Teraz nadszedł pęd i hałas. Skuliłem się w siodle, uważając na niskie gałęzie. Pozwoliłem Tintregowi wybierać drogę przez las, ale go poganiałem. Robiło się coraz jaśniej. Deszcz uderzał o liście, las wypełnił się tętentem końskich kopyt, wiatr targał wysokimi konarami niczym udręczony szaleniec. Czekałem na dźwięk rogu wzywający naszych nieprzyjaciół do obrony, ale alarm nie zabrzmiał. Błyskawica zamigotała w północnej stronie nieba, rzucając czarne, ostre cienie pomiędzy gałęziami, zahuczał grzmot i wówczas zobaczyłem przed sobą pierwsze blade światło płomieni. Ogniska! Ludzie Ragnalla obozowali na polankach i nawet jeśli wystawił wartowników, nie zauważyli nas albo ich ominęliśmy. Migotanie ognia walczącego w rześistym deszczu stało się jaśniejsze. Widziałem cienie między ogniskami. Tylko kilku mężczyzn czuwało, zapewne dokładali drewna do ognia, i stało się dla mnie jasne, że przywozimy im pewną śmierć. Po chwili z oddali, po mojej prawej stronie, w miejscu, gdzie rzymska droga prowadziła do lasu, usłyszałem okrzyki, które oznaczały, że zaczęliśmy zabijać.

Ten świt był okrutny. Ragnall myślał, że skrywamy się za murami Ceasteru, przerażeni zapowiedzianą przez niego rzezią na święto Eostre, my natomiast przybyliśmy razem z burzą i napadliśmy na jego niczego

niespodziewających się ludzi. Wypadłem spomiędzy drzew na rozległą polanę, gdzie zobaczyłem nędzne szałasospieszenie zbudowane z gałęzi i wypełzającego z jednego z nich mężczyznę. Kiedy wróg spojrział w górę, zadałem mu cios Oddechem Węża w twarz. Moje ramię zadrżało pod wpływem siły uderzenia, inny wojownik zaczął uciekać, a ja dźgnąłem go sztychem w plecy. Wszędzie wokół mnie jeźdźcy zabijali i zadawali rany.

– Nie przestawajcie! – krzyknąłem. – Nie przestawajcie!

To był tylko jeden z obozów na polanie, główny nadal na nas czekał. Poświata nad ciemnymi drzewami wskazywała miejsca, w których na szczycie Eads Byrig płonęły ogniska. Ruszyłem w ich stronę.

Ponownie wjechałem między drzewa. Robiło się coraz jaśniej, choć słońce ukrywało się za całunem burzowych chmur. Zobaczyłem przed sobą rozległą połąć ziemi oczyszczonej z drzew, wcześniej otaczających zbocza grodu, i to tam, między pniakami, obozowała większość oddziałów Ragnalla. Tam też zginęli. Wypadliśmy z lasu z zakrwawionymi mieczami i przejechaliśmy przez tłum ogarniętych paniką ludzi. Kobiety krzyczały, dzieci płakały. Mój syn poprowadził swoich wojowników na prawo i dobijał zbiegów uciekających przed naszymi mieczami. Tintreg staranował jakiegoś człowieka, przewracając go w ognisko, które wybuchło fontanną iskier. Włosy mężczyzny zajęły się ogniem. Wstrząsnął nim spazm, a ja cofnąłem Oddech Węża, żeby zadać cios innemu mężczyźnie biegnącemu z szeroko rozwartymi oczami i z kolczugą w rękach. Przedemną jakiś wojownik krzyczał wyzywająco, czekając na mój atak z włócznią, odwrócił się jednak, słysząc za sobą odgłos kopyt, i zginął od fryzyjskiego topora, który rozłupał mu czaszkę. Na wpół obudzeni ludzie próbowali przedostać się przez pierwszy rów i wał ziemny, a ze szczytu starego grodu zabrzmiał róg. Wjechałem w grupę mężczyzn, waląc na oślep mieczem, a Godric pędził z opuszczoną włócznią, żeby uderzyć w rozpruty

brzuch przeciwnika. Tintreg trzasnął zębami w stronę innego Norwega i ugryzł go w twarz, po czym pognał naprzód niczym piorun przez rozprute niebo nad nami. Berg z wrzaskiem minął mnie cwałem, wymachując wnętrzościami zwisającymi z jego miecza. Zadał cios, zawrócił konia i ponownie zaatakował. Pogryziony przez Tintrega mężczyzna oddalał się chwiejnym krokiem z dłońmi przy zmasakrowanej twarzy i krwią sączącą mu się między palcami. Tego świtu najjaśniejszy był nie blask bijący od ogniska, lecz krew wroga połyskująca w nagle pojawiających się błyskawicach.

Ruszyłem w stronę bramy zrujnowanego grodu i zobaczyłem, że na prowadzącej do niego drodze ustawił się mur tarcz. Mężczyźni nadbiegali, żeby do niego dołączyć, przedzierali się między szeregami i stawali w rzędzie z okrągłymi tarczami. Wznosiły się nad nimi chorągwie, ale były one tak bardzo mokre od deszczu, że nie powiewały nawet na porywistym porannym wietrze. Mój syn minął mnie galopem i wyjechał na drogę. Wezwałem go do siebie.

– Zostaw ich!

Traktu strzegło co najmniej stu wojowników. Konie nie zdołałyby złamać ich muru. Byłem pewien, że za przemoczonymi sztandarami znajdują się Ragnall i Brida, ale musiałem poczekać na inny dzień, żeby ich zabić. Przybyliśmy tu urządzić krwawą jatkę, a nie walczyć w murze tarcz.

Powiedziałem swoim ludziom, że każdy musi zabić tylko jednego człowieka – w ten sposób armia Ragnalla skurczy się niemal o połowę. Zadawaliśmy więcej ran niż śmiertelnych ciosów, bo ranni są większym kłopotem dla wroga niż martwi. Zwłoki można pochować albo spalić, można je opłakać i porzucić, ranny natomiast wymaga opieki. Widok człowieka bez oka, z brzuchem tryskającym krwią lub widocznymi pod skórą połamanymi kośćmi napawa przeciwnika lękiem. Armia rannych jest

powolna, przerażona, a my dodatkowo spowolniliśmy Ragnalla, pędząc jego konie do lasu. Zagnaliśmy przed sobą też kobiety i dzieci, do posłuszeństwa zachęciło je to, że zabijaliśmy opornych. Wojownicy Ragnalla wiedzieli, że ich żony znalazły się w naszych rękach, a ich dzieci zostaną przeznaczone na nasze targi niewolników. Wojna nie jest przyjemna, ale to Ragnall przyniósł wojnę do Mercji, spodziewając się, że ziemie rządzone przez kobietę będą łatwe do podbicia. Teraz przekonywał się, jakie to łatwe.

Patrzyłem na Cynlaefa ścigającego trzech uciekających mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni we włócznie i próbowali wypruć flaki koniowi, żeby powalić zwierzę na ziemię i zabić jeźdźca. Chłopak poradził sobie z nimi bez trudu, wykorzystując swoje umiejętności jeździeckie i szermiercze, żeby ranić dwóch z nich i zabić trzeciego.

– Robi wrażenie – zauważył niechętnie Finan.

Młody Sas zachodni zwrócił ogiera i szybkim ruchem rozciął przeciwnikowi rękę od łokcia po ramię, po czym wykorzystał ciężar ciała, żeby powalić ostatniego wroga na murawę. Zabił go bez wysiłku – pochylił się w siodle i zadał pchnięcie mieczem. Zobaczywszy, że na niego patrzymy, wyszczerzył się do nas i zawołał:

– Dobre polowanie, panie!

– Dmij w róg – powiedziałem do Godrica, który szeroko się uśmiechał, bo nie tylko zabił, ale też przeżył.

Nadeszła pora się wycofać. Roznieśliśmy obozowiska Ragnalla, skąpaliśmy świt we krwi wroga i zadaliśmy nieprzyjacielowi poważne szkody. Pomiędzy dogasającymi na deszczu ogniskami leżały ciała. Znaczna część wojowników Ragnalla przeżyła i oni znajdowali się na szczycie Eads Byrig, skąd mogli tylko obserwować nasze siejące spustoszenie konne oddziały, które ścigały ostatnich uciekinierów z dolnego

obozowiska. Wydało mi się, że przez ulewny deszcz widzę Ragnalla stojącego u boku drobnej postaci w czarnym płaszczu. To mogła być Brida.

– Mój brat tam jest – powiedział z goryczą Finan.

– Widzisz go?

– Widzę go i czuję. – Irlandczyk włożył miecz do pochwy. – Innym razem. Jeszcze go dorwę.

Zawróciliśmy. Przybyliśmy, dokonaliśmy rzezi, a teraz odjeżdżaliśmy, pędząc przed sobą konie, kobiety i dzieci przez mokry od ulewy las. Nikt nas nie ścigał. Pycha Ragnalla sprawiła, że jego wojownicy poczuli się pewni i schronili się przed burzą, my zaś zjawiliśmy się z piorunem i odjechaliśmy ze świtem.

Straciliśmy jedenastu ludzi. Tylko jedenastu. Wiedziałem, że dwóch pokonało fosy i zaatakowało mur tarcz na szczycie Eads Byrig, a reszta? Nigdy nie dowiedziałem się, co się przydarzyło dziewięciu pozostałym, ale była to niewielka cena za spustoszenie, jakiego dokonaliśmy w szeregach Ragnalla. Zabiliśmy lub zadaliśmy rany trzystu–czterystu jego wojownikom, a po powrocie do Ceasteru okazało się, że zdobyliśmy sto siedemnaście koni, sześćdziesiąt osiem kobiet i dziewięćdziesięcioro czworo dzieci. Nawet Ceolberht i Ceolnoth, mnisi, którzy zaciekle mnie nienawidzili, stali i bili mi brawo, kiedy prowadziliśmy jeńców przez bramy miasta.

– Chwała Bogu! – zawołał ojciec Ceolnoth.

– Chwała na wysokości! – wyseplenił jego brat. Jedna z wziętych do niewoli kobiet zaczęła na niego krzyczeć, a on zrobił krok naprzód i mocno uderzył ją po głowie. – Masz szczęście, kobieto – powiedział do niej. – Znalazłaś się w rękach Boga. Od teraz będziesz chrześcijanką!

– Wszystkie maleństwa doprowadźcie do Chrystusa! – krzyknął biskup Leofstan, patrząc z przejęciem na płaczące dzieci.

– Doprowadźcie na frankijskie targi niewolników – burknął Finan.

Zeskoczyłem z siodła Tintrega, odpiąłem pas i podałem Oddech Węża Godricowi.

– Dobrze go wyczyść i nasmaruj – poleciłem mu. – A potem znajdź ojca Glaedwine’a i przyślij do mnie.

Godric popatrzył na mnie.

– Chcesz księdza, panie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Chcę ojca Glaedwine’a, więc przyprowadź go szybko – odparłem.

Po czym ruszyłem na poszukiwanie śniadania.

Ojciec Glaedwine należał do księży Aethelflaed, był młodym mężczyzną o wysokim, bladym i wiecznie zmarszczonym czole. Mówiono, że jest uczony, ukończył jedną ze szkół, które król Alfred założył w Wessexie, i Aethelflaed wykorzystywała go w charakterze kancelisty. Pisał listy, robił kopie kodeksów i rysował mapy, ale był znany nie tylko z tego typu manualnych zdolności. Był też poetą, zyskał sławę dzięki komponowanym przez siebie hymnom. Wykonywali je mnisi w kościołach i harfiści w dworach, niektórych musiałem wysłuchać, przede wszystkim kiedy śpiewano je w pałacu Aethelflaed. Spodziewałem się, że będą nudne, ale ojciec Glaedwine lubił układać pieśni, które opowiadały historię, i mimo mojego uprzedzenia okazało się, że ich słuchanie sprawia mi przyjemność. Jeden z jego najlepszych utworów opowiadał o kobiecie kowalu, która wykuwała gwoździe wykorzystane do przybicia ukrzyżowanego boga. Istniały trzy gwoździe i trzy przekleństwa. Pierwsze sprawiło, że jej dzieci zostały zjedzone przez wilka, drugie skazało jej męża na utonięcie w galilejskim szambie, trzecie sprowadziło na nią płasawicę i zmieniło jej mózg w sieczkę – wszystko to miało stanowić dowód potęgi chrześcijańskiego boga.

To była dobra historia, dlatego właśnie wezwałem Glaedwine'a, który wyglądał, jakby jego mózg również został zmieniony w sieczkę, kiedy pojawił się na dziedzińcu mojego domu, gdzie Godwin czyścił moją kolczugę w miednicy. Woda zabarwiła się na różowo.

– To jest krew – powiedziałem zaniepokojonemu Glaedwine'owi.

– Tak, panie – wymamrotał.

– Pogańska krew.

– Chwała Bogu... – a potem przypomniał sobie, że jestem poganinem, więc dodał pospiesznie i chytrze: – że zachowałeś życie.

Uwolniłem się ze skórzanego kaftana, który nosiłem pod kolczugą. Cuchnął. Dziedziniec wypełniali petenci, ale w tym nie było nic dziwnego. Ludzie przychodzili prosić o sprawiedliwość, przysługę albo po prostu, żeby przypomnieć o swoim istnieniu. Czekali w zadaszonym pasażu biegnącym wokół dziedzińca. Nadal padało, choć burzowa nawałnica przycichła. Pośród oczekujących dostrzegłem Gerbruhta. Zmuszał więźnia, by ukląkł. Nie rozpoznałem go, ale przypuszczałem, że należał do ludzi Aethelflaed i został przyłapany na kradzieży. Gerbruht dostrzegł moje spojrzenie i zaczął mówić.

– Później – przerwałem mu i przeniosłem wzrok na bladego mnicha. – Napiszesz pieśń, Glaedwinie.

– Tak, panie.

– Pieśń o Eads Byrig.

– Oczywiście, panie.

– Będzie opowiadać o tym, jak Ragnall Król Morza, Ragnall Okrutny, przybył pod Ceaster i poniósł tu klęskę.

– Poniósł klęskę, panie – powtórzył Glaedwine. Zamrugnął, kiedy kropla deszczu wpadła mu do oka.

– Opowiesz o tym, jak zginęli jego ludzie, jego kobiety zostały wzięte do niewoli, a dzieci zmienione w niewolników.

– Zmienione w niewolników, panie – przytaknął.

– I o tym, jak mężczyźni z Mercji wyszli z bronią na spotkanie wrogowi i zmusili go do czołgania się w błocie.

– W błocie, panie.

– To będzie triumfalna pieśń, Glaedwinie!

– Oczywiście, panie – odparł, marszcząc brwi, po czym z niepokojem rozejrzał się po dziedzińcu. – Ale czy nie masz własnych bardów, panie? Własnych harfistów?

– I co moi bardowie będą śpiewać o Eads Byrig?

Zatarł poplamione atramentem ręce, zastanawiając się, jakiej odpowiedzi oczekuję.

– Oczywiście opowiedzą o twoim zwycięstwie, panie...

– I tego właśnie sobie nie życzę – przerwałem mu. – To ma być pieśń o zwycięstwie pani Aethelflaed, zrozumiałeś? Usuń mnie z niej! Napisz, że to pani Aethelflaed poprowadziła mercyjskich wojowników na rzeź pogan, napisz, że twój bóg ją poprowadził, natchnął i dał jej zwycięstwo.

– Mój Bóg? – zapytał zdumiony.

– Chcę chrześcijańskiej pieśni, ty durniu!

– Chcesz... – zaczął dureń, ale ugryzł się w język. – Zwycięstwo pani Aethelflaed. Tak, panie.

– I księcia Aethelstana, jego też wspomnij.

Aethelstan był w oddziale mojego syna i dobrze się spisał.

– Tak, panie, księcia Aethelstana też wspomnę.

– Zabił dziesiątki wrogów! Tak napisz. Że Aethelstan zabijał pogan. To ma być pieśń o Aethelflaed i Aethelstanie, nie musisz nawet wspominać



mojego imienia. Możesz napisać, że zostałem w Ceasterze z powodu bolącego palucha u nogi.

– Bolącego palucha, panie – powtórzył Glaedwine, marszcząc brwi. – Chcesz to zwycięstwo przypisać Bogu Wszchemogącemu?

– I Aethelflaed.

– A doszło do niego w Wielkanoc – powiedział niemal do siebie.

– W czasie święta Eostre – poprawiłem go.

– Mogę napisać, że to było wielkanocne zwycięstwo, panie. – W jego głosie wyczułem ekscytację.

– Zrób, jak ci się podoba – burknąłem. – Ale chcę, żeby tę pieśń śpiewano w każdym dworze. Chcę, żeby wykrzykiwano ją w Wessexie, słuchano jej w Anglii Wschodniej, opowiadano o niej w Walii oraz intonowano w kraju Franków. Niech będzie dobrze napisana, krwawa i ekscytująca!

– Oczywiście, panie!

– Pieśń o pokonaniu Ragnalla – powiedziałem.

Ragnall oczywiście nie został pokonany, jeszcze nie. Pozostała mu ponad połowa wojsk i ta część zapewne nadal miała nad nami przewagę liczebną. Okazał jednak słabość. Przebył morze i szybko zajął większość Northumbrii. Opowieści na temat tych śmiałych dokonań miały się rozpowszechniać dopóty, dopóki ludzie wierzyli, że przeznaczeniem Ragnalla jest odnoszenie zwycięstw, nadszedł więc czas, żeby im powiedzieć, że można go pokonać i że zostanie pokonany. Lepiej, żeby to Aethelflaed została ukazana jako fatum Ragnalla, ponieważ wiele osób nie pozwoliłoby na opiewanie Uhtreda w ich dworach. Byłem poganinem, a oni chrześcijanami. Słuchaliby jednak pieśni Glaedwine'a oddającej cześć ukrzyżowanemu bogu i równocześnie rozpraszej strach przed Ragnallem. Nadal też można było spotkać głupców, którzy uważali, że

kobieta nie powinna rządzić, niech więc posłuchają o zwycięstwie odniesionym przez kobietę.

Zapłaciłem Glaedwine'owi złotem. Jak większość bardów twierdził wprawdzie, że tworzy swoje pieśni, bo nie ma innego wyboru. „Nigdy nie prosiłem o to, aby zostać poetą – powiedział mi pewnego razu. – Słowa po prostu do mnie przychodzą, panie. Duch Święty mi je zsyła! On jest moim natchnieniem!” Może i była to prawda, chociaż zauważyłem, że Duch Święty zsyłał znacznie większe natchnienie, kiedy pachniało złotem i srebrem.

– Napisz to dobrze – przykazałem, po czym go odesłałem.

W chwili, kiedy Glaedwine potruchtał do bramy, wszyscy petenci rzucili się naprzód i musieli zostać powstrzymani przez moich włóczników. Skinąłem głową w stronę Gerbruhta.

– Teraz twoja kolej.

Pchnął jeńca w moją stronę.

– Jest Norwegiem, jednym z hołoty Ragnalla – oświadczył.

– Dlaczego więc ma obie dłonie? – zapytałem. Wzięliśmy do niewoli trochę mężczyzn razem z kobietami i dziećmi, ale przed puszczeniem ich wolno wydałem rozkaz obcięcia im prawych dłoni. – Powinien wrócić do Eads Byrig z krwawą pieczęcią na nadgarstku. – Wziąłem kufel ale od którejś ze służących i wypłem go jednym haustem. Kiedy ponownie spojrzałem na jeńca, zobaczyłem, że płacze.

Był przystojnym, około dwudziestopięcioletnim mężczyzną z twarzą naznaczoną bliznami i wytatuowanymi toporami. Płaczący chłopcy mnie nie dziwili, ale ten jeńiec wyglądał na twardego wojownika, a mimo to szlochał. Większość mężczyzn dzielnie lub ze wzdargą przyjmowała okaleczenie, ten młodzieniec natomiast łkał jak dziecko.

– Czekaj – powiedziałem do Gerbruhta, który wyjął nóż.

– Nie miałem zamiaru ciachnąć go tutaj! – zaprotestował Gerbruht. – P Eadith nie chce, żeby cały dziedziniec był we krwi. Pamiętasz tę maciorę, którą zarżnęliśmy w Yule? Pani Eadith nie była z tego zadowolona! – Kopnął jeńca. – A tego nie wzięliśmy do niewoli w walce, panie, przed chwilą sam tu przyszedł.

– Sam przyszedł?

– Przyjechał konno pod bramę, panie. Jakieś dranie go goniły, ale był pierwszy.

– Więc nie okaleczymy go ani nie zabijemy. Na razie. – Butem uniosłem podbródek więźnia. – Jak się nazywasz?

– Vidarr, panie – odparł, próbując opanować szloch.

– Norweg? Duńczyk?

– Norweg, panie.

– Dlaczego tu przyjechałeś, Vidarze?

Wziął głęboki oddech. Gerbruht najwyraźniej myślał, że nie chce odpowiedzieć, bo uderzył go po głowie.

– Moja żona! – powiedział pospiesznie Vidarr.

– Twoja żona.

– Moja żona! – powtórzył, a jego twarz skurczyła się z żalu. – Moja żona, panie. – Wydawało się, że nie jest w stanie powiedzieć nic więcej.

– Zostaw go! – rozkazałem Gerbruhtowi, który zamierzał ponownie uderzyć jeńca. – Opowiedz mi o niej! – poleciłem Vidarrowi.

– Jest twoim więźniem, panie.

– No i?

– Ona jest moją żoną, panie – powiedział niemal bezgłośnie.

– A ty ją kochasz? – zapytałem szorstko.

– Tak, panie.

– Boże Niebieski! – zakpił Gerbruht. – On ją kocha. Najpewniej została już...

– Zamilcz – warknąłem i spojrzałem na Vidarra. – Komu złożyłeś przysięgę?

– Jarlowi Ragnallowi, panie.

– Co więc mam twoim zdaniem zrobić? Oddać ci żonę i pozwolić wam odejść?

Pokręcił głową.

– Nie, panie.

– Nie można zaufać mężczyźnie, który łamie złożoną przysięgę – stwierdziłem.

– Przysięgałem też Askatli, panie.

– Askatli? Tak ma na imię twoja żona?

– Tak, panie.

– I ta przysięga ma większą wartość od złożonej jarlowi Ragnallowi?

Znał odpowiedź na to pytanie, ale nie chciał wypowiedzieć jej na głos, podniósł więc głowę i spojrzał na mnie.

– Kocham ją, panie – odparł tylko prosząco.

Zabrzmiał żałością i wiedział o tym, ale to miłość skłoniła go do tak upokarzającego zachowania. Kobiety potrafią do tego doprowadzić. Mają władzę. Możemy twierdzić, że przysięga złożona panu jest silnym zobowiązaniem, które kieruje naszym życiem, wiąże nas i ogranicza wszelkie inne powinności, ale niewielu mężczyzn na ziemi nie złamałoby każdej przysięgi dla kobiety. Sam je dla nich łamałem. Nie jestem z tego dumny, ale niemal w każdym przypadku odstąpiłem od przysięgi przez kobietę.

– Podaj mi jeden powód, dla którego nie miałbym cię zabrać nad fosę i zabić – powiedziałem do Vidarra. Nic nie odpowiedział. – W przeciwnym razie odeślę cię do jarla Ragnalla – dodałem. Nie chciałem przyznać przed samym sobą, że kobiety mają nad nami taką władzę, więc obchodziłem się z nim szorstko.

Pokręcił głową, nie wiedząc, co odrzec. Gerbruht łypnął z zadowoleniem, ale Vidarr podjął ostatnią rozpaczliwą próbę.

– Wiem, dlaczego twój syn przyszedł do Ragnalla!

– Mój syn?

– Mnich, panie. – Spojrzał na mnie z rozpaczą odmalowaną na twarzy. Nic nie powiedziałem, a on wziął moje milczenie za gniew. – Mnich, którego okaleczyła wiedźma, panie – dodał szeptem.

– Wiem, co mu zrobiła – odrzekłem.

Opuścił głowę.

– Oszczędź mnie, panie – niemal wyszeptał. – A będę ci służył.

Zaintrygował mnie. Uniosłem jego głowę prawą ręką.

– Dlaczego mój syn pojechał do Ragnalla? – zapytałem.

– Przybył jako wysłannik pokoju, panie.

– Wysłannik? – zapytałem. To, co mówił, nie miało sensu. – Kto go do niego posłał?

– Irlandczycy, panie! – odrzekł tonem, który wskazywał, że myślał, iż już to wiem. – Twoja córka.

Zaniemówiłem na chwilę ze zdumienia. Wpatrywałem się tylko w rozmówcę. Deszcz padał mu na twarz, ale nie zwracałem uwagi na pogodę.

– Stiorra? – zapytałem w końcu. – Dlaczego miałyby słać do niego wysłannika pokoju?

– Bo oni są w stanie wojny.

– Oni?

– Ragnall i jego brat!

Nadal nie odrywałem wzroku od jeńca. Vidarr otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale uciszyłem go, kręcąc głową. A więc Sigtryggr też jest wrogiem Ragnalla? Mam zatem sojusznika w zięciu?

– Podaj mi Oddech Węża! Szybko! – zawołałem do Godrica.

Służący podał mi miecz. Spojrzałem Vidarrowi w oczy, uniosłem ostrze i zobaczyłem, że się wzdryga. Następnie gwałtownie opuściłem broń, tak żeby czubek wbił się w przestrzeń między kamiennymi płytami. Zacisnąłem dłonie na rękojeści miecza.

– Złóż mi przysięgę wierności – rozkazałem.

Norweg objął moje dłonie i przysiągł, że będzie moim człowiekiem, że pozostanie wobec mnie lojalny, będzie mi służył i odda za mnie życie.

– Znajdź mu miecz – rozkazałem Gerbruhtowi. – A także płaszcz, kolczugę i tarczę. I jego żonę.

Po czym poszedłem do syna. Swojego najstarszego syna.

*Wýrd bið ful ãræd.*

---

\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Ps 48, 14.

\*\* Zob. Biblia Tysiąclecia, Mk 16, 15.

\*\*\* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Rz 12, 19.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego samego rana Finan poprowadził dwustu pięćdziesięciu konnych na południe od Eads Byrig, gdzie napotkali dwa oddziały Ragnalla poszukujące żywności. Pierwszy wycięli w pień, a drugiemu pozwolili uciec w panice. Wzięli też do niewoli jedenastoletniego chłopca, syna northumbryjskiego jarla.

– Ojciec zapłaci okup za chłopaka – zapowiedział Finan.

Zdobył także szesnaście koni, kilkanaście kolczug oraz broń, hełmy i tarcze. Wysłałem Vidarra z ludźmi Irlandczyka, żeby sprawdzić jego lojalność.

– Tak, dość dobrze się sprawił – przyznał Finan. – I zna się na swoim rzemiośle.

Z ciekawości wezwałem Vidarra i jego żonę do swojego domu, żeby przekonać się, co to za kobieta skłoniła mężczyznę do zdrady i płaczu. Odkryłem, że jest to niska, pulchna kobietka z oczami jak paciorki i ciętym językiem.

– Otrzymamy ziemię? – zapytała, a kiedy mąż próbował ją uciszyć, napadła na niego jak lisica. – Nie uciszaj mnie, Vidarze Leifsonie! Jarl Ragnall obiecał nam ziemię! Nie po to przebyłam ocean, żeby umrzeć w saskim rowie!

Byłaby w stanie doprowadzić mnie do łez, ale nie do zdrady, Vidarr jednak wpatrywał się w nią tak, jakby była królową Asgardu.

Zmęczonych wojowników Finana po powrocie do Ceasteru przepelniała duma. Wiedzieli, że pokonali oddział Ragnalla i że zapłacony przez niego okup i pieniądze ze sprzedaży zdobytej broni oznaczają napływ złota do ich kies. Ludzie palili się do wyjazdów za mury i tego wieczoru Sihtric poprowadził inny oddział złożony ze stu jeźdźców, żeby przeszukać ten sam obszar. Zamierzałem nękać Ragnalla, by wiedział, że dopóty nie zagna spokoju, dopóki będzie stacjonował w pobliżu Ceasteru. Zadaliśmy mu poważne rany w dzień po święcie Eostre, a ja chciałem, żeby nadal go bolało.

Chciałem też porozmawiać z synem, ale wydawał się niezdolny mówić. Leżał przykryty stosem koców i futer, jednocześnie pocąc się i trzęsąc z zimna.

– Gorączka go wypala – powiedziała Ymma, posępna kobieta, która jako jedyna z sióstr miała prawo rozmawiać z mężczyznami. – Potrzebuje modlitwy i wypocenia. Porządnego wypocenia!

Kiedy przybyłem do domu, kulawy odźwierny uderzył w żelazną sztabę, ogłaszając przybycie mężczyzny i zakapturzone kobiety pospiesznie rozpierzchły się, żeby się ukryć. Siostra Ymma natomiast wychynęła ponuro z kryjówki.

– Przestał krwawić, chwała Bogu – powiedziała, robiąc znak krzyża. – Dzięki opasce na piersi Świętej Werburgi.

– Dzięki czemu?

– Pani Aethelflaed nam ją pożyczyła – oznajmiła. – To święta relikwia. – Wzdrygnęła się. – Miałam przywilej jej dotknąć!

– Opaska na piersi?

– Święta Werburga obwiązywała sobie piersi pasem – wyjaśniła mi oschle siostra Ymma. – Ścisnęła je mocno, żeby nie kusić mężczyzn. Wkładała ciernie pod materiał na pamiątkę cierpienia naszego Pana.



– Wbijala sobie kolce w cycki? – zapytałem z osłupieniem.

– To jeden ze sposobów wychwalania Boga! – odparła.

Nigdy nie zrozumieję chrześcijan. Widziałem mężczyzn i kobiety biczujących się tak długo, że ich plecy zmieniły się w paski skóry zwisające z obnażonych żeber, pielgrzymów kuśtykających na zakrwawionych, połamanych stopach, żeby oddać cześć zębowi wieloryba, który połknął Jonasza, i człowieka wbijającego sobie gwoździe w stopy. Jaki bóg żąda takich bzdur? I mam woleć boga, który chce, żebym się torturował, od Eostre, która chce, bym zaprowadził dziewczynę do lasu i zrobił jej dzieci?

– Sam biskup modlił się za niego zeszłej nocy – powiedziała siostra Ymma, ocierając czoło mojego syna zaskakująco czułym gestem. – Przyniósł język Świętego Cedda i położył go na jego ranie. Oczywiście opiekuje się nim siostra Gomer. Jeśli ktokolwiek może dokonać bożego cudu, to tylko siostra Gomer.

– Żona biskupa – odrzekłem.

– Święta za życia – stwierdziła z czcią.

Mój syn potrzebował więc świętej za życia, albo co najmniej cudu. Nie leżał już skulony z bólu, ale nadal wydawało mi się, że nie jest w stanie rozmawiać. Wymówiłem jego imię na głos i odniosłem wrażenie, że je rozpoznał, ale nie mogłem mieć pewności. Nie wiedziałem nawet, czy się obudził.

– Ty cholerny, przeklęty głupcze, co robiłeś w Irlandii? – zapytałem.

Oczywiście mi nie odpowiedział.

– Z pewnością czynił dzieło Boże – stwierdziła z przekonaniem. – A teraz jest męczennikiem za wiarę. Otrzymał przywilej cierpienia w imię Chrystusa!

Mój syn cierpiał, ale najwidoczniej siostra Gomer rzeczywiście dokonała cudu, bo nazajutrz rano biskup przysłał mi wiadomość, że

chłopak zaczął dochodzić do siebie. Wróciłem do szpitala, poczekałem, aż kobiety opuszczą dziedziniec, i wszedłem do niewielkiego pokoju, w którym leżał Uhtred. Tyle że nie nazywał się już Uhtred. Sam siebie zwał ojcem Oswaldem. Leżał wsparty na łóżku z rumieńcami na policzkach. Spojrzał na mnie, a ja na niego.

– Ty cholerny głupcze – powiedziałem.

– Witaj, ojcze – odparł słabym głosem. Najwyraźniej jadł, bo pusta miska i drewniana łyżka leżały na futrzanej narzucie. W dłoniach ścisnął krzyż.

– Niemal zginąłeś, ty głupi draniu – burknąłem.

– Przejąłbyś się?

Nie odpowiedziałem, stałem w drzwiach, spoglądając na dziedziniec.

– Czy te cholerne kobiety mówią coś do ciebie?

– Szepczą – odrzekł.

– Szepczą?

– Możliwie najmniej. Milczenie jest ich darem dla Boga.

– Milcząca kobieta to jest coś.

– Są posłuszne Pismu.

– Pismu?

– W Liście do Tymoteusza Święty Paweł powiedział, że kobieta powinna żyć „w cichości” – wyjaśnił z powagą.

– Zapewne ożenił się z jakąś okropną, zrzędliwą jędzą – skwitowałem, myśląc o pyskatej żonie Vidarra. – Dlaczego jednak bóg miałby pragnąć ciszy?

– Bo jego uszy narażone są na nieustanne modlitwy. Tysiące modlitw. Od chorych, samotnych, umierających, nieszczęśliwych, ubogich

i w potrzebie. Cisza jest darem dla tych dusz, dzięki niej modlitwy docierają do Boga.

Obserwowałem wróble bijące się na trawie porastającej dziedziniec.

– I myślisz, że twój bóg odpowiada na te modlitwy?

– Żyję – rzekł.

– Ja też – odparłem. – A wystarczająco wielu cholernych chrześcijan modliło się o moją śmierć.

– To prawda. – Wydawało mi się, że słyszę w jego głosie rozbawienie, ale kiedy się odwróciłem, dostrzegłem grymas bólu na jego twarzy.

Patrzyłem na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Musi boleć – odezwałem się w końcu.

– Boli – przyznał.

– Jak znalazłeś się w niewoli u Ragnalla? To było głupie!

– Pojechałem do niego z pełnomocnictwem – wyznał zmęczonym głosem. – Jako poseł. To nie było głupie, zgodził się mnie przyjąć.

– Byłeś w Irlandii?

– Nie wtedy, kiedy się z nim spotkałem. Ale stamtąd przyjechałem.

– Od Stiorry?

– Tak.

Nadeszła karlica z kuflem wody albo piwa i chrząknęła, żeby zwrócić moją uwagę. Chciała, żebym wyszedł z pokoju.

– Wynos się – warknąłem na nią, po czym zwróciłem się do syna. – Czy ta dziwka Brida odcięła ci też kutasa?

Przez chwilę się wahał, ale w końcu potwierdził.

– Tak.

– To chyba i tak nie ma znaczenia. Jesteś cholernym mnichem. Możesz szczać jak kobieta.

Byłem wściekły. Wprawdzie wyrzekłem się Uhtreda i go wydziedziczyłem, ale nadal pozostawał moim synem i ten atak stanowił napaść na mój ród. Spojrzałem na niego. Miał włosy ostrzyżone tuż przy skórze. Zawsze był przystojny, miał szczupłą twarz i chętnie się uśmiechał. Chociaż jego uśmiech zapewne zniknął razem z kutasem. Wyglądał lepiej niż mój drugi syn – który ponoć mnie przypomina – o grubo ciosanej, naznaczonej bliznami twarzy.

Spojrzał na mnie.

– Nadal szanuję cię jako swojego ojca – powiedział po chwili.

– Szanuj mnie jako człowieka, który cię pomści – odrzekłem. – I opowiedz, co się stało ze Stiorrą.

Westchnął, a potem wzdrygnął się z bólu, poruszając się pod narzutą.

– Ona i jej mąż są oblegani.

– Przez kogo?

– Przez Uí Néill. – Zmarszczył brwi. – W Irlandii są klany, plemiona i królestwa. – Przerwał, najwidoczniej chciał powiedzieć więcej, ale w końcu tylko wzruszył ramionami, jakby wyjaśnienia były zbyt męczące. – Sytuacja w Irlandii jest inna.

– Są sojusznikami Ragnalla?

– Tak – potwierdził ostrożnie. – Ale nie ufają sobie wzajemnie jako sojusznicy.

– Któż zaufałby Ragnallowi? – zapytałem ze złością.

– Bierze zakładników. W ten sposób zapewnia sobie lojalność ludzi.

Trudno było mi zrozumieć to, co próbował powiedzieć.

– Twierdzisz, że Uí Néill dał mu zakładników?

Przytaknął.

– Ragnall oddał im swoją ziemię w Irlandii, ale kazał sobie zapłacić roczną służbą wojskową.

– Są najemnikami! – stwierdziłem ze zdumieniem.

– Najemnikami – powtórzył. – A ich służba stanowi część ceny za ziemię. W zamian za nią Ragnall zażądał też śmierci Sigtryggra. A jeśli Uí Néill nie wywiąże się ze zobowiązania?

– Jeżeli poniosą klęskę, ma zakładników. Myślisz, że zabije ich w ramach zemsty?

– A jak sądzisz? Conall i jego ludzie są jego najemnikami, ale jednocześnie zakładnikami.

Wszystko wreszcie zaczynało nabierać sensu. Ani ja, ani Finan nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego irlandzcy wojownicy służą Ragnallowi, i żaden z jeńców nie był w stanie nam tego wyjaśnić. Byli najemnymi wojownikami, najmitami, a jednocześnie gwarantami śmierci Sigtryggra.

– O co pokłócili się Ragnall z bratem? – zapytałem.

– Sigtryggr nie chciał dołączyć do jego wojsk.

– Dlaczego?

– Nie przepadają za sobą. Ich ojciec podzielił przed śmiercią swoją ziemię między obu synów, a Ragnall ma mu to za złe. Uważa, że należy mu się wszystko. – Zamilkł i zaśmiał się ponuro. – I oczywiście Ragnall chce Stiorrę.

Spojrzałem na niego.

– Czego chce?

– Ragnall chce Stiorrę – powtórzył. Nie odrywałem od niego oczu. – Wyrosła na piękną kobietę – wyjaśnił.

– Wiem, jaka jest! Jest też poganką.

Słyszając te słowa, smutno pokiwał głową.

- Mówi, że jest poganą, ale myślę, że tak jak ty robi to na złość innym.
- Jestem poganinem – odparłem ze złością. – I Stiorra też!
- Modlę się za nią.
- Ja też – burknąłem.
- A Ragnall chce ją zdobyć. Ma już cztery żony, ale chce też Stiorrę.
- I Uí Néill ma ją pojmać?
- Zgadza się, i zabić Sigtryggra. To jest część ceny za ziemię.

Znów podszedłem do drzwi i wyjrzałem na dziedziniec. Pozostałości otoczonej kamiennym murkiem ozdobnej sadzawki, w której od dawna nie było już wody, rzucały cień w słabych promieniach słońca. Murek ozdobiony był płaskorzeźbami ukazującymi biegające nimfy i koźlonogich mężczyzn. Wieczną gonitwę.

– Finan twierdzi, że Uí Néill jest najpotężniejszym rodem w Irlandii – powiedziałem. – A ty mówisz, że chcą pojmać Stiorrę?

– Chcieli.

– Chcieli? – zapytałem, ale on w odpowiedzi tylko westchnął, najwidoczniej nie mając ochoty mówić. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. – Chcieli? – powtórzyłem szorstko.

– Boją się jej. – Naprawdę nie chciał mówić i unikał mojego wzroku.

– Dlaczego takie potężne plemię miałoby się bać Stiorry?

– Uważają, że jest wiedźmą.

Wybuchnąłem śmiechem. Moja córka wiedźmą! Byłem z niej dumny.

– A zatem Sigtryggr i Stiorra są oblegani – podsumowałem. – Ale Uí Néill nie chce zaatakować, bo uważają, że Stiorra ma bogów po swojej stronie?

– A może demona – odparł poważnie.

– Sądzisz, że ma szatana na swoje usługi? – zapytałem szorstko.

Pokręcił głową.

– Irlandczycy są przesądni – odezwał się z większą werwą. – Bóg jeden wie, że w Brytanii panuje za dużo przesądów. Zbyt wiele osób nie porzuciło jeszcze całkowicie starych wierzeń...

– To dobrze – powiedziałem.

– Ale najgorzej jest w Irlandii! Tam nawet niektórzy księża odwiedzają dawne świątynie. A więc tak, boją się Stiorry i jej pogańskich bogów.

– A w jaki sposób ty zostałeś w to wmieszany? Myślałem, że jesteś bezpieczny w Wessexie.

– Opat z Irlandii posłał mi wiadomość. Irlandzkie klasztory różnią się od naszych. Są większe i mają więcej władzy, opaci są pod pewnymi względami niczym mniejsi królowie. Chciał pozbyć się Uí Néill ze swoich ziem, bo zarzynali jego zwierzęta i zjadali ziarno. Pojechałem do Ragnalla na ich życzenie...

– A co ich zdaniem mogłeś zrobić? – przerwałem mu niecierpliwie.

– Chcieli, żebym był ich rozjemcą.

Parsknąłem, słysząc te słowa.

– I co zrobiłeś? Czołgałeś się przed Ragnallem i błagałeś go, żeby był miły i zostawił twoją siostrę w spokoju?

– Przywiozłem mu ofertę.

– Ofertę?

– Sigtryggr zaproponował dwa hełmy złota, jeśli Ragnall rozkaże Uí Néill odstąpić od oblężenia.

– A Ragnall obciął ci jaja?

– Odrzucił tę ofertę. Wyśmiał ją. Miał zamiar odesłać mnie do Irlandii z tą odpowiedzią, ale wtedy do obozu przyjechała Brida z Dunholmu.

– Ta suka – rzuciłem mściwie. Spojrzałem na dziedziniec. Kobiety musiały uznać, że moja obecność nie jest zbyt gorsząca, ponieważ kilka z nich niosło bieliznę i jedzenie przez mokrą trawę. – Brida była moją pierwszą miłością, a teraz mnie nienawidzi – powiedziałem.

– Miłość czasem zmienia się w nienawiść.

– Tak? – zapytałem ze złością i obejrzałem się na niego. – Okaleczyła cię, bo jesteś moim synem.

– Również dlatego, że jestem chrześcijaninem. Ona nienawidzi chrześcijan.

– A zatem nie jest do cna zła – burknąłem, po czym pożałowałem tego żartu. – Nienawidzi chrześcijan, bo zniszczyli te ziemie! – wyjaśniłem. – Należały do Thora i Odyna, każdy strumień, każda rzeka, każda łąka należała do duszka albo nimfy, teraz są własnością obcego boga.

– Jedyne Boga – powiedział spokojnie.

– Zabiję ją.

– Ojczy...

– Nie opowiadaj mi tych swoich chrześcijańskich bzdur o przebaczeniu – warknąłem. – Nie będę nastawiał drugiego policzka. Ta suka cię okaleczyła, więc ja okaleczę ją. Wytnę jej cholerną macicę i nakarmię nią psy. Gdzie jest Sigtryggr?

– Sigtryggr? – Tak naprawdę nie zadawał pytania, zwyczajnie potrzebował czasu, żeby dojść do siebie po moim wybuchu gniewu.

– Tak, Sigtryggr i Stiorra! Gdzie oni są?

– Po drugiej stronie Morza Irlandzkiego. – Mówił teraz zmęczonym głosem. – To morze tworzy ogromną zatokę, nazywaną Loch Cuan. Na jej zachodnim brzegu wznosi się warownia na wzgórzu, cypel przypomina niemal wyspę.

– Loch Cuan – powtórzyłem obco brzmiącą nazwę.



- Każdy szyper, który zna Irlandię, jest w stanie cię tam zawieźć.
- Iloma ludźmi dowodzi Sigtryggr?
- Podczas mojego pobytu było ich stu czterdziestu.
- I ich kobiety?
- Tak, kobiety i dzieci.

Odchrząknąłem i spojrzałem na dziedziniec, gdzie dwóch garbusów biskupa rozkładało na trawie ciężkie lniane prześcieradła do wyschnięcia. Kiedy odeszli z cienia, natychmiast wybiegł piesek i nasikał na jedno z płócien.

- Z czego się śmiejesz? – zapytał mój syn.
  - Z niczego – odparłem. – A zatem w warowni musi być pięćset osób.
  - Tak, coś koło tego, jeśli... – Urwał.
  - Jeśli co?
  - Jeśli mają wystarczające zapasy żywności.
  - Ludzie Uí Néill nie zaatakują ich, lecz wezmą głodem?
- Uhtred przytaknął.

– Sigtryggr ma na razie wystarczająco dużo zapasów, są też ryby i źródło na cyplu. Nie jestem wojownikiem...

- A szkoda – przerwałem mu.
- Ale warownię Sigtryggra łatwo obronić. Droga dojazdowa jest wąska i skalista. Mówi, że może pomieścić dwudziestu ludzi. Orvar Freyrson zaatakował twierdzę z morza, ale stracił ludzi na jedynej plaży.
- To jeden z szyprów Ragnalla. Ma cztery łodzie na fiordzie.
- A Sigtryggr nie ma żadnej?
- Nie.
- Więc w końcu przegra. Skończy mu się żywność.
- Tak.

– A moja córka zostanie zamordowana.

– Nie, jeśli taka będzie Boża wola.

– Nie zaufałbym twojemu bogu, nawet jeśli chodzi o uratowanie robaka. – Spojrzałem na niego. – Co teraz będzie z tobą?

– Biskup Leofstan uczyni mnie swoim kapelanem, jeśli taka będzie Boża wola.

– Znaczy się: jeśli przeżyjesz?

– Tak.

– Czyli zostaniesz w Ceasterze?

Skinął głową.

– Chyba tak. – Zawahał się. – A ty dowodzisz tutejszym garnizonem, zakładam więc, że mnie tu nie chcesz.

– Chcę tego, co zawsze. Odzyskać Bebbanburg.

Potrząsnął głową.

– A więc nie zostaniesz tu – stwierdził z nadzieją w głosie. – Nie chcesz zostać w Ceasterze?

– Oczywiście, że nie, ty cholerny głupcze – odparłem. – Wyruszam do Irlandii.

– Nie pojedziesz do Irlandii – powiedziała Aethelflaed. A raczej wydała rozkaz.

Było wczesne popołudnie. Słońce znów zniknęło, zakryła je masa niskich złowrogich chmur, które przed nocą zapowiadały ulewny deszcz. W taki dzień należało zostać w domu, ale my znajdowaliśmy się na wschód od Eads Byrig i jechaliśmy na południe rzymską drogą, po której prowadziłem trzystu wojowników z Ceasteru. Niemal połowa z nich była moimi ludźmi, reszta należała do Aethelflaed. Skręciliśmy z drogi na

południe długo przed dotarciem do Eads Byrig z nadzieją, że natkniemy się na kolejne oddziały poszukujące żywności, ale żadnych nie dostrzegliśmy.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – zapytała Aethelflaed.

– Nie jestem głuchy.

– Chyba że jest ci tak wygodnie – odparła ostro. Siedziała na Gast, swojej siwej klaczy, i była w rynsztunku wojennym. Nie chciałem, żeby opuszczała warownię, tłumaczyłem, że wokół Ceasteru nadal jest zbyt niebezpiecznie dla wszystkich z wyjątkiem wojowników, ale jak zwykle zlekceważyła moją radę. – Jestem władczynią Mercji – odrzekła wyniośle. – I mam prawo przebywać w każdym miejscu swojego kraju.

– Najwyżej zostaniesz pochowana w tym swoim kraju – odburknąłem.

Wydawało się jednak, że nie ma takiego zagrożenia. Jeśli Ragnall wysłał oddziały na poszukiwanie żywności, musiały one udać się bezpośrednio na wschód, ponieważ na południu ich nie spotkaliśmy. Przemierzyliśmy zarośnięte pastwiska, przekroczyliśmy strumienie i teraz prowadziliśmy konie przez pozostałości zagajnika, chociaż musiało minąć co najmniej dziesięć lat, odkąd ostatni raz dęby zostały przycięte, i teraz znów wyglądały niedbale. Zastanawiałem się, czy zawrócić do twierdzy, kiedy Berg obwieścił, że nasz zwiadowca wraca z północy. Wysłałem kilku ludzi, żeby jeszcze raz zbadali sytuację na rzymskiej drodze, popołudnie było jednak tak spokojne, że nie spodziewałem się, aby cokolwiek dostrzegli.

Mylilem się.

– Odjeżdżają, pani! – Nasz zwiadowca Grimdahl był Mercjaninem. Wykrzykiwał tę wiadomość, popędzając zmęczonego konia. Szeroko się uśmiechał. – Odjeżdżają! – zawołał ponownie.

– Odjeżdżają? – zapytała Aethelflaed.

– Wszyscy, pani. – Grimdahl ściągnął wodze i wskazał głową na wschód. – Wyjechali na drogę i odjeżdżają.

Aethelflaed popędziła wierzchowca.

– Poczekaj! – krzyknąłem, po czym ruszyłem za nią. – Finanie! Weź ze sobą dwudziestu pięciu ludzi. Natychmiast!

Wybraliśmy wojowników na najszybszych koniach i poprowadziliśmy ich przez pastwiska porośnięte soczystą wiosenną trawą. Tych ziem od lat nikt nie uprawiał ze względu na zbyt bliskie sąsiedztwo Norwegów i obawę przed ich najazdami. Były to żyzne gleby, ale pola zarosły chwastami i młodymi leszczynami. Podążaliśmy na wschód ledwie widoczną ścieżką dla bydła, torując sobie drogę przez las gęsty od ciernistych krzaków, aż w końcu wyjechaliśmy na wrzosowisko. Przed nami ukazał się kolejny pas lasu, a Grimdahl, który jechał obok mnie, wskazał na drzewa.

– Droga jest tuż za tymi sosnami, panie.

– Musimy zaatakować! – zawołała Aethelflaed. Jechała za nami, popędzając Gast, żeby do nas dołączyć.

– Nie powinno cię tu być – powiedziałem jej.

– Nie strzép sobie języka – odcięła się.

Zignorowałem ją. Tintreg wjechał między sosny. Poszycie było skąpe, nie mieliśmy więc możliwości się ukryć, dlatego zachowywałem ostrożność i powoli prowadziłem wierzchowca – aż ujrzałem rzymską drogę. I wtedy ich zobaczyliśmy. Długi rząd mężczyzn, koni, kobiet i dzieci wlekących się na wschód.

– Powinniśmy zaatakować – powtórzyła Aethelflaed.

Pokręciłem głową.

– Robią to, czego chcemy. Odjeżdżają. Dlaczego mielibyśmy im w tym przeszkadzać?

– Bo w ogóle nie powinni tu przyjeżdżać – odparła mściwie.

Będę musiał jeszcze porozmawiać z Glaedwine'em – pomyślałem. Jego pieśń o zwycięstwie Aethelflaed mogłaby się zakończyć sceną z wrogami uciekającymi jak zbite psy. Patrzyłem na wojska Ragnalla wycofujące się na wschód i wiedziałem, że odnieśliśmy zwycięstwo. Największa armia z północy, jaka najechała Mercję i Wessex od czasów króla Alfreda, obnosiła się ze swoją potęgą pod murami Ceasteru, a teraz się wycofuje. Nie było powiewających chorągwi ani buty, zwyczajnie porzucili nadzieje na zdobycie Ceasteru. A Ragnall – myślałem – znalazł się w poważnych tarapatach. Jego wojska mogły się nawet rozpierzchnąć. Duńczycy i Norwegowie byli groźnymi przeciwnikami, bezwzględnymi i strasznymi w walce wojownikami, ale cechowało ich też wyrachowanie. Kiedy wszystko szło dobrze, kiedy zdobywali ziemię, niewolników, złoto i zwierzęta – ochoczo podążali za swoim wodzem, lecz kiedy doświadczał on klęsk – szybko go porzucali. Ragnall znalazł się w trudnym położeniu. Zdobył co prawda Eoferwic, ale jak długo był w stanie utrzymać to miasto? Potrzebował wielkiego zwycięstwa, a dostał cięgi.

– Chcę, żeby zginęło ich więcej – powiedziała Aethelflaed.

Kusiło mnie to. Ludzie Ragnalla wlekli się drogą i bez trudu mogliśmy wjechać między nich i urządzić krwawą jatkę wśród ogarniętych paniką uciekinierów. Nadal jednak byliśmy w Mercji i Ragnall z pewnością rozkazał wojownikom maszerować w kolczugach i z tarczami oraz mieczami na podorędziu. Gdybyśmy ich zaatakowali, z pewnością utworzyliby mur tarcz, a na odsiecz przybyłyby im oddziały z przodu i z tyłu długiej kolumny.

– Chcę, żeby odeszli, ale chcę też ich śmierci – nalegała Aethelflaed.

– Nie zaatakujemy ich – odparłem. Zobaczyłem, że się obrusza, więc podniosłem dłoń, żeby ją uspokoić. – Pozwolimy, żeby to oni nas zaatakowali.

– Oni mają nas zaatakować?

– Poczekaj – powiedziałem.

Dostrzegłem trzydziestu–czterdziestu ludzi Ragnalla na koniach, wszyscy jechali po bokach kolumny, jakby strzegli jej bezpieczeństwa. Co najmniej tyle samo wojowników prowadziło wierzchowce, a każdy z nich był na wagę złota dla armii. Konie pozwalają wojsku szybciej się poruszać i stanowią bogactwo. Mężczyznę ocenia się po jakości złota, zbroi, broni, kobiet i wierzchowców. Wiedziałem, że Ragnallowi wciąż brakowało koni, a zabranie mu tych, które posiada, byłoby dla niego poważnym ciosem.

– Grimdahlu! – Odwróciłem się w siodle. – Wracaj do Sihtrica. Powiedz mu, żeby wszystkich naszych ludzi poprowadził do tamtego lasu. – Wskazałem na drzewa po drugiej stronie wrzosowiska. – Niech weźmie tam wszystkich! I niech się ukryją.

– Tak, panie.

– A pozostali! – Podniosłem głos. – Nie atakujemy ich! Tylko obrzucamy wyzwiskami. Chcę, żebyście z nich kpili, szydzili. Wyśmiewajcie się z nich! Drwijcie! – Zacząłem mówić ciszej. – Możesz pojechać z nami, pani, ale nie podjeżdżaj zbyt blisko drogi.

Zezwolenie Aethelflaed na zbliżenie się do upokorzonego wroga było oczywiście ryzykowne, ale uznałem, że jej obecność wprawi część Norwegów w jeszcze większą wściekłość, inni zaś uznają, iż jest to okazja, aby wziąć ją do niewoli i w ten sposób zmienić upokarzający odwrót w niespodziewane zwycięstwo. Była moją przynętą.

– Słyszałaś? – zapytałem. – Chcę, żebyś się pokazała, ale masz się wycofać, kiedy ci każę.

– Wycofać? – Aethelflaed nie lubiła tego słowa.

– Chcesz sama wydawać rozkazy?

Uśmiechnęła się.

– Będę posłuszna, lordzie Uhtredzie – odparła z udawaną pokorą. Dobrze się bawiła.

Czekałem do chwili, gdy ujrzałem wojowników Sihtrica między odległymi drzewami. Wtedy poprowadziłem swoich nielicznych mężczyzn i jedną kobietę na otwartą przestrzeń przy drodze. Wróg oczywiście nas dojrzał, początkowo jednak uznano, że jesteśmy tylko nieszkodliwym patrolem. My jednak powoli zbliżaliśmy się do drogi. Znalazłszy się w zasięgu słuchu, zaczęliśmy wykrzykiwać obelgi, wyśmiewaliśmy się z nich i nazywaliśmy ich wystraszonymi chłopcami. Wskazałem na Aethelflaed i zawołałem:

– Pokonani przez niewiastę! Pokonani przez niewiastę!

Moi ludzie zaczęli skandować za mną:

– Pokonani przez niewiastę! Pokonani przez niewiastę!

Przeciwnicy wydawali się przygnębieni. Jeden czy dwóch odkrzyknęło nam bez przekonania, a my podeszliśmy jeszcze bliżej, żeby z nich kpić. Jeden z konnych wojowników Ragnalla opuścił kolumnę i wyciągnął miecz w naszą stronę, ale szybko wrócił do szeregu, gdy się zorientował, że nikt nie poszedł w jego ślady. Zauważyłem jednak, że mężczyźni dotychczas prowadzący swoje konie dosiedli wierzchowców. Równocześnie zaczęli zbierać się zbrojni jeźdźcy z przodu i z tyłu kolumny.

– Bergu! – zawołałem młodego Norwega.

– Panie?

– Zostań u boku pani Aethelflaed i zadbaj o to, żeby bezpiecznie się stąd oddaliła.

Aethelflaed parsknęła z oburzeniem, ale nie sprzeciwiła się mojej decyzji. Moi ludzie nadal szydzili z wojowników Ragnalla, ja tymczasem trochę oddaliłem się od drogi i ruszyłem do miejsca, gdzie czekał w ukryciu oddział Sihtrica. Podeszliśmy do pobitych wojsk na odległość czterdziestu

kroków, ale oddaliliśmy się, gdy konni zaczęli się zbierać w większą grupę. Oszacowałem, że jest ich ponad stu, aż nadto, żeby wyciąć w pień moich dwudziestu pięciu ludzi. Oni, oczywiście, aż się do tego palili. Ośmieszyliśmy ich, zmusiliśmy do wycofania się, sprawienie nam krwawej łaźni byłoby więc dla nich pewnym pocieszeniem.

– Nadchodzą – ostrzegł mnie Finan.

– Jedź! – zawołałem do Aethelflaed i odwróciłem się w siodle. – Ruszamy! – krzyknąłem do swoich ludzi.

Spiąłem Tintrega i klepnąłem Gast w zad, żeby pognała przed siebie.

Teraz wojownicy Ragnalla kpili. Zobaczyli, że uciekamy, i ich jeźdźcy ruszyli w ślad za nami. Wjechaliśmy znów między sosny, gdzie dojrzałem pędzącą białą klacz Aethelflaed i galopującego u jej boku Berga. Ponownie spiąłem konia ostrogami, zmuszając go do pełnego cwału, żeby wyprzedzić Aethelflaed, a kiedy dotarłem do wrzosowiska rozciągającego się na pagórkach za lasem, poprowadziłem ludzi prosto na zachód, na łąkę rozdzielającą dwa pasy drzew. Mieliśmy nad goniącymi nas oddziałami przewagę sześćdziesięciu–siedemdziesięciu kroków. Norwegowie pohukiwali i wznosili okrzyki, popędzając wierzchowce do szybszego biegu. Obejrzałem się i zobaczyłem połysk stali, promienie słoneczne odbijające się od mieczy i ostrzy włóczni. Z lasu na południu nadjechał Sihtric. To była doskonała zasadzka.

Zrobiliśmy gwałtowny nawrót, darń i stratowane paprocie leciały spod kopyt naszych ogierów. Nieprzyjaciele zorientowali się, że zostali zwabieni w pułapkę, a jednocześnie iż jest już za późno na odwrót. Ludzie Sihtrica uderzyli z całą mocą. Padały ciosy mieczy i włóczni. Zawróciłem ostro wierzchowca, Oddech Węża ożył w mojej dłoni. Czarny koń wywrócił się, bijąc kopytami. Mój służący Godric, który został z oddziałem Sihtrica, nachylił się i wbił włócznię w tors leżącego wojownika. Jakiś Norweg go



dostrzegł i ruszył w jego stronę z mieczem przygotowanym do zadania mu ciosu w kręgosłup, Finan jednak okazał się szybszy. Broń Irlandczyka wydała świst przy zadawaniu bezlitosnego ciosu i napastnik upadł na ziemię.

– Chcę ich konie! – krzyknąłem. – Bierzcie ich konie!

Tyłom podążających za nami wrogów udało się zawrócić i próbowały uciec, ale moi ludzie je doścignęli i miecze ponownie poszły w ruch. Szukałem wzrokiem Aethelflaed, ale nie mogłem jej dostrzec. Mężczyzna z raną głowy prowadził swojego wierzchowca na północ, a ja zrzuciłem go z siodła i pozwoliłem Tintregowi stratować leżącego na ziemi wroga. Ściągnąłem wodze i zawróciłem ogiera, po czym uderzyłem go płazem miecza po zadzie i pogałem do lasu na południu. Zobaczyłem błysk stali pośród gęstych zarośli i skierowałem konia głębiej między drzewa.

Berg walczył pieszo z dwoma wojownikami, którzy też zsiadli z wierzchowców. Drzewa i krzewy rosły zbyt gęsto, a ich gałęzie były zbyt nisko, aby mogli walczyć konno. Ci dwaj mężczyźni zauważyli, że Aethelflaed jedzie do lasu, i ruszyli w pogoń. Była tuż za Bergiem, nadal na grzbiecie Gast.

– Uciekaj! – zawołałem.

Zignorowała mnie. Berg odparował cios miecza, ale drugi przeciwnik dosięgnął ostrzem jego uda i połała się krew. W mgnieniu oka znalazłem się przy nich, zamachnąłem Oddechem Węża i mężczyzna, który zranił Berga, chwiejnym krokiem zaczął się oddalać z pękniętym hełmem. Poszedłem za nim, odgarniając niskie gałęzie, i ponownie rąbnąłem go mieczem, tym razem w kark. Brutalnie przejechałem mu ostrzem po plecach, przecinając skórę i mięśnie, a mężczyzna potknął się o pień grabu. Zeskoczyłem z siodła. Byłem wściekły nie z powodu wroga, lecz Aethelflaed, i ta złość spowodowała, że zadałem rannemu cios tak mocny, że nie był w stanie mu

się oprzeć. Był to starszy człowiek, bez wątpienia doświadczony wojownik. Mamrotał niezrozumiałe słowa i dopiero później zacząłem się domyślać, że prosił o litość. Miał gęstą brodę poprzetykaną pasmami siwizny, trzy bransolety na ramieniu i doskonałą kolczugę. Była to cenna zbroja, ale mnie oślepiła wściekłość, stałem się nieuważny, rozprułem mu brzuch jednym brutalnym cięciem zadany mieczem trzymany w obu dłoniach, które całkowicie zniszczyło kolczugę. Wrzasnąłem do niego, zadałem niezgrabny cios w osłoniętą hełmem głowę i w końcu zabiłem, przecinając mu gardło. Zmarł, trzymając miecz, i wiedziałem, że będzie czekać na mnie w Walhalli. Kolejny przeciwnik, który powita mnie w sali biesiadnej i należy ale, kiedy będziemy opowiadać nasze przygody.

Berg zabił swojego przeciwnika, ale sam krwawił z uda. Rana wydawała się głęboka.

– Połóż się – powiedziałem do niego, po czym warknąłem na Aethelflaed: – Mówiłem, że nie powinnaś tu przyjeżdżać.

– Bądź cicho – odparła lekceważąco, a potem zsiadła z wierzchowca, żeby opatrzyć ranę Berga.

Zdobyliśmy trzydzieści sześć koni. Nieprzyjaciel pozostawił wśród paproci szesnastu martwych i dwa razy tyle rannych. Zostawiliśmy żywych na miejscu po odebraniu im broni i kolczug. Ragnall mógł zaopiekować się nimi albo pozwolić im umrzeć, tak czy inaczej, osłabiliśmy jego siły.

– Czy on zostawił garnizon w Eads Byrig? – zapytała w drodze powrotnej Aethelflaed.

Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią. Nie można było wykluczyć, że Ragnall zostawił niewielką drużynę na szczycie wzgórza, ale im dłużej o tym myślałem, tym mniej prawdopodobne mi się to wydawało. Wokół grodu nie było obwarowań koniecznych do obrony garnizonu, a jego członkowie nie mieliby przed sobą żadnej perspektywy poza śmiercią z rąk

Mercjan. Ragnall został rozgromiony, wyparty, pokonany i każdego, kto by został w Eads Byrig, czekał taki sam los jak oddziały Haestena.

– Nie – odpowiedziałem.

– A zatem chcę tam pojechać – rzekła Aethelflaed.

Tym sposobem, kiedy słońce zaczęło się kryć za gęstniejącymi chmurami na zachodzie, poprowadziłem naszych konnych w górę grani do starożytnego grodziska.

Okazało się, że Ragnall zostawił tam ludzi. Dwudziestu siedmiu mężczyzn, którzy byli zbyt ciężko ranni, żeby dosiąść koni. Pozbawiono ich kolczug, broni i pozostawiono na pewną śmierć. Zostało z nimi kilka starszych kobiet i one zaczęły błagać nas na klęczkach.

– Co z nimi zrobimy? – zapytała Aethelflaed, przerażona smrodem unoszącym się z ran.

– Zabijemy drani – odparłem. – To będzie przejaw miłosierdzia.

– Dość już było zabijania – odrzekła.

Najwidoczniej zapomniała, jak żarliwie jeszcze tego samego popołudnia domagała się śmierci ludzi Ragnalla. Teraz chodziła między rannymi w coraz silniej padającym deszczu i wpatrywała się w ich pokryte tatuażami twarze oraz zrozpaczone oczy. Jakiś mężczyzna wyciągnął do niej dłoń, a ona ją uścisnęła. Następnie spojrzała na mnie.

– Przyprowadzimy tu wozy i przewieziemy ich do Ceasteru.

– A co z nimi zrobisz, kiedy wydobrzeją? – zapytałem, choć podejrzewałem, że większość umrze, zanim dotrze do miasta.

– Wtedy – odrzekła, puszczając rękę rannego – nawrócą się na chrześcijaństwo.

Zakląłem, słysząc jej słowa, a ona posłała mi półuśmiech, wzięła za ramię i poprowadziła przez zgliszcza budynków spalonych na wzgórzu.

Podeszliśmy do wału, gdzie jeszcze stała palisada, i Aethelflaed spojrzała na północ w gęstą od deszczu mgłę, w której kryła się Northumbria.

– Ruszymy na północ – powiedziała do mnie.

– Jutro?

– Kiedy mój brat będzie gotów. – Miała na myśli Edwarda, króla Wessexu. Chciała połączyć swoją armię z jego wojskami przed wyprawą przeciwko zamieszkującym północ poganom. Ścisnęła moje okryte kolczugą przedramię. – A ty nie pojedziesz do Irlandii – poleciła łagodnie.

– Moja córka... – zacząłem.

– Stiorra dokonała wyboru – przerwała mi stanowczym tonem. – Postanowiła porzucić Boga i poślubić poganina. To był jej wybór! I musi z nim żyć.

– A ty byś nie ruszyła na ratunek własnej córce? – zapytałem szorstko.

Nic nie odpowiedziała. Jej córka tak bardzo się od niej różniła. Aelfwynn była kapryśna i nierozważna. Dostyc ją lubiłem.

– Potrzebuję cię tutaj – oznajmiła, spoglądając na mnie. – I twoich ludzi. – Spojrzała mi w twarz. – Nie możesz teraz wyjechać, nie, kiedy jesteśmy tak blisko zwycięstwa.

– Już masz swoje zwycięstwo – odparłem posepnie. – Ragnall został pokonany.

– Został pokonany tutaj, ale czy opuści Mercję? – odrzekła.

Daleko na północy zamigotała błyskawica, a ja zacząłem się zastanawiać, co to za omen. W ślad za nią nie rozległ się grzmot. Wraz ze zbliżającym się zmierzchem chmury ciemniały i stawały się niemal czarne.

– Wyśle część swoich wojsk do Eoferwicu, bo nie może sobie pozwolić na utratę tego miasta – snułem przypuszczenia. – Ale nie całą swoją armię. Nie opuści Mercji.

– A zatem nie został pokonany.

Oczywiście miała rację.

– Większa część jego wojsk pozostanie tutaj i będzie szukała okazji do rabunku. Ragnall będzie szybko się przemieszczał, palił, brał ludzi w niewolę i plądrował. Musi wynagrodzić swoich ludzi. Potrzebuje niewolników i zwierząt domowych, więc tak, będzie prowadził najazdy w głąb Mercji. Jego jedyną szansą na utrzymanie resztek armii jest nagradzanie wojowników nadaniami ziemskimi, bydłem i jeńcami.

– I dlatego potrzebuję cię tutaj – odparła, nadal trzymając moje ramię.

Nic nie powiedziałem, ale ona wiedziała, że myślę o swojej córce.

– Mówisz, że jest uwięziona przez morze.

– Tak, przez zatokę.

– I chciałbyś ją tu sprowadzić? Gdybyś mógł?

– Oczywiście, że tak.

Uśmiechnęła się.

– Możesz posłać tam kuter, taki jakiego używamy do zaopatrzenia Brunanburha.

Mówiła o niewielkiej łodzi mogącej pomieścić na pokładzie najwyżej dziesięciu ludzi, ale porządnie zbudowanej i przeznaczonej do pływania po morzu. Należała do pewnego upartego Mercjanina, który osiadł na pustkowiu na zachód od Brunanburha. Powiedzieliśmy mu, że norwescy jeźdźcy regularnie przekraczają ujście Maerse, żeby rabować bydło, ale uparł się, że da sobie radę. I rzeczywiście dawał sobie radę przez cały tydzień – po tym okresie on i jego rodzina zostali zabici albo wzięci do niewoli. Z niewiadomego jednak powodu najeźdźcy pozostawili jego łódź przywiązaną do palika wbitego w mulisty brzeg rzeki, a my używaliśmy jej do transportowania żywności z Ceasteru do Brunanburha. Znacznie prościej było splawić beczki z ale morzem, niż targać je wozem po lądzie.

– Poślij ludzi w tej łodzi – powiedziała mi. – Dzięki temu Stiorra i jej córka będą miały szansę uciec.

Przytaknąłem, ale się nie odezwałem. Dziesięciu ludzi w łódce? Podczas gdy Ragnall miał na Loch Cuan statki z dziobami w kształcie smoczych łbów wypełnione wojownikami.

– Możemy poświęcić kilku zbrojnych – ciągnęła Aethelflaed. – Jeśli jednak mamy pojmać i zgładzić Ragnalla, musisz zostać. – Zamilkła. – Myślisz tak jak Ragnall, więc potrzebuję cię, żeby go pokonać. Potrzebuję cię.

Tak samo jak moja córka.

A ja potrzebowałem szypra, który zna Irlandię.

Wysłaliśmy zwiadowców, żeby podążali za wycofującymi się wojskami. Dokładnie jak przewidziałem, Ragnall podzielił swoje siły na dwie części. Mniejsza armia udała się na północ do Eoferwicu, pozostałych siedmiuset wojowników ruszyło na wschód. Nazajutrz, dzień po zasadzce, którą zastawiliśmy na jego tylne oddziały, zobaczyliśmy pierwsze słupy dymu snujące się po odległym horyzoncie, świadczące o tym, że Ragnall pali gospodarstwa i stodoły w północnej Mercji.

– Trzeba go nękać – stwierdziła Aethelflaed, kiedy zobaczyła dym w oddali.

– Wiem, co należy robić – odparłem gniewnie.

– Dam ci dwustu dodatkowych ludzi. Chcę, żebyś go ścigał, ponaglał, uczynił z jego życia piekło.

– Będzie miał piekło – obiecałem. – Ale potrzebuję jednego dnia na przygotowania.

– Jednego dnia?

– Jutro przed świtem będę gotów do opuszczenia Ceasteru, ale potrzebuję czasu na przygotowania. Konie są zmęczone, broń stępieła, musimy wziąć ze sobą żywność i wyposażyc Blesian.

To wszystko była prawda. Blesian, czyli Błogosławieństwo, to był kuter, który Norwegowie zostawili u wybrzeży Maerse. Może uznali, że łódź jest przeklęta z powodu ogromnego drewnianego krzyża przymocowanego do dziobu.

– Wysyłam Uhtreda do Irlandii – poinformowałam Aethelflaed.

– Jest już w stanie podróżować?

– Nie jego! Mojego młodszego syna. – Postarałem się, żeby wyczuła urazę w moim głosie. – Trzeba wyposażyc łódź w żywność i inne zapasy.

Aethelflaed zmarszczyła brwi.

– To nie jest długa podróż, prawda?

– Przy dobrym wietrze zajmie dzień. Dwa dni, jeśli wiatr będzie słaby, ale nie można wypłynąć na morze bez zapasów. Jeśli dopadnie ich sztorm, mogą spędzić na morzu nawet tydzień – odparłem.

Dotknęła mojego ramienia.

– Przykro mi z powodu Stiorry – zaczęła.

– Mnie też.

– Ale pokonanie Ragnalla jest naszym najważniejszym obowiązkiem – powiedziała stanowczym tonem. – Kiedy poniesie ostateczną klęskę, będziesz mógł jechać do Irlandii.

– Nie martw się – odparłem. – Będę gotów przed jutrzejszym świtem.

I byłem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przed świtem wyjechaliśmy z miasta w sile stu dwudziestu dwóch wojowników, odgłos końskich kopyt głośno rozbrzmiewał, gdy przejeżdżaliśmy przez kamienną bramę oświetloną dymiącymi pochodniami. Podążali za nami służący z końmi jucznymi, na które załadowaliśmy tarcze, włócznie i sakwy z sucharami, wędzonymi rybami i połaciami boczku. Wyruszyliśmy na wojnę.

Hełm wiozłem na łąku siodła, miałem przypasany Oddech Węża, po mojej prawej stronie jechał Finan, a po lewej Sihtric. Przedemną chorągwy niósł opatrzony wilczym łbem proporzec Bebbanburga. Podążaliśmy rzymską drogą, która prowadziła nas na północ przez cmentarzysko, gdzie duchy obserwowały nas z ocienionych nagrobków i ciemnoszarych kopców. Tuż przed brzegiem Maerse trakt ostro skręcał na wschód i tam się zatrzymałem, aby spojrzeć w tył. Ceaster jawił się jako ciemny kształt, jego mury otaczała słaba łuna miejskich pochodni. Noc była bezksiężycowa, gwiazdy ukryły się za chmurami i doszedłem do wniosku, że nikt nie jest w stanie dojrzeć nas z warowni.

Ludzie Ragnalla stacjonowali gdzieś daleko na wschodzie. Wraz ze świtem ujrzeliśmy smugi dymu zdradzające, gdzie doszło do palenia i plądrowania domostw. Poprzedniego dnia pożary stopniowo przesunęły się na południe, świadcząc o tym, że jego wojska opuszczały rejon północnych burhów i przenosiły się na mniej strzeżone ziemie.



Wojna toczyła się na wschód od Ceasteru. My tymczasem zawróciliśmy na zachód.

Ruszyliśmy w stronę Brunanburha, wzdłuż południowego brzegu rzeki, po biegnącej groblą ścieżce. Ciemności zmusiły nas do powolnego marszu, ale wraz ze świtem przyspieszyliśmy. Nastąpiła pora odpływu i od strony rzeki dochodziło bulgotanie wody spływającej z mulistych brzegów. Ptaki morskie krzykiem witały dzień. Lis przebiegł ścieżkę, trzymając w pysku mewę ze złamanym skrzydłem. W jego pojawieniu się widziałem dobrą wróżbę. Rzeka migotała jak stare srebro, najłżejszy wietrzyk marszczył jej wody. Miałem nadzieję na silniejszy wiatr, na wichurę, ale powietrze niemal się nie poruszało.

A potem dotarliśmy do Brunanburha. Warownia była ciemnym kształtem, górną krawędź jej murów otaczała czerwona lina, świadcząca o pożarach pustoszących okolicę. Droga skręcała w lewo i biegła do głównej bramy, ale my odbiliśmy w prawo, w stronę rzeki, gdzie na tle srebrzystej wody widniały ciemne kształty. To były dwie łodzie, które Aethelstan i jego towarzysze stracili na cumowisku znajdującym się na północ od Eads Byrig. Większa nazywała się Saebroga, czyli Postrach Mórz, i teraz należała do mnie.

Wybrałem jej imię, bo nie wiedziałem, jak nazwali ją Norwegowie. Niektóre łodzie mają nazwę wyrytą na dziobie, ale Postrach Mórz nie został oznaczony w ten sposób. Nazwy nie wyskrobano też na maszcie. Każdy marynarz powiedziałby, że zmiana nazwy łodzi przynosi pecha, ja jednak robiłem to dość często, choć zawsze dbałem o to, żeby dziewica nasikała do zęzy. To zdejmuje urok, dlatego kazałem jakiejś małej dziewczynce nasiusić na kamienie balastu Postrachu Mórz. Nowo ochrzczone jednostka była większą z dwóch i była piękna: przestronna, o łagodnych liniach i wysokim dziobie. Olbrzymi, wycięty z jednego masywnego kawałka dębu

topór ozdabiał tylny dziób, gdzie poganie zwykle umieszczają łeb smoka, wilka albo orła. Zastanawiałem się, czy ten topór nie wskazuje, że statek należał do Ragnalla. Jego żeleźce niegdyś było pomalowane na intensywną czerwień, teraz jednak farba mocno wypłowiła. Łódź przeznaczona była dla sześćdziesięciu wiosłarzy, miała żagle z doskonałego płótna i kompletny zestaw wiosel.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział Dudda. – Ależ jest piękna. – Aż się zachłysnął z zachwytu.

– To prawda – zgodziłem się.

– Dobra łódź – powiedział, kreśląc w powietrzu kontur dłońmi – jest jak kobieta. – Wymówił te słowa z ogromnym namaszczeniem, jakby nikt przed nim nie wpadł na tę myśl, po czym zeskoczył z siodła z wdziękiem tępego wołu. Chrząknął, dotykając ziemi, i pogramolił się przez błoto na brzeg rzeki, żeby się wysikać. – Dobra łódź jest jak kobieta – powtórzył. Odwrócił się, dalej lejąc na potęgę. – Widziałeś kiedy tę Mus, panie? Małą Mus? Tę, która ma znamię w kształcie jabłka na czole? Istna z niej ślicznota. Mógłbym schrupać to jej jabłuszko aż do samego ogryzka. – Dudda był szyprem, który pływał po Morzu Irlandzkim od najwcześniejszej młodości. Wydaje się, że również wypił tyle ale i miodu, ile jest wody w tym morzu, przez co zrobił się otyły, czerwony na twarzy i słabo trzymał się na nogach. Tego rana jednak był trzeźwy, choć stan ten był czymś dla niego nadzwyczajnym, i próbował zaimponować mi swoją wiedzą. – Musimy przyciągnąć ją bliżej – powiedział, machając ręką w stronę Postrachu Mórz. – Podholować za cumę. Podholować, panie.

Łódź była przywiązana do jednego z niewielu palów, które przetrwały atak Ragnalla. Zaczęliśmy budować nową przystań, ale nie sięgała jeszcze głębokiej wody.

– Dlaczego do niej nie popłyniesz? – zapytałem.

– Chryste na drewnianym krzyżyku, panie! – odparł w popłochu. – Nie umiem pływać. Jestem marynarzem, panie! Niech ryby pływają, a nie ja! – Nagle usiadł na brzegu drogi, zmęczony po przejściu pięciu kroków.

Szukaliśmy w karczmach w Ceasterze człowieka znającego irlandzkie wybrzeże, a Dudda – ku naszemu początkowemu niezadowoleniu – był jedynym, jakiego znaleźliśmy.

– Loch Cuan? – zapytał urażonym tonem, kiedy go zagadnąłem. – Potrafiłbym go znaleźć z zawiązanymi oczami w ciemną noc, pływałem tam setki razy, panie.

– Ale czy znajdziesz ją po pijaku? – zapytałem z wściekłością.

– Dotychczas zawsze mi się udawało – odparł, szczerząc się do mnie.

Dwaj moi młodszy wojownicy zdjęli kolczugi i buty, żeby przyholować przywiązany do palika Postrach Mórz, który odpływ szarpał w stronę morza. Jeden z nich kiwnął głową w kierunku fortecy.

– Konni, panie.

Odwróciłem się i zobaczyłem Osfertha z czterema towarzyszami. Teraz dowodził garnizonem w Brunanburhu, bo umieściła go tam Aethelflaed, jego przyrodnia siostra. Należał do moich najdawniejszych przyjaciół, był człowiekiem, z którym stawałem w murze tarcz. Uśmiechnął się na mój widok.

– Nie spodziewałem się ciebie, panie!

Ostatni raz widziałem go kilka dni wcześniej, kiedy zajechałem do Brunanburha, żeby obejrzeć swoje przyzy. Wskazałem głową na Postrach Mórz.

– Pani Aethelflaed chce, żeby ta łódź została przeniesiona na Dee. Uważa, że tam będzie bezpieczniejsza... – powiedziałem.

– Tu nic jej nie grozi! – odparł pewnym tonem. – Nie widzieliśmy pogańskich okrętów od tygodnia. Ale jeśli pani Aethelflaed tego sobie

życzy... – Nie dokończył myśli, spojrzawszy na wschód, gdzie świt zabarwił niebo bladą różową poświatą. – To będzie dobry dzień na podróż, panie!

– Chcesz popłynąć z nami? – zapytałem, modląc się, żeby odmówił.

Uśmiechnął się – myśl o jednodniowym odpoczynku od codziennych obowiązków wyraźnie mu się spodobała.

– Musimy skończyć przystań.

– Posunęliście się do przodu! – odparłem, patrząc w miejsce, gdzie porządnie zbudowany nowy pomost przebiegał przez błotniste podwodzie.

– To prawda – zgodził się ze mną. – Chociaż najtrudniejsza część pracy jeszcze przed nami, ale z Bożą pomocą? – Przeżegnał się. Odziedziczył po ojcu pobożność, ale też jego poczucie obowiązku. – Zostawisz mniejszą łódź? – zapytał z niepokojem.

Myślałem o tym, żeby wziąć obie, ale ostatecznie zdecydowałem, że Postrach Mórz będzie żeglować samotnie.

– Pani Aethelflaed nic nie mówiła o mniejszej łodzi – odrzekłem.

– To dobrze! Bo zamierzałem użyć jej do wbijania palów w głębszą wodę – wyjaśnił. Popatrzył na moich ludzi przywiązujących długą konopną linę do dziobu Postrachu Mórz.

Jeden wyciągnął koniec liny na brzeg, podczas gdy drugi odcumowywał łódź. Następnie kilkunastu mężczyzn, skandując z entuzjazmem, wyciągnęło łódź na plażę.

– Załadujcie ją! – krzyknął Finan, kiedy jej wysoki dziób zaczął sunąć po błocie.

Przekazałem Osferthowi nowiny, kiedy moi ludzie ładowali na pokład sakwy z żywnością. Opowiedziałem mu o ucieczce Ragnalla na wschód i plądrowaniu przez niego ziem leżących w głębi Mercji.

– Nie wróci tu, przynajmniej przez jakiś czas, może więc pani Aethelflaed będzie chciała, żeby część twoich ludzi wróciła do Ceasteru – rzekłem.

Osferth przytaknął. Obserwował załadunek Postrachu Mórz i wydawał się zdumiony.

– Zabieracie dużo zapasów jak na tak krótką podróż – zauważył.

– Nie należy wyruszać na statku bez zabezpieczenia – odparłem. – Rano może nie być nawet jednej falki, ale to nie znaczy, że po południu nie rozpęta się sztorm.

– Modłę się, żeby to się nie wydarzyło – odparł bogobojnie, patrząc na ostatnią sakwę ładowaną na pokład.

Rzuciłem Godricowi kiesę z ułamkami srebra.

– Odprowadzisz konie do Ceasteru – rozkazałem mu.

– Tak, panie. – Po chwili wahania zapytał: – Mogę popłynąć z wami, panie? Proszę.

– Zajmiesz się końmi – odparłem szorstko.

Nie zamierzałem brać ze sobą nikogo poza swoimi wojownikami z muru tarcz. Żadnego służącego, tylko mężczyzn mogących chwycić za wiosła albo dzierżyć miecz. Podejrzywałem, że będę potrzebował całej przestrzeni na Postrachu Mórz, jeśli zajdzie potrzeba wywiezienia ludzi Sigtryggra z warowni, a bez względu na to, jak bardzo ją załadujemy, nie będziemy mieli wystarczająco dużo miejsca dla wszystkich. Dlatego może warto było zabrać też mniejszą łódź, bałem się jednak dzielenia swoich niewielkich sił. Mieliśmy tylko jednego szypra, tylko jednego człowieka, który twierdził, że wie, jak dotrzeć do Loch Cuan, a gdyby mniejszy statek utracił w nocy kontakt z Postrachem Mórz, mógłbym już nigdy więcej nie zobaczyć swojej załogi.

– Widzimy się dziś wieczór.

Okłamałem Godrica ze względu na Osfertha, a następnie poszedłem w bród do łodzi i czekałem, aż potężny Gerbruht wciągnie Duddę na pokład. Szyper chrząkał i sapał, po czym opadł na ławkę wiosłarzy niczym wykończona foka. Gerbruht uśmiechnął się szeroko, wyciągnął mięsiste dłonie i pomógł mi wejść do łodzi. Godric także zbliżył się do Postrach Mórz i wręczył mi hełm, miecz oraz tarczę. Finan stał już przy wiosle sterowym.

– Popchnijcie nas – powiedziałem swoim ludziom i kilku z nich użyło długich wiosel, żeby zepchnąć Postrach Mórz z opadającego brzegu na głębszą wodę.

Krzyknąłem na pożegnanie do Osfertha. Na wschodzie ujrzałem trzech jeźdźców spieszących z Ceasteru. Za późno – pomyślałem. – Za późno. Wyszczерzyłem zęby, obserwując, jak moja załoga zajmuje miejsca na ławkach i wsadza wiosła w dulki. Chwilę później odwróciliśmy wysoki, dumny topór w stronę odległego morza. Przejąłem wiosło sterowe, a Finan tupnął w pokład.

– Na mój rozkaz! – zawołał. – Teraz!

Pióra wiosel przeszły fale i długi kadłub ruszył naprzód, a dzikie ptaki rozsypały się po niebie niczym drzazgi na wietrzyku. Czułem wiosło sterowe, ruchy kierowanej przeze mnie łodzi i serce wznoszące się ku pieśni o łodzi na morzu. Odpływ szybko cofał wody, wypełniając rzekę nowym połyskującym światłem, Finan wykrzykiwał rytm, tupiąc o pokład, a sześćdziesięciu wiosłarzy silniej pociągnęło za wiosła. Poczułem, jak łódź ożywa, porusza się w rytm uderzeń wiosel, trzonek steru stawiał mi teraz opór, słyszałem wodę obmywającą kadłub i widziałem ciągnący się za nami kilwater. Trzej posłańcy, jak przypuszczałem jadący z Ceasteru, dotarli do Osfertha, po czym pogalopowali wzdłuż brzegu, machając do nas i krzycząc, żebyśmy wracali. Postrach Mórz płynął jednak ku środkowi

rzeki, szybko oddalając się od ładu – a ja im tylko pomachałem. Krzyczeli z całych sił, a ja ponownie do nich machnąłem.

Co Aethelflaed sobie myślała? Co miałem zrobić w imieniu tego jej tak zwanego miłosiernego boga? Naprawdę uważała, że porzucę córkę z powodu Ragnalla? Że pozwolę, aby zabił moją wnuczkę i umieścił swoje nasienie w Stiorze? Pozwolił wykastrować mojego syna, a teraz miał zgwałcić córkę? Przysiągłem, że będę słuchał jego wrzasków, patrzył, jak spływa krwią, obdzierał ze skóry pas po pasie, a dopiero potem zajmę się problemami Aethelflaed. Chodziło o rodzinę. Chodziło o zemstę.

Postrach Mórz zwrócił dziób ku otwartemu morzu, kiedy wypłynęliśmy z rzeki. Po mojej lewej stronie znajdowały się szerokie, zdradzieckie, błotniste brzegi wokół równiny Wirhealum, ziemi między dwiema rzekami. W czasie sztormów i przypływu te niziny opanowywały chłoszczące bałwany i burzona przez wiatr piana. Było to miejsce, gdzie umierały statki, ich zbyt liczne ponure i poczerńiałe szkielety rozsiane były po równinie, którą między poszarpanymi cieniami obmywały wody przypływu. Wiatr się wzmaczał, ale wiał z zachodu, co nie było po naszej myśli, jednak jakąś milę od brzegu stał na dryfie kuter Błogosławieństwo.

Mój młodszy syn, ten, któremu zmieniłem imię na Uhtred, czekał na nas w mniejszej łodzi. Z sześcioma towarzyszami spędzili tam całą noc. Na pokładzie mieli beczki z ale, których nie mogliśmy przetransportować z Ceasteru na koniach. Zbliżyliśmy do siebie statki burtami, związaliśmy je, uzbroiliśmy linę z noku rei i wciągnęliśmy na pokład Postrachu Mórz beczki z ale, dodatkowe zapasy żywności i ciężkie pęki włóczni. Dudda, który obserwował załadunek beczek, zapewnił mnie, że podróż nie będzie trwała dłużej niż dzień, najwyżej półtora. Morze Irlandzkie jest znane z nagłych szkwałów. Wziąłem więc zapas ale na tydzień, na wypadek gdyby niepomyślne wiatry zagnały nas na otwarty ocean.

– Co zrobimy z Błogosławieństwem? – zapytał mój syn.

Wyglądał radośnie jak na człowieka, który spędził nerwową noc, próbując uchronić łódź przed bałwanami przetaczającymi się przez pobliską równinę błotną.

– Po prostu ją zostaw.

– Trochę szkoda, to dobra łódź – powiedział ze smutkiem.

Pomyślałem, żeby ją holować, ale natychmiast zrezygnowałem z tego pomysłu. Łódź była ciężka i ciągnięcie jej o połowę wydłużyłoby naszą podróż.

– Zostaw ją – powtórzyłem.

Rozwiązaliśmy liny, które utrzymywały ją przy naszej burcie, i pozwoliliśmy łodzi dryfować. Wiatr ostatecznie wyrzuci ją na równinę Wirhealum, gdzie fale zakończą jej żywot. Wiosłowaliśmy, prowadząc Postrach Mórz pod wiatr i fale do czasu, aż Dudda, uznawszy, że wystarczająco oddaliliśmy się od brzegu, skreślił na północny zachód.

– Dopłyniemy do wyspy Mann, jeśli będziesz trzymał się tego kursu – powiedział, po czym usiadł na pokładzie i oparł się o burtę. – Otworzysz jedną z tych beczek? – Spojrzał tęsknie na baryłki ale, które zostały przywiązane do podstawy masztu.

– Wkrótce – odparłem.

– Uważaj na tę wyspę – poradził, mając na myśli Mann. – Trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce do usidlenia łodzi.

– Mam płynąć na wschód czy na zachód?

– Na zachód. – Spojrzał na wschodzące słońce. – Po prostu nie zmieniaj kursu. Dopłyniemy tam. – Zamknął oczy.

Przedpołudniem wiatr zmienił kierunek i mogliśmy postawić wielki maszt Postrachu Mórz. Wtedy przekonałem się, że rzeczywiście zdobyliśmy łódź Ragnalla, bo na płótnie widniało ogromne czerwone



żeleźce topora. Żagiel został utkany z ciężkiego lnu. Była to kosztowna materia o ścisłym splocie i dwóch warstwach. Trzecią tworzył topór naszyty na dodatkowo wzmocnione przecinającymi się konopnymi linami płótno. Wciągnęliśmy wiosła na pokład, kiedy szoty zostały wybrane, i łódź przechyliła się, gnana orzeźwiającym wiatrem, który strząsał pianę z grzyw fal.

– To piękna łódź – powiedziałem do Finana, gdy poczułem na wiosle sterowym opór morza.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dla ciebie tak. Ty kochasz łodzie, panie.

– Kocham tę.

– Ja jestem najszczęśliwszy, kiedy dotykam drzewa – odparł.

Tego rana dostrzeżliśmy dwie inne łodzie, ale obie umknęły na widok ogromnego czerwonego topora na naszym żaglu. Były to kutry rybackie albo statki z ładunkiem, które słusznie obawiały się wilka morskiego gnającego na północ z białą pianą fal na pysku. Dudda przestrzegał mnie przed piratami z wyspy Mann, ale tylko jakiś nierozsądny śmiałek chciałby stawić czoło Postrachowi Mórz obsadzonemu załogą złożoną z okrutnych wojowników. Większość z nich właśnie spała, bezwładnie leżąc między ławkami.

– A zatem twój zięć – odezwał się Finan.

– Mój zięć.

– Głupiec dał się złapać w potrzask, tak?

– Tak mi powiedziano.

– Z niemal pięciuset ludźmi?

Przytaknąłem.

– Tak właśnie sobie myślę... – powiedział. – Jesteśmy w stanie załadować jeszcze czterdzieści osób na tę balię, ale pięćset?

Postrach Mórz zanurzył dziób i mgiełka wodna spowiła jego kadłub. Wiatr się wzmaczał, ale nie wyczuwałem w nim złośliwości. Pochyliłem się nad wiosłem, żeby zwrócić łódź lekko na zachód, gdyż wiedziałem, że będziemy znoszeni na wschód. Daleko przed nami ukazały się kłęby chmur, a Dudda stwierdził, że gromadzą się nad wyspą Mann.

– Po prostu nie zbaczaj z kursu – przykazał. – Nie zbaczaj z kursu.

– Pięćset osób – przypomniał mi Finan.

Wyszczrzyłem się do niego.

– Słyszałeś kiedyś o człowieku zwanym Orvar Freyrson?

– Nigdy. – Pokręcił głową.

– Ragnall zostawił go w Irlandii z czterema łodziami – powiedziałem. – Już kiedyś zaatakował Sigtryggra i miał z nim straszny kłopot. Teraz więc, jak przypuszczam, zadowoli się odcięciem go od dostaw. Nie pozwala się zbliżyć obcym statkom do miasta w nadziei, że zdobędzie je głodem.

– To ma ręce i nogi – przyznał Finan.

– Dlaczego jednak Orvar Freyrson potrzebuje aż czterech statków? – zapytałem. – To już jest zachłanność. Musi nauczyć się dzielić z innymi, nie?

Irlandczyk się uśmiechnął. Obejrzał się, ale ziemia już zniknęła. Byliśmy na otwartym morzu, dał rześki wiatr, a my cięliśmy zielone fale, zostawiając za sobą białą pianę. Byliśmy wypuszczonym na wolność wilkiem morskim.

– Pani nie będzie zadowolona – zauważył.

– Aethelflaed? Będzie się wściekać jak dzika kotka – odparłem. – Ale to Eadith mi żal.

– Eadith?

– Aethelflaed jej nie znosi. Eadith nie spodoba się, że zostawiłem ją samą w Ceasterze.

– Biedna dziewczyna.

– Ale wrócimy.

– I myślisz, że one ci wybaczą?

– Eadith z pewnością.

– A pani Aethelflaed?

– Muszę tylko przywieźć jej jakiś podarek.

Wybuchnął śmiechem.

– Chryste, ale to musi być nie byle jaki prezent! Nie potrzebuje przecież więcej złota ani klejnotów. Co więc zamierzasz jej dać?

Uśmiechnąłem się.

– Myślałem o podarowaniu jej Eoferwicu.

– Najświętsza Panienko! – zawołał nagle ożywiony Finan. Usiadł prosto i przez chwilę się we mnie wpatrywał. – Ty mówisz poważnie! A jak, na Boga, masz zamiar tego dokonać?

– Nie wiem – przyznałem i się roześmiałem.

Bo byłem na morzu i czułem się szczęśliwy.

Po południu pogoda się załamała. Wiatr zmienił kierunek, zmuszając nas do obniżenia wielkiego masztu i przywiązania go do rei. Za pomocą wiosł wpłynęliśmy w spienione, wzburzone morze, walcząc z wiatrem i prądami, a nad nami przetaczały się z zachodu czarne chmury. Deszcz padał na wioślarzy i kapał z takielunku. Postrach Mórz był pięknym statkiem, eleganckim i wytwornym, ale kiedy wiatr się wzmógł, a morze

ogarnęła kipiela, okazało się, że ma brzydki zwyczaj zanurzania dziobu i nabierania wody.

– To przez topór – stwierdził Finan.

– Topór?

– Na dziobie! Jest za ciężki.

Stał obok mnie otulony w pelerynę. Wpatrywał się w dziób.

– Bez dwóch zdań to potężny kawał drewna.

– Będzie trzeba przesunąć trochę kamieni balastowych na rufę – powiedziałem.

– Ale chyba nie teraz! – Myśl o przemoczonych ludziach walczących z ciężkimi kamieniami, podczas gdy Postrach Mórza dawał nura we wzburzone morze, wydawał się go niepokoić.

Uśmiechnąłem się.

– Nie teraz.

Dotarliśmy do wyspy Mann, a kiedy zapadła noc, starałem się, żeby wyspa była po naszej lewej stronie. Po zmroku wiatr się uspokoił. Kazałem rzucić kotwicę u wybrzeży, bo nie chciałem kontynuować podróży w ciemnościach. Mrok nie był jednak całkowity. Na odległych wzgórzach jaśniały ogniska, blade punkty światła, które dawały nam poczucie bezpieczeństwa, gdyż pozwalały określić położenie łodzi. Oddałem synowi wiosło sterowe i spałem do świtu.

– Teraz płynimy na zachód – oświadczył o brzasku Dudda. – Dokładnie na zachód, a dotrzemy do Loch Cuan.

– I Bóg jeden wie, co tam zastaniemy – rzucił Finan.

Czy Sigtryggr nie żyje? Czy moja córka została porwana? Czy stara warownia jest skąpana we krwi? Czasem demony nas nękają, próbują nas przekonać, że nasz los jest przesądzony, o ile ich nie posłuchamy. Jestem

pevien, że wewnątrz ziemi roi się od demonów, niewidzialnych demonów. Sług Lokiego, unoszących się na wietrze i robiących ludziom figle. Pamiętam jak wiele lat temu drogi ojciec Beocca, mój wychowawca z czasów dzieciństwa i stary przyjaciel, powiedział mi, że szatan wysyła demony, by kusily chrześcijan.

– Starają się powstrzymać nas od realizacji planu bożego – powiedział mi solennym tonem. – Wiesz, że Bóg ma plan wobec każdego z nas, nawet wobec ciebie?

Pokręciłem głową. Już jako ośmiolatek wiedziałem, że moim przeznaczeniem jest opanowanie rycerskiego rzemiosła, a nie ćwiczenie się w nudnych umiejętnościach czytania i pisania.

– Zobaczmy, czy będziesz umiał sam odkryć, jaki Bóg ma wobec ciebie plan! – powiedział z entuzjazmem Beocca. Siedzieliśmy na występie skały w Bebbanburgu, wpatrując się w kipiela morską pieniącą się wokół wysp Farne. Mój nauczyciel kazał mi czytać na głos z książeczki opowiadającej o tym, jak Święty Kutbert żył na jednej z tych samotnych skał i głosił kazania do maskonurów i fok. Beocca zaczął podskakiwać na chudym tyłku, jak zawsze kiedy był rozentuzjasmowany. – Chcę, żebyś przemyślał to, co powiedziałem! Może sam odpowiesz sobie na to pytanie. Bóg – powiedział uroczystym tonem – uczynił nas na swoje podobieństwo. Przemyśl to!

Pamiętam, że pomyślałem, że jest to bardzo dziwny bóg, bo Beocca miał zdeformowaną stopę, spłaszczony nos, bezwładne ramię, był zezowaty i intensywnie rudy.

– A zatem bóg jest kaleką? – zapytałem.

– Oczywiście, że nie – odparł, dając mi klapsa zdrową prawą ręką. – Bóg jest doskonały! – Dał mi kolejnego, mocniejszego klapsa. – Jest doskonały.

Pamiętam, że pomyślałem, iż bóg musi w takim razie przypominać Eadburgę, jedną z kucharek, która zabrała mnie w warowni za kaplicę i pokazała piersi.

– Myśl – nalegał ojciec Beocca, ale ja byłem w stanie myśleć tylko o piersiach Eadburgi, pokręciłem więc głową.

– Uczynił nas na swoje podobieństwo, bo celem naszego życia jest stanie się takimi jak On – wyjaśnił.

– Jak on?

– Doskonałymi. Musimy nauczyć się być dobrzy. Być dobrymi mężczyznami i kobietami.

– I zabijać dzieci? – zapytałem poważnie.

– Zabijać dzieci? – Zerknął na mnie.

– Opowiedziałeś mi tę historię – przypomniałem z entuzjazmem. – Jak dwa niedźwiedzie zabiły wszystkich chłopców! To bóg kazał im to zrobić. Opowiedz mi o tym jeszcze raz!

Biedny Beocca wyglądał na załamanego.

– Nie powinienem ci czytać tej przypowieści – odparł ze smutkiem.

– Ale to prawda?

Przytaknął niechętnie.

– Tak, to prawda. Ta przypowieść jest w naszym Piśmie.

– Ci chłopcy byli niegrzeczni dla proroka, prawda?

– Tak, dla Elizeusza.

– Nazywali go „łyskiem”, prawda?

– Tak mówi Pismo.

– Więc Bóg wysłał dwa niedźwiedzie, żeby wszystkich ich zabiły! Za karę?

– Tak, dwie niedźwiedzice.

– Zabiły czterdziestu chłopców, prawda?  
– Zginęło czterdzieścioro dwoje dzieci – powiedział ze smutkiem.  
– Niedźwiedzie je rozszarpały! Lubię tę historię!  
– Jestem pewny, że Bóg chciał, by zginęły szybką śmiercią – stwierdził bez przekonania.

– Czy Pismo o tym mówi?

– Nie – przyznał. – Ale Bóg jest miłosierny!

– Miłosierny? Zabił czterdzieścioro dwoje dzieci...

Znów mnie trzepnął.

– Czas poczytać o Świętym Kutbercie i jego misji wśród fok. Zaczniij od góry.

Uśmiechnąłem się na to wspomnienie, tymczasem Postrach Mórz wbił dziób w zielone fale i wzniecił zimną mgiełkę, która osiadła na pokładzie. Lubiłem Beocę, był dobrym człowiekiem, ale tak łatwo dało się z nim drażnić. Po prawdzie historie ze świętej księgi chrześcijan udowodniały, że ich bóg wcale tak bardzo nie różni się od moich. Chrześcijański bóg udawał, że jest dobry i doskonały, ale równie łatwo tracił cierpliwość i był równie skłonny do zabijania dzieci jak każdy z bogów Asgardu. Jeśli celem życia było stanie się nieprzewidywalnym i żądnym krwi tyranem, łatwo być podobnym do boga, ale ja podejrzewałem, że naszą powinnością jest coś innego: uczynienie świata lepszym. A to już było trudniejsze. Myślałem wówczas, i nadal tak uważam, że świat byłby lepszy, gdyby mężczyźni i kobiety czcili Thora, Freję i Eostre, a mimo to służyłem mieczem po stronie mordującego dzieci boga chrześcijan. Przynajmniej jednak nie miałem wątpliwości, co do celu tej podróży. Płynąłem, żeby się zemścić. Gdybym odkrył, że Sigtryggr został pokonany, a Stiorra znalazła się w niewoli, zawróciłibyśmy na wschód i podążali za Ragnallem do

najciemniejszego zakątka ziemi, gdzie wyprułbym mu flaki i zatańczył na jego grzbiecie.

Walczyliśmy z pogodą przez cały dzień, kierując ciężki dziób Postrachu Mórz pod zachodni wiatr. Zacząłem myśleć, że bogowie nie chcą, abym odbył tę podróż, ale późnym popołudniem wysłali kruka, i był to omen. Wycieńczony ptak wylądował na niewielkiej platformie na dziobie łodzi, gdzie od jakiegoś czasu siedziałem skulony w przygnębieniu. Popatrzyłem na kruka, wiedząc, że został posłany przez Odyna. Wszyscy moi ludzie, nawet chrześcijanie, rozumieli, że to znak, czekaliśmy więc, zanurzając wiosła we wzburzone morze, chłostani deszczem, oczekując, aż ptak wyjawí nam swoją wiadomość. Nadeszła ona o świcie, kiedy wiatr opadł, morze się uspokoiło, a przed nami ukazało się irlandzkie wybrzeże. Dla mnie wyglądało ono jak zielona plama, ale Dudda z dumą stwierdził:

– To właśnie tam, panie! – Wskazał na jakiś cień czy dwa na prawo od naszej łodzi. – Tam właśnie jest wejście do zatoki!

Czekałem. Kruk przeszedł dwa kroki w jedną stronę, dwa w drugą. Postrach Mórz runął dziobem w dół, kiedy większa fala przetoczyła się pod jego kadłubem, i wtedy ptak, odzyskawszy siły, uniósł się w powietrze i prosto jak strzała poleciał w stronę irlandzkiego wybrzeża. To dobrze nam wróżyło.

Pochyliłem się nad wiosłem sterowym, kierując Postrach Mórz na północ.

– Panie, to tam! – zaprotestował Dudda, kiedy łódź minęła wskazane przez niego miejsce, i nalegał: – Wejście jest tam, panie! Tam! Zaraz za przylądkiem. Przed zmrokiem dotrzemy do cieśniny, panie!

– O zmierzchu nie wprowadzę łodzi na wody wroga – burknąłem.

Orvar Freyrson miał cztery statki na Loch Cuan, cztery okręty obsadzone wojownikami Ragnalla. Nasze wpłynięcie na lagunę musiało go



zaskoczyć, nie mogliśmy pojawić się na jego wodach i natychmiast szukać bezpiecznego miejsca do rzucenia kotwicy albo przycumowania. Dudda ostrzegał mnie, że zatoka roi się od raf, wysepek i płycizn, więc nie należy wpływać tam o zmierzchu, zwłaszcza że znające akwen jednostki wroga mogą czaić się w pobliżu.

– Wpłyniemy tam o świcie – powiedziałem Duddzie.

Popatrzył na mnie z niepokojem.

– Lepiej poczekać na przesilenie pływów, panie. O świcie przyływ zasili zatokę.

– Czy nie tego właśnie spodziewa się Orvar Freyrson? – zapytałem. – Że będziemy czekać na przyływ?

– Tak, panie. – W jego głosie wyczułem niepokój.

Klepnąłem go po mięsistym ramieniu.

– Nigdy nie rób tego, czego spodziewa się nieprzyjaciel. Wpłyniemy do zatoki o zmierzchu. Na falach przyływu.

To była trudna noc. Znajdowaliśmy się blisko skalistego wybrzeża, chmury zasnuły niebo, a morze było wzburzone. Wiosłowaliśmy, stale zmierzając na północ. Martwiłem się, że któryś z ludzi Orvara rozpozna charakterystyczny dziób Postrachu Mórza, kiedy po raz pierwszy przybijaliśmy do brzegu. Było to jednak mało prawdopodobne. Skręciliśmy na północ, oddaliliśmy się od wybrzeża i używaliśmy wiosł, więc nikt z łądu nie mógł dostrzec czerwonego topora na żaglu. Gdyby jednak łódź została rozpoznana, Orvar z pewnością zastanawiałby się, dlaczego odpływamy, zamiast szukać przystani na noc.

Wiatr kęsał w ciemnościach, pchając nas ku irlandzkiemu wybrzeżu. Ale miałem dwunastu ludzi przy wiosłach, którzy utrzymywali łódź w miejscu. Nasłuchiwałem groźnych odgłosów toczących się bałwanów lub fal roztrzaskujących się o skały. Czasem wydawało mi się, że słyszę ten

dźwięk, i wtedy ogarniała mnie panika, to jednak były sztuczki typowe dla demona morza, Ran – bogini morskich toni, która bywa zazdrosną i okrutną suką, ale tej nocy miała dobry nastrój. Morze iskrzyło się i migotało od jej klejnotów, dziwnych światełek skrzących się i połyskujących w wodzie. Kiedy wiosło się zanurza, morze rozbija się na tysiące błyszczących kropelek, które następnie powoli tracą blask. Ran ukazuje swoje kosztowności tylko wówczas, gdy jest przyjaźnie nastawiona, ale i tak dręczyły mnie obawy. Okazały się jednak próżne, bo kiedy nastał szary świt i zaczęło dzień, przekonałem się, że nasza łódź nadal stoi w bezpiecznej odległości od brzegu.

– Słodki Jezu – powiedział Dudda, kiedy wreszcie mógł dostrzec wybrzeże – Najświętsza Panienko. Dzięki Bogu! – On też się denerwował, pił równo całą noc, a teraz zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w zielone pasmo lądu. – Płyn na południe, panie. Cały czas na południe.

– Jak długo?

– Jakaś godzinę.

Podróż zajęła nam więcej czasu, nie z powodu omyłki Duddy, lecz dlatego, że dałem moim ludziom czas na posilenie się i przywdzianie kolczug.

– Trzymajcie miecze pod ręką, ale niech nikt jeszcze nie wkłada hełmu – rozkazałem. – A na kolczugi włożcie płaszcze! Nie możemy wpłynąć na lagunę, wyglądając, jakbyśmy szykowali się do wojny. Musimy raczej sprawiać wrażenie zmęczonych podróżą i marzących tylko o dołączeniu do towarzyszy.

Zawołałem na rufę Vidarra, Norwega, który chciał odzyskać żonę.

– Co możesz mi powiedzieć o Orvarze Freyrsonie? – zapytałem.

Vidarr zmarszczył brwi.

– Jest jednym z szyprów Ragnalla, panie, i to dobrym.

– Dobrym w czym?

– W rzemiośle żeglarskim.

– A wojennym?

Vidarr wzruszył ramionami.

– Wszyscy jesteście wojownikami, panie, ale Orvar się postarzał, jest teraz ostrożniejszy.

– Czy on cię zna?

– O tak, panie. Płynąłem pod jego rozkazami do północnych wysp.

– A więc pozdrowisz go. Będziesz pozdrawiał każdego, kogo spotkamy, zrozumiałeś? Powiesz mu, że zostaliśmy wysłani do ataku na Sigtryggra. A jeśli mnie zdradzisz...

– Nie zdradzę, panie!

Zamilkłem, nie odrywając od niego wzroku.

– Pływałeś kiedyś po tej lagunie?

– Tak, panie.

– Opowiedz mi o niej.

Powiedział to samo co wcześniej Dudda. Loch Cuan jest rozległą zatoką usianą skałami i wysepkami, połączoną z morzem długim i bardzo wąskim kanałem, który z przypiływem pokonuje się zaskakująco szybko.

– Pośrodku kanału woda jest głęboka, ale brzegi są zdradzieckie.

– A to miejsce, w którym usidlono Sigtryggra?

– To niemal wyspa, panie. Połączenie ze stałym lądem jest tak wąskie, że mur z dziesięciu wojowników potrafi je zablokować.

– A zatem Orvar zaatakuje raczej od strony morza?

– Tam też nie jest łatwo, panie. Cypel otaczają skały, a kanał prowadzący do plaży jest wąski.

To tłumaczyło, dlaczego Orvar próbował głodem zmusić Sigtryggra do poddania warowni, oczywiście o ile już jej nie zdobył.

Podpłynęliśmy wystarczająco blisko lądu, żeby dojrzeć dym unoszący się nad ogniskami i fale rozbijające się o skały, a następnie cofające się w spienione morze pod postacią białej kipieli. Wschodni wiatr ożył nad ranem, dzięki czemu mogliśmy znów postawić maszt i Postrach Mórz szybko płynął przed siebie, nachylając platformę sterową ku żwawym falom.

– Kiedy tam dotrzemy – rzekłem do Duddy – chcę, żebyśmy pozęglowali lub powiosłowali prosto przez kanał. Nie chcę zatrzymywać się i szukać drogi między mieliznami.

– Bezpieczniej jest... – zaczął szyper.

– Mam gdzieś bezpieczeństwo – warknąłem. – Musimy wyglądać, jakbyśmy wiedzieli, co robimy, a nie sprawiać wrażenie wystraszonych. Czy Ragnall wygląda na wystraszonego?

– Nie, panie.

– Więc wpływamy tam bez zatrzymywania się.

– Możesz tam wprowadzić łódź, panie, ale na rany Chrystusa! Trzymaj się środka kanału. – Po chwili wahania dodał: – Cieśnina biegnie niemal prosto na północ, panie. Wiatr i przyptyw przeniosą nas przez nią, ale wzgórza zakłócają drogę wiatru. Nie powinniśmy dać się zatrzymać przez przeciwny wiatr.

Mówił o tym, że góry czasem całkowicie blokują przepływ powietrza albo niespodziewanie zmieniają jego kierunek, a to wiązało się z ryzykiem skierowania Postrachu Mórz na skały, które znajdowały się wzdłuż brzegów cieśniny, lub w złośliwy – jak się wyraził Dudda – lej wodny.

– Użyjemy więc zarówno wiosł, jak i żagli – odparłem.

– Tamtejszy prąd jest przerażająco silny, panie – ostrzegł Vidarr.

– W takim razie najlepiej szybko przepłynąć przez kanał. Wiesz, gdzie stacjonują ludzie Orvara, gdy schodzą na ląd? – zapytałem go.

– Tuż za kanałem, panie. Na zachodnim brzegu. Tam jest zatoka, w której można się schronić.

– Chcę możliwie najszybciej przepłynąć przez cieśninę – powiedziałem szyprowi.

– Przyptyw nam pomoże, woda wówczas dobrze przybiera, ale Vidarr ma rację. Prąd poniesie łódź niczym wiatr, panie. Jest chyży jak jeleń.

Wpłynęliśmy na niespokojną wodę na południe od cypla, który chronił wejścia do cieśniny. Podejrzywałem, że tuż pod kilem Postrachu Mórz kryją się skały, ale Dudda tym się nie martwił.

– W czasie odpływu to jest niebezpieczne miejsce, ale podczas przyptywu wody jest wystarczająco głęboko – stwierdził.

Gnaliśmy teraz przed wiatrem, z wydętym olbrzymim żaglem ozdobionym czerwonym toporem i dziobem prującym kipiel.

– Chcę przed powrotem umieścić kamienie balastowe na rufie.

– O ile przeżyjemy – powiedział cicho Dudda, po czym szybko się przeżegnał.

Skręciliśmy na północ, obracając maszt tak, żeby łódź szybko płynęła, poczułem, jak nabiera prędkości, kiedy porwał ją prąd. Widziałem, że Dudda się denerwuje. Zaciskał i otwierał dłonie, patrząc przed siebie. Wydawało się, że fale gnają na północ, podniosły rufę Postrachu Mórz i poniosły łódź do przodu. Woda smagała kadłub, fale roztrzaskiwały się o jej dziób, tworząc białą pianę, i nieustannie słyszeliśmy huk bałwanów bijących o skały.

– Loch Cuan – Finan musiał niemal krzyknąć – znaczy „spokojne jezioro”. – Irlandczyk się zaśmiał.

– My nazywamy tę zatokę Strangrfjörthr! – zawołał Vidarr.

Morze rzucało naszą łajbą, jakby chciało cisnąć ją o skały strzegące wejścia do kanału, spowite chmurą białej mgiełki. Wiosło sterowe sprawiało wrażenie zupełnie bezużytecznego.

– Do wiosła! – krzyknąłem. Musieliśmy nabrać prędkości. – Wiosłować mocniej! – Ryknąłem. – Wiosłujcie, jakbyście mieli demona w tyłkach! – Musieliśmy nabrać prędkości! My już pędziliśmy! Przypływ i wiatr niosły Postrach Mórz szybciej niż jakąkolwiek inną łódź, jaką pływałem, ale owa prędkość była przede wszystkim wynikiem działania prądu, a my musieliśmy być szybsi niż kipiel, jeśli długie wiosło sterowe miało kontrolować kadłub. – Wiosłować, podle łajdaki! – wrzasnąłem. – Wiosłować!

– Słodki Jezu – mruknął Finan.

Mój syn wzniósł okrzyk radości. Uśmiechał się szeroko, trzymając się burty. Bałwany się przetaczały, wałąc w burtę białymi grzywami i spowijając jęczących wiosłarzy wodną mgiełką. Pędziliśmy w stronę skalnego kotła wypełnionego morską kipiela.

– Kiedy miniemy wejście do zatoki, zobaczysz wyspę! – krzyknął Dudda. – Skieruj łódź na wschód!

– Czy tam woda jest spokojniejsza?

– Jest jeszcze gorzej!

Zaśmiałem się. Wiatr się wzmógł, włosy smagały mnie po twarzy. Chwilę później znaleźliśmy się między skałami strzegącymi wejścia do zatoki, w kamiennych szczękach i wzbijanej przez wichry pianie zobaczyłem wyspę, pociągnąłem za wiosło sterowe, ale pióro nie natrafiło na opór wody. Prąd był silniejszy, niż się spodziewałem, i znosił nas w kierunku znajdującej się przed nami skały.

– Wiosłować! – ryknąłem.

Pociągnąłem za ster i łódź powoli zaczęła reagować. Chwilę później znaleźliśmy się w miejscu, gdzie góry osłaniały nas od wiatru, i olbrzymi żagiel zaczął nieopanowanie łopotać, my jednak dalej posuwaliśmy się naprzód w głąb zatoki. Po obu stronach kadłuba pojawiły się wiry tam, gdzie woda tworzyła leje wokół ukrytych skał, a nad nami skrzeczały białe ptaki. Fale już nas nie gnały, ale prąd kierował łódź ku wąskiemu kanałowi.

– Wiosłować! – krzyknąłem na swoich wylewających siódme poty ludzi. – Wiosłować!

Zielone wzgórza po obu stronach wydawały się tak spokojne. Dzień zapowiadał się wspaniale. Po błękitnym niebie płynęło tylko kilka postrzępionych obłoków. Owce na łąkach patrzyły w naszą stronę.

– Cieszysz się z powrotu do domu? – zapytałem Finana.

– Jeśli w ogóle kiedykolwiek miałem dom – odparł posepnie.

Nigdy wcześniej nie widziałem równie skalistego i podstępного kanału, ale dzięki utrzymaniu kursu pośrodku cieśniny, gdzie prąd był najsilniejszy, pozostawaliśmy na głębokiej wodzie. Niejedna łódź zakończyła w tym miejscu swój żywot, ich czarne szkielety wystawały ponad kipieli. Dudda prowadził nas, wskazując wiry, które zmieniały powierzchnię morza w odmęt.

– Już po was, to jasne jak słońce – powiedział. – Widziałem, jak rozbijały się tu dobre łodzie, panie! Szły na dno jak kamień.

To miejsce znajdowało się po naszej prawej stronie, ale my bezpiecznie je minęliśmy i popłynęliśmy dalej.

– Port, panie! – zawołał Vidarr i wskazał na dwa maszty widoczne zza niskiego, skalistego cypla.

– Wiosłować! – krzyknąłem.

Byliśmy w najwęższym miejscu kanału, a prąd niósł nas ze zdumiewającą szybkością. Poryw wiatru wydał żagiel, minęliśmy

przyczółek i zobaczyłem szalasy na kamienistej plaży oraz kilkudziesięciu ludzi stojących na kamienistym brzegu. Machali do nas, a ja im odmachiałem.

– Orvar ma cztery łodzie, czy tak? – zapytałem Vidarra.

– Tak, panie.

Dwie więc mieliśmy przed sobą, gdzieś we wcinającej się głęboko w ład zatoce laguny, widocznej tuż za niską, wyspą porośniętą trawą.

– Nie podpływaj do tej wysepki, panie, otaczają ją skały – ostrzegł Dudda.

A potem niespodziewanie Postrach Mórz pomknął po spokojnej wodzie. Jeszcze przed chwilą znajdowała się w uścisku wściekłego morza, a teraz płynęła spokojnie niczym łabędź po jeziorze w słoneczny dzień. Beładnie łopoczący żagiel potulnie wypełniał się wiatrem, łódź spowolniła bieg, moi ludzie opadli ciężko na wiosła, podczas gdy statek łagodnie płynął wzdłuż wybrzeża po spokojnej, przejrzystej wodzie.

– Witamy na Loch Cuan – odezwał się z krzywym uśmiechem Finan.

Poczułem napięcie w ramionach. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że tak mocno ścisnąłem wiosło sterowe. Schyliłem się, wziąłem kubek ale od Duddy i opróżniłem go jednym haustem.

– Nadal nie jesteśmy bezpieczni, panie – powiedział z uśmiechem szyper.

– Nie?

– Skały podwodne, rafy. One mogą poszarpać twoją łódź na drzazgi. Najlepiej postawić człowieka na dziobie, panie. Zatoka wydaje się dość spokojna, ale mnóstwo tu podwodnych przeszkód.

A także wrogów. Ci, którzy nas zobaczyli, nie ruszyli za nami w pościg, bo pomyśleli, że zostaliśmy wysłani przez Ragnalla, i postanowili poczekać, aż wyjawimy im, w jakiej sprawie przybyliśmy. Wielki topór na



dziobie i żeleźce na maszcie uspiły ich czujność, miałem nadzieję, że te symbole w kolorze ciemnej krwi zmylą także pozostałe statki, które mieliśmy spotkać po drodze.

Żeglowaliśmy po rajach. Nieczęsto widywałem równie piękne i czarujące miejsca. Zatoka przypominała jezioro usiane wyspami, których plaże zamieszkiwały foki. Pod naszymi wiosłami widać było ryby, a ptaków było więcej, niż mogliby zliczyć bogowie. Wzgórza miały łagodne zbocza porośnięte soczystą trawą, a wzdłuż wybrzeży ludzie rozstawili pułapki na ryby. Nikomu tu nie groził głód. Wiosła powoli zanurzały się w wodzie i Postrach Mór sunął przez spokojną toń, niemal zupełnie się nie kołysząc. Nasz kilwater rozszerzał się łagodnie, a na rozchodzących się za nami falach bujały się kaczki, gęsi i mewy.

Spotkaliśmy kilka małych, prostych kutrów rybackich z załogami złożonymi najwyżej z trzech ludzi, które pospiesznie schodziły nam z drogi. Berg, który nie chciał zostać w Ceasterze mimo rany uda, stał wyprostowany na dziobie z rękami opartymi na wieńczącym go drewnianym toporze i obserwował wodę. Ja wpatrywałem się w dal, na wypadek gdyby któraś ze spotkanych wcześniej łodzi wyruszyła za nami w pogoń, ale oba maszty pozostały nieruchome. Na brzegu zaryczała krowa. Zbierająca małże opatulona szalem kobieta odprowadziła nas wzrokiem, gdy przepływaliśmy obok niej. Pomachałem do niej, ale mnie zignorowała.

– A zatem gdzie jest warownia Sigtryggra? – zapytałem Vidarra.

– Na zachodnim brzegu, panie.

Nie pamiętał gdzie dokładnie, ale ponad zachodnim wybrzeżem zatoki unosiła się smuga dymu, płynęliśmy więc w stronę tego odległego znaku. Posuwaliśmy się powoli, uważając na podwodne rafy i skały. Berg ręką wskazywał nam przeszkody, mimo to wiosła dwukrotnie uderzyły

o kamienie. Wietrzyk ustał, przez co żagiel opadł, nie zwinąłem go jednak, aby widać było, że jest to łódź Ragnalla.

– Tam – odezwał się Finan, wskazując punkt przed sobą.

Dostrzegł maszt za niską wysepką. Wiedziałem, że Orvar ma dwie łodzie na zatoce, i domyślałem się, że jedna znajduje się na północ, a druga na południe od warowni Sigtryggra. Oblężenie fortecy spaliło na panewce, więc ich zadanie polegało teraz na uniemożliwieniu kutrom dostarczenia żywności obleganemu garnizonowi. Przypasałem Oddech Węża, po czym ukryłem go pod brązowym wełnianym płaszczem.

– Chcę, żebyś był obok mnie, Vidarze – powiedziałem. – A mam na imię Ranulf Godricson.

– Ranulf Godricson – powtórzył Norweg.

– Duńczyk – dodałem.

– Ranulf Godricson – powtórzył ponownie.

Oddałem wiosło sterowe Duddzie, który choć na wpół odurzony ale, był dość sprawnym sternikiem.

– Kiedy dopłyniemy do tej łodzi – powiedziałem, wskazując głową na odległy maszt – chcę stanąć obok. Jeśli nam na to nie pozwolą, będziemy musieli połamać im wiosła, ale niezbyt wiele, bo będą nam potrzebne.

– Dziób przy dziobie – powiedział Dudda.

Posłałem Finana z dwudziestoma ludźmi na dziób Postrachu Mórz, gdzie przykucnęli lub się położyli. Nikt nie miał hełmu na głowie, kolczugi ukryliśmy pod płaszczami, a tarcze leżały na dnie. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że jesteśmy gotowi do walki.

Odległa łódź nas zauważyła. Ukazała się zza niewielkiej wyspy i zobaczyłem promienie słońca odbijające się od rzędów wiosł, gdy ich mokre pióra unosiły się ponad wodę. Kaskada bieli wykwitła na jej dziobie,

kiedy zwróciła się w naszą stronę. Dziób zdobił łeb smoka albo orła – trudno było jednoznacznie stwierdzić.

– To statek Orvara – powiedział Vidarr.

– Dobrze – odparłem.

– Hraesvelgr – dodał.

Uśmiechnąłem się na dźwięk tego imienia. Hraesvelgr to orlica, która siedzi na najwyższej gałęzi Yggdrasilu, drzewa życia. Jest to złośliwe ptaszysko wypatrujące zarówno bogów, jak i ludzi, zawsze gotowe spaść na ofiarę, by rozszarpać ją pazurami i dziobem. Orvar otrzymał zadanie pilnowania Sigtryggra, ale to Hraesvelgr miała za chwilę paść naszą ofiarą.

Przywiązaliśmy żagiel luźno do wielkiej rei.

– Na mój znak zaczniecie wolno wiosłować! – krzyknąłem do załogi. – Nierówno! Wyglądajcie na zmęczonych!

– Jesteśmy zmęczeni! – odkrzyknął ktoś z tyłu.

– A chrześcijanie niech ukryją krzyże! – Patrzyłem, jak moi ludzie całują krzyże i wsuwają je pod kolczugi. – A kiedy zaatakujemy, cała naprzód! Finanie!

– Panie?

– Chcę przynajmniej jednego jeńca. Kogoś, kto sprawia wrażenie, jakby wiedział, o czym mówi.

Płynęliśmy naprzód, wiosłując powoli jak ludzie znużeni długą podróżą, a kiedy zbliżyliśmy się wystarczająco blisko do łodzi Norwegów, mogłem stwierdzić, że dziób Hraesvelgr ozdabia głowa orła, a białe ptasie oczy zostały wymalowane w górnej części zakrzywionego czerwonego dziobu. Na dziobie statku stał mężczyzna, najpewniej wypatrujący podwodnych skał, tak jak Berg. Próbowałem policzyć wiosła i doszedłem do wniosku, że nie jest ich więcej niż dwanaście par.

– I pamiętajcie! – krzyknąłem. – Wyglądajcie na zmęczonych! Chcemy ich zaskoczyć! – Przeczekałem dziesięć leniwych uderzeń wiosła. – Wiosła na pokład! – zawołałem.

Wiosła podniosły się niezgrabnie. Doszło do lekkiego zamieszania, kiedy długie trzonki wkładano do łodzi i układano pośrodku kadłuba. Po chwili kurs łodzi się uspokoił, a my dalej płynęliśmy wzdłuż brzegu. Kapitan drugiej łodzi zorientował się, co zamierzamy, i również rozkazał wciągnąć wiosła na pokład. Był to piękny manewr morski, dwie duże łodzie spokojnie płynące obok siebie. Moi ludzie siedzieli zgarbieni w ławkach, ale w dłoniach już ściskali rękojeści mieczy i trzonki toporów.

– Pozdrów ich – rozkazałem Vidarrowi.

– Jarlu Orvarze! – zawołał Norweg.

Mężczyzna na rufie Hraesvelgr pomachał do niego.

– Vidarze! – odkrzyknął. – Czy jarl jest z tobą?

– Tu jest jarl Ranulf!

To imię z pewnością nic nie mówiło Orvarowi, ale chwilowo nie zwrócił na to uwagi.

– Co tu robicie? – zapytał.

– A jak myślisz?

Orvar splunął za burtę.

– Przy płynęliście po dziwkę Sigtryggra? Płyńcie i ją sobie zabierzcie!

– Jarl nas po nią przysłał! – krzyknąłem po duńsku. – Nie może dłużej czekać!

Orvar ponownie splunął. Był krzepkim, siwowłosym, ogorzałym mężczyzną. Stał obok sternika. Załoga Hraesvelgr była znacznie mniejsza niż Postrachu Mórz, liczyła najwyżej pięćdziesiąt osób.

– Dostanie tę dziwkę wkrótce! – odkrzyknął, kiedy łodzie się do siebie zbliżyły. – Niedługo na pewno zabraknie żywności!

– Czy w ogóle można wziąć tu kogoś głodem? – zapytałem w momencie, gdy z wody wyskoczyła ryba, połyskując srebrnymi łuskami. – Trzeba zaatakować warownię!

Orvar ruszył między ławkami dla wiosłarzy w stronę dziobu, żeby nas lepiej zobaczyć.

– Coś ty za jeden? – zapytał.

– Ranulf Godricson – przedstawiłem się.

– Nigdy o tobie nie słyszałem – warknął.

– Ale ja słyszałem o tobie!

– Jarl cię przysłał?

– Ma dość czekania – odparłem. Nie musiałem już krzyczeć, bo łodzie dzieliło zaledwie kilka kroków i nadal powoli się do siebie zbliżały.

– Ilu więc mężów musi zginąć, żeby mógł znaleźć się między udami tej dziwki? – zapytał Orvar.

W tym momencie łodzie dotknęły się, a moi ludzie chwycili za nadburcie Hraesvelgr i przyciągnęli ją do platformy sterowej Postrachu Mórza.

– Ruszać! – krzyknąłem.

Nie byłem w stanie przeskoczyć na drugi pokład z rufy, ale jako pierwszy rzuciłem się naprzód, przedzierając się między ludźmi z bronią w rękę. Atakiem dowodził Finan, przeskoczył na norweską łódź z obnażonym mieczem.

Był to skok ku rzezi.

Załoga Hraesvelgr składała się ze zdolnych, odważnych mężczyzn, wojowników Północy. Zasłużyli na lepszy los. Uśmiechali się na

przywitanie, a chwilę później musieli zginąć. Większość nawet nie miała czasu, żeby chwycić za broń. Moi ludzie, niczym ogary, które wyczuły krew, napływali przez burtę łodzi i zaczęli zabijanie. W jednej chwili wypatroszyli środkową część Hraesvelgr, oczyszczając jej wnętrze. Finan poprowadził swoich ludzi ku rufie, a ja swoich na ozdobiony głową orła dziób. Do tego czasu niektórzy wojownicy Orvara chwycili za miecze lub topory, ale nikt nie był ubrany w kolczugę. Poczulem cios ostrza na żebrach, przeciwnik nie zdołał jednak przeciąć metalowych ogniw pancerza. Zamachnąłem się Oddechem Węża w bok, górną częścią brzeszczotu trafiając wroga w szyję. Mężczyzna upadł, a mój syn wykończył go uderzeniem Dziobu Kruka. Norwegowie cofali się przed nami, potykając się o ławki, a niektórzy woleli wskoczyć do wody, niż stawić czoło naszemu mokremu od krwi orężu. Nie widziałem nigdzie Orvara, ale słyszałem krzyk: „Nie! Nie! Nie! Nie!”.

Jakiś młodzieniec zadał z pokładu pchnięcie w moim kierunku, chcąc wbić mi w brzuch ostrze swojego dwuręcznego miecza. Odparowałem cios Oddechem Węża, uderzyłem napastnika kolaniem w twarz i nastąpiłem mu na krocze.

„Nie! Nie!” – wciąż rozbrzmiewał głos. Młody Norweg kopnął mnie, a ja potknąłem się o sztywny zwój liny i runąłem na pokład. Dwóch moich ludzi osłoniło mnie przed atakiem nieprzyjaciela. Eadger mieczem wycelował w usta młodzika, po czym z całej siły skierował ostrze w dół. Vidarr podał mi rękę i pomógł wstać. Okrzyk „Nie! Nie!” nadal nie milkł.

Zadałem cios Oddechem Węża wojownikowi, który szykował się do uderzenia Eadgera toporem. Mężczyzna wywrócił się na plecy. Właśnie miałem wbić mu ostrze miecza między żebra, kiedy ktoś wyrwał mu topór z dłoni i zobaczyłem, że Orvar utorował sobie drogę ku dziobowi łodzi i stoi na ławce nad leżącym na brzuchu wojownikiem.

– Nie! Nie! – krzyknął do mnie, po czym zorientował się, że używa niewłaściwych słów, bo rzucił topór i rozłożył ręce. – Poddaję się! – zawołał. – Poddaję się! – Wpatrywał się we mnie, a na jego twarzy malowały się niedowierzanie i ból. – Poddaję się! – powtórzył.–  
Zakończcie walkę!

– Koniec walki! – krzyknąłem tym razem ja. – Koniec!

Pokład był śliski od krwi. Wojownicy jęczeli, szlochali, rządzili, podczas gdy związane łodzie delikatnie kołysały się na spokojnych wodach zatoki. Jeden z ludzi Orvara rzucił się w stronę burty Hraesvelgr i wymiotował krwią.

– Koniec walki! – powtórzył za mną Finan.

Orvar nie odrywał ode mnie wzroku, po czym wziął miecz od jakiegoś Norwega, zszedł z ławki i podał mi jego rękojeść.

– Poddaję się – powtórzył. – Poddaję się tobie, draniu.

Miałem teraz dwie łodzie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Smuga czerwieni zabarwiła wodę. Z czasem zmieniła kolor na różowy, po czym zniknęła. Pokład Hraesvelgr był pokryty grubą warstwą posoki, powietrze cuchnęło krwią i gównem. Szesnastu ludzi zginęło, ośmiu wzięliśmy do niewoli, a pozostali członkowie załogi Orvara czepiali się w wodzie unoszących się wokół kadłuba wiosł. Wciągnęliśmy ich na pokład, po czym przeszukaliśmy żywych i martwych, by zagarnąć monety, odłamki srebra i wszelkie kosztowności. Ułożyliśmy łupy i zdobytą broń w stosie przy maszcie, gdzie siedział Orvar, obserwując, jak wyrzucaliśmy pierwszych zabitych członków jego załogi za burtę Hraesvelgr, która nadal pozostawała przywiązana do naszej większej łodzi.

– Ktoś ty? – zapytał.

– Jestem ojcem tej dziwki – odparłem.

Wzdrygnął się, po czym na chwilę zamknął oczy.

– Uhtred z Bebbanburga?

– We własnej osobie.

Roześmiał się, co mnie zdziwiło. Był to jednak gorzki śmiech, pozbawiony wszelkiej wesołości.

– Jarl Ragnall złożył w ofierze Thorowi czarnego ogiera w intencji twojej śmierci.

– Czy koń szybko zginął?

Orvar pokręcił głową.



– Spartaczyli tę ofiarę. Musieli zadać mu trzy uderzenia młotem.

– Niedawno dostałem czarnego ogiera – powiedziałem.

Ponownie się wzdrygnął i przyznał, że bogowie są mi przychylni, a odrzucili ofiarę Ragnalla.

– Bogowie zatem cię kochają. Szczęściarzu! – rzucił.

Był mniej więcej w moim wieku, co znaczy, że był stary – zsiwiały, pomarszczony i twardy. W jego siwą brodę z ciemnymi pasmami wplecione były kółka z kości słoniowej, w uszach miał złote kolczyki, a na szyi gruby złoty łańcuch ze złotym młotem, który później mój syn mu odebrał.

– Musieliście ich zabić? – zapytał, patrząc na zwłoki unoszące się na czerwonej od krwi wodzie.

– Oblegacie moją córkę i wnuczkę – odparłem ze złością. – Co niby miałem zrobić? Ucałować was?

Niechętnie kiwnął głową na znak, że rozumie mój gniew.

– To byli dobrzy chłopcy – powiedział, krzywiąc się na widok kolejnego ciała wyrzucanego za burtę Hraesvelgr. – Jak udało wam się zająć Øxtívar?

– Øxtívar?

– Jego łódź! – Stuknął w maszt. – Tę łódź.

A więc tak nazywał się Postrach Mórz. Øxtívar znaczy Topór Bogów i to dobre imię dla łodzi, ale Postrach Mórz było lepsze.

– Tak samo jak zmusiłem go do opuszczenia okolic Ceasteru. Pokonałem go w bitwie – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi, jakby oceniał, czy mówię prawdę, po czym znów wybuchł ponurym śmiechem.

– Od czasu, kiedy jarl wyruszył na wyprawę, nie mieliśmy od niego żadnych wieści – przyznał. – On w ogóle żyje?

– Już niedługo.

Skrzywił się na te słowa.

– To pewnie tak jak ja? – Czekał na odpowiedź, ale ja milczałem, więc tylko klepnął maszt. – Kocha tę łódź.

– Kochał – poprawiłem go. – Ale przeciążył ją z przodu.

Orvar przytaknął.

– Zawsze to robił. Lubi patrzeć, jak jego wioślarze przemakają do suchej nitki, to go bawi. Mówi, że dzięki temu się hartują. Jego ojciec był taki sam.

– A Sigtryggr? – zapytałem.

– Co Sigtryggr?

– Jego też bawi hartowanie załogi?

– Nie – odparł. – On jest tym dobrym bratem.

Ta odpowiedź mnie zdziwiła – nie dlatego, że miałem tak złe mniemanie o Sigtryggrze, ale ponieważ Orvar służył Ragnallowi i można by się spodziewać po nim innej odpowiedzi.

– Dobrym bratem?

– Ludzie go lubią, zawsze go lubili – odrzekł. – Jest wielkoduszny. Ragnall jest okrutny, a Sigtryggr wielkoduszny. Powinieneś to wiedzieć, ożenił się z twoją córką.

– Lubię go i wydaje mi się, że ty też – powiedziałem.

– To prawda – stwierdził wprost. – Ale przysięgę składałem Ragnallowi.

– Nie miałeś wyboru?

Pokręcił głową.

– Ich ojciec tego zażądał. Jedni przysięgali Ragnallowi, drudzy Sigtryggrowi. Jarl Olaf myślał chyba, że jego synowie dokonają

pokojowego podziału ziem, ale kiedy umarł, zaczęli ze sobą walczyć. – Zapatrzył się na dryfujące zwłoki. – A ja znalazłem się tu. – Obserwował mnie podczas sortowania zdobytej broni i ważenia w dłoniach kolejnych mieczy. – Więc zabijesz mnie? – zapytał.

– A masz lepszy pomysł? – odparłem z sarkazmem.

– Zginę z ręki twojej albo Irlandczyków – skwitował ponuro.

– Nie jesteście sojusznikami?

– Jacy tam z nich sojusznicy! – rzekł z lekceważeniem. – Zgodzili się zaatakować warownię od strony lądu, podczas gdy my mieliśmy oblegać plażę. Ale ci dranie nigdy nie nadeszli. – Splunął. – Wątpię, żeby w ogóle kiedykolwiek zamierzali zaatakować! Po prostu kłamali.

– Nie zaatakowali z powodu czarów mojej córki? – zapytałem.

– Ona ich wystraszyła, to prawda, ale myślę też, że chcieli, byśmy zrobili za nich całą mokrą robotę, żeby mogli tylko wejść do warowni i wyciąć w pień tych, którzy przeżyli. I wziąć twoją córkę do... – Nie skończył tego zdania. – My walczymy, a oni odniosą zwycięstwo – rzucił drwiąco. – Oni nie są głupi.

Spojrzałem w niebo na obłoczki płynące spokojnie po idealnym błękitnie. Słońce sprawiało, że wzgórza niemal błyszczą zielenią. Zrozumiałem, dlaczego ludzie tęsknili do tej ziemi, ale znałem też Finana wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie jest to miejsce łatwe do życia.

– Nie rozumiem – powiedziałem do Orvara. – Lubisz Sigtryggra, nie ufasz swoim sojusznikom, dlaczego więc po prostu nie zawrzesz z nim rozejmu? Dlaczego nie staniesz po stronie Sigtryggra?

Dotychczas Orvar wpatrywał się w wodę, ale teraz podniósł wzrok, żeby na mnie spojrzeć.

– Ponieważ Ragnall wziął moją żonę jako zakładniczkę. – Skrzywiłem się na te słowa. – I dzieci – ciągnął. – Wziął moją żonę, a także kobietę

Bjarkego.

– Bjarkego?

– Bjarkego Neilsona – uściślił. – Szypra Nidhogga. – Wskazał głową na północ, a ja zorientowałem się, że Nidhogg to druga łódź, która brała udział w blokadzie warowni mojego zięcia.

Z jego gestu wywnioskowałem, że znajduje się ona gdzieś w północnej części zatoki. O ile Hraesvelgr jest orlicą siedzącą na najwyższej gałęzi drzewa życia, o tyle Nidhogg to wąż owinięty wokół jego korzeni. To podłe stworzenie, które pożera ciała mężczyzn okrytych hańbą. Dziwne imię dla łodzi, ale jak przypuszczam, miało ono siać postrach wśród wrogów.

Orvar zmarszczył brwi.

– Zapewne tę łódź też będziesz chciał zdobyć?

– Oczywiście.

– I nie możesz ryzykować, że któryś z nas ostrzeże załogę Nidhogga? Pozwól nam jednak umrzeć z mieczami w dłoni. – Spojrzał na mnie prosząco. – Błagam cię, panie, pozwól nam umrzeć jak wojownikom.

Wyjąłem najlepszy miecz ze stosu zdobytej przez nas broni. Miał długą głownię, wspaniałą rękojeść z kości słoniowej i jelec w kształcie młotów. Ważyłem go w dłoni, rozkoszując się jego ciężarem.

– Czy on należy do ciebie?

– A wcześniej do mojego ojca – odparł, patrząc na ostrze.

– Powiedz mi zatem, co musiałbyś zrobić, żeby odzyskać rodzinę.

– Dać Ragnallowi twoją córkę, cóż innego?

Obróciłem miecz, tak że trzymałem go za sztych, by podać mu rękojeść.

– A zatem czemu tego nie zrobimy? – zapytałem.

Wpatrywał się we mnie oniemiały.

Więc mu wyjaśniłem.

Potrzebowałem ludzi. Potrzebowałem wojsk. Przez lata Aethelflaed odmawiała przekroczenia granicy Northumbrii w innym celu niż dla ukarania Norwegów albo Duńczyków, którzy porywali z Mercji bydło i niewolników. Tego typu najazdy bywały okrutne, ale pozostawały tylko najezdami. Chciała najpierw zabezpieczyć Mercję, wznosząc łańcuch burhów wzdłuż północnej granicy, ale nie godziła się na zajmowanie ziemi Northumbryczyków, w czym była posłuszna woli brata.

Edward z Wessexu okazał się dość dobrym królem. Oczywiście nie dorównywał swemu ojcu. Brakowało mu przenikliwej inteligencji Alfreda i jego determinacji w dążeniu do uchronienia Sasów i chrześcijaństwa przed pogańskimi Norwegami. Edward jednak kontynuował dzieło ojca. Poprowadził zachodniosaską armię do Anglii Wschodniej, gdzie odzyskał ziemie i wybudował wiele burhów. Królestwo Wessexu za jego panowania powoli przesunęło się na północ, a Sasi zajmowali włości, które wcześniej należały do Duńczyków. Alfred marzył o jednym królestwie, królestwie saskich chrześcijan rządzonym przez saskiego, chrześcijańskiego władcę i mówiącego językiem Sasów. Alfred nazywał się królem anglojęzycznego ludu, co nie znaczyło dokładnie to samo co „król Anglii”. I to marzenie, marzenie o jednym zjednoczonym państwie, powoli się spełniało.

Do jego całkowitej realizacji konieczne było jednak podporządkowanie sobie Norwegów i Duńczyków w Northumbrii, a Aethelflaed opierała się przed dokonaniem tego. Nie obawiała się ryzyka, tylko raczej niezadowolenia brata i Kościoła. Wessex był państwem znacznie bogatszym niż rozdierana przez wojnę Mercja. Srebro Sasów zachodnich zasilało oddziały Aethelflaed, a ich złoto płynęło do mercyjskich kościołów. Edward nie chciał zaś, aby siostrę uznano za większą władczynię od niego. Jeśli Northumbria miała zostać podbita, to Edward musiał poprowadzić wojska i zyskać sławę, dlatego zakazał siostrze najazdu na to królestwo bez

jego udziału. Aethelflaed, wiedząc, jak bardzo uzależniona jest od złota brata, a także nie chcąc urazić jego ambicji, zadowolili się odzyskaniem północnych ziem Mercji. Nadejdzie jeszcze odpowiednia pora, lubiła mi powtarzać, a wtedy połączone armie Mercji i Wessexu triumfalnie pomaszczą na szkocką granicę, a kiedy do tego dojdzie, staniemy się nowym państwem. Nie będzie już Wessexu, Mercji, Anglii Wschodniej ani Northumbrii, lecz Anglia.

Możliwe, że wszystko to było prawdą, ale dla mnie sprawy toczyły się za wolno. Starzałem się. Łupało mnie w kościach, broda mi posiwiiała, ale w sercu nadal pozostało żywe dawne marzenie. Chciałem odebrać Bebbanburg. Bebbanburg należał do mnie. Byłem i jestem panem Bebbanburga. Bebbanburg należał do mojego ojca i jego ojca i będzie należał do mojego syna i jego syna. A Bebbanburg leżał głęboko wewnątrz Northumbrii. Żeby przeprowadzić oblężenie tej twierdzy i odebrać ją kuzynowi, którego ojciec mi ją ukradł, musiałem znaleźć się w Northumbrii. Musiałem przeprowadzić oblężenie, a nie mogłem mieć nadziei na dokonanie tego, gdy pozostawałem otoczony przez zawziętych Norwegów i żądnych zemsty Duńczyków. Raz już usiłowałem zająć Bebbanburg, zbliżywszy się do warowni od strony morza, ale ta próba zakończyła się klęską. Następnym razem – zaprzysiągłem – przyprowadzę do Bebbanburga armię, a żeby to zrobić, najpierw musiałem zdobyć ziemie wokół fortecy. To oznaczało konieczność pokonania Norwegów, którzy panują na tym terytorium. Musiałem najechać Northumbrię.

Co oznaczało, że potrzebowałem wojsk.

Ten pomysł przyszedł do mnie, kiedy prowadziłem beztroską rozmowę z Finanem o tym, że mój dar prześlągalny dla Aethelflaed to będzie Eoferwic, przez co rozumiałem, że w ten czy inny sposób uwolnię to miasto od sił Ragnalla.

Teraz jednak nagle wszystko mi się wyklarowało.

Potrzebowałem Bebbanburga. Żeby go zdobyć, musiałem pobić Norwegów z Northumbrii, a żeby ich pokonać, potrzebowałem wojsk.

A jeśli Aethelflaed nie pozwala mi użyć mercyjskiej armii, użyję do tego celu wojsk Ragnalla.

Warownia Sigtryggra znajdowała się prawie na wyspie. Był to stromy, obsypany głazami skrawek ziemi wynurzający się spośród wód fiordu i strzeżony od morza rafami, wysepkami i skałami. Od strony lądu dostęp do fortecy był jeszcze trudniejszy. Jedyne ścieżka prowadziła przez niski i wąski półwysep, na tyle szeroki, aby rzędem mogło iść nią sześciu ludzi. Nawet gdyby komuś udało się przejść przez cały cypel, musiałby jeszcze poradzić sobie ze stromym podejściem prowadzącym na szczyt twierdzy, tym samym, na które atakujący z morza natknęliby się za plażą. Aby do niej dotrzeć, statek najpierw musiałby pokonać kręty kanał, biegnący zygzakiem z południa. Po opuszczeniu łodzi wojownicy musieliby natychmiast stawić czoło urwistym klifom i spadzistym zboczom, nad którymi oczekivaliby ich obrońcy warowni. Ten cypel, podobnie jak Bebbanburg, mógł zniechęcić każdego wroga, choć w przeciwieństwie do Bebbanburga nie był otoczony palisadą, gdyż nie była ona potrzebna. Nad tym skalistym wyniesieniem unosił się dym z ognisk na szerokim zielonym szczycie.

Postrach Mórz zbliżył się do warowni od południa, ostrożnie płynąc ledwie widocznym kanałem między rafami i podwodnymi skałami. Na dziobie stał Gerbruht, sondując wodę wiosłem i ostrzegając nas okrzykiem, gdy pióro dotknęło skały. Wiosłowało tylko dwunastu ludzi – tylu w zupełności wystarczyło, bo nie śmieliśmy zbyt szybko się posuwać. Mogliśmy tylko przeczołgać się przez to pełne pułapek miejsce.

Wartownicy Sigtryggra zobaczyli łódź wypełnioną uzbrojonymi wojownikami i ozdobioną ogromnym czerwonym toporem Ragnalla. Z pewnością rozpoznali Postrach Mórz i pomyśleli, że albo Ragnall osobiście się zjawił, żeby ich wykończyć, albo wysłał jednego ze swoich najbardziej zaufanych wodzów. Obserwowałem, jak garnizon formował mur tarcz na półwyspie, i słuchałem przenikliwego dźwięku broni uderzającej o wierzbowe tarcze. Chorągiew Sigtryggra, opatrzona czerwonym toporem, takim samym jak godło brata, powiewała wyżej na wzgórzu i wydawało mi się, że obok flagi zobaczyłem stojącą Stiorrę. Jej mąż, którego jasne włosy błyszczały w słońcu, wystąpił przed mur tarcz i zszedł w kierunku plaży.

– Chodź tu i zgiń! – zawołał ze szczytu jednego z wielu skalistych klifów. – Chodź, dołącz do swoich towarzyszy! – Wskazał obnażonym mieczem miejsce, gdzie zobaczyłem ludzkie głowy ułożone na kamieniach wzdłuż brzegu. Sigtryggr witał gości w swoim ustroniu tak samo, jak ja powitałem Ragnalla na Eads Byrig.

– To widmowy płot – powiedział Finan.

– Co?

– Głowy! Trzeba dwa razy pomyśleć, zanim przekroczy się widmowy płot – wyjaśnił, robiąc znak krzyża.

– Potrzebuję więcej głów! – krzyknął Sigtryggr. – Przynieście mi więc swoje! Proszę!

Za nim rozbrzmiewały miecze stukające o tarcze. Żaden napastnik nie mógł mieć nadziei, że przeżyje atak na tę skałę, o ile nie udało mu się sprowadzić armii na to wybrzeże i rozgromić nielicznych obrońców. A to było niemożliwe. Na plaży miejsca starczyło tylko na trzy, może cztery łodzie, a i one byłyby zmuszone zbliżać się pojedynczo, rządkiem wymijając przeszkody. Powoli posuwaliśmy się naprzód i niejednokrotnie



dziób Postrachu Mórz dotykał skał, musieliśmy się cofać i podejmować kolejną próbę, podczas gdy Gerbruht wykrzykiwał polecenia.

– Żeby wam to ułatwić, zrobimy wam miejsce! – zawołał Sigtryggr.

Stał na klifie nad jednym z przyczółków. Długie złote włosy sięgały mu poniżej ramion, wokół których miał trzykrotnie obwinięty złoty łańcuch. Był w kolczudze, ale nie miał hełmu ani nie trzymał w dłoni tarczy. W prawej ręce dzierżył długi miecz z obnażonym brzeszczotem. Szczerzył zęby w oczekiwaniu na bitwę, w której był pewny zwycięstwa. Przypomniałem sobie, że młody Berg nazwał go panem wojny – choć znalazł się w potrzasku i był oblegany przez wrogów, wyglądał imponująco.

Poszedłem na przód łodzi i powiedziałem Gerbruhtowi, żeby zrobił dla mnie miejsce, po czym wszedłem na niewielką platformę tuż pod dziobem w kształcie topora. Założyłem pełny hełm, który osłaniał mi boki twarzy, i Sigtryggr wziął mnie za Orvara.

– Witaj ponownie, Orvarze! Przyprowadziłeś mi kolejnych mężów do zabicia? Nie straciłeś wystarczająco dużo ludzi ostatnim razem?

– Czy ja przypominam Orvara?! – odkrzyknąłem. – Ty na wpół ślepy głupcze! Ty koźle nasienie! Chcesz, żebym wyłupił ci drugie oko?! – Wlepił we mnie wzrok. – Czyż ojciec nie może odwiedzić córki, nie narażając się na obelgi ze strony jakiegoś jednookiego, bezmózgiego norweskiego wypierdka?!

Podniósł wolną dłoń, dając swoim ludziom znak, żeby przestali uderzać bronią w tarcze. Nadal nie odrywał ode mnie wzroku. Powoli cichł rozbrzmiewający za nim szcęk ostrzy bijących o wierzbowe deski.

Zdjąłem hełm i rzuciłem go Gerbruhtowi.

– To tak się wita ukochanego teścia?! – ryknąłem. – Przebyłem długą drogę, żeby ratować twoją nic niewartą dupę, a ty grozisz mi swoimi

marnymi obelgami?! Dlaczego nie obsypujesz mnie złotem i podarkami, ty jednooki, niewdzięczny wypierdku ropuchy?!

Sigtryggr zaśmiał się, a potem zatańczył. Podskakiwał przez chwilę, po czym zatrzymał się i rozpostarł ramiona.

– To zdumiewające! – zawołał.

– Cóż takiego jest zdumiewające, ty kozi bobku?

– Że zwykły Sas był w stanie bezpiecznie dopłynąć tu z Brytanii! Czy bardzo bałeś się podróży?

– Mniej więcej tak jak myśli o walce z tobą – odciąłem się.

– Musiałeś więc się poszczać ze strachu – odparł, szczerząc zęby.

Roześmiałem się.

– Pożyczyliśmy sobie łódkę od twojego brata!

– Właśnie widzę. – Schował miecz do pochwy. – Teraz jesteście bezpieczni. Do samej plaży woda jest głęboka!

– Do wiosła! – krzyknąłem do swoich ludzi.

Chwycili za trzonki, Postrach Mórz szybko pokonał ostatnich kilka jardów i wpłynęliśmy dziobem na kamienistą plażę. Opuściłem platformę i wygramoliłem się przez burtę. Wskoczyłem do wody, która sięgała mi ud, i niemal straciłem równowagę, ale Sigtryggr zszedł z głazu, wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi wyjść na brzeg. Uściskał mnie na powitanie.

Nawet bez oka pozostał przystojnym mężczyzną – o orlich rysach twarzy, jasnej czuprynie i promiennym uśmiechu. Doskonale rozumiałem, dlaczego Stiorra uciekła z nim z Brytanii. Szukałem dla niej męża pośród wojowników z Mercji i Wessexu, mężczyzny dorównującego jej inteligencją i niespożytą pasją, ale sama dokonała wyboru. Poślubiła mojego wroga, który teraz stał się sojusznikiem. Cieszyłem się, że go widzę, zdziwił mnie nawet przyływ radości, jaki odczuwałem.

– Nie spieszyłeś się zbyttnio, panie – zauważył radośnie.

– Wiedziałem, że nie wpadłeś w prawdziwe kłopoty, więc czemuż miałbym się spieszyć?

– Bo kończą nam się zapasy ale, rzecz jasna. – Odwrócił się i krzyknął: – Możecie odłożyć miecze! Te cholerne dranie to przyjaciele! – Złapał mnie za łokieć. – Chodź poznać swoją wnuczkę, panie.

Ale to Stiorra do nas przysła, prowadząc za rękę małe dziecko. Muszę przyznać, że zaparło mi dech w piersiach. I to nie dziewczynka była powodem mojego zachwytu. Nigdy nie przepadałem za małymi dziećmi, nawet własnymi, ale kochałem swoją córkę i zrozumiałem, dlaczego Ragnall gotów był rozpętać z jej powodu wojnę. Stiorra wyrosła na kobietę pełną wdzięku i pewną siebie, i tak podobną do matki, że patrzenie na nią sprawiało mi ból. Zbliżyła się do mnie z uśmiechem i stosownie się przywitała.

– Ojczy – rzekła.

– Ja nie płaczę – odparłem. – Pyłek wpadł mi do oka.

– Tak, ojczy.

Uściskałem ją, a potem odsunąłem na odległość ramienia. Miała na sobie ciemną sukienkę z gęsto tkanego lnu, na którą narzuciła czarny wełniany płaszcz. Na szyi miała młot z kości słoniowej i złoty torques. Włosy nosiła wysoko upięte grzebieniami ze złota i z kości słoniowej. Zrobiła krok w tył, żeby popchnąć córkę do przodu.

– To jest twoja wnuczka – powiedziała. – Gisela Sigtryggdottir.

– Trudno to wymówić.

– Ma też trudny charakter.

Spojrzałem na dziewczynkę, która bardzo przypominała swoją matkę i babkę. Miała śniadą skórę, duże oczy i długie czarne włosy. Odpowiedziała mi niezwykle poważnym spojrzeniem, ale żadne z nas nie

miało nic do powiedzenia, więc milczeliśmy. Stiorrę rozśmieszyło to, że oboje zapomnieliśmy języka w gębie. Odwróciła się, żeby powitać Finana. Moi ludzie umocowywali Postrach Mórz do brzegu, wykorzystując liny, które przywiązali do głazów.

– Może chcesz zostawić ludzi na pokładzie, dwie inne łodzie mojego brata patrolują zatokę – ostrzegł mnie Sigtryggr. – Hraesvelgr i Nidhogg.

– Hraesvelgr już należy do nas – odparłem – a Nidhogg wkrótce też będzie nasz. Dwie pozostałe również zajmiemy.

– Zajęliście Hraesvelgr? – zapytał wyraźnie zdumiony tą wiadomością.

– Nie widziałeś jej? – odparłem, spojrzałem na południe i zorientowałem się, że wyspy przesłoniły spotkanie Postrachu Mórz z Hraesvelgr. – Jutro powinniśmy mieć pięć łodzi – powiedziałem szorstko. – Ale z jego, twoimi i moimi ludźmi będzie nam ciasno! Jeśli jednak utrzyma się spokojna pogoda, powinniśmy być dość bezpieczni. Chyba że wolisz zostać tutaj?

Nadal nie rozumiał, o czym mówię.

– Z jego ludźmi?

– Tak naprawdę twoimi – powiedziałem, specjalnie mącąc mu w głowie zalewem dobrych wieści.

Spojrzał ponad moim ramieniem, a ja obejrzałem się i zobaczyłem, że Hraesvelgr właśnie pojawiła się po drugiej stronie cypla. Łodzią znów dowodził Orvar. Obserwowałem ją. Z całą pewnością podążała za nią druga łódź.

– To musi być Nidhogg – powiedział Sigtryggr.

– Zgadza się.

– Orvar Freyrson ma zamiar złożyć ci przysięgę wierności – rzekłem. – Myślę, że Bjarke też, podobnie jak każdy członek ich załóg. Jeśli ktoś

odmówi, proponuję wyrzucić go na którejś wyspie, chyba że wolisz ich zgładzić.

– Orvar zamierza złożyć mi przysięgę?

– I Bjarke chyba też.

– Jeżeli Orvar i Bjarke złożą przysięgę – powiedział, marszcząc brwi, jakby próbował zrozumieć znaczenie tego, o czym mówię – ich ludzie zrobią to samo. Wszyscy.

– A Orvar zapewnia, że jest w stanie przekonać do tego również załogi dwóch pozostałych łodzi.

– Jak ich przekonałeś... – zaczął, po czym przerwał, próbując zrozumieć, jak jego przeznaczenie zmieniło się tego ranka. Obudził się w potrzasku i pod oblężeniem, a teraz dowodził niewielką flotą.

– Jak? Obiecałem im ziemię, dużo ziemi. Tak się składa, że twojej ziemi, ale nie wydaje mi się, żebyś miał mi to za złe.

– Mojej ziemi? – zapytał, teraz całkowicie zbity z pantałyku.

– Mam zamiar uczynić cię królem Eoferwicu – wyjaśniłem, jakbym robił takie rzeczy na co dzień – a także Northumbrii. Nie musisz mi dziękować. – Nic nie wskazywało na to, że ma zamiar to zrobić, wpatrywał się tylko we mnie ze zdumieniem. – Ponieważ musisz przystać na pewne warunki! Na razie jednak powinniśmy przygotować łodzie do podróży. Myślę, że trzeba pozbyć się części kamieni balastowych, bo łodzie będą załadowane po górne pasy poszycia. Mówiono mi, że pogoda na wybrzeżu może zmienić się w mgnieniu oka, teraz jednak wydaje się dość stała, wypłyniemy więc możliwie najszybciej. Dudda mówi, że powinniśmy unikać pływania po fiordzie w czasie odpływu.

– Kim jest Dudda?

– To mój szyper, zwykle jest pijany, ale to chyba mu nie przeszkadza – wyjaśniłem. – A zatem jutro rano?

– Dokąd popłyniemy?

– Do Cair Ligualid.

Wpatrywał się we mnie tępo. Najwyraźniej nigdy nie słyszał o tym miejscu.

– A gdzie leży to Cair...?

– Tam – odparłem, wskazując na wschód. – Jakiś dzień drogi.

– Królem Northumbrii? – zapytał, próbując zrozumieć to, co usłyszał.

– Jeśli się zgodzisz, mam zamiar uczynić cię władcą Northumbrii – wyjaśniłem. – W rzeczywistości królem Jorviku, ale każdy, kto zasiądzie na tamtejszym tronie, zwykle nazywa się władcą całej Northumbrii. Twój brat twierdzi, że teraz to on panuje nad tamtymi ziemiami, ale ja jestem w stanie zapewnić mu tam grób. – Hraesvelgr właśnie przybiła do plaży i Orvar wychylił się przez dziób, żeby niezdarnie wygramolić się na skaliste wybrzeże. – Idzie cię zabić albo klęknąć przed tobą.

Orvar odzyskał swój złoty łańcuch, jego ludziom też oddaliśmy należące do nich monety, odłamki srebra i talizmany. Wojownik przeszedł przez wąską plażę, skłonił się z szacunkiem i zakłopotaniem przed Stiorrą, po czym spojrzał Sigtryggowi w oczy.

– Panie? – powiedział.

– Przysięgałeś wierność mojemu bratu – odparł szorstko Sigtryggr.

– A twój brat wziął moją rodzinę jako zakładników, czego żaden wódz nie powinien czynić.

– To prawda – przyznał mu rację Sigtryggr. Spojrzał na przybijającego do brzegu Nidhogga, którego dziób tarł o kamienistą plażę. Jego szyper Bjarke wyskoczył na brzeg i stanął, patrząc na Sigtryggra, który dobył swojego długiego miecza. Ostrze zasyczało, wychodząc z pochwy. Przez chwilę wydawało się, że grozi Orvarowi obnażonym brzeszczotem, ale opuścił broń tak, że sztych wbił się w żwir. – Wiesz, co robisz.

Ludzie z Hraesvelgr i Nidhogga obserwowali Orvara klękającego przed Sigtryggrem i obejmującego jego dłonie trzymające miecz. Orvar wziął oddech i przed wymówieniem słów przysięgi spojrzął na mnie.

– Obiecujesz, panie, że moja rodzina zachowa życie?

– Obiecuję – odparłem ostrożnie – że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wyszli z tego cali i zdrowi, i przysięgam to na Thora i życie mojej rodziny.

– A jak zamierzasz dotrzymać obietnicy? – zapytał mój zięć.

– Oddając Ragnallowi twoją żonę, rzecz jasna. A teraz niech jarl Orvar złoży ci przysięgę wierności.

Na plaży nad spokojną laguną i pod błękitnobiałym niebem doszło do ślubowania.

Nietrudno być lordem, jarlem czy nawet królem – trudno być przywódcą.

Większość ludzi chce za kimś podążać, a od przywódcy żąda dobrobytu. Jesteśmy rozdawcami bransolet i złota. Rozdajemy ziemię, srebro, niewolników, ale to nie wystarczy. Trzeba kierować poddanymi. Jeśli pozwoli się ludziom całymi dniami stać lub siedzieć, po pewnym czasie zaczną się nudzić, a to oznacza kłopoty. Trzeba ich zaskakiwać, poddawać ich próbom, wyznaczać im zadania przewyższające ich możliwości. I muszą się bać. Przywódca, który nie wzbudza strachu, szybko przestanie rządzić, ale sam strach nie wystarczy. Muszą też go kochać. Kiedy prowadzi się ludzi do muru tarcz, kiedy wróg wykrzykuje obelgi, kiedy miecze uderzają w tarcze, kiedy ziemia ma za chwilę przesiąknąć krwią, kiedy kruki krążą po niebie w oczekiwaniu na ludzkie podroby, ludzie kochający swojego przywódcę walczą lepiej niż ci, którzy jedynie się go boją. W tym momencie stajemy się braćmi, walczymy za

siebie i wojownicy muszą wiedzieć, że ich wódz jest gotów poświęcić się za każdego z nich.

Tego wszystkiego nauczyłem się od Ragnara Starszego – człowieka, który dowodził z radością w duszy, choć jego też się bano. Jego wielki wróg Kjartan umiał dowodzić tylko za pomocą strachu, jak Ragnall. Mężowie rządzący poprzez strach bywają wielkimi królami i władają tak ogromnymi połaciami ziemi, że nie są znane ich granice. Ale ich także można pokonać, pokonają ich wojownicy walczący jak bracia.

– Brat proponował mi, bym został królem wysp, a on zapanuje nad Brytanią – powiedział mi tego wieczoru Sigtryggr.

– Wysp?

– Wszystkich wysp morskich, wszystkich wzdłuż wybrzeży – wyjaśnił. Wskazał ręką północ. – Żeglowałem po tych wodach i wiem, że obszary na północ od Morza Irlandzkiego to gmatwanina wysp, skał i nieokiełznanich bałwanów.

– Szkotom mogłoby się to nie spodobać – zauważyłem z rozbawieniem. – A Szkoci to tylko problemy.

Uśmiechnął się szeroko.

– O to chyba chodziło Ragnallowi. Ja zająłbym się Szkotami, a on podbijałby saskie ziemie. – Zamilkł, wpatrując się w iskry lecące w ciemność. – Miałem dostać skały, glony, mewy i kozy, podczas gdy jemu przypadłoby złoto, pszenica i kobiety.

– A ty odmówiłeś?

– Zgodziłem się.

– Dlaczego?

Popatrzył na mnie jedynym okiem. Drugie wypełniała pomarszczona skóra blizny.



– Rodzina, wola ojca – odparł. – Życie w Irlandii stało się trudne i nadszedł czas, by poszukać nowych ziem. – Wzruszył ramionami. – Poza tym jako pan wysp mógłbym zmienić tamtejsze skały w złoto.

– Skały, wodorosty, mewy i kozy? – zapytałem.

– I statki – dodał drapieżnie. Miał na myśli korsarstwo. – Mówi się też, że za morzem są ziemie.

– Słyszałem o tym – odparłem z powątpiewaniem.

– Pomyśl tylko. Nowe ziemie. Czekające na zasiedlenie!

– Tam nie ma nic poza ogniem i lodem – rzekłem. – Popłynąłem tam kiedyś, do miejsca, gdzie migocze lód i góry plują ogniem.

– A więc wykorzystywalibyśmy ogień do topienia lodu.

– A poza tym? – zapytałem. – Mówi się, że istnieją też inne ziemie, ale są nękanie przez potwory.

– A zatem wybilibyśmy potwory – odparł radośnie.

Uśmiechnąłem się, słysząc jego entuzjazm.

– Przystajesz więc na propozycję brata?

– Tak! Zostałbym królem wysp, a on władcą Brytanii. – Zamilkł. – Potem jednak zażądał Stiorry.

Wokół ogniska zapanowała cisza. Moja córka słuchała nas z poważną miną, teraz nasze oczy się spotkały i uśmiechnęła się lekko, posłała mi nieznany uśmiech. Ludzie nachylili się w stronę wewnętrznego kręgu, starając się usłyszeć, o czym się mówi, część z nich relacjonowała rozmowę tym, do których nie docierały nasze słowa.

– Chciał Stiorrę – powiedziałem bezbarwnym głosem.

– Zawsze żąda zakładników – odparł Orvar.

Skrzywiłem się.

– Jako zakładników trzyma się rodziny wrogów, nie przyjaciół.

– Wszyscy jesteśmy wrogami Ragnalla – wtrącił się Bjarke, szyper Nidhogga. Był to wysoki i szczupły Norweg z brodą splecioną w warkoczyki i z łodziami wytatuowanymi na każdym policzku.

– Przetrzykuje też twoją żonę? – zapytałem.

– Żonę, dwie córki i syna.

A zatem Ragnall rządził za pomocą strachu i tylko strachu. Ludzie się go bali, i słusznie, bo był przerażającym człowiekiem, ale przywódca, który włada za pomocą strachu, musi odnosić sukcesy. Musi prowadzić swoich ludzi do zwycięstwa, ponieważ w momencie, kiedy okaże słabość, naraża się na utratę władzy, a Ragnall został pokonany. Rozgromiłem go w lesie wokół Eads Byrig. Wyparłem go z ziem sąsiadujących z Ceasterem i nie dziwota – pomyślałem – że wojownicy pozostawieni w Irlandii byli tacy chętni do złamania przysięgi, którą mu złożyli.

Pojawiło się też inne pytanie. Jeśli wojownik składa przysięgę wierności, a później jego wódz bierze zakładników, aby mieć pewność, że zostanie ona dotrzymana, czy ma ona moc? Kiedy jakiś człowiek przybija moją dłoń, wypowiada słowa przysięgi, które wiążą jego los z moim, staje się dla mnie bratem. Ragnall, jak się wydawało, nikomu nie ufał. Przyjmował przysięgi wierności, a mimo to brał zakładników. Każdy był jego wrogiem, a wrogowi nikt nie jest winny lojalności.

Svart, potężny mężczyzna, zastępca Sigtryggra, warknął:

– Nie chciał pani Stiorry jako zakładniczki.

– Nie – przyznał Sigtryggr.

– Miałam zostać jego żoną – powiedziała Stiorra. – Piątą żoną.

– Powiedział ci to? – zapytałem.

– Fulla mi powiedziała. Jest jego pierwszą żoną. Pokazała mi też swoje blizny. – Stiorra mówiła bardzo spokojnie. – Biłeś kiedyś swoje żony, ojcze?

Uśmiechnąłem się, słysząc to pytanie.

– Jeśli o to chodzi, jestem słaby, nie biłem.

Odpowiedziała mi uśmiechem.

– Pamiętam, jak mówiłeś nam, że mężczyzna nie bije kobiet. Często to powtarzałeś.

– Tylko słaby mężczyzna bije kobiety – odparłem. Niektórzy ze słuchających mnie ludzi wyglądali nieswojo, ale żaden się nie sprzeciwił. – Ale może trzeba być silnym mężczyzną, żeby mieć kilka żon? – ciągnąłem, patrząc na Sigtryggra, który się zaśmiał.

– Ja bym się nie odważył – odparł. – Sprząłaby mnie na kwaśne jabłko.

– A więc Ragnall zażądał Stiorry? – zachęciłem go do mówienia.

– Przeprowadził tu całą swoją flotę, żeby ją zabrać! Setki wojowników. Twierdził, że ma do tego prawo. I tym sposobem znaleźliśmy się w tym miejscu.

– Uciekliśmy tu – powiedziała oschle Stiorra.

– Mieliśmy sześć łodzi, a on trzydzieści sześć – wyjaśnił Sigtryggr.

– Co stało się z tymi sześcioma łodziami?

– Przekupiliśmy nimi Irlandczyków, wymieniliśmy za zboże i ale.

– Tych samych, którym zapłacono za twoją śmierć? – zapytałem. Sigtryggr przytaknął. – Więc czemu cię nie zabili?

– Ponieważ nikt nie chce umierać na tej skale. A także z powodu twojej córki.

Spojrzałem na Stiorrę.

– Przez twoje czary?

Stiorra kiwnęła głową, potem wstała. Ogień rzucał ostre cienie na jej twarz.

– Chodź ze mną, ojciec – powiedziała, a ja zobaczyłem, że ludzie Sigtryggra uśmiechają się, oczekując jakiegoś tajemniczego żartu. – Ojciec? – Stiorra zrobiła znak w stronę zachodu. – Już czas.

– Czas na co?

– Sam się przekonasz.

Poszedłem za nią na zachód. Podała mi rękę i poprowadziła w dół zbocza, bo noc była ciemna, a ścieżka prowadząca ze wzgórza stroma. Szliśmy powoli, nasze oczy przyzwyczajały się do ciemności nocy.

– To ja – powiedziała łagodnie, kiedy dotarliśmy do podnóża wzniesienia.

– Pani – rozbrzmiał w ciemnościach jakiś głos.

Za prymitywnym kamiennym murem przecinającym wąski cypel prowadzący do warowni najwidoczniej stali wartownicy. Zobaczyłem ogniska obozowe rozsiane daleko w głąb stałego lądu.

– Ilu ludzi obozuje wokół tych ognisk? – zapytałem.

– Setki – odparła spokojnie Stiorra. – Wystarczająco dużo, żeby nas zmiażdżyć, musimy więc wykorzystywać inne metody, by trzymali się z daleka.

Weszła na mur i puściła moją rękę. Ledwie ją teraz widziałem. Miała na sobie płaszcz czarny jak noc, jak jej włosy, wyczuwałem jednak obecność tej wysokiej, wyprostowanej kobiety stawiającej czoło odległemu wrogowi.

Po chwili zaczęła śpiewać.

A raczej zawodzić i jęczeć, jej głos upiornie wznosił się i opadał, łkał w ciemnościach – czasem milkła, a po chwili skowyczała jak lisica. Potem przestała śpiewać i zapadła cisza, tylko wiatr szeptał nad ziemią. Stiorra ponownie zaczęła skowyczeć i wydawać krótkie, ostre szczeknięcia, po czym splunęła na zachód i podnosiła stopniowo głos do pełnego desperacji

krzyku, który następnie powoli cichł, zmieniając się w jęk, aż w końcu całkiem zamilkł.

I wtedy, jakby w odpowiedzi, zachodni horyzont zajaśniał błyskawicą. Nie były to ostre dźgnięcia piorunów Thora ani postrzępione smugi wypluwane przez niebo, lecz migoczące łuny letnich, niemych błyskawic. Ukazały się w oddali, rozbłysły i zgasły, napełniając ciemność i ciszę groźbą. W świetle ostatniej odległej błyskawicy ujrzałem białe czaszki widmowego płotu ułożone wokół muru, na którym stała Stiorra.

– Teraz, ojczy – wskazała ręką – ponownie są przekłęci.

Podąłem jej dłoń i pomogłem zejść z muru.

– Przekłęci?

– Myślą, że jestem wiedźmą.

– A jesteś?

– Boją się mnie – odparła. – Wzywam duchy zmarłych, by ich nawiedzały, i oni wiedzą, że rozmawiam z bogami.

– Myślałem, że to chrześcijanie.

– Wyznają chrześcijaństwo, ale obawiają się dawnych bogów, a ja podtrzymuję w nich ten strach. – Zamilkła, wpatrując się w mrok. – W Irlandii jest inaczej niż u nas, jakby dawna magia wciąż unosiła się w powietrzu. Czuję to – powiedziała ze zdziwieniem.

– Ja nic nie czuję.

Uśmiechnęła się, a ja ujrzałem jej białe zęby.

– Nauczyłam się odczytywać runy na deszczułkach. Fulla była moją nauczycielką.

Podarowałem kiedyś córce deszczułki z runami, których używała jej matka. Cienkie, wypolerowane deseczki po rzuceniu tworzą skomplikowane wzory i ponoć przepowiadają przyszłość.

– Przemawiają do ciebie? – zapytałem.

– Powiedziały mi, że przyjedziesz, a Ragnall zginie. I coś jeszcze... – Nagle przerwała.

– Coś jeszcze?

– Nie, nic – odparła, kręcąc głową. – Czasem trudno odczytać wiadomość – rzuciła lekceważąco, wzięła mnie za dłoń i poprowadziła w stronę ogniska na szczycie wzgórza. – Rano chrześcijańscy czarownicy będą próbowali odczynić mój urok. Ale im się to nie uda.

– Chrześcijańscy czarownicy?

– Księża – wyjaśniła pogardliwie.

– Czy runy powiedziały ci, że twój starszy brat zostanie wykastrowany? Zatrzymała się i popatrzyła na mnie w mroku.

– Wykastrowany?

– Niemal umarł.

– Nie! – powiedziała z niedowierzaniem. – Nie!

– Brida mu to zrobiła.

– Brida.

– Piekielna suka stanęła po stronie Ragnalla.

– Nie – powtórzyła. – Ale Uhtred tu był. Jechał do Ragnalla z pokojową misją!

– Teraz nazywa się ojcem Oswaldem, chociaż ojcem nigdy już nie będzie – odparłem.

– Czy ta Brida jest czarownicą? – zapytała z wściekłością Stiorra.

– Tak jej się wydaje i to rozgłasza.

Moja córka westchnęła z ulgą.

– To była trzecia wiadomość, którą wyczytałam z run, ojcze. Że czarownica musi zginąć.

– Runy to powiedziały?

– Musi chodzić o nią – odrzekła mściwie. Najwidoczniej bała się, że wywróżyła sobie własną śmierć. – To o nią chodzi – powiedziała.

A ja poszedłem za nią do ogniska.

Rano trzech irlandzkich księży podjechało do wąskiego pasma lądu, gdzie na niskim kamiennym murze stały czaszki. Zatrzymali się co najmniej pięćdziesiąt kroków od nich, tam unieśli ręce i zaintonowali modlitwy. Jeden z kapłanów, mężczyzna o rozwichrzonych włosach, podczas modłów kręcił się tanecznym krokiem wokół własnej osi.

– Czego oni oczekują? – zapytałem.

– Proszą Boga, żeby zniszczył te czaszki – wyjaśnił Finan i się przeżegnał.

– Naprawdę się ich boją?

– A ty byś się nie bał?

– To tylko czaszki.

– One nie są martwe! – odparł gwałtownie. – Nie wiedziałeś tego, kiedy układałeś głowy wokół Eads Byrig?

– Chciałem tylko napędzić stracha Ragnallowi.

– Ułożyłeś widmowy płot – powiedział Irlandczyk. – Nic dziwnego, że opuścił warownię. A ten? – Skinął w kierunku miejsca, gdzie Stiorra ułożyła czaszki w stronę stałego lądu. – Ten widmowy płot ma moc.

– Moc?

– Pokażę ci. – Poprowadził mnie przez wzgórze do otoczonego kamieniami dołu. Nie był szeroki, miał może sześć stóp kwadratowych, ale każdy jego cal wypełniały kości. – Bóg jeden wie, jak długo tu leżą, były przykryte tą płytą. – Wskazał odrzuconą kamienną płytę. Na jej wierzchu

widniał wyryty krzyż, który teraz zarósł mchem. Szczątki zostały posortowane w taki sposób, że długie poźółkłe kości nóg złożone były razem, a żebra tworzyły własny stos. – Domyślam się, że z czaszek ułożono górną warstwę – rzekł Finan.

– Kim byli ci ludzie? – Schyliłem się, żeby przyjrzeć się dołowi.

– Pewnie mnichami. Może zginęli, kiedy przybyli pierwsi Norwegowie? – Odwrócił się na zachód. – A te nieszczęsne dranie się ich boją. To armia zmarłych. Ich zmarłych! Zażądamy więcej złota, zanim przekroczą widmowy płot.

– Więcej złota?

Finan uśmiechnął się krzywo.

– Ragnall zapłacił złotem Uí Néill za pojmanie Stiorry. Ale jeśli mają walczyć zarówno z żywymi, jak i z umarłymi, zażądamy więcej złota, niż dotychczas dostali.

– Zmarli nie walczą – odparłem.

Finan się obruszył.

– Jesteś Sasem. Czasem wydaje mi się, że o niczym nie masz pojęcia! Nie, zmarli nie walczą, ale się mszczą! Chcesz, żeby krowom kisło mleko w wymionach? Żeby twoje plony zmarniały? Twoje bydło słabło? Twoje dzieci chorowały?

Słyszałem pojękiwania irlandzkich księży i zastanawiałem się, czy powietrze wypełniają niewidzialne duchy toczące bitwę na zaklęcia. Na myśl o tym dotknąłem swojego młota, po czym zapomniałem o duchach, bo mój syn wołał mnie z plaży na dole.

– Ojczy, łodzie!

Zobaczyłem dwie ostatnie łodzie przybywające z południa, co oznaczało, że Orvar przekonał ich załogi, żeby zdradziły Ragnalla. W ten sposób zdobyłem flotę i zaczątki wojsk.



– Musimy uratować rodzinę Orvara – powiedziałem.

– Obiecaliśmy mu to – zgodził się Finan.

– Ragnall nie wziął ich ze sobą. Nikt nie chce, żeby kobiety i dzieci spowalniały marsz wojsk podczas najazdu w głąb wrogiego kraju.

– Chciał jednak, żeby były bezpieczne – zauważył Finan.

Co oznaczało, że umieścił je w Eoferwicu. To miasto stanowiło bazę Ragnalla, jego szaniec. Wiedzieliśmy, że odesłał tam część swoich wojsk zapewne po to, żeby strzegła rzymskich murów, gdy reszta jego ludzi grabiła Mercję.

– Miejmy nadzieję, że nie ma ich w Dunholmie – powiedziałem. Warownia Bridy była potężna i wznosiła się na grani nad rzeką.

– To miejsce byłoby kurewsko trudno znów zająć – odparł Finan.

– Będą w Eoferwicu – rzekłem, modląc się, żebym się nie mylił.

To w Eoferwicu zaczęła się moja historia – pomyślałem. To pod murami tego miasta zginął mój ojciec. To tam zostałem panem Bebbanburga. Tam spotkałem Ragnara Starszego i dowiedziałem się o dawnych bogach.

Nadszedł czas, żeby tam wrócić.

CZEŚĆ TRZECIA  
**BRATOBÓJCZA WOJNA**

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Doświadczyłem w swoim życiu koszmarnych podróży. Byłem niewolnikiem, który poruszał ciężkim wiosłem na wzburzonym morzu, marzył od wodnej mgły, walczył z bałwanami i wiatrem, wciągał łódź na skaliste wybrzeże otoczone lodem. Niemal pragnąłem, żeby morze nas pochłonęło. Skomleliśmy z zimna i ze strachu.

Ta była gorsza.

Byłem na pokładzie Archanioła, kiedy flota Guthruma zginęła w nagłym sztormie, który w szale zaatakował morze u zachodniosaskich wybrzeży. Wiatr wył, fale przypominały białe demony, maszty się połamały, żagle porwały się na strzępy, a łodzie tonęły jedna po drugiej. Przez wiele dni słyszałem krzyki tonących.

Ta była gorsza.

Gorsza, mimo że morze było spokojne, fale łagodne, a słaby wiatr cicho wiał z zachodu. Nie widzieliśmy wrogich statków. Podróżowaliśmy po morzu potulnym jak staw dla kaczek, a jednak każda minuta rejsu nappełniała nas trwogą.

Opuściliśmy lagunę w porze przypływu, kiedy nieokiełznane prądy przecinające płyciznę były leniwe i spokojne. Mieliśmy teraz pięć łodzi. Wszystkie załogi Ragnalla na Loch Cuan złożyły przysięgę wierności Sigtryggrowi, a to oznaczało, że możemy również liczyć na lojalność ich krewnych, a także wszystkich krewnych ludzi Sigtryggra i moich. Łodzie pomyślane były na nie więcej niż siedemdziesiąt osób, tymczasem na

pokładach znajdowało się niemal dwustu ludzi. Zanurzyły się głęboko w morzu, niewielkie fale nieustannie przelewały się przez burty, więc ci ludzie, zamiast wiosłować, musieli wybierać wodę. Wyrzuciliśmy za burtę część kamieni balastowych, ale to sprawiło, że łodzie zostały niebezpiecznie przeciążone na pokładzie i niepokojąco kołysały się za każdym razem, gdy tylko dotarł do nas z południa lub północy jakiś zagubiony powiew wiatru. Nawet najdrobniejsza zmarszczka na powierzchni wody groziła nam zatonięciem. Pełziliśmy przez morze, ale ani przez chwilę nie czułem się bezpiecznie. Nawet podczas najgorszej nawałnicy ludzie mogą wiosłować, mogą stawić czoło bogom, ale tych pięć wątych łodzi na spokojnym morzu sprawiało wrażenie tak bardzo kruchych. Najgorzej było w nocy. Wiatr całkiem cichł, co mogło być naszym wybawieniem, ale w nocnym mroku nie widzieliśmy drobnych fal, tylko czuliśmy, jak przelewają się przez burty. Wiosłowaliśmy powoli, nieprzerwanie przez ciemności, zarzucając bogów modlitwami. Strześliśmy się fal wzbijanych przez wiosła, a jednocześnie staraliśmy się trzymać pozostałych łodzi, nieprzerwanie modląc się do każdego znanego nam boga.

I bogowie nas wysłuchali, bo nazajutrz komplet łodzi bezpiecznie dotarł do wybrzeży Brytanii. Plaża spowita była mgłą tak gęstą, że ukryły się w niej wszystkie cyple od północy do południa, aż Dudda zmarszczył brwi ze zdumienia.

– Bóg jeden wie, gdzie jesteśmy – przyznał w końcu.

– Bez względu na to płyniemy do brzegu – zdecydowałem.

Powiosłowaliśmy więc prosto do plaży, gdzie chlupotały drobne fale, a dźwięk kilu trącego o piasek był najpiękniejszą muzyką, jaką kiedykolwiek słyszałem.

– Słodki Jezu – odezwał się Finan. Wskoczył na brzeg i padł na kolana. Przeżegnał się ze słowami: – Modłę się do Boga, żeby nigdy więcej nie zobaczyć łodzi.

– Módl się raczej, by się nie okazało, że dotarliśmy do Strath Cloty – powiedziałem.

Wiedziałem tylko, że wiosłując na wschód, przebyliśmy morze w miejscu, gdzie Northumbria graniczy ze Szkocją, a także iż szkockie wybrzeże zamieszkują barbarzyńcy, którzy swój kraj nazywają Strath Clota. To dziki kraj zaludniony przez łupieżcze bandy, bezlitosnych wojaków i pełen ponurych fortec. Mieliśmy wystarczająco dużo ludzi, żeby przebić się na południe, gdybyśmy wylądowali w Szkocji, nie chciałem, aby ścigali nas rozczochrani tubylcy, żądni zemsty, łupów i niewolników.

Spojrzałem we mgłę, zobaczyłem trawę na wydmach i ciemne stoki wznoszących się ponad nimi wzgórz. Pomyślałem, że tak musiał czuć się mój przodek, kiedy przepłynął Morze Północne i wylądował na nieznaną plażę w Brytanii, nie wiedząc, gdzie jest ani jakie czekają go niebezpieczeństwa. Nazywał się Ida. Ida Niosący Ogień. To właśnie on zajął wysokie wzgórze dominujące nad sinym morzem, gdzie wzniesiono Bebbanburg. I jego ludzie, tak samo jak moi, musieli brodzić między drobnymi, grzywiastymi falami, żeby przenieść broń na nieznaną ziemię, i spoglądali w głąb lądu, zastanawiając się, jaki nieznaną wróg na nich czeka. Pokonali nieprzyjaciół, a ziemia, którą podbili wojownicy Idy, teraz była moją ziemią. Wrogowie Idy Niosącego Ogień zostali wyparci z pastwisk i dolin, wygnani do Walii, Szkocji i Kornwalii, porzucone przez nich ziemie stały się naszymi ziemiami, a my pragnęliśmy, by pewnego dnia zaczęły być nazywane Anglią.

Sigtryggr wyskoczył na ląd.

– Witaj w swoim królestwie, panie – powiedziałem. – Mam przynajmniej nadzieję, że pewnego dnia będzie to twoje królestwo.

Spojrzał na wydmy porośnięte bladą trawą.

– To jest Northumbria?

– Mam taką nadzieję.

Wyszczrzył zęby.

– Dlaczego nie ma to być twoje królestwo, panie?

Przyznam, że kusiła mnie ta myśl. Zostać królem Northumbrii. Być władcą ziem, nad którymi niegdyś panował mój ród? Z mojego rodu bowiem wywodzili się królowie. Potomkami Idy Niosącego Ogień byli władcy Bernicji, królestwa obejmującego Northumbrię i południowe części Szkocji. To właśnie król Bernicji wzniósł Bebbanburg na ponurej nadmorskiej skale. Przez chwilę, stojąc na spowitej mgłą plaży, za którą toczyły się powolne spienione fale, wyobrażałem sobie koronę na swojej głowie. A potem pomyślałem o Alfredzie.

Nigdy zbyt go nie lubiłem – z wzajemnością, ale nie byłem takim głupcem, żeby uważać go za złego króla. Był dobrym władcą, ale bycie królem oznacza tylko obowiązki i odpowiedzialność i to przytłoczyło Alfreda, naznaczyło jego twarz bruzdami i nagniotkami na kolanach od zbyt częstych modłów. Moja pokusa miała swe źródła w dziecięcym wyobrażeniu władzy królewskiej, jakby bycie królem oznaczało robienie wszystkiego, na co ma się ochotę. Z jakichś powodów wyobraziłem sobie Mus, dziecko nocy z Ceasteru, i musiałem się uśmiechnąć. Sigtryggr wziął mój uśmiech za zgodę na jego propozycję.

– Powinieneś zostać królem, panie – powiedział.

– Nie – odparłem stanowczo i przez chwilę kusiło mnie, żeby wyjawić mu prawdę, ale nie mogłem posadzić go na tronie Northumbrii, mówiąc mu jednocześnie, że jest ona skazana na zagładę.

Nie znamy przyszłości. Może niektórzy, jak moja córka, potrafią czytać runy i odnajdywać przepowiednie w ich zawiłych układach, a innym, jak dziewczce wiedźmie z jaskini, która kiedyś przepowiedziała mi życie, bogowie zsyłają sny, ale dla większości z nas przyszłość jest mgłą i jesteśmy w stanie widzieć w przód tylko tyle, na ile pozwala ta mgła. A jednak byłem pewny, że Northumbria jest skazana na zagładę. Na północ od niej leżała Szkocja, zamieszкана przez nieokiełznany, okrutny i dumny lud. Naszym przeznaczeniem jest walka z nim, może nigdy nierozstrzygnięta, nie miałem jednak ochoty prowadzić wojsk między jego dzikie wzgórza. Pozostanie w szkockich dolinach oznacza zasadzkę, natomiast marsz na wyżynę – śmierć głodową. Szkoci mogli zatrzymać sobie swoją ziemię, ale gdyby pomyśleli o zabraniu naszej, sprawilibyśmy im krwawą jatkę. Podobnie oni wycięliby nas w pień, gdybyśmy najechali ich wzgórza.

Ziemie na południe od Northumbrii zamieszkiwali Sasi, a oni mieli pewne marzenie. Marzenie Alfreda, któremu służyłem niemal całe swoje życie – zjednoczenie królestw zamieszkaných przez Sasów i stworzenie z nich jednego kraju. Northumbria stanowiła ostatnią część tego marzenia. Aethelflaed całą duszą pragnęła je zrealizować. Złamałem w życiu wiele przysiąg, ale nigdy tej, którą złożyłem Aethelflaed. Zamierzałem uczynić Sigtryggra królem, ale pod warunkiem że będzie żył w pokoju z Mercją. Chciałem posadzić go na tronie, żeby doprowadzić do upadku jego brata i zyskać sposobność do ataku na Bebbanburg. Zamierzałem to zrobić, mimo że w akcie tym tkwiło ziarno śmierci królestwa, bo choć Sigtryggr musiał przysiąc, że będzie utrzymywał pokojowe stosunki z Mercją, nie zamierzałem prosić Aethelflaed, aby zachowała pokój z jego królestwem. Northumbria znalazłaby się w potrzasku między barbarzyństwem Północy a ambicjami Południa.

Słowem nie napomknąłem o tym wszystkim Sigtryggrowi. Objąłem go za to ramieniem i zaprowadziłem na szczyt wydmy, z której obserwowaliśmy mężczyzn i kobiety przybijających do brzegu. Mgła się podnosiła i wzdłuż całej plaży widać było broń i tarcze niesione przez niskie fale. Dzieci, opuściwszy zatłoczone łodzie, biegały po piasku, piszczały i się przewracały.

- Pomaszerujemy pod twoją chorągwią – powiedziałem Sigtryggrowi.
- Pod czerwonym toporem.
- Ludzie będą myśleli, że służysz swemu bratu.
- Pójdziemy do Jorviku.
- Tak. Do Eoferwicu.

Sigtryggr zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś. Zaczęła wiać morska bryza, która zmierzwiła jego jasne włosy. Patrzył na łodzie i wiedziałem, że myśli, iż szkoda je porzucać, nie mieliśmy jednak wyboru. Jakiś chłopczyk wywrócił się na wydmie i patrzył z otwartą buzią na Sigtryggra. Burknąłem coś i wystraszone dziecko uciekło.

- Nie lubisz dzieci, co? – zapytał z rozbawieniem Sigtryggr.
- Nie znoszę ich. Hałaśliwe, małe gnojki.

Roześmiał się.

- Twoja córka twierdzi, że byłeś dobrym ojcem.
- To dlatego, że niemal mnie nie widywała – odparłem.

Poczułem lekkie ukłucie w sercu. Poszcęściło mi się, jeśli chodzi o dzieci. Stiorra wyrosła na kobietę. Każdy mężczyzna byłby dumny, mogąc nazywać ją córką. Uhtred, który nosił włócznie przez płyciznę i żartował z towarzyszami, był wspaniałym mężczyzną i dobrym wojownikiem. Ale mój najstarszy? Mój wykastrowany syn? Uważałem go za najmądrzejszego z całej trójki, może nawet najlepszego z nich, ale wiedziałem, że nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi.



– Ojciec nigdy mnie nie lubił – powiedziałem.

– Mój mnie też, w każdym razie odkąd stałem się mężczyzną – odparł Sigtryggr. Odwrócił się i spojrzał w stronę łądu. – A zatem co teraz robimy? – zapytał.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy. Przy odrobinie szczęścia znajdujemy się w pobliżu Cair Ligualid, najpierw więc musimy znaleźć miejsce dla rodzin. Później pomaszerujemy do Eoferwicu.

– Ile to nam zajmie czasu?

– Bez koni? Tydzień.

– Miasto jest dobrze strzeżone?

– Zostało otoczone porządnymi murami, ale leży na równinie. Potrzebuje licznego garnizonu.

Kiwnął głową.

– A jeśli mój brat tam jest?

– Wówczas wszystko będzie zależało od nas. Ale i tak zależy. Nie będziemy bezpieczni, dopóki on nie zginie.

Wątpiłem w to, by Ragnall wrócił do Eoferwicu. Mimo klęski poniesionej pod Eads Byrig nadal dowodził ogromną armią i musiał dać jej okazję dokonania rabunku. Podejrzewałem, że jego wojowie nadal plądrują Mercję, ale przypuszczałem też, że odeśle część sił do Eoferwicu, żeby utrzymali miasto do jego powrotu. Nie wykluczałem jednak, że mogę się mylić. Maszerowaliśmy na oślep, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że nasze statki wylądowały w Northumbrii, ponieważ kiedy wczesnym przedpołudniem, po opadnięciu mgły, wszedłem na pobliskie wzgórze, zobaczyłem dym unoszący się ze sporego miasta na północy. To musiał być Cair Ligualid, ponieważ w Kumbrii nie było innego dużego ośrodka.

Kumbria była zachodnią częścią Northumbrii, leżącą na zachód od gór. Zawsze było to miejsce dzikie i bezprawne. Władcy rządzący Eoferwikiem

twierdzą wprawdzie, że panują również w Kumbrii, ale niewielu zapuściłoby się tam bez licznych wojsk, a jeszcze mniej liczni w ogóle dostrzegliby korzyść z takiej podróży. Był to rejon wzgórz, jezior, głębokich dolin i ciemnych lasów. Region ten zamieszkiwali Duńczycy i Norwegowie, wznosili osiedla chronione solidnymi palisadami, ale na ziemiach tych nikt się nie wzbogacał. Były tu tylko owce, kozy, trochę lichych poletek jęczmienia i mnóstwo wrogów. Dawni mieszkańcy, ogorzali i drobni, nadal zamieszkiwali wysoko położone doliny, gdzie nadal czcili wszędzie indziej zapomnianych bogów, a Szkoci nieustannie przekraczali rzekę Hedene, by kraść bydło i zdobywać niewolników. Rzeki tej strzegł Cair Ligualid, a nawet to miasto by nie powstało bez Rzymian, którzy wzniesli je, ufortyfikowali, a w centrum postawili potężny kościół.

Niegdyś była to imponująca warownia, równie potężna, jak Ceaster czy Eoferwic, ale czas nie okazał się dla niej łaskawy. Kamienne mury częściowo się zawaliły, rzymskie budowle w większości popadły w ruinę, pozostały tylko zaniedbane drewniane chaty z dachami pokrytymi omszałą strzechą. Kościół nadal wprawdzie stał, choć większość jego murów się zawaliła i została zastąpiona drewnianymi belkami, dachówki dawno już zniknęły. A mimo to lubiłem tę budowlę, bo właśnie tam po raz pierwszy zobaczyłem Giselę. Kiedy wjechaliśmy do Cair Ligualid, poczułem ukłucie w sercu z powodu jej utraty i zerknąłem ukradkiem na Stiorrę, która tak bardzo przypominała matkę.

W mieście nadal przebywali mnisi, choć początkowo wzięłem ich za żebraków albo włóczęgów w dziwnych sukniach. Ich brunatne habity były połatane, postrzępione na brzegach i tylko tonsury oraz masywne drewniane krzyże zdradzały, że tych kilku mężczyzn to zakonnicy. Najstarszy z nich, o rzadkiej brodzie sięgającej niemal pasa, wyszedł nam naprzeciw.

– Kim jesteście? Czego chcecie? I kiedy opuścicie miasto? – zapytał.

– A ty kim jesteś? – odpowiedziałem pytaniem.

– Jam opat Hengist. – Jego ton sugerował, że powinienem rozpoznać jego imię.

– Ty władasz tym miejscem? – zapytałem.

– Bóg Wszechmogący.

– On jest tu jarlem?

– On jest najpotężniejszym z jarłów na ziemi i w jej głębinach. Jest jarlem stworzenia!

– Dlaczego więc nie naprawił wam murów?

Opat Hengist zmarszczył brwi, nie wiedząc, co mi odpowiedzieć.

– Kim jesteś?

– Człowiekiem, który wypruje ci flaki z dupy, jeśli nie powiesz mi, kto włada Cair Ligualid – odparłem uprzejmie.

– Ja! – odrzekł Hengist, robiąc krok w tył.

– Dobrze! – rzuciłem oschle. – Zostaniemy tu dwie noce. Jutro pomożemy ci naprawić mury. Nie sądzę, byś miał wystarczająco dużo żywności dla nas wszystkich, jednak możesz dostarczyć nam ale. Zostawimy pod twoją opieką kobiety i dzieci, a ty będziesz je żywić do czasu, aż po nie przyślemy.

Opat patrzył na tłum, który wszedł do jego miasta.

– Nie mogę wykarmić całej tej...

– Jesteś chrześcijaninem?

– Oczywiście!

– Wierzysz w cuda? – zapytałem, a on przytaknął. – Lepiej więc przynieś pięć bochenków i dwie ryby – ciągnąłem – i módl się, żeby twój

żałosny bóg postarał się o resztę. Zostawię tu też pewną liczbę wojowników.

– Nie możemy...

– Możecie – warknąłem. Podszedłem do niego, złapałem za przód niechlujnego habitu, chwytając jednocześnie za siwą brodę. – Będiesz ich karmił, ty okropny, nędzny człowieczku – powiedziałem. – I ich bronił. – Potrząsałem nim, wymawiając te słowa. – A jeśli okaże się, że brakuje choćby jednego dziecka albo choć jedno będzie głodne, kiedy po nie przyślę, obedrę cię ze skóry aż do tych twoich cherlawych kości i nakarmię nimi psy. Masz pułapki na ryby? Masz ziarno? Masz zwierzęta domowe? – Czekałem, aż niechętnie udzielił twierdzącej odpowiedzi na każde z pytań. – Więc je wykarmisz! – Ponownie nim potrząsałem, a potem puściłem. Potknął się i upadł na tyłek. – No, to się dogadaliśmy – rzuciłem radośnie. Poczekalem, aż nieporadnie wstał. – Potrzebujemy też drewna do naprawy murów.

– Nie mamy drewna – jęknął.

Zauważyłem tylko kilka drzew w pobliżu miasta, ale nawet one były skarłowaciałe, pogieęte przez wiatr i nie nadawały się do łatania antycznych murów.

– Nie macie drewna? A z czego zbudowany jest twój klasztor? – zapytałem.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, aż w końcu wyszeptał:

– Z drewna.

– No właśnie! – zawołałem radośnie. – Oto odpowiedź na wszystkie nasze problemy!

Nie mogłem zabrać żon i dzieci do Eoferwicu. Kobiety potrafią maszerować równie szybko jak mężczyźni, ale dzieci by nas opóźniały. Poza tym nie mieliśmy żywności, więc zaopatrzenie w czasie podróży

trzeba było kupować, kraść albo wyłudzać. A zatem im mniej gąb do wyżywienia, tym lepiej. Nie można było wykluczyć, że dotrzemy do Eoferwicu głodni, ale pewne było, że w mieście znajdziemy magazyny wypełnione ziarnem, wędzonym mięsem i rybami.

Przed wyruszeniem w drogę musieliśmy jednak zapewnić byt rodzinom, które zamierzaliśmy tu zostawić. Mężczyźni byli dość chętni do walki, ale chcieli mieć pewność, że ich żonom i dzieciom nic nie grozi, dlatego cały dzień spędziliśmy na naprawianiu obwarowań Cair Ligualid za pomocą ciężkich belek pozyskanych z klasztoru. Budynek mogące dać schronienie siedemdziesięciu osobom zamieszkiwało tylko siedmiu mnichów i dwóch małych chłopców, a krokwie i filary tworzyły solidną palisadę. Do obrony obwarowań zostawiliśmy trzydziestu sześciu wojowników, w większości starszych albo rannych. Nie było szans, żeby oparli się oblężeniu na wielką skalę przeprowadzonemu przez wrzeszczących wojowników, ale taki atak był mało prawdopodobny. Szkockie bandy zbrojne rzadko liczyły ponad czterdziestu–pięćdziesięciu ludzi. Byli to zaciekli w boju mężowie dosiadający drobnych koników, ale raczej nie przekraczali rzeki, żeby zginąć na rzymskich murach. Zadawali się porywaniem niewolników z pól i bydła z górskich pastwisk, dlatego niewielki oddział, jaki zamierzaliśmy pozostawić razem z mieszkańcami grodu, powinien wystarczyć do odparcia ataku na miasto. Dla pewności podnieśliśmy w kościele płytę i odkryliśmy kryptę wypełnioną kośćmi. Wyjeliśmy z niej trzydzieści sześć czaszek i ułożyliśmy je wokół obwarowań, zwrócone pustymi oczodołami na zewnątrz.

– To byli mnisi – sprzeciwił się opat Hengist.

– Chcesz, żeby wrogowie zgwałcili twoich dwóch nowicjuszy? – zapytałem.

– Boże dopomóż, nie!

– To jest widmowy płot. Martwi będą strzegli żywych – wyjaśniłem.

Stiorra ubrała się w czerni, odśpiewała dziwne zaklęcie nad każdym z trzydziestu sześciu strażników, po czym nazaczyła ich czoła nic niemówiącym mi symbolem. Był to tylko zawijas z wilgotnej sadzy, ale opat zobaczył znak i słyszał śpiew – bał się pogańskiej magii, która była zbyt potężna jak na jego słabą wiarę. Niemal zrobiło mi się go żal, bo próbował utrzymać przy życiu swoją religię w miejscu, gdzie panowało pogaństwo. Najbliższe gospodarstwa należały do Norwegów, którzy czcili Thora i Odyna, składali w ofierze zwierzęta dawnym bogom i nie żywili żadnych ciepłych uczuć do jego ukrzyżowanego odkupiciela.

– Dziwi mnie, że cię nie zabili – powiedziałem.

– Paganie? – zapytał, wzruszając ramionami. – Niektórzy chcieli, ale najpotężniejszym jarlem w tej okolicy jest Geir. – Kiwnął głową na południe, żeby pokazać, gdzie leżą ziemie Geira. – Jego żona była śmiertelnie chora, panie, więc przyprowadził ją do nas i kazał nam sprawić, aby nasz Bóg ją ocalił. Co w swoim bezbrzeżnym miłosierdziu uczynił. – Przeżegnał się, wymówiwszy te słowa.

– Co zrobiliście? – zapytałem. – Modliliście się?

– Oczywiście, panie, ale też kłuliśmy jej pośladki strzałą Świętej Begi.

– Kłuliście ją w tyłek? – zapytałem z niedowierzaniem.

Przytaknął.

– Święta Bega broniła łukiem ziem należących do jej klasztoru, ale nie zamierzała zabijać. Jedyne odstraszyć złoczyńców. Zawsze mówiła, że Bóg kierował jej strzałami, a my jesteśmy w szczęśliwym posiadaniu jednej z nich.

– Bóg strzelał tym draniom w dupy?

– Tak, panie.

– I teraz Geir was chroni? – zapytałem.

- Tak, panie, dzięki Świętej Bedze i jej błogosławionym strzałom.
- Gdzie zatem jest ten Geir?
- Dołączył do Ragnalla, panie.
- A jakie masz wieści o Ragnallu lub Geirze?
- Żadnych, panie.

Tego się spodziewałem. Kumbria leży za bardzo na uboczu, istotne jednak było to, że Geir uznał, iż warto przejść przez góry i dołączyć do wojsk Ragnalla.

- Dlaczego przyłączył się do jarla Ragnalla? – zapytałem.

Opat wzdrygnął się, a jego ręka zadrżała, jakby miał zamiar się przeżegnać.

– Bał się, panie. – Spojrzał na mnie nerwowo. – Jarl Ragnall przesłał wiadomość, że wytnie wszystkich mężczyzn w okolicy, jeśli nie stawią się na jego wezwanie. – Przeżegnał się i na chwilę zamknął oczy. – Wszyscy opuścili tę okolicę, panie! Wszyscy właściciele ziemscy posiadający broń. Ze strachu przed nim. A słyszałem, że jarl Ragnall nienawidzi chrześcijan!

- To prawda.
- Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział, wzdychając.

A zatem Ragnall rządził wyłącznie strachem, a to działa dopóty, dopóki odnosi się zwycięstwa, i przez chwilę miałem poczucie winy na myśl o tym, co jego wojska robią w Mercji. Zapewne paliły i niszczyły wszystko, czego nie chroniły burhy, i mordowały wszystkich, którzy nie ukryli się w warownych grodach. Aethelflaed powinna jednak zaatakować północ. Broniła Mercji, podczas gdy trzeba było najechać Northumbrię. Nie można uwolnić domu od plagi os, zabijając jednego owada po drugim – należy znaleźć gniazdo i je spalić. Byłem potomkiem Idy Niosącego Ogień i tak jak on przyniosłem pożogę z za morza i miałem nieść płomień przez góry.

Wyruszyliśmy nazajutrz rano.

To była trudna podróż przez trudny kraj. Znaleźliśmy w pobliżu Cair Liguallid trzy kuce i muła, ale żadnego konia. Stiorra z córką jechały na kucach, reszta jednak musiała podróżować pieszo, niosąc kolczugi, broń, tarcze i żywność. Gasiliśmy pragnienie w górskich strumykach, zabijaliśmy owce na wieczerzę i piekliśmy ich żeberka na wątlých ogniskach z paproci i ostrokrzewu. Wszyscy przywykliśmy ruszać na wojnę konno lub w łodziach, nasze obuwie nie było więc odpowiednie do tak długiego marszu. Drugiego dnia zacząłem się obawiać, że buty moich wojowników podrażnią się na kamiennych ścieżkach, rozkazałem im więc iść bosy, żeby oszczędzili obuwie na bitwę. To spowolniło pochód, bo ludzie utykali i potykali się o kamienie. Nie było tu wygodnych rzymskich traktów wskazujących drogę, lecz jedynie ścieżki wydeptane przez owce, kozy, prowadzące przez wysokie wzgórza, no i północny wiatr, w przenikliwych porywach niosący deszcz. Na pierwsze dwie noce nie znaleźliśmy schronienia, mieliśmy też mało żywności. Trzeciego dnia jednak zesliśmy do żyznej doliny, gdzie bogate gospodarstwa oferowały ciepło. Kobieta i dwóch starszych służących patrzyli, jak nadjeżdżamy. Było nas ponad trzystu pięćdziesięciu, wszyscy nieśliśmy broń, a kobieta, widząc, że nie ma szans stawić oporu, zostawiła szeroko otwartą bramę. Miała siwe włosy, niebieskie oczy i wyprostowaną sylwetkę. Była panią dworu, dwóch stodoł i rozpadającej się obory.

– Mojego męża nie ma – przywitała nas lodowatym tonem.

– Pojechał do Ragnalla? – zapytałem.

– Tak, do jarla Ragnalla – W jej głosie usłyszałem przyganę.

– Ilu ludzi wziął ze sobą?

– Szesnastu, a wy kim jesteście?

– Wojownikami wezwanymi przez jarla Ragnalla – odparłem wymijająco.



- Słyszałam, że potrzebuje więcej ludzi – zauważyła z pogardą.
- Co słyszałaś, pani? – zapytałem zaintrygowany jej tonem.
- Njall wam powie. Zapewne zamierzacie mnie obrabować.
- Zapłacę za wszystko, co weźmiemy.
- I tak będziemy głodni. Nie nakarmię ludzi twoim srebrem.

Okazało się, że Njall należy do szesnastu wojowników, którzy pojechali na południe, żeby dołączyć do wojsk Ragnalla. Stracił prawą dłoń na Eads Byrig i wrócił do swojej odosobnionej doliny, gdzie uprawiał kilka nieurodzajnych pól. Tego wieczoru przyszedł do dworu. Był to posepny mężczyzna, miał rudą brodę, zabandażowany kikut i pełną urazy żonę. Większość moich ludzi jadła w przestronnej stodole, posilali się trzema zaszlachtowanymi wieprzkami i dwiema kozami, jednak Lifa – pani posiadłości pod nieobecność męża – nalegała, aby niektórzy z nas skorzystali z gościny w dworze, gdzie podano nam wołowinę, jęczmienny chleb i ale.

- Mamy harfistę, ale pojechał na południe z mężem – powiedziała.
  - I już nie wróci – dodał Njall.
  - Został zabity – wyjaśniła Lifa. – Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zabijać harfistów?
  - Byłem tam – odezwał się Njall. – Widziałem, jak dostał cios włócznią w plecy.
  - Opowiedz więc swoją historię, Njallu – rozkazała niecierpliwie nasza gospodyni. – Niech wiedzą, z jakiego rodzaju przeciwnikiem będą mieli do czynienia.
  - Uhtred – warknął Njall.
  - Słyszałem o nim – odparłem.
- Njall spojrzał na mnie z urazą.

– Ale z nim nie walczyłeś.  
– To prawda. – Dolałem sobie ale. – Cóż takiego się wydarzyło?  
– Ma ze sobą wiedźmę, która mu pomaga – powiedział Njall, dotykając młota Thora na szyi. – Czarownicę.

– O tym nie wiedziałem.

– Mercyjska wiedźma. Nazywa się Aethelflaed.

– Aethelflaed jest wiedźmą? – wtrącił się Finan.

– W przeciwnym razie jakim cudem panowałyby w Mercji? – zapytał z urazą Njall. – Uważasz, że kobieta jest w stanie rządzić, nie uciekając się do czarów?

– A zatem co się wydarzyło? – zapytał Sigtryggr.

Wyciągnęliśmy z niego opowieść. Twierdził, że Ragnall usidlił nas w Ceasterze, choć nie mógł sobie przypomnieć nazwy miasta, tylko tyle, że była to warownia otoczona kamiennymi murami. Utrzymawał, że zostały wzniesione przez duchy na służbie Aethelflaed.

– Mimo że znaleźli się w potrzasku i jarl zapowiedział, że będzie ich trzymał za murami do chwili zdobycia całej Mercji. Wiedźma jednak posłała po burzę i Uhtred przybył na porannym wietrze.

– Na porannym wietrze?

– Przybył z burzą. A razem z nim cała horda, ale on dowodził. Miał ognisty miecz i lodową tarczę. Wiózł ze sobą piorun.

– A jarl Ragnall? – zapytałem.

Njall wzruszył ramionami.

– Żyje. Nadal ma armię, ale Uhtred też. – Niewiele więcej wiedział, bo po upadku Eads Byrig odcięliśmy mu dłoń i go zwolniliśmy. Powiedział, że wtedy ruszył w drogę do domu, ale po chwili dodał kolejny strzęp informacji. – Z tego, co wiem, jarl mógł zginąć. Zamierzał jednak dalej

podbijać Mercję. Do czasu aż jego wiedźma użyje swojej wiedzy magicznej.

– Jego wiedźma?

Njall ponownie dotknął amuletu.

– Jak walczy się z czarownicą? Przy pomocy innej czarownicy, rzecz jasna. Jarl znalazł potężną wiedźmę. Staruchę! Ona wytwarza zmarłych.

Przez chwilę wpatrywałem się w niego w milczeniu.

– Wytwarza zmarłych?

– Podróżowałem w jej towarzystwie na północ, wtedy wszystko mi wyjaśniła – powiedział, ściskając młot Thora.

– Co ci wyjaśniła? – zapytał Sigtryggr.

– Chrześcijanie czczą zmarłych – powiedział Njall. – We wszystkich ich kościołach znajduje się idol jakiegoś umarlaka, a nawet przechowują szczątki trupów w srebrnych szkatułach.

– Relikwiarzach – wtrącił się Finan.

– I rozmawiają z tymi szczątkami, a zmarli mają dostęp do ich boga. – Rozejrzał się po siedzących wokół stołu z obawą, że nikt mu nie uwierzył. – Tak to robią! Tak rozmawiają ze swoim bogiem.

– To nie jest takie głupie – odezwał się ostrożnie Sigtryggr, patrząc na mnie.

Kiwnąłem głową.

– Żywym trudno rozmawiać z bogami – zauważyłem.

– U chrześcijan jest inaczej – powiedział Njall. – Dlatego właśnie odnoszą zwycięstwa. Dlatego ich wiedźma ma taką moc! Ich bóg słucha zmarłych.

Finan, jedyny chrześcijanin przy stole, uśmiechnął się chytrze.

– A może chrześcijanie odnoszą zwycięstwa, bo mają po swojej stronie Uhtreda?

– A dlaczego mają go po swojej stronie? – zapytał gwałtownie Njall. – Ponoć on czci naszych bogów, a mimo to walczy w imię boga chrześcijan. Ta wiedźma rzuciła na niego czar!

– To prawda – przyznał mu rację Finan z takim entuzjazmem, że miałem ochotę kopnąć go pod stołem.

– Ten bóg musi czuć się samotny – rzekła zamyślonym tonem Lifa, nasza gospodyni. – Nasi bogowie mają towarzystwo. Razem uczują, walczą. A ich bóg? Nikogo nie ma.

– Dlatego słucha zmarłych – podsunął Sigtryggr.

– Ale tylko chrześcijańskich – obstawał przy swoim Njall.

– Co wiedźma Ragnalla – niemal powiedziałem „Brida”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język – może z tym zrobić?

– Wysłać wiadomość do ich boga – odparł Njall.

– Wiadomość?

– Twierdzi, że wyśle do niego zastęp zmarłych, którzy powiedzą mu, że ma odebrać moc mercyjskiej wiedźmie, bo w przeciwnym razie zabije wszystkich chrześcijan w Brytanii.

Niemal wybuchnąłem śmiechem. Tylko Brida – pomyślałem – jest wystarczająco szalona, żeby grozić bogu! A potem się wzdrygnąłem. Zamierzała wysłać zastęp posłańców? A gdzie ich znajdzie? Musieli to być chrześcijanie, w przeciwnym razie ukrzyżowany ich nie wysłucha. W wielu miejscach w Northumbrii klasztory zostały spalone, a mnisi i zakonnicy wymordowani albo wygnani. Kościół nadal dobrze prosperował w jednym tutejszym mieście. Można było w nim znaleźć wystarczająco licznych chrześcijan, aby po śmierci wykrzyżowanemu jej buntowniczą wiadomość.

Pojechała do Eoferwicu.

I my też tam ruszyliśmy.

Powiedziałem Sigtryggowi, że Eoferwic leży na równinie, i to była prawda, chociaż wznosiła się ona nieco nad niziną otaczającą miasto. Miasto znajdowało się również między dwoma łączącymi się rzekami i to samo w sobie utrudniało atak na warownię. Jego mury niemal zupełnie uniemożliwiały przeprowadzenie ataku, ponieważ były dwukrotnie wyższe od obwarowań Ceasteru. W murach pozostawiono rozległe wyrwy, kiedy mój ojciec oblegał miasto, ale były one tylko przynętą prowadzącą w sidła i w ich szczękach właśnie zginął. Teraz zostały zabudowane, a nowa kamieniarka wyglądała znacznie lżej niż stara. Na murach zatknięto krwiście czerwoną chorągiew opatrzoną toporem Ragnalla, która leniwie powiewała na wysokim drzewcu nad południową bramą.

Byliśmy obszarpanym wojskiem, nadal poruszającym się przede wszystkim boso, chociaż udało nam się kupić albo ukraść kilkanaście koni, kiedy po opuszczeniu dworu Lify przemierzaliśmy wzgórze. Większość z nas nie miała butów, była zmęczona i brudna. Około trzydziestu ludzi pozostało w tyle, ale reszta nadal niosła swoje kolczugi, broń i tarcze. Gdy zbliżyliśmy się do miasta, rozwinęliśmy chorągiew Sigtryggra, która do złudzenia przypominała sztandar jego brata. Orvar i jego ludzie dosiedli koni, a Stiorra ubrana w białą szatę jechała z córką na czarnej klaczy. Finan oraz dwóch Norwegów Orvara jechali z obu ich stron, udając, że ich pilnują. Natomiast Sigtryggr i ja wmieszaliśmy się między wojowników, którzy szli za jeźdźcami w stronę bramy miejskiej.

Mury były wysokie, wzniesione na wale ziemnym.

– To tu zginął twój dziad – powiedziałem do syna. – A ja dostałem się do duńskiej niewoli. – Wskazałem na jaśniejszy odcinek nowego fragmentu

murów. – Twój dziad dokładnie w tym miejscu przeprowadził atak. Myślałem, że odnieśliśmy zwycięstwo. W murze była wyrwa, a on pokonał nasyp i wkroczył do miasta.

– I co się stało?

– Okazało się, że za obwarowaniami został wzniesiony drugi mur. To była zasadzka. Kiedy nasze wojska znalazły się po drugiej stronie, zaczęła się rzeź.

Spojrzał przed siebie na wieże kościelne zwieńczone krzyżami.

– Skoro Duńczycy od tak dawna mają to miasto, dlaczego pozostało ono chrześcijańskie?

– Niektórzy Duńczycy się nawrócili, na przykład twój wuj.

– Mój wuj?

– Brat twojej matki.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Rządził tymi ziemiami. Większość tutejszej ludności to Sasi, chrześcijanie. Chciał, żeby dla niego walczyli, więc zmienił wiarę. Nie sądzę, aby był szczególnie pobożny, ale takie rozwiązanie było korzystne.

– Mieszka tu też wielu duńskich chrześcijan – wtrącił się ponurym głosem Sigtryggr. – Żenią się z saskimi kobietami i zmieniają wiarę.

– Dlaczego? – spytał ponownie mój syn.

– Święty spokój i ładne cycki przekonają większość mężczyzn do zmiany religii – odparł Sigtryggr.

– Misjonarze – powiedział radośnie Finan. – Pokaż mi waszych misjonarzy.

Bramy miasta stały otworem. Jeźdźców na czele nadal dzieliło od nich dwieście kroków, ale widok chorągwi Sigtryggra uspokoił strażę. Tylko

dwóch konnych galopowało nam naprzeciw, a Orvar, który odgrywał wodza naszej małej armii, uniósł dłoń, żeby się z nimi przywitać. Przesunąłem się na kraj kolumny, aby posłuchać ich rozmowy.

– Orvarze! – Jeden ze zbliżających się Norwegów go rozpoznał.

– Przywiozłem jarlowi jego dziewczynę – powiedział Orvar, wskazując kciukiem na Stiorrę. Moja córka siedziała prosto w siodle, obejmując opiekuńczo Gisełę.

– Dobrze zrobiłeś! – Jeden z jeźdźców torował sobie drogę między konnymi Orvara, żeby obejrzeć brankę. – A co z jej mężem?

– Zjadają go ryby na dnie Morza Irlandzkiego.

– Nie żyje?

– Pocięty na kawałki – odparł Orvar.

– Zostawił ładną wdówkę. – Mężczyzna zachichotał i dotknął dłonią w rękawicy podbródka Stiorry. Idący obok mnie Sigtryggr burknął z niezadowolenia, więc uspokajająco położyłem mu dłoń na ramieniu. Kazałem mu założyć osłaniający twarz hełm z zapinanymi osłonami policzkowymi. Miał na sobie też starą kolczugę, zdjął bransolety naramienne i złote ozdoby, aby nie ściągać niczyjej uwagi. Konny wojownik uśmiechnął się złośliwie do Stiorry. – No, ślicznotko, kiedy jarl z tobą skończy, potraktuję cię tak, że nigdy tego nie zapomnisz – powiedział.

Stiorra splunęła mu w twarz. Mężczyzna natychmiast podniósł dłoń, żeby ją uderzyć, ale Finan, który dosiadał jednego z naszych nielicznych koni, złapał go za nadgarstek.

– Jak masz na imię? – zapytał przyjaźnie.

– Brynkaetil – odparł obrażonym tonem.

– Dotknij jej tylko – ciągnął uprzejmie Finan – a dam jej na przekąskę twoje smażone jaja do zjedzenia.

– Dość tego! – Orvar ścisnął konia piętami i wjechał między mężczyzn. – Czy jarl jest w mieście?

– Pustoszy Mercję – odparł Brynkaetil, nadal patrząc wilkiem. – Ale ta stara suka jest tu. – Obrzucił nas wzrokiem i najwidoczniej nasz wygląd nie zrobił na nim wrażenia.

– Stara suka? – zapytał Orvar.

– Nazywa się Brida z Dunholmu – burknął. – Spotkasz ją. Jedź za mną. – Wskazał głową bramę.

I tym sposobem po wielu latach znów znalazłem się w Eoferwicu. Poznałem to miasto jako dziecko, odwiedzałem w młodości, ale los zawiódł mnie do Wessexu, a Eoferwic leży daleko na północy. Był to drugi co do ważności ośrodek w Brytanii, jeśli chodzi o wielkość i zamożność, choć w porównaniu z Londynem, który z każdym rokiem stawał się większy, bogatszy i brudniejszy, był ubogą miejsciną. Jednak Eoferwic miał swoje bogactwa pochodzące z otaczających go dostatnich gospodarstw, a jego mieszkańcy mogli żeglować w górę rzek aż do miejsca, gdzie stał most. Rzymski most, rzecz jasna. Większość zabudowań Eoferwicu wzniesli Rzymianie, łącznie z potężnymi murami otaczającymi gród.

Przeszedłem przez tunel bramny i wyszedłem na ulicę, przy której stały domy ze schodami! W Londynie też można było zobaczyć takie budynki i one zawsze mnie zdumiewały. Domy, które mają jedną podłogę nad drugą! Pamiętam, że Ragnar Starszy miał dom w Eoferwicu ze schodami prowadzącymi z dwóch stron. Jego syn Rorik i ja biegaliśmy wkoło, wbiegając jednymi schodami na górę i zbiegając drugimi, pokrzykując, drąc się na czele sfory ujadających psów do czasu, aż Ragnar postawił nas do kąta, targając za uszy i mówiąc, żebyśmy poszli gdzie indziej i przeszkadzali komuś innemu.



W większości domów na parterze znajdowały się sklepy wychodzące na ulicę i gdy podążałem za Orvarem i jego jeźdźcami, zdążyłem się zorientować, że są one pełne wszelakich dóbr. Dostrzegłem wyroby ze skóry, garnki, tkaniny, noże, a także złotnika, którego straganu pilnowało dwóch odzianych w kolczugi strażników. Mimo tej mnogości towarów ulice były dziwnie puste. W mieście panowała posępna atmosfera. Żebrak czmychnął przed nami, kryjąc się w bocznej uliczce, jakaś kobieta popatrzyła na nas z piętra, po czym zatrzasnęła okiennicę. Minęliśmy dwa kościoły, oba zamknięte, co sugerowało, że tutejsi chrześcijanie żyją w strachu. I trudno się im dziwić, skoro miastem rządziła Brida. Nienawidziła chrześcijan, a przybyła do jednego z dwóch miast w Brytanii, które miało arcybiskupa. Drugim był Contwaraburg. Arcybiskup jest bardzo ważną osobą dla chrześcijan, zna więcej zaklęć niż zwykły ksiądz, więcej nawet niż biskup, i ma większą władzę. Spotkałem kilku arcybiskupów w ciągu swojego życia i żadnemu z nich nie powierzyłbym prowadzenia straganu z marchewką. Wszyscy byli chytry, dwulicowi i mściwi. Aethelflaed oczywiście uważała ich za najświętszych z ludzi. Gdy Plegmund, arcybiskup Contwaraburga, choćby pierdnął, ona mówiła „amen”.

Finan musiał mieć podobne przemyślenia, bo odwrócił się w siodle do Brynkaetila.

– Co stało się z tutejszym arcybiskupem? – zapytał.

– Z tym staruchem? – odparł ze śmiechem Norweg. – Spaliliśmy go żywcem. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak głośno kwiczał!

Pałac w centrum miasta był zapewne siedzibą rzymskiego namiestnika Północy. Od lat niszczał, ale która z wielkich budowli pozostawionych przez Rzymian nie popadła w ruinę? Stał się pałacem króla Northumbrii i pamiętam, że w halli widziałem króla Osberta – ostatniego saskiego

władcę rządzącego bez duńskiego poparcia – zabitego przez pijanego Duńczyka. Miał rozcięty brzuch, z którego wypływały flaki. Pozwolili psom jeść jego wnętrzności, gdy jeszcze żył, choć one wzięły tylko kęs, bo ich smak był dla nich odrażający.

– To pewnie przez to, co zjadł – powiedział mi ślepy Rafn, opisując tę scenę. – Albo też naszym psom nie smakują Sasi.

Król Osbert zmarł, szlochając i krzycząc.

Kiedy byłem dzieckiem, na dziedzińcu przed pałacem stało sześć potężnych rzymskich kolumn – ich funkcja zawsze stanowiła dla mnie zagadkę. Kiedy wyszliśmy z ciemnej uliczki, zobaczyłem, że zostały tylko cztery, niczym wielkie słupy na granicy dzikiego terytorium. Usłyszałem, jak mój syn wzdycha.

To nie wysokie rzeźbione kolumny wywołały to westchnięcie ani jasna kamienna fasada pałacu z rzymskimi rzeźbami, ani rozmiar kościoła, który wybudowano na jednym z boków pałacu. Wstrząsnęło nim to, co zobaczył na placu. Krzyże. A na każdym z nich nagie ciało.

– Chrześcijanie – wyjaśnił krótko Brynkaetil.

– Czy Brida tu rządzi? – zapytałem.

– Kto pyta?

– Człowiek, który zasługuje na odpowiedź – warknął Orvar.

– Rządzi w imieniu Ragnalla – odparł oschle Norweg.

– Miło będzie ją poznać – powiedziałem. Brynkaetil tylko uśmiechnął się szyderczo w odpowiedzi. – Jest ładna? – zapytałem.

– Zależy, jak bardzo jesteś zdesperowany – odrzekł z rozbawieniem. – Jest stara, wysuszona i złośliwa jak dzika kotka. – Popatrzył na mnie. – W sam raz dla takiego starucha jak ty. Lepiej uprzedzę ją, że przyjechaliście, żeby mogła się przygotować.

Popędził konia w stronę pałacu.

– Jezu – odezwał się Finan, robiąc znak krzyża i patrząc na trzydzieści cztery nagie ciała mężczyzn i kobiet.

Niektórzy mieli porozrywane dłonie i czarną zakrzepłą krew na nadgarstkach. Zorientowałem się, że Brida – to musiała być Brida – próbowała przybić ich do krzyża, ale dłonie nie były w stanie utrzymać ciężaru ludzi i ciała spadły z krzyży. Teraz byli oni przywiązani rzemieniami, choć wszyscy mieli też przybite dłonie i stopy. Jedna młoda kobieta jeszcze żyła, choć była już bliska śmierci. Ruszała się i jęczała. A więc to w taki sposób Brida wysyłała wiadomość do chrześcijańskiego boga? Ależ ona jest głupia – pomyślałem. Podzielałem wprawdzie jej nienawiść do boga chrześcijan, samotnego i mściwego, ale nigdy nie podważałem jego mocy. A jaki mężczyzna lub kobieta pluje bogu w twarz?

Przepchnąłem się do wierzchowca Stiorry.

– Jesteś gotowa?

– Tak, ojczu.

– Będę niedaleko, i Sigtryggr też – powiedziałem.

– Nie pozwól, by cię rozpoznała! – odparła.

Miałem taki sam hełm jak Sigtryggr i teraz zapiąłem osłony policzkowe, kryjąc twarz. Podobnie jak mój towarzysz nie miałem na sobie żadnych ozdób. Na pierwszy rzut oka obaj wyglądaliśmy jak skromni wojownicy, ludzie, którzy stają w murze tarcz, ale nigdy nie wypełnili kiesy. Orvar był najlepiej z nas ubrany i chwilowo udawał, że to on jest wodzem.

– Zostawić broń przed wejściem do dworu! – krzyknął jakiś człowiek, kiedy zbliżaliśmy się do pałacu. – Zostawić broń!

To było normalne. Żaden władca nie pozwala nikomu – z wyjątkiem członków straży przybocznej, którym może zaufać – wnosić oręża do swojej siedziby. Ostentacyjnie więc rzuciliśmy na stos włócznie i miecze,

przy których postawiliśmy swoich strażników. Pozostawiłem na zewnątrz Oddech Węża, ale to nie znaczy, że zostałem zupełnie bez broni. Miałem na ramionach brązową pelerynę z tkaniny domowej roboty, wystarczająco długą, aby ukryć mój saks: Żądło Osy.

Każdy wojownik stojący w murze tarcz nosi dwa miecze. Długi, trzymany w pochwie ozdobionej srebrem lub złotem i opatrzony szlachetnym imieniem to miecz, który szczególnie cenimy. Mój nazywa się Oddech Węża i do dziś trzymam go na podorędziu, żeby z pomocą głowni zaniósł mnie do Walhalli, kiedy śmierć po mnie przyjdzie. Mamy jednak też drugi miecz, saks. Jest to broń o krótkim, krępy ostrzu, mniej elastyczna od długiego miecza i mniej urodziwa, ale w murze tarcz – kiedy czujesz stęchły oddech przeciwnika i widzisz wszy w jego brodzie – to właśnie tego miecza się używa. Wojownicy zadają pchnięcia saksami. Dźgają nimi w szczeliny między tarczami i wypruwają wrogom flaki. Oddech Węża jest za długi, żeby użyć go w murze tarcz, ma zbyt duży zasięg, bo w miłosnym uścisku śmierci człowiek potrzebuje krótszej broni, która zadaje rany w tłumie ściśniętych, spoconych mężczyzn usiłujących wzajemnie się pozabijać. Żądło Osy było właśnie takim mieczem, jego krępe ostrze nie było dłuższe od mojej dłoni z przedramieniem, ale w ścisku muru tarcz było śmiercionośną bronią.

Ukryłem swój saks pod płaszczem, w pochwie na plecach, bo w dworze mógł mi się przydać.

Sigtryggr i ja zostaliśmy z tyłu za naszymi wojownikami, pozwalając Orvarowi i jego drużynie jako pierwszym wejść do dworu, ponieważ znali go ludzie Ragnalla, których mógł spotkać w środku. Zakładaliśmy, że nie zainteresuje ich, kto wejdzie jako ostatni, a nawet gdyby, Sigtryggr i ja ukryliśmy twarze pod hełmem. Sihtrica z sześcioma ludźmi zostawiłem na straży naszej broni.

– Wiesz, co robić? – szepnąłem do Sihtrica.

– Wiem, panie – odparł drapieźnie.

– Spraw się dobrze – przykazałem mu, a kiedy ostatni ludzie Orvara weszli do budynku, podążyliśmy z Sigtryggrem w ich ślady.

Tak dobrze pamiętałem wnętrze tego pałacu. Był większy i znacznie bardziej elegancki od halli w Ceasterze, choć jego piękno zbladło jak woda ściekająca po ścianie, ponieważ odpadła większość marmurowych płyt, które niegdyś pokrywały cienkie czerwone cegły. W niektórych miejscach tynk złuszczył się z powodu wilgoci, ale nadal widoczne były wyblakłe malowidła ukazujące mężczyzn i kobiety w szatach, które przypominały całuny. Potężne filary wspierały wysoki strop. Między belkami fruwały jaskółki, wlatujące do wnętrza przez dziury w dachu pokrytym dachówkami. Niektóre otwory załatano strzechą z trzciny, większość nie była jednak niczym osłonięta i wpuszczała do wnętrza promienie słoneczne. Podłogę niegdyś pokrywały maleńkie płytki, nie większe od paznokcia, tworzące obrazy rzymskich bogów, ale teraz większość z nich zniknęła, odsłaniając szare kamienie, na których układano wysuszone sitowie. Pośrodku sali znajdował się drewniany podest wysokości około trzech stóp, do którego prowadziły stopnie, na podium stał tron przykryty czarną materią. Po obu stronach tronu prężyli się wojownicy, z pewnością ludzie Bridy, bo każdy był uzbrojony we włócznie o długim trzonku i szerokim ostrzu. Na podwyższeniu stało ośmiu strażników, a kolejni kryli się w pogrążonej w cieniu części halli. Tron był pusty.

Zasady gościnności wymagały, by na powitanie poczęstowano nas ale i przyniesiono nam miski z wodą do obmycia rąk. Byliśmy jednak tak liczni, że nie spodziewałem się, aby wszystkich nas potraktowano aż tak uprzejmie. Jednakże wypadało, aby służący w odpowiedni sposób powitał choćby najważniejszych przybyszy, tymczasem chudy mężczyzna ubrany

na czarno wyszedł z pomieszczenia prowadzącego na podest i uderzył laską w drewnianą podłogę. Po chwili ponownie zastukał, patrząc na nas spod zmarszczonych brwi. Miał czarne włosy, natarte tłuszczem i przylizane, wyniosłą minę i krótką, starannie przystrzyżoną brodę.

– Pani Dunholmu wkrótce przybędzie – ogłosił, kiedy w sali zapadła cisza. – Czekajcie.

Orvar wystąpił naprzód.

– Moi ludzie są głodni i potrzebują schronienia – powiedział.

Mężczyzna spojrzał na niego.

– Czy ty jesteś tym, którego nazywają Orvarem? – zapytał po dłuższej chwili ciszy.

– Jestem Orvarem Freyrsonem, a moi ludzie...

– Są głodni, już mówiłeś. – Spojrzał na nas z niechęcią. – Kiedy zjawi się pani Dunholmu, przyklękniecie. – Wzdrygnął się. – Jesteście tak liczni! I cuchniecie!

Wrócił, skąd przyszedł, a strażnicy na podwyższeniu wymienili uśmieшки.

Do halli weszli kolejni ludzie, jedni wpychali się za nami, inni wchodzili przez drzwi z boku sali, aż w wysoko sklepionym pomieszczeniu znalazło się niemal czterysta osób. Sigtryggr spojrzał na mnie pytająco, ale ja tylko wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, co się dzieje, tylko tyle, że Brynkaetil musiał zapowiedzieć nasz przyjazd, a Brida miała nadejść. Przesunąłem się między ludźmi na przodzie, żeby znaleźć się bliżej Stiorry, która stała obok Orvara, trzymając córkę za rękę.

Kiedy do niej dotarłem, rozległo się brzmienie bębna.

Jedno uderzenie, głośnie i nagłe, a nowo przybyli, którzy weszli po nas do halli i wiedzieli, czego się spodziewać, padli na kolana.

Bęben zadudnił ponownie. Jedno powolne uderzenie po drugim.

Złowrogie, regularne i bezlitosne, niczym uderzenia serca śmierci.  
Uklękliśmy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tylko strażnicy nadal stali.

Bębnienie wciąż rozbrzmiewało. Sam instrument znajdował się w komnacie za hallą, ale po dźwięku rozpoznałem, że jest to bęben wykonany z dużej koziej skóry naciągniętej na korpus. Instrumenty te są tak potężne, że na wyprawy wojenne trzeba je transportować wozami, i właśnie z tego powodu tak rzadko słyszy się je na polach bitwy, choć jeśli się ich użyje, głęboki tętniący rytm może zasiać strach w sercach przeciwników. Uderzenia były powolne, każdy złowieszczy dźwięk zanikał, nim rozbrzmiał kolejny, a rytm stawał się coraz wolniejszy, tak że nieustannie mi się wydawało, iż bębniarz właśnie przestał grać, i wtedy rozległo się kolejne uderzenie. Wszyscy wpatrywaliśmy się w podest, oczekując pojawienia się Bridy.

A potem bębnienie ustało, a cisza, która zapadła, okazała się jeszcze bardziej złowieszcza. Nikt się nie odezwał. Klęczeliśmy, wyczuwając przerażenie panujące w sali. Nikt się nawet nie poruszył, tylko czekaliśmy.

W końcu rozległo się zduszone westchnienie niczym skrzypnięcie nienaoliwionego zawiasu. Drzwi prowadzące na podwyższenie nagle się rozwarły, spojrzałem w ich stronę, spodziewając się ujrzeć Bridę, ale zamiast niej do sali weszło dwoje małych dzieci – dwie dziewczynki ubrane w czarne suknie z długimi połami, które ciągnęły się po podłodze. Miały może pięć albo sześć lat i czarne włosy sięgające im do pasa. Wyglądały jak bliźniaczki – może nimi były – a Stiorra na ich widok westchnęła.



Bo dzieci zostały oślepione.

Chwilę mi zajęło, nim zauważyłem, że zamiast oczu mają pokryte bliznami wklęsłe zagłębienia, pomarszczone, potworne jamy na twarzach, które kiedyś były śliczne. Dziewczynki weszły na podium, po czym się zawahały, nie wiedząc, w którą pójść stronę, ale chudy mężczyzna pospieszył w ich kierunku i pokierował je laską. Każdą ustawił po jednej stronie tronu, a sam stanął za nimi, obserwując nas z pogardą czarnymi oczami.

A potem weszła Brida.

Powłóczyła nogami, mamrocząc pod nosem i poruszając się pospiesznie, jakby się spóźniła. Miała na sobie obszerną czarną pelerynę spiętą pod szyją złotą broszą. Stała za okrytym czarną materią tronem i obrzuciła spojrzeniem klęczących w komnacie. Sprawiała wrażenie oburzonej, jakby nasza obecność była nietaktem.

Przyglądałem się jej spod brzegu hełmu i nie byłem w stanie w tej wiedźmie rozpoznać dziewczyny, w której się kochałem. Kiedyś uratowała mi życie, działała ze mną w zмовie, śmiała się ze mną, patrzyła na śmierć Ragnara Starszego, a ja uważałem ją za piękną, fascynującą i pełną życia. Nienawiść zniszczyła jej urodę. Pochyliłem się ze strachu, że mnie rozpozna mimo zapiętych osłon policzkowych.

Zasiadła na tronie, który sprawił, że wydała się niemal karlicą. Miała złośliwą twarz, błyszczące oczy i rzadkie siwe włosy. Chudy mężczyzna przesunął podnózek, skrzypienie jego drewnianych nóg nadspodziewanie głośno rozległo się po sali. Brida postawiła na nim stopy, a czarną torbę położyła sobie na kolanach. Ślepe dziewczynki stały bez ruchu. Mężczyzna nachylił się do tronu i szepnął do ucha swojej pani, a ona niecierpliwie pokiwała głową.

– Onarze Gormsonie! – zawołała chrapliwym głosem. – Czy Onarr Gormson jest tu?

– Pani – odpowiedział mężczyzna.

– Zbliź się, Onarze Gormsonie – rozkazał.

Mężczyzna wstał, podszedł do podwyższenia, wszedł po schodach i ukląkł przed Bridą. Był to rosły mężczyzna z twarzą okrutnie naznaczoną bliznami i wytatuowaną w kruki. Wyglądał na wojownika, który wyciął sobie wyjście przez mur tarcz, a jednak wyraźnie się denerwował, skłaniając głowę przed Bridą.

Chudy znów szeptał, a Brida potakiwała.

– Onarr Gormson przyprowadził nam wczoraj dwudziestu dziewięciu chrześcijan – ogłosiła. – Dwudziestu dziewięciu! Gdzie ich znalazłeś, Onarze?

– W klasztorze, pani, w górach na północ od miasta.

– Ukrywali się? – Miała chrapliwy głos, przenikliwy jak krakanie kruka.

– Tak, pani, ukrywali się.

– Dobra robota, Onarze Gormsonie – powiedziała. – Służysz bogom, a oni cię wynagrodzą. I ja też. – Pogrzebała w torbie i wyciągnęła sakiewkę pobrzękujących monet, które wręczyła klęczącemu. – Oczyszcimy ten kraj – rzekła. – Oczyszcimy go z wyznawców fałszywego boga! – Dała znak Onarowi, by odszedł, a potem nagle go zatrzymała, wpijając w jego ramię szponiaste palce. – Klasztor?

– Tak, pani.

– To kobiety?

– Tak, pani – odparł.

Zauważyłem, że nie podniósł głowy, bojąc się spojrzeć Bridzie w oczy, lecz wlepił wzrok w jej małe stopy.

– Jeśli twoi ludzie zechcą, młodsze należą do was. Reszta umrze. – Ponownie machnęła dłonią. – Czy Skopti Alsvartson jest tutaj?

– Pani! – odpowiedział inny mężczyzna.

On również znalazł chrześcijan, trzech księży, których przywiózł do Eoferwicu. Także on został wynagrodzony sakiewką i nie śmiał podnieść oczu, gdy klęczał u stóp Bridy. Wydawało się, że owo zgromadzenie w halli jest częścią codziennego rytuału, podczas którego Brida nagradzała ludzi wykonujących jej rozkazy i nakłaniała do większej aktywności opornych.

Jedna niewidoma dziewczynka nagle sapnęła. Myślałem, że Bridę rozgniewa, iż dziecko jej przerywa, ona jednak się nachyliła i wysłuchała, co ma jej do powiedzenia na ucho. Wyprostowała się i skrzywiła w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Bogowie przemówili! – ogłosiła. – Powiedzieli mi, że jarl Ragnall spalił trzy kolejne miasta w Mercji! – Druga dziewczynka zaczęła szeptać. – Wziął do niewoli dziesiątki jeńców – powtarzała słowa dziecka. – I przesyła nam skarby z dziesięciu kościołów. – Pomruk zadowolenia rozbrzmiał w halli, ale ja byłem zdumiony. Jakie miasta? Każde miasto w Mercji było burhem i trudno było mi sobie wyobrazić, że Ragnallowi udało się zdobyć aż trzy. – Podła Aethelflaed nadal ukrywa się w Ceasterze pod ochroną tego zdrajcy Uhtreda – ciągnęła Brida. – Długo już nie wytrzymają. – Niemal parsknąłem śmiechem, kiedy wymieniła moje imię. A zatem wymyślała te historie i udawała, że pochodzą od dzieci. – Człowiek, który sam siebie nazywa królem Wessexu, wycofał się do Londynu – oświadczyła. – Wkrótce jarl Ragnall wykurzy go z miasta. Wkrótce cała Brytania będzie nasza! – Chudy powitał to oświadczenie uderzeniami laski w drewniany podest, a zebrani w sali, najwidoczniej

znający przebieg rytuału, tupaniem w podłogę. Brida się uśmiechnęła, a przynajmniej obnażyła poźółkłe zęby w kolejnym grymasie. – Powiedziano mi też, że Orvar Freyrson powrócił z Irlandii!

– To prawda – odezwał się Orvar. Wydawał się zdenerwowany.

– Podejź tu, Orvarze Freyrsonie – rozkazała Brida.

Wstał i podszedł do podestu. Dwaj mężczyźni, którzy otrzymali sakiewki, wrócili na swoje miejsca, a Orvar klęczał przed osłoniętym czarną materią tronem i siedzącą na nim złośliwą postacią.

– Przywiozłeś z Irlandii dziewczynę? – zapytała Brida, znając odpowiedź, bo patrzyła na Stiorrę.

– Tak, pani – odparł szeptem Orvar.

– I jej męża?

– Nie żyje, pani.

– Nie żyje?

– Zabity naszymi mieczami.

– Przywiozłeś mi jego głowę? – zapytała Brida.

– Nie pomyślałem o tym. Nie, pani, nie przywiozłem.

– Szkoda – odparła, patrząc na Stiorrę. – Ale i tak dobrze się spisałeś, Orvarze Freyrsonie. Wykonałeś rozkaz jarła, twoje imię będzie wymawiane w Asgardzie, bogowie będą cię kochać! Będziesz błogosławiony! – Dała mu sakiewkę znacznie cięższą od tych, które wręczyła wcześniej, po czym spojrzała na ludzi zebranych w halli. Przez chwilę myślałem, że patrzy prosto na mnie, i poczułem dreszcz strachu, ale zwróciła wzrok w inną stronę. – Przyprowadziłeś licznych wojowników, Orvarze! – powiedziała. – Wielu mężów!

– Pięć załóg – wymamrotał Orvar. Podobnie jak jego poprzednicy przykląkł i wpatrywał się w podnózek.

– Zaprowadzisz ich do jarla Ragnalla – wydała rozkaz Brida. – Jutro wyruszysz i pomaszerujesz wspomóc jego oddziały. – A teraz wracaj na swoje miejsce – odesłała go.

Wydawało się, że Orvarowi ulżyło, iż może zejść z podwyższenia. Zszedł na kamienną podłogę i ukląkł obok Stiorry.

Brida odwróciła się na tronie.

– Fritjofie! – Chudy mężczyzna pospieszył do swojej pani i pomógł jej wstać z tronu. – Zaprowadź mnie do dziewczki – rozkazała.

W halli zapanowała grobowa cisza, gdy Brida, powłócząc nogami, schodziła z podium, a potem szła po suchym sitowiu. Fritjof uśmiechał się, trzymając ją pod ramię do czasu, aż znalazła się w odległości pięciu kroków od Stiorry. Wtedy się od niego uwolniła.

– Wstań, dziewczko – rozkazała jej. Stiorra wstała. – Twoje szczenię też niech wstanie – warknęła, a Stiorra postawiła Giselę na nogi. – Pojedziesz z Orvarem na południe do swojego nowego życia w charakterze żony jarla Ragnalla. Masz szczęście, dziewczko, że cię wybrał. Gdyby twój los zależał ode mnie... – Zamilkła, po czym się wzdrygnęła. – Fritjofie!

– Pani – wymamrotał chudy mężczyzna.

– Musi przyodziać się, jak przystało na pannę młodą. To niechlujne gieżło się nie nadaje. Znajdź jej odpowiednie odzienie.

– Coś pięknego, pani – odparł Fritjof. Obrzucił Stiorrę wzrokiem od stóp do głów. – Odpowiedniego do jej urody.

– Jak na to wpadłeś? – zapytała złośliwie Brida. – Tylko znajdź jej strój godny królowej całej Brytanii. – Niemal wypluła ostatnie słowa. – Strój, który spodoba się jarlowi. – Jeśli jednak go zawiedziesz – ponownie zwróciła się do mojej córki – będziesz moja, dziewczko, zrozumiałaś?

– Nie – odparła Stiorra nie dlatego, że to była prawda, lecz żeby rozdrażnić Bridę.

I się jej to udało.

– Nie jesteś jeszcze królową – zaskrzeczała wiedźma. – Jeszcze nie, dziewczko! A kiedy jarl się tobą znuży, będziesz marzyła o tym, żeby zostać niewolnicą w najgorszym burdelu w całej Brytanii. – Wzdrygnęła się. – A tak się stanie, dziewczko, tak się stanie! Jesteś córką swojego ojca i jego zepsuta krew da o sobie znać. – Nagle zarechotała. – Jedź do swojego królestwa, dziewczko, ale wiedz, że skończysz jako moja niewolnica, a wtedy będziesz żałowała, że twoja matka kiedykolwiek rozwarła uda. A teraz daj mi swoją córkę.

Stiorra się nie poruszyła. Tylko mocniej przycisnęła do siebie Giselę. W halli panowała całkowita cisza. Wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech.

– Daj mi swoją córkę – wysyczała powoli każde słowo z osobna.

– Nie – odparła Stiorra.

Powoli, ostrożnie przesuwając pochwę Żądła Osy, żeby sięgnąć do jego rękojeści.

– Twoja córka ma szczęście – odezwała się teraz łagodnym tonem Brida, jakby chciała przekonać ją do posłuszeństwa. – Twój nowy mąż nie chce twojego nasienia! Nie możesz jej zatrzymać! Ale ja zapewnię jej nowe życie w wielkiej mądrości, uczynię ją czarownicą! Otrzyma moc bogów! – Wyciągnęła dłoń, ale Stiorra uparcie trzymała dziewczynkę przy sobie. – Odyn poświęcił oko, żeby osiąść mądrość. Twoje dziecko będzie dorównywało mu wiedzą! Będzie znało przyszłość!

– Oślepiś ją?! – zawołała w przerażeniu Stiorra.

Powoli, powoli wyjmowałem ostrze z pochwy. Kryłem się za ciemną peleryną Stiorry.

– Nie oślepię jej, głupia dziewczko – warknęła Brida – lecz otworzę jej oczy na bogów. Będzie znała przyszłość!

– Nie! – sprzeciwiła się Stiorra.

Chwyciłem Żądło Osy za ostrze.

– Fritjofie, odbierz jej dziecko! – rozkazała Brida.

– Mam je teraz oślepić? – zapytał.

– Oślepi ją teraz.

Fritjof odłożył laskę i wyjął szydło z sakwy zawieszanej przy pasie. Narzędzie wyposażone było w bulwiastą rączkę, z której wychodził krótki, gruby, metalowy szpikulec, jakiego używają rymarze do robienia dziur w skórze.

– Chodź do mnie, dziecko – powiedział i zrobił krok naprzód, wyciągając ręce, a Stiorra cofnęła się o krok.

Ukryła dziewczynkę za plecami, a ja podałem jej dłoń i w tym samym momencie wepchnąłem córce Żądło Osy w garść. Fritjof nie rozumiał jeszcze, co się dzieje, pochylił się, żeby wziąć Giselę zza pleców Stiorry, a ona zadała cios saksem w górę i do przodu.

Brida zorientowała się, że Fritjof ma kłopoty, dopiero kiedy wydał krzyk bólu. Upuściwszy szydło na kamienną podłogę, chwycił się za pachwinę i jęknął, podczas gdy krew spływała mu po nogach. Popchnąłem Giselę w tłum i wstałem. Wszyscy wkoło dobywali saksów i noży, Sigtryggr przepychał się przez zatłoczoną salę, za nim podążał Sihtric, niosąc Oddech Węża.

– Zabiliśmy tych dwóch na zewnątrz – powiedział, wręczając mi miecz.

Fritjof upadł. Stiorra wbiła mu ostrze między żebra, poprowadziła je w dół brzucha i rozcięła pachwinę. Mężczyzna jęczał żałośnie, wymachując nogami pod długą szatą. Teraz wstali wszyscy moi ludzie, trzymali saksy lub miecze. Jeden ze strażników był na tyle głupi, żeby zamierzyć się włócznią, i natychmiast padł pod gradem ciosów. Popchnąłem Sigtryggra naprzód.

– Idź na podwyższenie, tron jest twój.

– Nie – wrzasnęła Brida. Potrzebowała chwili, żeby pozbierać się po wstrząsie, jakiego doznała, i zrozumieć, że jej hallę zaatakowały przeważające siły wroga. Przez ułamek sekundy wpatrywała się w Fritjofa, po czym rzuciła się ku Stiorze, ale Sigtryggr ją powstrzymał i cisnął w tył z taką siłą, że potknęła się i bezładnie upadła na plecy.

– Podwyższenie! – krzyknąłem do niego. – Ją zostaw!

Moi ludzie – załogę Orvara zaliczałem teraz do swoich ludzi – mieli znaczną przewagę liczebną nad pozostałymi. Zobaczyłem Uhtreda kroczącego energicznie wzdłuż jednego z boków sali i wytrącającego strażnikom włócznie mieczem. Sihtric przystawił ostrze do gardła leżącej Bridy. Rzucił mi pytające spojrzenie, ale pokręciłem głową. Nie jemu należał się przywilej zabicia tej wiedźmy. Sigtryggr dotarł do podestu, na którym histerycznie płakały oślepione bliźniaczki, a strażnicy, nadal trzymający włócznie w dłoniach, patrzyli z niedowierzaniem na chaos rozgrywający się przed ich oczami. Sigtryggr stanął obok tronu i spojrzał kolejno na wartowników, a oni kolejno opuścili włócznie. Zerwał z tronu czarną materię i cisnął ją na bok, kopnął podnózek i usiadł. Wyciągnął ręce, przygarnął dziewczynki, przytulił do nóg i uspokoił.

– Niech ta suka tam zostanie – powiedziałem Sihtriciowi, po czym dołączyłem do Sigtryggra na podeście. – Złóżcie tam włócznie i dołączcie do reszty – warknąłem do ośmiu włóczników, którzy strzegli tronu.

Wskazałem na miejsce i czekałem, aż wykonają rozkaz.

Tylko jeden człowiek Bridy sięgnął po broń, a i on raczej – jak uznałem – bardziej ze strachu niż chęci dochowania wierności. Brida, podobnie jak Ragnall, rządziła poprzez strach, poparcie dla niej natychmiast więc ulotniło się jak mgła pod palącym słońcem.



– Jestem Uhtred z Bebbanburga – powiedziałem, stojąc na przedzie podestu.

– Nie! – zaskrzeczała Brida.

– Ucisz ją – rozkazałem Sihtricowi. Czekałem, gdy on przesuwiał sztych miecza, a Brida znieruchomiała. Patrzyłem na mężczyzn w sali, tych, których nie znałem, ale nie dostrzegłem u nich gotowości do buntu. – Oto wasz nowy król, Sigtryggr Ivarson! – ogłosiłem.

Panowała cisza. Czułem, że wielu dawnych popleczników Bridy przyjęło z ulgą jej upadek, ale nazwanie Sigtryggra królem nie czyniło go władcą – nie, gdy żył jego brat. Każdy ze stronników Bridy zastanawiał się nad tym samym – którego z braci poprzeć.

– Oto wasz nowy król, Sigtryggr Ivarson – powtórzyłem, tym razem grożącym tonem.

Moi ludzie zaczęli wznosić wiwaty, a reszta zgromadzonych powoli i z wahaniem przyłączała się do radosnej wrzawy. Sigtryggr zdjął hełm i ukazał uśmiechniętą twarz. Przez chwilę słuchał aplauzu, po czym wzniosł dłoń, nakazując ciszę. Kiedy zebrani zamilkli, powiedział coś jednej z bliźniaczek, mówił jednak zbyt cicho, abym mógł go usłyszeć. Nachylił się, słuchając odpowiedzi dziecka, po czym ponownie spojrzął na niespokojnych ludzi w sali.

– Czas złożyć przysięgę – powiedziałem.

– Ale przedtem jeszcze jedno! – Sigtryggr wskazał na rannego Fritjofa. – Ten osobnik oślepił te dziewczynki i zamierzał oślepić moją córkę. – Podszedł do krawędzi podwyższenia i wyciągnął miecz. Nadal się uśmiechał. Był wysoki, przystojny, pewny siebie, miał iście królewski wygląd. – Człowiek, który oślepia dzieci – mówił, schodząc po kamiennych stopniach – nie jest człowiekiem. – Podszedł do Fritjofa, który patrzył na niego w przerażeniu. – Czy dziewczynki krzyczały? – zapytał go.

Mężczyzna cierpiał, ale nie był poważnie ranny. Nie odpowiedział. – Zadałem ci pytanie – ciągnął Sigtryggr – czy dzieci krzyczały, kiedy je oślepiełeś?

– Tak – odparł szeptem Fritjof.

– A więc dziewczynki! – zawołał Sigtryggr. – Słuchajcie! Bo to jest wasza zemsta. – Przyłożył czubek miecza do twarzy Fritjofa, a mężczyzna krzyknął z bezgranicznego przerażenia. Sigtryggr przerwał, pozwalając, aby krzyki rozległy się echem po sali, po czym trzykrotnie uderzył mieczem. Po jednym pchnięciu na każde oko i trzecie w gardło. Krew Fritjofa chlusnęła na podłogę i zmieszała się z jego szczynami. Sigtryggr obserwował umierającego mężczyznę. – Szybciej, niż na to zasługiwał – powiedział z goryczą. Pochylił się i wytarł sztych o płaszcz martwego, po czym schował miecz do pochwy. Dobył krótkiego miecza i kiwnął w stronę Sihtrica, który wciąż pilnował Bridy. – Pozwól jej wstać.

Sihtric odsunął się o krok. Brida wahała się przez chwilę, po czym zerwała na równe nogi i rzuciła na Sigtryggra, jakby chciała wyrwać mu broń z dłoni, on jednak utrzymał ją na odległość ramienia z pogardliwym spokojem.

– Chciałaś oślepić moją córkę – odezwał się z goryczą.

– Chciałam dać jej mądrość.

Sigtryggr trzymał ją lewą ręką, a prawą uniósł saks, ale Stiorra mu przeszkodziła. Dotknęła jego ramienia ze słowami:

– Ona należy do mnie.

Jej mąż się wahał, po czym przytaknął.

– Jest twoja – przyznał.

– Podaj jej miecz – powiedziała Stiorra. Nadal trzymała w dłoniach Żądło Osy.

– Mam jej dać miecz? – zapytał Sigtryggr, marszcząc brwi.

– Podaj jej miecz – rozkazała moja córka. – Dowiedzmy się, kogo miłują bogowie. Uhtredsdottir czy ją.

Sigtryggr podał Bridzie rękojeść saksy.

– Zobaczmy, kogo bogowie miłują – zgodził się.

Brida wodziła oczami wokół sali, szukając pomocy, ale nie znalazła nikogo, kto chciałby się za nią wstawić. Przez chwilę ignorowała oferowany jej saks, po czym nagle wyrwała go Sigtryggrowi z ręki i natychmiast wycelowała go w swój brzuch, ale Sigtryggr po prostu lekceważąco wytrącił jej oręż z dłoni. Saks rzadko ma ostrą krawędź, jest to broń przeznaczona do zadawania ran kłutych, a nie ciętych, ostrze więc nie zostawiło żadnego śladu na nadgarstku Sigtryggra.

– Jest twoja – powiedział ponownie do Stiorry.

I tak umarła moja pierwsza miłość. Nie była to dobra śmierć, bo moją córkę ogarnęła wściekłość. Stiorra odziedziczyła urodę po matce, wydawała się spokojna i pełna wdzięku, ale pod tą piękną powierzchownością kryła się dusza ze stali. Obserwowałem ją kiedyś, jak zabijała księdza, i dostrzegłem radość na jej twarzy, a teraz zobaczyłem ten sam wyraz przy kolejnych razach zadawanych Bridzie. Mogła szybko zabić staruchę, ale chciała, by umierała powoli – zmieniała ją w skomlące, obszczone i skąpane we krwi paskudztwo, zanim ostatecznie odebrała jej życie zdecydowanym ciosem w gardło.

W ten sposób Sigtryggr Ivarson, Sigtryggr Jednooki, został królem Jorviku.

Większość mężczyzn w Eoferwicu złożyła przysięgę Ragnallowi, ale teraz niemal wszyscy ukłękli przed jego bratem, klaskali, przyjmując z ulgą przejęcie przez niego władzy. Chrześcijanie, których wzięto do niewoli i przygotowywano do kolejnej zbiorowej rzezi, zostali uwolnieni.

– Nie będzie gwałtów – powiedział Onarr Gormson.

Podobnie jak prawie wszyscy mężczyźni w mieście on też ukląkł przed Sigtryggrem, choć grupa wojowników odmówiła złamania przysięgi złożonej jego bratu. Należał do nich Skopti Alsvartson, człowiek, który pojmał trzech księży i przywiózł ich do Eoferwicu ku uciesze Bridy. Był on doświadczonym wojownikiem, upartym Norwegiem o wilczej twarzy i długich włosach, zaplecionych w warkocz sięgający pasa. Dowodził trzydziestoma ośmioma ludźmi, którzy tworzyli jego załogę, a Ragnall dał mu ziemię na południe od miasta.

– Złożyłem przysięgę – powiedział wyzywająco.

– Ojcu Ragnalla, Olafowi.

– I jego synowi.

– Olaf rozkazał ci ją złożyć – odrzekłem.

– Zrobiłem to z własnej woli.

Nie chciałem zabić człowieka za to, że odmawia złamania przysięgi. Poplecznicy Bridy zostali uwolnieni od wszelkich zobowiązań za sprawą jej śmierci i większość z nich przyjęła z zakłopotaniem ten fakt, który nagle całkiem zmienił ich życie. Niektórzy uciekli, zapewne do posępnego fortu w Dunholmie, z którego pewnego dnia będzie trzeba wykurzyć ich stają, ale większość uklękła przed Sigtryggrem. Kilku, a z pewnością nie więcej niż kilkunastu, przeklinało nas za jej śmierć, i oni zostali straceni. Znalazł się między nimi Brynkaetil, który próbował uderzyć moją córkę, a potem mnie obraził. Chciał złożyć przysięgę, ale zaskarbił sobie we mnie wroga, musiał więc umrzeć. Skopti Alsvartson nie przeklinał, nie stawiał nam oporu, powiedział tylko, że dochowa wierności Ragnallowi.

– Zróbcie ze mną, co wam się podoba, tylko pozwólcie mi umrzeć jak mężczyźnie – warknął.

– Zatrzymaj zatem miecz, ale obiecaj mi jedno – powiedziałem.

Spojrzał na mnie nieufnie.

– Obietnicę?

– Że nie opuścisz miasta, dopóki ci na to nie pozwolę.

– Czyli kiedy?

– Niedługo, bardzo niedługo.

Przytaknął.

– I będę mógł dołączyć do jarła Ragnalla?

– Będziesz mógł robić, co ci się podoba, ale dopiero kiedy ci pozwolę – odrzekłem.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym kiwnął głową.

– Obiecuję.

Splunąłem na dłoń i wyciągnąłem do niego rękę. On splunął na swoją i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Orvar odnalazł swoją żonę. Wszystkich zakładników trzymano w dawnym klasztorze, mówili, że dobrze ich traktowano, mimo to odetchnęli z ulgą, kiedy Sigtryggr powiedział im o śmierci Bridy.

– Która z was ma męża w wojskach mojego brata? – zapytał.

Osiem kobiet podniosło ręce. Ich mężowie znajdowali się daleko na południu w służbie Ragnalla, najeżdżali, gwałcili, kradli i palili.

– Ruszamy na południe, a wy pójdziecie z nami – oświadczył Sigtryggr.

– Ale wasze dzieci muszą tu zostać, będą bezpieczne – powiedziałem z naciskiem.

– Będą bezpieczne – powtórzył mój zięć. Kobiety zaprotestowały, ale Sigtryggr przerwał ich pełne oburzenia sprzeciwy. – Pójdziecie z nami, a wasze dzieci tu zostaną – oświadczył.

Nasze wojska liczyły teraz ponad siedmiuset wojowników, choć mimo złożonej nam przysięgi nie mogliśmy być pewni ich lojalności. Wiedziałem,

że wielu z nich ślubowało nam wierność tylko po to, żeby uniknąć kłopotów, i oni zapewne zamierzali powrócić do swoich gospodarstw przy pierwszej nadarzającej się sposobności. W mieście nadal panował strach, obawiano się zemsty Ragnalla, a może tego, że Brida – wiedźma – nadal żyje, dlatego właśnie zarządziłem, by jej zwłoki obnieść po ulicach. Ułożyliśmy ciało na wózku, nad którym powiesiliśmy jej czarną chorągiew, i zawieźliśmy na południowy brzeg rzeki, gdzie została pochowana. Tej samej nocy zorganizowaliśmy ucztę, na którą składały się trzy woły pieczone na ogromnym ognisku z krzyży Bridy. Zginęło czterech mężczyzn w bójce wywołanej nadmiarem piwa, ale była to niewielka cena. Większość uczestników biesiady zadowolili się śpiewaniem, piciem i rozglądaniem się za miejscowymi dziwkami.

A kiedy oni śpiewali, pili i zabawiali się z kurwami, ja pisałem list.

Alfred nalegał, żebym nauczył się czytać i pisać. Nigdy tego nie chciałem. Jako chłopiec pragnąłem osiąść umiejętności takie jak jazda konna oraz posługiwanie się mieczem i tarczą, ale moi nauczyciele mnie bili do czasu, aż nauczyłem się czytać ich nużące historie o tępakach, którzy głosili kazania do fok, maskonurów i łososi. Umiem też pisać, choć muszę przyznać, że tej nocy brakowało mi cierpliwości, aby cyzelować każdą literę z osobna, i szybko kreśliłem je przez całą stronę. Uznałem jednak, że słowa są możliwe do odczytania.

Pisałem do Aethelflaed. Donosiłem, że jestem w Eoferwicu, którego nowy król zrzeka się pretensji Northumbrii do Mercji i jest gotowy podpisać z nią rozejm. Najpierw jednak trzeba rozgromić Ragnalla, a my w ciągu tygodnia przybędziemy, żeby zadać mu decydujący cios. „Przyprowadzę pięciuset wojowników” – napisałem, choć miałem nadzieję, że będzie ich więcej. Podkreśliłem, że Ragnall będzie miał nad nami przewagę liczebną, ale nie wspomniałem, iż wątpię w to, aby wielu z jego

ludzi pozostało wobec niego lojalnych. Wezwał jarłów, których żony przetrzymywano w Eoferwicu jako zakładniczki, i te kobiety miały z nami ruszyć na południe. Ragnall rządził za pomocą strachu, a ja zamierzałem obrócić jego metodę przeciwko niemu, informując jego ludzi, że teraz my przetrzymujemy ich rodziny. Nie powiadomiłem jednak o tym Aethelflaed. „Chciałbym – pisałem pracowicie – żebyś podążyła za hordą Ragnalla, kiedy będzie szła w naszą stronę, co z pewnością zrobi, i pomogła nam go rozgromić, nawet jeśli miałoby do tego dojść w Northumbrii”. Wiedziałem, że będzie niechętna poprowadzeniu wojsk przez granicę northumbryjską ze względu na opór brata i nie najedzie północnego królestwa bez jego udziału, zasugerowałem więc, aby poprowadziła szeroko zakrojony najazd w odwecie za szkody dokonane w Mercji przez armię Ragnalla.

Posłałem z listem syna, powiedziawszy mu, że ruszymy na południe trzy albo cztery dni po nim.

– Pomaszerujemy do Lindcolne – powiedziałem mu. Z tego miasta prowadziło wiele dróg, jedna biegła na południe do Londynu, inna na południowy zachód do centrum Mercji. – My zapewne wybierzemy tę do Ledecestre – rzekłem, mając na myśli trakt zmierzający do Mercji.

– A Ragnall ruszy wam na spotkanie – zauważył mój syn.

– Powiedz to Aethelflaed! Albo temu, kto dowodzi jej wojskami. Powiedz im, żeby deptali mu po piętach.

– O ile w ogóle opuszczą Ceaster – odparł z powątpiewaniem Uhtred.

– Wszyscy znajdziemy się w kłopotach, jeśli tego nie zrobią – skwitowałem, dotykając młota Thora.

Przydzieliłem synowi eskortę złożoną z trzydziestu wojowników i jednego księdza, którego ocaliliśmy przed szalonym pomysłem Bridy, by rzucić wyzwanie chrześcijańskiemu bogu. Ksiądz miał na imię Wilfa. Był

to poważny młodzieniec, którego szczerą, ostentacyjną pobożność miała – wiedziałem o tym – zrobić wrażenie na Aethelflaed.

– Opowiedz jej swoją historię – przykazałem mu. – A także opisz tutejsze wydarzenia! – Pokazałem mu ciała, które zdjęliśmy z krzyży Bridy, zobaczyłem prerażenie na jego twarzy i upewniłem się, że wie, iż to wojska pogańskich Norwegów i Duńczyków doprowadziły do zakończenia tych masakr. – Przekaż jej także, że Uhtred z Bebbanburga dokonał tego wszystkiego w jej służbie.

– Przekażę, panie – obiecał ojciec Wilfa. Polubiłem go. Okazywał szacunek, ale nie był służalczy. – Wiesz, panie, co stało się z arcybiskupem Aethelbaldem? – zapytał.

– Został spalony żywcem – odparłem.

– Wspomóż nas, Panie! – zawołał, wzdrygając się. – A katedra została sprofanowana?

– Powiedz pani Aethelflaed, że ta śmierć została pomszczona, kościoły znów są otwarte, a katedra oczyszczana. – Brida w ogromnych kościołach urządziła stajnie. Kazała porąbać ołtarze, podrzeć święte chorągwie i wykopać martwych z grobów. – Powiedz jej też, że król Sigtryggr obiecał mieć pieczę nad chrześcijanami.

Dziwne wydawało mi się nazywanie go „królem Sigtryggrem”. W pałacowym skarbcu znaleziono opaskę z połączanego brązu, którą kazałem mu nosić jako koronę. Rano po uczcie halla wypełniła się petentami. Wielu z nich Ragnall odebrał ziemię, by podarować je swoim zwolennikom. Przynieśli dokumenty, żeby udowodnić swoje prawa własności, więc Stiorra, która umiała czytać, usiadła za stołem na tronie męża i odszyfrowywała stare dokumenty. Jeden nosił nawet podpis mojego ojca, przekazywał w nim ziemię, o których nawet nie wiedziałem, że je posiadał. Wielu nie miało dokumentów, a z oburzeniem domagało się



zwrotu pól, które miały należeć do ich ojca, dziadka, pradziadka i tak aż do świtu dziejów.

– Co mam zrobić? – zapytał mnie Sigtryggr. – Nie znam prawdy.

– Powiedz im, że nic nie możesz zrobić, dopóki Ragnall żyje. A potem znajdź piśmiennego księdza i każ mu spisać wszystkie roszczenia.

– Co będę z tego miał?

– Odroczenie – odparłem. – Zyskasz na czasie. A po śmierci brata będziesz mógł zwołać witan.

– Witan?

– Radę. Zbierz wszystkich zgłaszających roszczenia ludzi w dworze, niech każdy przedstawi swoją sprawę, a rada zagłosuje. Oni wiedzą, kto naprawdę ma ziemię. Znają swoich sąsiadów. Wiedzą też, które ziemie należą do popleczników twojego brata, a one teraz należą do ciebie i ty możesz je rozdzielać. Ale zaczekaj, aż zginie.

Żeby go zgładzić, potrzebowaliśmy koni. Finan przeszukał miasto i wysłał ludzi do rozległej doliny rzeki Use, w ten sposób udało nam się zdobyć czterysta wierzchowców. Wiele z nich należało do ludzi Bridy, za pozostałe zapłaciliśmy srebrem ze skarbcza wiedźmy. Nie były to dobre konie, nie chciałbym na nich toczyć bitwy, ale mogliśmy na nich szybciej dojechać na południe niż pieszo, a tego właśnie potrzebowaliśmy. Wybrałem kilkanaście najgorszych zwierząt i podarowałem je Skoptiemu Alsvartsonowi, który dotrzymał obietnicy i pozostał w mieście do chwili, kiedy pozwoliłem mu odejść.

– Możesz opuścić miasto – powiedziałem mu dwa dni po wyruszeniu mojego syna na południe.

Skopti nie był głupcem. Wiedział, że go wykorzystuję. Zamierzał jechać do Mercji i opowiedzieć Ragnallowi o tym, co stało się z Bridą i jego zwolennikami w Eoferwicu, oraz ostrzec go, iż się zbliżamy. Tego właśnie

chciałem. Specjalnie pokazałem Skoptiemu zebrane konie, a nawet dałem mu czas na policzenie wierzchowców, żeby mógł powiedzieć swojemu wodzowi, że mamy niewielką armię, liczącą niespełna pięciuset wojowników. Poinformowałem Aethelflaed, że wyruszymy z ponad pięciuset zbrojnymi, ale moje nadzieje słabły, bo wiedziałem już, że moja armia będzie niepokojąco mała, spodziewałem się jednak, że mercyjskie siły uzupełnią nasze braki.

– Powiedz mu, że go dorwiemy i zabijemy – rzekłem na pożegnanie. – Ciebie też zabijemy, jeśli pozostaniesz mu wierny.

– Złożyłem mu przysięgę – odparł z uporem.

Pojechał na południe. Większość jego ludzi musiała iść pieszo, podążała za Skoptim, który wedle moich szacunków powinien dotrzeć do swojego wodza w ciągu trzech lub czterech dni. Nie można było wykluczyć, że do Ragnalla już doszły słuchy o wydarzeniach w Eoferwicu, że wiedział już o powrocie brata i śmierci Bridy. Na północ nieustannie wysyłane były niewielkie grupki niewolników, zawsze eskortowane przez ludzi Ragnalla, bardzo prawdopodobne było więc, że uciekinierzy z miasta spotkali te oddziały, a one doniosły wodzowi o wypadkach w Eoferwicu. W każdym razie albo wiedział już o tym, albo wkrótce miał się dowiedzieć. Pytanie brzmiało, co miał zamiar zrobić w związku z powrotem Sigtryggra. Wiedział, że wojska Aethelflaed szukają go, a przynajmniej miałem taką nadzieję, a teraz z północy nadciągał nowy wróg.

– Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, ruszyliby na wschód. Znalazłby łodzie i by odpłynął – powiedział Finan.

– Gdyby miał olej w głowie, zaatakowałyby Aethelflaed, rozgromiłby jej armię, a potem rozbiłby nasze wojska. Ale tego nie zrobi.

– Nie?

Pokręciłem głową.

– Za bardzo nienawidzi brata. Najpierw będzie szukał nas.

Dwa dni po wyjeździe Skoptiego, który ruszył ostrzec Ragnalla, my również podążyliśmy na południe.

Byliśmy niewielką armią. Ostatecznie do Mercji wyruszyło tylko trzystu osiemdziesięciu czterech jeźdźców, reszta została w Eoferwicu pod dowództwem Orvara. Chciałem, żeby pojechało ze mną więcej wojowników, znacznie więcej, ale mieliśmy za mało koni, a część z nich musiała zostać użyta jako juczne. Sigtryggr martwił się, że zwolennicy Bridy – wielu uciekło na północ natychmiast po jej śmierci – otrzymają wsparcie, które pozwoli im przeprowadzić oblężenie Eoferwicu. Bardziej możliwe było wprawdzie, że ukryli się oni za potężnymi murami Dunholmu, ale uległem jego życzeniu i zostawiłem w mieście spory garnizon. To on był przecież królem.

W drogę ruszyło trzystu osiemdziesięciu czterech mężczyzn, ale także dziewięć kobiet. Jedną z nich była Stiorra. Podobnie jak Aethelflaed nie sposób było jej czegokolwiek zakazać, myślę też, że obawiała się pozostać z Orvarem, który do niedawna służył Ragnallowi. Ufałem Orvarowi tak samo jak Sigtryggr, który nalegał, żeby jego córka, a moja wnuczka, została w mieście pod opieką Orvara. Stiorra była niepokieszona, ale się zgodziła. Pozostałych osiem kobiet było zakładniczkami Ragnalla, żonami mężczyzn będących jarłami Króla Morza, a teraz moją bronią przeciwko Norwegom.

Pojechaliśmy rzymską drogą biegnącą na południe. Ragnall, jeśli wiedział cokolwiek na temat rzymskiej sieci dróg w Brytanii, mógł się domyślić, że wybierzemy trasę z Eoferwicu do Lindcolne, ponieważ była ona najkrótsza, ale wątpiłem, by miał czas, żeby przesunąć swoje wojska i zablokować drogę. Ci, którzy mieli z nim ostatni kontakt – choć trzeba przyznać, że minęło od tego czasu wiele dni – twierdzili, że posuwał się

dalej w głąb Mercji, dlatego nie spodziewałem się ujrzeć słupów dymu przed minięciem Lindcolne i znalezieniem się na drodze do Ledecestre, mercyjskiego miasta, które odkąd pamiętam, znajdowało się w rękach Duńczyków. Ledecestre leży na rozległych terenach północnej Mercji, której Sasi jeszcze nie podbili, na ziemiach, które Aethelflaed przysięgła odzyskać. Na południe od Ledecestre rozciągały się tereny, którymi nie władali ani Duńczycy, ani Sasi. Pokryty ruinami obszar najazdów, pas graniczny między dwoma plemionami i dwiema religiami.

Wysłaliśmy przodem zwiadowców. Byliśmy wprawdzie nadal w Northumbrii i maszerowaliśmy z powiewającą chorągwią Ragnalla opatrzoną czerwonym toporem, ale wciąż traktowaliśmy ten kraj jak teren wroga. Wieczorem nie rozpalaliśmy ognisk i szukaliśmy miejsc oddalonych od drogi na popas i nocleg. Pozostaliśmy na terytoriach leżących na zachód od Lindcolne, chociaż Sigtryggr i ja przeszliśmy przez rzymski most z kilkunastoma ludźmi, żeby wspiąć się na strome wzgórze, na którym usadowione było miasto. Spotkaliśmy tam urzędnika w srebrnym łańcuchu wskazującym na jego funkcję. Był to starszy, siwobrody mężczyzna z jednym ramieniem.

– Straciłem ramię, walcząc z Sasami zachodnimi – wyjaśnił nam radośnie. – Ale drań, który mi je odjął, stracił obie ręce. Był to Duńczyk imieniem Asmund służący jarlowi Steenowi Stigsonowi. Dołączył do Ragnalla przed miesiącem – poinformował nas. – Wy też chcecie dołączyć do jego armii?

– Zgadza się – odparł Sigtryggr.

– Gdzie on teraz jest? – zapytałem.

– Kto to wie? – odpowiedział radośnie Asmund. – Kiedy ostatnio mieliśmy o nim wieści, był daleko na południu. Mogę wam powiedzieć

tylko, że jarl Steen przysłał nam tydzień temu pięćdziesiąt sztuk bydła, a poganiacz mówił, że podróż zajęła mu cztery dni.

– A Mercjanie? – zapytałem.

– Żadnych nie widziałem. Ani nic o nich nie słyszałem.

Rozmawialiśmy przy jednej z bram w rzymskich murach, z których rozciągał się widok na całą okolicę, nie dostrzeżliśmy jednak dymów na niebie. Te ziemie sprawiały wrażenie spokojnych, żyznych, zielonych. Trudno było sobie wyobrazić, że wśród tych lasów, pastwisk i pól uprawnych szykowały się do starcia dwie armie.

– Ragnall przysyłał niewolników do Eoferwicu – powiedziałem. Mieliśmy nadzieję, że spotkamy po drodze jego ludzi wiodących pojmanych z Mercji i oni powiadomią mnie, gdzie znajdują się jego wojska, ale żadnych nie napotkaliśmy.

– Nie widzieliśmy nikogo już od tygodnia! Może gromadzi nieszczęśników w Ledecestre? Podaj to tutaj! – Ostatnie trzy słowa skierowane były do służącej, która przysłała z tacą pełną kubków z ale. Asmund wziął dwa i nam je wręczył, potem rozkazał dziewczynie obsłużyć resztę moich ludzi. – Najlepiej podążajcie dalej na południe, panowie! – poradził nieco zbyt entuzjastycznym tonem. – W końcu kogoś spotkacie!

Ten entuzjazm mnie zastanowił.

– Widziałeś się ze Skoptim Alsvartsonem? – zapytałem.

– Skoptim Alsvartsonem? – Lekko się zawahał. – Nie znam go, panie.

Przełożyłem kubek z ale do lewej ręki, a prawą dotknąłem rękojeści Oddechu Węża. Nasz rozmówca pospiesznie zrobił krok w tył. Udałem, że tylko poprawiam broń przy pasie, skończyłem ale i oddałem kubek służącej.

– Dobrze, zatem pojedziemy na południe – powiedziałem ku uldze Asmunda.

Asmund nas okłamywał. Robił to dobrze, przekonująco, ale Skopti Alsvartson musiał przejeżdżać przez Lindcolne. Podobnie jak my z pewnością wybrał najkrótszą drogę na południe i to by tłumaczyło, dlaczego nie spotkaliśmy żadnych ludzi Ragnalla. Skopti ich ostrzegł. Nie można było oczywiście wykluczyć, że ze swoimi ludźmi po prostu minął miasto, ale było to mało prawdopodobne. Spojrzałem Asmundowi w oczy i wydało mi się, że dostrzegam w nich nerwowość. Uśmiechnąłem się.

– Dziękuję za ale.

– Niech wam pójdzie na zdrowie, panie.

– Ilu masz tu ludzi? – zapytałem.

– Za mało, panie. – Chciał przez to powiedzieć, że za mało, by obsadzić mury.

Lindcolne było burhem, ale podejrzewałem, że większość garnizonu pomaszerowała na południe z jarłem Steenem. Pewnego dnia wojownicy będą ginąć na tych rzymskich murach, żeby stworzyć Anglię.

Po raz ostatni spojrzałem na południe z punktu obserwacyjnego oferowanego przez wzgórze Lindcolne. Ragnall tam się krył, mówił mi to wewnętrzny głos. Musiał już wiedzieć, że Brida zginęła, a Eoferwic został zajęty, i szykował zemstę.

Nadchodził, żeby nas zabić. Patrzyłem na rozległe żyzne ziemie, cienie chmur przesuwające się po zagajnikach, pastwiskach, jaskrawej zieleni świeżych plonów, sadach i polach i wiedziałem, że pośród nich kryje się śmierć. Ragnall ruszył na północ.

My jechaliśmy na południe.

– Za dwa dni – powiedziałem, kiedy zostawiliśmy za sobą Lindcolne.

– Za dwa dni? – zapytał Sigtryggr.

- Ragnall znajdzie nas za dwa dni.
- Ma siedmiuset ludzi.
- Pewnie więcej.

Nie dostrzegliśmy żadnego śladu plądrowania dokonanego przez wojska Ragnalla ani siły mercyjskie. Nie widać było dymów wskazujących na miejsce obozowania wojowników. Oczywiście widzieliśmy dymy, na niebie zawsze pojawia się dym. Wieśniacy podtrzymują ogień w kuchniach, a w lasach wypala się węgiel drzewny, ale nie było tumanów dymu zdradzających obecność wojsk. Obozy mercyjskiej armii musiały znajdować się daleko na zachodzie. Po południu opuściliśmy rzymską drogę i podążyliśmy na zachód. Nie maszerowałem na spotkanie Ragnallowi, lecz w poszukiwaniu pomocy. Potrzebowałem wsparcia wojsk Aethelflaed.

Późnym popołudniem dotarliśmy do leśnej polany, gdzie ujrzeliśmy rozpadającą się chatę. Może był to kiedyś dom leśnika, teraz jednak z budynku pozostała tylko sterta strzechy przykrywająca dziurę wykopaną w piaszczystej ziemi polanki. Spędziliśmy godzinę na cięciu gałęzi i układaniu ich na strzesze. Potem znów ruszyliśmy na zachód, zostawiając z tyłu dwóch zwiadowców. Opuściliśmy drogę i podążaliśmy ścieżkami wydeptanymi przez bydło, zawsze kierując się w stronę zachodzącego słońca. O zmierzchu stanęliśmy, żeby obejrzeć się na noc ogarniającą wschód, i wtedy między drzewami zobaczyłem nagły blask ognia. Zwiadowcy podpalili strzechę, a ten żar był znakiem dla naszych przeciwników. Miałem nadzieję, że Ragnall zobaczy dym kalający niebo i ruszy na wschód, podczas gdy my pomaszerowaliśmy na zachód.

Nazajutrz rano dym nadal się unosił, odcinając się szarą smugą od błękitu nieba. Zostawiliśmy go daleko za sobą, gdyż podążaliśmy w przeciwną stronę. Nasi zwiadowcy opuścili ścieżkę i skierowali się na

południe, ale nie dostrzegli śladu wroga. Nie dostrzegli też naszych sprzymierzeńców. Przypomniałem sobie kłótnię w halli w Ceasterze, kiedy chciałem wyjechać napastnikom naprzeciw i wszyscy, prócz biskupa Leofstana, opowiedzieli się za pozostaniem w warowni. Czy to Aethelflaed tego dokonała? Mój syn, jeśli przeżył, musiał już do niej dotrzeć, nawet jeżeli nadal ukrywała się w Ceasterze. Czyżby jej gniew na mnie był tak wielki, że postanowiła pozwolić nam zginąć na tych wzgórzach?

– Co robimy, ojcze? – zapytała Stiorra.

Jak brzmiała szczerza odpowiedź? Że uciekamy. Prawda była taka, że podążałem na zachód ku odległemu Ceasterowi w nadziei napotkania mercyjskich wojsk.

– Chcę ściągnąć Ragnalla na północ – powiedziałem zamiast tego. – Żeby znalazł się w potrzasku między nami a wojskami Aethelflaed. – To także była prawda. Dlatego właśnie prowadziłem tych ludzi na południe z Eoferwicu, ale od Lindcolne dręczył mnie strach, że jesteśmy sami, Mercjanie nie nękają Ragnalla, a my będziemy musieli sami stawić czoło Norwegom. Próbowałem nadać głosowi wesoły ton. – Musimy po prostu unikać Ragnalla do czasu, aż będziemy wiedzieli, że Mercjanie są wystarczająco blisko, żeby nam pomóc!

– A oni o tym wiedzą?

To było oczywiście dobre pytanie – pytanie, na które nie znałem odpowiedzi.

– Jeśli twój brat do nich dotarł, to tak.

– A jeśli tak się nie stało?

– A jeśli tak się nie stało... – przestałem udawać wesołego – wówczas ty i Sigtryggr będziecie musieli jak najszybciej wracać na północ. Wracać i ratować córkę, a potem znaleźć bezpieczne schronienie. Jechać za morze!



Uciekać! – Ostatnie słowa wypowiedziałem w gniewie, ale nie byłem wściekły na Stiorrę, tylko na siebie.

– Mój mąż nie ucieknie – odparła Stiorra.

– A zatem jest głupcem – rzuciłem.

Ale ja byłem większym głupcem. Zarzucałem młodego Aethelstana radami, mówiąc mu, żeby nie był uparty, pomyślał, zanim użyje miecza, tymczasem przez własną bezmyślność prowadziłem swoje nieliczne wojska ku katastrofie. Myślałem, że połączymy się z mercyjską armią, że złapiemy Ragnalla między nasze siły, tymczasem sam mogłem znaleźć się w potrzasku. Wiedziałem, że Ragnall nadchodzi. Nie widziałem go ani nie czułem, ale wiedziałem to. Z każdą godziną miałem coraz silniejsze podejrzenia, że zostaliśmy sami w tej sielskiej okolicy. Wewnętrzny głos mnie ostrzegał, ja zaś nauczyłem się mu ufać. Wróg deptał mi po piętach, a w pobliżu nie było znikąd pomocy. Nie widziałem żadnych dymów z wojskowych obozowisk, ale nie miałem prawa ich ujrzeć. Ragnall wolałby zamarznąć na śmierć, niż zdradzić swoją obecność. Znał nasze położenie, my natomiast nie wiedzieliśmy, dokąd maszeruje jego armia. Tego rana po raz pierwszy ujrzałem jego zwiadowców. Dojrzeliliśmy w oddali jeźdźców, a Eadger, który należał do moich najlepszych zwiadowców, poprowadził kilku ludzi w pogoń za dwoma konnymi, ale drogę przecięło im około dwudziestu mężczyzn na koniach. Był w stanie powiedzieć tylko tyle, że większy oddział zbrojnych znajduje się na południu.

– Nie udało nam się ominąć tych drani, panie – powiedział. Próbował, chciał rzucić okiem na wojska Ragnalla, ale wróg pokrzyżował mu plany. – Nie mogą być jednak daleko, panie – stwierdził, i miał rację.

Zastanawiałem się, czy nie zawrócić na północ do Eoferwicu z nadzieją, że będziemy szybsi od ścigających nas wojsk, ale nawet gdyby udało nam

się dotrzeć do miasta, zostalibyśmy po prostu uwięzieni za jego murami. Siły Aethelflaed nigdy nie zapuściłyby się tak daleko w głąb Northumbrii, żeby nam pomóc. Nie moglibyśmy liczyć na ratunek, czekałoby nas tylko oblężenie murów i bezlitosna rzeź w wąskich uliczkach miasta.

Co ja sobie wyobrażałem? Założyłem, że Aethelflaed wyśle ludzi, aby nękali Ragnalla, że mercyjska armia będzie w pobliżu jego wojsk – czterystu–pięciuset wojowników, z którymi będziemy mogli połączyć siły. Myślałem, że zdobycie Eoferwicu, skłonienie nowego władcy Northumbrii do zawarcia z nią pokoju i podarowanie jej krwistoczerwonej flagi Ragnalla w charakterze trofeum jej zaimponuje. Myślałem, że podaruję Mercji nową pieśń o Uhtredzie, tymczasem dałem nową pieśń bardom Ragnalla.

A zatem nie powiedziałem Stiorze prawdy, że prowadzę ją ku katastrofie, ale w południe musiało to być już dla wszystkich oczywiste. Jechaliśmy grzbietem wzgórza wznoszącego się nad rozległą rzeczną doliną. Wody rzeki toczyły się szerokimi zakolami, cicho płynąc ku morzu między łąkami porośniętymi soczystą trawą, na których pasły się owce. To o to walczyliśmy, o te żyzne ziemie. Ciągłe podążaliśmy na zachód po grani nad rzeką, choć nie miałem pojęcia, gdzie się znajdujemy. Zapytaliśmy jakiegoś pasterza, ale potrafił powiedzieć tylko „dom”, jakby to wszystko wyjaśniało. Chwilę później, kiedy zatrzymaliśmy się na niewielkim wyniesieniu, zobaczyłem w oddali konnych. Jeźdźców było trzech.

– Nie są nasi – burknął Finan.

A zatem zwiadowcy Ragnalla byli przed nami. Na zachód od nas, na południe od nas, a także najpewniej za nami. Spojrzałem na rzekę. Znajdowaliśmy się na południe od niej. Spodziewałem się, że gdzieś będziemy mogli ją przekroczyć i ruszyć na północ, ale mieliśmy słabe konie i jeśli Ragnall był tak blisko, jak podejrzewałem, z łatwością mógł

nas przegonić i zdecydować o miejscu bitwy. Nadszedł czas, żeby się ukryć, wysłałem więc Finana z kilkunastoma ludźmi, żeby znalazł łatwy do obrony teren. Zamierzałem zwrócić się przeciwko naszym prześladowcom niczym zaszczute zwierzę i wybrać miejsce, w którym będziemy mogli zadać wrogowi możliwie największe straty, zanim nas rozgromi. Miejsce, w którym zginiemy, jeśli Mercjanie nie nadejdą.

– Szukaj szczytu wzgórza – powiedziałem Finanowi, który wcale nie potrzebował tej wskazówki.

Znalazł coś lepszego.

– Pamiętasz to stanowisko, w którym usidlił nas Eardwulf? – zapytał po powrocie.

– Pamiętam.

– To jest podobne, tylko lepsze.

Eardwulf przewodził buntowi przeciwko Aethelflaed i urządził zasadzkę w pozostałościach starej rzymskiej warowni, wzniesionej na obszarze, gdzie spotykały się dwie rzeki. Wtedy przeżyliśmy, bo uratowała nas Aethelflaed, teraz jednak porzuciłem już wszelką nadzieję.

– Tam jest zakole rzeki – powiedział mi Finan. – Musimy przejść na drugi brzeg. Przez bród. A na drugim brzegu wznosi się fort.

Miał rację, trudno było wyobrazić sobie lepsze miejsce, było ono dostosowane do obrony, kolejna budowla postawiona przez Rzymian i tak samo jak w Alencestre, gdzie Eardwulf zastawił na nas pułapkę, łączyły się tam dwie rzeki. Obie były zbyt głębokie, by można je było pokonać pieszo, a między nimi wznosił się na podwyższeniu kwadratowy szaniec. Jedyne przejście znajdowało się od północnego brzegu brodu, od strony, z której nadjeżdżaliśmy, co oznaczało, że Ragnall będzie musiał obejść fort i przejść przez bród, a to pozwoli nam zyskać na czasie i doczekać nadejścia

mercyjskich wojsk, które nas uratują. A jeśli Mercjanie nie nadejdą, będziemy mieli fort do obrony i wał, na którym będziemy zabijać wrogów.

Zapadł już niemal zmierzch, kiedy wprowadziliśmy nasze wierzchowce przez północne wejście. Nie było ono strzeżone bramą, została tylko droga pośród ruin szańca, który podobnie jak stare wały wokół Eads Byrig podupadał pod naporem deszczy i czasu. Wewnątrz nie było żadnych śladów rzymskich budynków, a jedynie gospodarstwo złożone z przykrytego strzechą dworu z ciemnych belek oraz stodoły i obory, ale nie dostrzeżliśmy śladu bydła ani ludzi poza jednym staruszkiem, który mieszkał w chacie za wałami. Berg przyprowadził go do nas.

– Mówi, że to miejsce należy do Duńczyka imieniem Egill – powiedział.

– Kiedyś należało do Sasa – dodał staruszek. Sam był Sasem. – Do Hrothwulfa! Pamiętam Hrothwulfa! To był dobry człowiek.

– Jak nazywa się to miejsce? – zapytałem.

Zmarszczył brwi.

– Farma Hrothwulfa, oczywiście!

– Gdzie jest ten Hrothwulf?

– Nie żyje i został pochowany w tej ziemi. Trafił do raju, mam nadzieję. Został tam posłany przez Duńczyka. – Splunął. – Byłem jeszcze chłopakiem! Tylko chłopakiem. To dziad Egilla go zabił. Sam widziałem. Nadział na rożen jak skowronka.

– A Egill?

– Opuścił to miejsce, panie. I wszystko ze sobą zabrał.

– Wyjechał dzisiaj – powiedział Finan. Wskazał na krowi placek przed stodołą. – Jakaś krowa zrobiła to dziś rano.

Zsiadłem z konia i dobyłem Oddech Węża. Finan dołączył do mnie z mieczem w ręku. Pchnęliśmy drzwi dworu. Był niemal pusty, zostały

tylko dwa grubo ciosane stoły, kilka ław, sienniki, zardzewiały garnek, złamany sierp i stos wyleniałych, cuchnących skórek zwierzęcych. Pośrodku dworu znajdowało się kamienne palenisko. Kucnąłem obok niego i dotknąłem popiołu.

– Jeszcze ciepły – stwierdziłem. Pogrzebałem w popiele sztychem Oddechu Węża i zobaczyłem tłące się węgielki. A zatem Egill Duńczyk jeszcze niedawno był w tym domu, ale wyjechał, zabierając ze sobą trzodę. – Ktoś go ostrzegł – powiedziałem Sigtryggrowi, kiedy dołączyłem do niego na wale ziemnym. – Egill wiedział, że nadjeżdżamy.

Egill miał czas, żeby zabrać bydło i dobytek – myślałem – co znaczy, że ostrzeżono go przynajmniej z wyprzedzeniem sześciu godzin, a to znów oznacza, że zwiadowcy Ragnalla musieli obserwować nas od wczesnych godzin rannych. Spojrzałem na północ, na łagodne wzgórze między rzekami.

– Musisz jechać ze Stiorrą na północ – powiedziałem do Sigtryggra.

– I zostawić tu ciebie i twoich ludzi?

– Musicie jechać.

– Ja jestem tutaj królem – odparł. – Nikt nie wygoni mnie z moich ziem.

Wzgórze na północy miało płaski szczyt i wznosiło się między dwoma rzekami, które łączyły się na południe od fortu. Jego zbocza w większości pokrywały pastwiska, łagodnie opadały, po czym równie łagodnie się wznosiły ku linii drzew, gdzie nagle dostrześliśmy jeźdźców.

– Nasi zwiadowcy – rzekł Finan, a mężczyźni położyli dłonie na rękojeściach mieczy.

Sześciu mężczyzn w grupie przecinało pastwisko, a kiedy podjechali bliżej, zauważyłem, że dwóch z nich jest rannych. Jeden siedział przygarbiony w siodle, drugi krwawił z głowy. Mężczyźni jechali na zmęczonych wierzchowcach w stronę wejścia do fortu.

– Nadjeżdżają, panie – powiedział z siodła Eadger. Wskazał głową na południe.

Odwróciłem się, ale teren za rzekami był cichy, nieruchomy, pusty i rozświetlony słońcem.

– Co widziałeś? – zapytał Sigtryggr.

– Za tym lasem stoi gospodarstwo. – Eadger wskazał na drzewa za rzeką. – Zebrało się tam co najmniej stu wojowników, a kolejni nadjeżdżają. Ze wszystkich stron. – Zamilkł, kiedy Folcbald pomagał rannemu zsiąść z konia. – Kilku ruszyło za nami w pościg, a Ceadda dostał włócznią w brzuch – ciągnął Eadger.

– A mimo to dwóch zrzuciliśmy z siodła – zauważył mężczyzna z krwawiącą głową.

– Są bardzo rozproszeni, panie – podjął relację Eadger. – Nadjeżdżają ze wschodu, z zachodu i z południa, zewsząd. Ale nadjeżdżają.

Przez chwilę miałem szalony pomysł, żeby poprowadzić swoich ludzi i zaatakować awangardę wojsk Ragnalla. Moglibyśmy przekroczyć rzekę, napaść na wojowników przybyłych na miejsce zbiórki i wybić zgromadzonych w chacie przed zjawieniem się reszty wojsk. Wtedy jednak Finan chrząknął, a ja odwróciłem się i ujrzałem jeźdźca na tle linii drzew. Dosiadał siwego konia, który stał bez ruchu. Obserwował nas. Za nim pojawili się dwaj kolejni wojownicy, a potem jeszcze kilku.

– Są po drugiej stronie rzeki – powiedział Finan.

Na odległej granicy lasu pojawiło się więcej wojowników. Stali tylko i patrzyli w naszą stronę. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na południe, i tym razem ujrzałem jeźdźców, strumień konnych na drodze wiodącej do brodu.

– Wszyscy już tu są – powiedziałem.

Ragnall nas znalazł.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pierwsze ognisko zapłonęło niedługo po zachodzie słońca. Płonęło gdzieś w głębi lasu poza granicą pastwisk, płomienie migotały, rzucając upiorne cienie pośród drzew.

Rozpalono kolejne, jedno po drugim, jarzyły się jasno w północnym lesie rozciągającym się między rzekami. Było ich tak wiele, że czasem wydawało mi się, że płonie cały pas drzew. Później, głęboką, rozświetloną ogniskami nocą, usłyszeliśmy tętent kopyt i zobaczyłem cień jeźdźca cwałującego w naszą stronę, a po chwili zawracającego do lasu.

– Chcą zmusić nas do czuwania – powiedział Sigtryggr.

Pojawił się drugi jeździec, a po południowej stronie wyniesienia niewidzialni wrogowie zaczęli uderzać mieczami o tarcze.

– Zmuszają nas do czuwania – odpowiedziałem, po czym spojrzałem na Stiorrę. – A ty czemu nie pojechałaś na północ?

– Zapomniałam.

Egill wyciągnął ze stodoły dwa szpadle, a my użyliśmy ich do pogłębienia starego rowu przed wałem ziemnym. Nie była to głęboka fosa, ale stanowiła pewną przeszkodę dla posuwającego się muru tarcz. Nie miałem wystarczająco dużo ludzi, żeby zdecydować się na bitwę na otwartym terenie, musieliśmy więc nasz mur tarcz ustawić na pozostałościach rzymskiego fortu. Istnieją wielkie warownie, takie jak Eoferwic, Londyn czy Ceaster, które są chronione przez potężne kamienne mury, i mnóstwo wiejskich fortów otoczonych tylko fosą i wałem

zwieńczonym palisadą. Te mniejsze strzegą brodów na rzece, skrzyżowań na drogach i choć drewniane umocnienia zniknęły, wały te, mimo postępującego zniszczenia, nadal pozostawały wystarczająco wysokie, aby stanowić poważną przeszkodę dla najeźdźcy. A przynajmniej tak sobie mówiłem. Ludzie Ragnalla będą musieli pokonać rów, a potem wspiąć się na wał, kierując prosto na nasze topory, włócznie i miecze. Ich martwi i ranni towarzysze będą stanowili kolejną przeszkodę dla wojowników nadchodzących nas zabić. Najślabszym punktem było wejście do fortu – płaski odcinek drogi przecinający wał. Miejsce łączenia się rzek gęsto porastały cierniste krzewy, mój syn wziął więc ze sobą kilkunastu mężczyzn, wyciął zarośla i wzniósł z nich barykadę.

Sigtryggr obejrzał cały fort, zanim słońce zaszło i spowiły nas ciemności.

– Gdybyśmy mieli stu ludzi więcej, coś moglibyśmy zdziałać – powiedział posepnie.

– Módlmy się, żeby poprowadził szturm w linii prostej – odparłem.

– Nie jest głupcem.

Mieliśmy wystarczająco dużo wojowników, żeby obronić jedną ścianę grodu. Jeśli Ragnall nadejdzie drogą przecinającą pastwisko i zaatakuje od frontu, wówczas – uznałem – bylibyśmy w stanie się bronić, jak mawiają chrześcijanie, do dnia sądu ostatecznego. Gdyby jednak posłał część wojsk na drugą stronę fortu, żeby zaatakowały jego wschodnią albo zachodnią ścianę, zmusiłby nas do ogromnego wysiłku. Na szczęście po obu stronach teren obniżał się ku rzece, ale zbocza nie były szczególnie strome, co oznaczało, że potrzebowaliśmy ludzi do obrony południowej ściany, jeśli siły Ragnalla nas otoczą. Prawda była taka, że Norwegowie nas rozgromią, i byłem tego świadom. Mogliśmy stanąć do walki, zabić kilku jego najlepszych wojowników, ale wiedziałem, że do południa wszyscy



będziemy martwi albo dostaniemy się do niewoli, o ile Ragnall nie wyświadczy mi przysługi, przystępując do oblężenia północnego wału.

Albo o ile nie nadejdą Mercjanie.

– Mamy zakładniczki – powiedział Sigtryggr.

Staliśmy na północnym wale, patrząc na przerażające ognie i słuchając uderzeń naszych szpadli pogłębiających fosę. Kolejny wróg podjechał do fortu, człowieka i konia otaczała poświata ognisk palących się w dalekim lesie.

– To prawda, mamy zakładniczki – przyznałem.

Kobiety, które zabraliśmy ze sobą z Eoferwicu, były żonami jarłów Ragnalla. Najmłodsza liczyła około czternastu lat, najstarsza jakieś trzydzieści. Trudno się dziwić, że były przygnębione i nadąsane. Trzymaliśmy je w dworze Egilla pod strażą czterech wojowników.

– Czego on się boi? – zapytałem Sigtryggra.

– Boi?

– Dlaczego wziął zakładników?

– Obawia się zdrady – odparł bez ogródek.

– Przysięga wierności nie wystarcza, żeby być pewnym lojalności swoich ludzi?

– Mojemu bratu nie – powiedział z westchnieniem. – Sześć, może pięć lat temu nasz ojciec poprowadził armię na południe Irlandii. Sprawy nie potoczyły się po jego myśli i połowa wojowników wsiadła do swoich łodzi i odpłynęła.

– To się zdarza – zauważyłem.

– Gdy zdobywasz ziemie, niewolników i bydło, ludzie dotrzymują przysięgi – ciągnął Sigtryggr. – A kiedy zaczynają się kłopoty? Rozchodzą się. Zakładnicy są odpowiedzią Ragnalla na te wydarzenia.

– Zakładników bierze się od wrogów, nie od przyjaciół.

– Chyba że jesteś moim bratem – odrzekł Sigtryggr.

Przesunął kamień wzdłuż krawędzi miecza. Rozległ się monotony dźwięk. Spojrzałem na odległy las, wiedząc, że wróg także ostrzy broń. Musieli być pewni zwycięstwa. Wiedzieli, że świt przyniesie im bitwę, wiktoryę, rabunek i sławę.

– Co zrobisz z zakładniczkami? – zapytał Finan.

– Pokażę je im – odparł Sigtryggr.

– Będziesz im groził? – zapytała Stiorra.

– Oni mają broń – powiedział smutnym tonem.

– Masz zamiar je zabić? – dopytywała się moja córka. Sigtryggr nie odpowiedział. – Jeśli je zamordujesz, stracisz nad nimi władzę.

– Sama groźba śmierci powinna wystarczyć – odrzekł.

– Ci ludzie – Stiorra wskazała głową w stronę ognisk w lesie – znają cię. Wiedzą, że nie zabijasz kobiet.

– Może będziemy zmuszeni, żeby zabić przynajmniej jedną – powiedział smutno Sigtryggr.

Milczeliśmy. Za nami, w forcie, nasi ludzie siedzieli wokół ognisk. Niektórzy śpiewali, ale nie były to wesołe pieśni. Były to pieśni pełne skargi. Oni wiedzieli, co ich czeka, a ja się zastanawiałem, na ilu z nich mogę polegać. Ufałem swoim wojownikom i wojownikom Sigtryggra, ale jedna czwarta mojego wojska jeszcze przed tygodniem lub dwoma była związana przysięgą z Ragnallem. Jak zachowają się w bitwie? Czy zdezerterują? Czy może strach przed gniewem Ragnalla zdopinguje ich do jeszcze bardziej zaciętej walki?

– Pamiętasz Eardwulfa? – zagadnął nagle Finan.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Wiem, o czym myślisz.

– Kim jest Eardwulf?– Chciał wiedzieć Sigtryggr.

– Ambitnym człowiekiem, urządził na nas podobną pułapkę – wyjaśniłem. – Bardzo podobną. Pani Aethelflaed w ostatniej chwili uratowała nas przed rzezią.

– Przybyła na czele wojsk?

– On myślał, że prowadzi armię. W rzeczywistości nie miała ze sobą wojska, ale on tak myślał i zostawił nas w spokoju.

– A jak będzie jutro? – zapytał mój zięć.

Nadal miałem nadzieję, że mercyjska armia przybędzie nam z odsieczą. Mówiłem sobie, że może znajdować się w odległości dwóch godzin marszu, gdzieś na zachodzie. Może dowodzi nią Merewalh. Był wystarczająco mądry, żeby nie pozwolić swoim ludziom rozpalać ognisk, i dość sprytny, żeby przybyć przed świtem i zaatakować Ragnalla od tyłu. Czepiałem się tej nadziei, chociaż wewnętrzny głos mówił mi, że jest ona próżna. Wiedziałem, że bez pomocy jesteśmy zgubieni.

– Są jeszcze inni zakładnicy – odezwał się nagle Finan. Spojrzeliśmy na niego pytająco. – Oddziały mojego brata – wyjaśnił Irlandczyk.

– Myślisz, że nie będą walczyli? – zapytałem.

– Oczywiście, że będą – odparł. – Są Irlandczykami. Ale rano, panie, pożyczysz mi swój hełm, bransolety na ramiona oraz całe złoto i srebro, jakie masz przy sobie.

– Są najemnikami, będziesz próbował ich przekupić? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Chcę też twojego najlepszego konia.

– Bierz, co ci się podoba – powiedziałem.

– Co zamierzasz? – próbował dowiedzieć się Sigtryggr.

Irlandczyk się uśmiechnął.

– Odprawić czary. Po prostu irlandzkie czary.

Czekaliśmy na świt.

Świt przywitał nas mgiełką. Ogniska w lesie zblakły, choć wciąż płonęły matowym blaskiem wśród spowitych mgłą drzew. Finan próbował je policzyć, ale było ich zbyt wiele. Wszyscy zabraliśmy się do rachowania. Dysponowaliśmy tylko trzystu osiemdziesięcioma wojownikami zdolnymi do walki, a wróg miał nad nami trzykrotną, a może nawet czterokrotną przewagę. Wszyscy liczyliśmy, choć nikt o tym nie wspomniał.

Pierwsi jeźdźcy pojawili się niedługo po nastaniu świtu. Byli to młodzieńcy z armii Ragnalla, którzy nie mogli doczekać się starcia. Wyjechali spośród drzew, pocwałowali w linii prostej ku północnemu wałowi i po prostu czekali, zwykle w odległości trzydziestu–czterdziestu kroków, wyzywając nas na pojedynek. Wydałem rozkaz, aby nikt nie przyjmował wyzwania, co skłoniło kolejnych młodych wojowników do prowokowania nas. Wojska Ragnalla wciąż ukrywały się między drzewami w odległości pół mili od fortu, ale pozwolił swoim zapalczywym młodzianom stawić nam czoło.

– Wy tchórze! – ryknął jeden z nich.

– Wyjdźcie i mnie zabijcie, jeśli macie odwagę! – krzyczał inny, kłusując nam pod nosem tam i z powrotem.

Popisywali się tak samo przed nami jak przed sobą nawzajem. Tego typu lżenie przeciwnika od zawsze stanowiło część bitwy. Dzięki temu wojownicy mają czas ustawić się w murze tarcz, a w jeszcze większym stopniu zebrać odwagę, żeby przejść do ataku. Rytuał obrzucania obelgami i wyzywania wroga był integralną częścią szykowania się do walki. Ragnall wciąż nie wyprowadzał swoich wojsk na otwartą przestrzeń, jego

wojownicy nadal kryli się między drzewami, choć między liśćmi dostrzegaliśmy teraz pobłykiwanie metalu. Zapewne przemawiał do dowódców, mówił, czego od nich oczekuje i jak ich wynagrodzi, młodszy wojownicy tymczasem przybyli pod fort, żeby z nas szydzić.

– Niech dwóch z was wyjdzie! – wrzeszczał jeden. – Zabiję was obu!

– Szczeniak – burknął Sigtryggr.

– Pamiętam, że pod Ceasterem robiłeś to samo – zauważyłem.

– Byłem młody i głupi.

– Niewiele się zmieniłeś.

Uśmiechnął się na te słowa. Miał na sobie kolczugę wypolerowaną piaskiem i octem, tak że odbijały się w niej promienie słoneczne. Jego pas rycerski był ozdobiony złotymi guzami, a na szyi miał trzykrotnie zawinięty złoty łańcuch, na którym zawieszony był złoty młot Thora. Nie wdział hełmu, lecz na jasne włosy nałożył pozłacaną opaskę z brązu, którą znaleźliśmy w Eoferwicu.

– Pożyczę Finanowi mój łańcuch – zaproponował.

Finan osiodłał rosnącego czarnego ogiera. Tak samo jak Sigtryggr miał wypolerowaną kolczugę, a ode mnie pożyczył pas rycerski z kunsztownie zdobionymi srebrnymi płytkami przymocowanymi nitami do skóry. Splótł włosy w warkocz i ozdobił je wstążkami, a na ramiona włożył ciężkie bransolety wojownika. Żelazną krawędź tarczy oczyścił z rdzy i stał wyblakły malowany znak z tarczy do żywego drewna, żeby usunąć z niej chrześcijański krzyż. Jego czary z pewnością miały związek z praktykami chrześcijańskimi, ale nie chciał nam zdradzić, co zamierza. Patrzyłem, jak ciasno zapina popręg, a potem odwraca się, pochyla na spokojnym koniu i spogląda przez zabarykadowaną ciernistymi gałęziami bramę w miejsce, z którego kilku młodych wojowników Ragnalla wciąż obrzucało nas

obelgami. Pozostali znudzili się i wrócili do lasu, ale tych sześciu stanęło na granicy fosy i drwiło z nas w najlepsze.

– Boicie się?! – krzyczał jeden z nich. – Pokonam dwóch jednocześnie! Nie bądźcie dziećmi! Walczcie!

Trzech jeźdźców galopem wyjechało z lasu i dołączyło do swoich towarzyszy.

– Mam ochotę wyjść i ukatrupić kilku z nich – warknął Sigtryggr.

– Nie.

– Nie zrobię tego. – Popatrzył na trzech konnych, którzy wyciągnęli miecze. – Ależ się palą do walki – rzekł z pobłażaniem.

– Młodzi zawsze się palą – odparłem.

– Ty też taki byłeś?

– Pamiętam swój pierwszy mur tarcz. Ależ byłem przerażony – odpowiedziałem.

Ścieraliśmy się z walijskimi złodziejami bydła i okrutnie się bałem. Od tamtej pory walczyłem z najlepszymi wojownikami na służbie Norwegów, uderzałem tarczą o tarczę i wdychałem cuchnący oddech zabijanego wroga, ale nie pozbyłem się strachu, który zawsze towarzyszy mi podczas bitwy. Pewnego dnia zginę w murze tarcz. Upadnę, walcząc z bólem, a ostrze przeciwnika wydrze ze mnie życie. Może stanie się to już dzisiaj – pomyślałem – zapewne dzisiaj. Dotknąłem młota.

– Co oni robią? – zapytał Sigtryggr.

Nie patrzył na mnie, lecz na trzech nadjeżdżających wojowników, którzy przeszli w pełny cwał i zaatakowali obrzucających nas wyzwiskami młodzieńców. Ci odwrócili się, nie wiedząc, co się dzieje, i to wahanie ich zgubiło. Przybysze wysadzili z siodła jednego z Norwegów, po czym zaatakowali drugiego i wytrącili mu miecz z dłoni. Zobaczyłem, że długie ostrze przebija kolczugą wroga, a on pochyła się, upuszcza swój miecz na

trawę, śledzi wzrokiem mijającego go cwałem napastnika i upada z konia, bo ostrze jego miecza zostało wbite we flaki umierającego mężczyzny. Wbity w ziemię miecz szarpnął napastnikiem, ale na czas udało mu się uwolnić broń. Szybko zawrócił konia i zadał cios w plecy rannemu. Jeden z sześciu szydzących z nas młodzieńców pędził wzdłuż szczytu wzgórza, pozostali nie żyli lub odnieśli rany. Żaden nie siedział już w siodle.

Przybysze zwrócili się w naszą stronę i zobaczyłem, że dowodzi nimi mój syn Uhtred, który posłał mi szeroki uśmiech, zbliżając się kłusem do zabarykadowanego wejścia fortu. Odciągnęliśmy część gałęzi, żeby umożliwić wojownikom wjechanie do środka wśród wiwatów. Zauważyłem, że syn ma na szyi spory żelazny amulet w kształcie młota Thora. Przytrzymałem jego wierzchowca, kiedy zeskakiwał z siodła, po czym objąłem go na powitanie.

– Udawałeś Duńczyka? – spytałem, dotykając jego amuletu.

– Tak – odparł. – I nikt nie wątpił, że nim jestem. Przyjechaliśmy zeszłego wieczoru.

Towarzyszyło mu dwóch Duńczyków, którzy złożyli mi przysięgę. Wyszczeryli do mnie zęby, dumni ze swego dokonania. Zdjąłem z ramienia dwie bransolety i wręczyłem każdemu jedną.

– Mogliście zostać z Ragnallem, ale pozostaliście lojalni wobec mnie – powiedziałem.

– Masz naszą przysięgę, panie – odparł jeden z nich.

– I nie prowadzisz nas ku klęsce, panie – dodał drugi, a mnie ukłuło poczucie winy, bo oni z całą pewnością cwałowali na spotkanie ze śmiercią, kiedy jechali przez pastwisko.

– Łatwo było was znaleźć – powiedział mój syn. – Norwegowie roją się tu niczym osy przy miodzie.

– Ilu ich jest? – zapytał Sigtryggr.

– Zbyt wielu – odrzekł posępnie Uhtred.

– A mercyjska armia? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Jaka mercyjska armia?

Zakląłem i znów spojrzałem na puste pastwisko, nie licząc trzech ciał i dwóch rannych, którzy kuśtykali w stronę drzew.

– Pani Aethelflaed nie ruszyła w pogoń za Ragnallem? – spytałem.

– Owszem, ale potem wróciła do Ceasteru na pogrzeb biskupa Leofstana – odparł.

– Że co? – Rozdziawiłem usta ze zdumienia.

– Leofstan zmarł. W jednej chwili jeszcze żył, a w drugiej był martwy. Mówiono mi, że odprawiał mszę, kiedy to się stało. Krzyknął z bólu i umarł.

– Nie! – Zdziwił mnie smutek, który poczułem. Nienawidziłem Leofstana, kiedy po raz pierwszy zjawił się w mieście, okazując taką pokorę, że nie mogłem uwierzyć w jej szczerłość. Później jednak go polubiłem, a nawet zacząłem podziwiać. – Był dobrym człowiekiem – powiedziałem.

– To prawda.

– A Aethelflaed z całym wojskiem wróciła na jego pogrzeb?

Mój syn pokręcił głową i wziął od Berga kubek wody.

– Dziękuję. Wróciła z kilkunastoma ludźmi i księżmi – odparł, kiedy się napił. – Ale dowództwo powierzyła Cynlaefowi.

Cynlaef był jej faworytem, mężczyzną, którego uważano za przyszłego męża jej córki.

– A on? – zapytałem z goryczą.



– Kiedy ostatni raz miałem o nim wieści, znajdował się na południe od Ledecestre i odmówił wejścia z wojskiem do Northumbrii.

– A to łajdak – rzuciłem.

– Pojechaliśmy do Ceasteru, żeby ją ubłagać.

– I?

– Posłała Cynlaefowi rozkazy pomaszerowania na północ, najpewniej jednak dostał je dopiero dziś.

– A znajduje się dzień drogi stąd.

– Co najmniej, musimy więc sami poradzić sobie z tymi draniami – powiedział, szczerząc się. A potem znów mnie zdumiał, bo zwrócił się do Finana ze słowami: – Hej, Irlandczyku!

Finan też wyglądał na zdziwionego, ale się nie obraził.

– Panie Uhtredzie? – odparł łagodnie.

Mój syn uśmiechał się, jakby był niespełna rozumu.

– Jesteś mi winny dwa szylingi – powiedział.

– Tak?

– Mówiłeś, że żona biskupa musi przypominać ropuchę, pamiętasz?

Finan przytaknął.

– Pamiętam.

– No więc nie przypomina. Jesteś mi winny dwa szylingi.

Finan się obruszył.

– Mam tylko twoje słowo, panie! A co warte jest twoje słowo? Karczemną dziewczkę z Gleawecestre uznałeś za urodziwą, a ma twarz jak dupa wołu. Nawet Gerbruht by jej nie tknął, a widziałem, jak dupczy się ze stworzeniami, których pies by nie powąchał!

– Och, siostra Gomer jest piękna, zapytaj tylko mojego ojca.

– Mnie?! – zawołałem. – A skąd miałbym to wiedzieć?!

– Bo siostra Gomer ma znamię w kształcie jabłka, ojcze. Dokładnie w tym miejscu. – Dotknął palcem w rękawicy swojego czoła.

Oniemiałem. Wpatrywałem się w niego bez słowa. Na moment zapomniałem nawet o Ragnallu, myślałem tylko o jej jędrnym ciele w stodole z sianem.

– A zatem? – odezwał się Finan.

– Jesteś winny mojemu synowi dwa szylingi – odparłem i wybuchnąłem śmiechem.

A Ragnall przeszedł do ataku.

Przypominałem sobie, jak Ragnall poprowadził swoich jeźdźców spomiędzy drzew pod Ceasterem, kiedy przybył zemścić się za głowy, które ułożyliśmy wokół pozostałości grodu na Eads Byrig. Jego ludzie wyszli z lasu w szeregu w taki sposób, że ukazali się wszyscy jednocześnie – teraz wykonał ten sam manewr. Przed chwilą odległe drzewa jaśniały od porannego słońca, a liście lśniły spokojną zielenią, po czym nagle się ukazali. Szeregi piechurów, wojowników z tarczami i bronią, mur tarcz, który miał napęlić nas lękiem. A my poczuliśmy strach.

Mur był niewiarygodnie długi. Był to mur z drewna, żelaza i stali, który miał jeden cel – zabijać.

Był to potężny mur tarcz, mur malowanych, okrągłych tarcz ciągnących się przez płaski szczyt wzgórza, a ponad nim powiewały chorągwie jarłów, wodzów i królów, którzy przybyli tu, żeby nas zabić. Pośrodku, oczywiście, wznosił się czerwony topór Ragnalla, ale z obu stron otaczało go czterdzieści–pięćdziesiąt innych chorągwi ozdobionych krukami, orłami, wilkami, węzami i stworzeniami, które widuje się tylko w koszmarach. Wojownicy podążający za tymi sztandarami wyszli spośród drzew, po czym zatrzymali się i zaczęli uderzać w tarcze, powodując nieustanny huk.

Staralem się ich policzyć i doszedłem do wniosku, że wojska wroga liczą co najmniej tysiąc mężów. Flanki muru sięgały zboczy wzgórza, co wskazywało, że zamierzają otoczyć fort i zaatakować nas z trzech stron. Moi ludzie stanęli na wałach fortecy. Oni też policzyli wrogów i tylko w milczeniu obserwowali potężne siły Ragnalla i słuchali huku ich tarcz.

Ragnall nadal nie był gotów do ataku. Pozwolił swoim ludziom napawać się naszym widokiem, tym, jak jesteśmy nieliczni. Ci mężczyźni rzucający nam wyzwania widzieli wały fortu, a na ich szczycie znacznie ustępujący im wielkością mur tarcz. Widzieli, że mamy tylko dwie chorągwie opatrzone łbem wilka i czerwonym toporem, a Ragnallowi zależało, by przekonali się o tym, jak łatwe czeka ich zwycięstwo. Dostrzegłem go na karym koniu za murem, krzyczał coś do swoich ludzi. Bez wątpienia zapewniał ich o zwycięstwie i zapowiadał naszą śmierć. Wypełniał ich wiarą w siebie i to był właśnie ten moment przed rozpoczęciem obrzucania nas zniewagami. Umożliwi nam poddanie się, a kiedy odmówimy, rozkaże swoim wojownikom pomaszerować naprzód.

Zanim jednak Ragnall zrobił ruch, Finan ruszył w stronę wroga.

Jechał sam, powoli, jego koń wysoko wyrzucał nogi, przemierzając łąkę porośniętą wysoką trawą. Obwieszeni złotem i migoczący od srebra jeźdźcie i wierzchowiec wyglądali imponująco. Finan miał na szyi gruby złoty łańcuch Sigtryggra, choć zdjął z niego amulet w kształcie młota Thora, włożył mój hełm ze srebrną figurką prężącego się do skoku wilka i pękiem czarnych taśm imitujących koński ogon zdobiący hełm jego brata. Właśnie do niego zmierzał, ku chorągwi opatrzonej czarną łodzią na krwawoczerwonym morzu. Sztandar ten znajdował się po prawej stronie linii wojsk Ragnalla, na granicy wyżyny. Irlandczyk wziął ze sobą flagę ozdobioną chrześcijańskim krzyżem – tym samym symbolem, który stał z tarczy wiszącej po jego lewej stronie, nad połyskującą pochwą, w której

trzymał Złodzieja Dusz, miecz zdobyty w bitwie z Norwegami. Złodziej Dusz był lżejszy od innych mieczy, choć równie długi, i zawsze się obawiałem, że jego ostrze bez trudu może zostać złamane przez większość ciężkich mieczy, których używaliśmy. Ale Finan, który nadał mu imię, kochał tę broń.

Dwóch ludzi z szeregów Ragnalla wyjechało Finanowi naprzeciw. Ich konie musiały znajdować się niedaleko za murem tarcz i uznałem, że Ragnall zezwolił im na zaatakowanie Irlandczyka. Słyszałem wiwaty jego wojowników, kiedy konni ruszyli w jego stronę. Nie miałem wątpliwości, że ci dwaj nieraz sprawdzili się w bitwie, doskonale opanowali sztukę posługiwania się mieczem i budzili strach w walce. Ragnall i jego ludzie zapewne uznali, że Finan przyjmie ich wyzwanie, on jednak minął ich bez słowa. Podążyli za nim, szydząc z niego, ale żaden nie zaatakował – to również należało do rytuału bitewnego. Finan sam wyjechał naprzeciw wroga i miał prawo wybrać sobie przeciwnika. Celowo powoli prowadził wierzchowca. Wreszcie stanął naprzeciwko Irlandczyków, pod ich chorągwią.

I do nich przemówił.

Był za daleko, abym mógł usłyszeć jego słowa, ale nawet gdybym stał na wyciągnięcie ręki od niego, nie zrozumiałbym języka, w którym mówił. Dwaj wojownicy najwyraźniej zorientowali się, że przybysz zamierza rzucić wyzwanie swoim rodakom, i zawrócili. A Finan mówił dalej.

Zapewne obrzucał ich obelgami. Zapewne też myślał o dziewczynie pięknej jak marzenie, ciemnowłosej dziewczynie Ó Domhnaillów, dziewczynie wartej, by stawić czoło losowi, dziewczynie wartej miłości i czci, dziewczynie, którą jego brat przeciągnął przez błoto i uczynił swoją zabawką i która od chwili śmierci nawiedzała Finana w snach.

Jakiś mężczyzna wystąpił z szeregu Irlandczyków.

Nie był to Conall. Nie potrafiłem dostrzec z daleka znaku na jego tarczy, ale był to mężczyzna znacznie większy od Conalla. A także od Finana. Ogromny osiłek w kolczudze, górujący nad otoczeniem, z masywną tarczą większą niż pozostałe w murze i mieczem w dłoniach wyglądającym, jakby został wykuty dla boga, a nie dla człowieka. Miecz ciężki jak topór, miecz godny rzeźnika. Finan zeskoczył z konia.

Na mężczyzn.

Obie armie patrzyły na swoich wojowników.

Finan odrzucił tarczę – a ja przypomniałem sobie odległy dzień, kiedy stanąłem do pojedynku ze Steapą. Jeszcze się wówczas nie przyjaźniliśmy. Nikt wtedy nie dawał mi szans. Nazywano go Steapą Snotorem – Steapą Roztropnym – co stanowiło okrutny żart, bo nie należał do najmądrzejszych ludzi, był jednak lojalny, troskliwy i niepowstrzymany w bitwie. Podobnie jak mężczyzna kroczący w stronę Finana był olbrzymem obdarzonym nadludzką siłą, siewcą śmierci, a ja z nim walczyłem – jak przypuszczałem na śmierć i życie – i jeden z nas wówczas by zginął, gdyby Duńczycy tego samego ranka nie przekroczyli naszej granicy. Pojedynek ze Steapą zacząłem od odrzucenia tarczy, a nawet zdarłem z siebie kolczugę. Steapa obserwował mnie oczami bez wyrazu. Wiedział, co robię. Zapewniałem sobie zwinność ruchów. Pozbywałem się obciążenia, dzięki czemu stałem się chyży i mogłem tańczyć wokół cięższego przeciwnika niczym żwawy pies walczący z bykiem.

Finan pozostał w kolczudze, ale odrzucił tarczę i czekał.

Ujrzeliśmy szarżę olbrzyma, który do ataku użył swojej tarczy, a później wypadki potoczyły się tak szybko, że nikt nie był pewien, co dokładnie ujrzał. Bitwa rozegrała się daleko, zbyt daleko, abyśmy mogli skrzętnie śledzić jej przebieg. Zobaczyłem olbrzyma próbującego zadać

Finanowi cios tarczą. Myśląc, że dosięgnął Irlandczyka, zaczął odwracać się z uniesionym mieczem, by go zabić. A chwilę później upadł.

Wszystko zadziało się niewiarygodnie szybko, ale nigdy nie poznałem człowieka szybszego w walce niż Finan. Nie był rosły, wręcz wydawał się chudy, ale miał niezwykle refleks. Mógł posługiwać się Złodziejem Dusz, bo bardzo rzadko zdarzało mu się odparowywać uderzenia miecza, był w stanie uniknąć niemal każdego ciosu. Podczas ćwiczeń dość często z nim walczyłem, ale rzadko udawało mi się ominąć jego osłonę. Olbrzym, zapewne najlepszy wojownik Conalla, padł na kolana, a Finan uderzył go Złodziejem Dusz w kark, i to był finisz walki. Pojedynek skończył w ciągu kilku sekund i wydawało się, że odniósł zwycięstwo bez żadnego trudu. Umilkł odległy huk broni uderzanej o tarcze. A mój przyjaciel ponownie przemówił do rodaków. Nigdy nie dowiedziałem się, co im powiedział, ale zobaczyłem, że podszedł do muru tarcz na tyle blisko, iż znalazł się w zasięgu ich mieczy i włóczni. Zwrócił się do brata. Mogłem rozpoznać Conalla, bo jego hełm był jaśniejszy od hełmów pozostałych wojowników i znajdował się bezpośrednio pod krwawoczerwonym sztandarem. Bracia stanęli twarzą w twarz. Pamiętam nienawiść, jaka unosiła się między nimi pod Ceasterem, taka sama atmosfera musiała teraz panować między nimi, ale Conall się nie poruszył. Zobaczył śmierć swojego najlepszego wojownika i zapewne nie miał ochoty podążyć za nim do piekła.

Finan zrobił krok w tył.

Dwie armie się obserwowały.

Finan odwrócił się i zaczął iść w kierunku wierzchowca.

I wtedy Conall zaatakował.

Wstrzymaliśmy oddech. Myślę, że każdy, kto obserwował ich spotkanie, wstrzymał oddech. Conall zaatakował, dotknął mieczem pleców brata, który błyskawicznie się odwrócił.

Błysnął Złodziej Dusz. Nie słyszałem szczęku broni, widziałem tylko, że przyjaciel wytrącił bratu miecz z ręki, który poszybował w powietrze, a Złodziej Dusz zranił Conalla w twarz. Finan odwrócił się i ponownie ruszył w stronę fortu. Nikt się nie odezwał. Conall zrobił krok w tył, miał zakrwawioną twarz, obserwował oddalającego się brata. Po chwili ponownie zaatakował. Tym razem mierzył w kark, Finan uchylił się, odwrócił i znów uderzył brata ostrzem w twarz. Conall zachwiał się, potknął i ciężko usiadł.

Mój przyjaciel podszedł do brata. Zignorował jego miecz i po prostu przyłożył ostrze Złodzieja Dusz do jego szyi. Spodziewałem się, że zobaczę pchnięcie i nagły potok krwi, Irlandczyk jednak, nie odrywając sztychu od gardła brata, przemawiał do jego ludzi. Conall próbował podnieść miecz, ale Finan kopnął z pogardą jego broń na bok, po czym pochylił się i lewą ręką sięgnął po hełm przeciwnika.

Ściągnął mu go z głowy.

Nadal stał nad bratem. Z jeszcze większą pogardą schował Złodzieja Dusz do pochwy. Zdjął mój hełm i założył ozdobiony czarnym końskim ogonem i złotą obręczą hełm brata. Król Finan.

A potem zwyczajnie odszedł, podniósł tarczę z ziemi i dosiadł konia. Upokorzywszy brata, przejechał wzdłuż linii wojsk Ragnalla. Nie spieszył się. Zachęcał wojowników, żeby wystąpili i stawili mu czoło, ale żaden się nie odważył. Z całej jego postawy biła pogarda. Koński ogon wieńczący otoczony obręczą hełm powiewał za nim, kiedy w końcu spiął ogiera do galopu i ruszył w stronę fortu.

Dotarł do zabarykadowanego ciernistymi gałęziami wejścia i rzucił mi mój hełm.

– Wojownicy Conalla nie będą z nami walczyli – powiedział.

To oznaczało, że pozostało jeszcze około tysiąca, którzy ruszą do ataku.

Ragnall miał z nami problem, a Finan jeszcze go pogłębił. Norweg musiał być pewny zwycięstwa, ale znał cenę, jaką za nie zapłaci. Rzymski fort był stary, jego wały pozostały jednak strome, a wojownicy zmuszeni do walki na stromych zboczach są narażeni na atak obrońców. Koniec końców musiał nas złamać. Miał zbyt liczne wojska, a my mieliśmy zbyt mało ludzi, ale wielu jego wojowników miało zginąć w czasie szturm. Dlatego właśnie tyle czasu mija, zanim dojdzie do starcia murów tarcz. Mężczyźni musieli zebrać odwagę na ten koszmar. Rowy wokół fortu nie stanowiły zbyt dużej przeszkody, w nocy wbiliśmy jednak w nie krótkie pale, a wojownicy maszerujący z tarczami niewiele widzą, zwłaszcza kiedy popychają ich tylne szeregi, a ci, którzy wpadną do rowu, są równie przydatni jak martwi. Pod wzgórzem Aesca, wiele lat temu, widziałem armię zwycięskich Duńczyków, którzy ponieśli klęskę przez rowy wykopane na rozkaz króla Alfreda. Tylne szeregi pchały naprzód mur tarcz, a przednie szeregi w rów, w którym Sasi zachodni dokonywali rzezi do czasu, aż wypełnił się po brzegi czerwienią. Ludzie Ragnalla ociągali się więc z przejściem do ataku, a omen związany z upokorzeniem Conalla jeszcze bardziej wzmacniał ich niechęć do boju. Do Ragnalla należało teraz rozpalenie w nich ducha bojowego, wypełnienie ich gniewem i ale. Można wyczuć zapach piwa w oddechach wrogów, kiedy walczy się w murze tarcz. My nie mieliśmy ale. Przyszło nam walczyć na trzeźwo.

Słońce znajdowało się w pół drogi do najwyższego punktu na niebie, kiedy Ragnall przyjechał, żeby obrzucić nas obelgami. To też należało do rytuału. Najpierw młodzi głupcy wyzywają wroga na pojedynek, potem wygłasza się mowy, żeby wzbudzić w ludziach żądzę krwi, a wreszcie znieważa się nieprzyjaciela.

– Robaki! – wrzeszczał Ragnall. – Świńskie wypierdki! Chcecie tu zginąć?! – Moi ludzie uderzali rytmicznie ostrzami saksów w tarcze,



zagłuszając śmiertelną muzyką jego słów. – Dajcie mi mojego braciszka! – krzyczał. – A ocalicie życie!

Ragnall był w bitewnym ekwipunku. Przywdział kolczugę i hełm. Dosiadł karego ogiera i trzymał w ręku potężny topór. Towarzyszyło mu kilkunastu mężczyzn, posepnych wojowników na rosłych koniach, ich twarze nie mogliśmy dostrzec z powodu zapiętych osłon policzkowych. Przyglądali się fosie i wałom, żeby później ostrzec swoich ludzi o trudnościach, które napotkają. Dwóch podjechało do wejścia do fortu i cofnęło się dopiero wówczas, gdy włócznia wbiła się w pas ziemi między ich końmi. Jeden z nich chwycił za drżące drzewce i podniósł broń.

– Złupiliśmy Mercję! – krzyknął Ragnall. – Obrabowaliśmy gospodarstwa, wzięliśmy niewolników i zabraliśmy bydło z waszych pastwisk! Stara wiedźma, która uważa się za władczynię Mercji, ukrywa się za kamiennymi murami! Jej kraj należy do nas i będę rozdawał jej ziemię! Chcecie dostać dobrą, żyzną ziemię?! Chodźcie do mnie!

Zamiast drwić z nas, próbował nas przekupić. Dostrzegłem, że za nim, po drugiej stronie rozległej łąki, bukiłki z ale zaczęły krążyć między jego ludźmi. Wojownicy oparli tarcze o ziemię, ich górne krawędzie o uda, włócznie trzymali pionowo, tak że ich ostrza migotały w słońcu. Najwięcej włócznie skupiło się pod chorągwią Ragnalla, w centrum szeregu, i to mi podpowiedziało, że zamierzają ich użyć do przełamania środkowej części naszej linii obrony. Sam bym tak właśnie zrobił. Zebrał tam swoich najsilniejszych i najbardziej bezwzględnych ludzi, napawających się zabijaniem i przechwalających się liczbą kobiet, które uczynili wdowami. Zamierzał skierować ich na wejście fortu, a za nimi posłać wojowników z mieczami, by ogołocić nasze mury i wybić nas jak szczury złapane w pułapkę.

Ragnall zmęczył się krzykiem. Nie odpowiedzieliśmy mu, huk mieczy o tarcze nie ustawał, a poza tym jego ludzie wiedzieli już, jakich mogą spodziewać się przeszkód, i nie potrzebowali więcej informacji. Ragnall splunął w naszą stronę i krzyknął, że wybraliśmy śmierć, po czym odjechał do swoich ludzi. A oni, widząc, że nadjeżdża, podnieśli tarcze – obserwowałem, jak unoszą je i łączą brzegami. Włócznicy rozstąpili się, żeby wódz i jego towarzysze mogli przejechać przez mur tarcz, po czym tarcze ponownie się zwały. Widziałem, że Ragnall zsiada z konia i przepycha się między wojownikami do pierwszego rzędu. Nadchodzili.

Ale wcześniej z fortu wyjechał Sigtryggr.

Towarzyszyło mu ośmiu wojowników i osiem zakładniczek. Kobiety miały ręce związane z przodu i jechały na koniach prowadzonych przez ośmiu mężczyzn. Ragnall musiał wiedzieć, że wzięliśmy do niewoli osiem kobiet, kiedy zajęliśmy Eoferwic, ale zapewne zdziwił się, widząc je w tym miejscu. Musiał być zdumiony i wstrząśnięty. A ośmiu mężów tych kobiet? Przypomniałem sobie słowa Orvara, że ludzie lubią Sigtryggra, ale boją się Ragnalla. Sigtryggr wyglądał olśniewająco w wypolerowanej kolczudze i królewskim diademie na głowie. Jechał w ich stronę, a za nim podążały zakładniczki, każda eskortowana przez wojownika z obnażonym mieczem, i ludzie Ragnalla musieli pomyśleć, że za chwilę zobaczą krew, a ja usłyszałem narastający pomruk gniewu dobiegający do nas z odległego krańca łąki. Wiadomość była dla wszystkich czytelna.

Sigtryggr zatrzymał się w pół drogi między armiami. Kobiety stały w rzędzie, każda pod mieczem. Wiadomość była dla wszystkich jasna: jeśli Ragnall zaatakuje, zakładniczki zginą, ale oczywiście też było, że jeżeli je zgładzi, spowoduje atak.

– Powinien zabrać je z powrotem do fortu – odezwał się Finan.

– Dlaczego?

– Nie może ich tam zabić! Jeśli zamkniemy je w dworze, wróg nie będzie wiedział, co z nimi zrobiliśmy.

Sigtryggr tymczasem podniósł prawą rękę, dając znak ośmiu ludziom, po czym szybko ją opuścił.

– Teraz! – krzyknął.

Osiem mieczy przecięło więzy, które luźno pętały nadgarstki ich braneł.

– Biegnijcie – powiedział Sigtryggr. – Biegnijcie odnaleźć swoich mężów.

Kobiety wahały się przez chwilę, po czym niezdarnie popędziły wierzchowce w stronę linii Ragnalla. Wśród wojowników przeciwnika zapadła nagle cisza, kiedy okazało się, że Sigtryggr uwolnił zakładniczki, zamiast je zgładzić. Jedna z nich nie potrafiła okiełznać nerwowego konia, spadła z siodła i pobiegła w stronę chorągwi swojego męża. Zobaczyłem dwóch mężczyzn spieszących powitać żony, a Ragnall zrozumiał, że stracił władzę nad tymi, których chciał zastraszyć, zrozumiał też, że musi natychmiast zaatakować. Zobaczyłem, że się odwraca i krzyczy, skinął ręką, dając znak, że mur tarcz ma ruszyć naprzód. Rozległo się dęcie w rogi, podniesiono chorągwie, ostrza włóczni zniżono w pozycji do ataku i wojownicy rozpoczęli marsz. Wznosili wiwaty.

Nie wszyscy jednak wiwatowali.

Mur tarcz zaczął posuwać się naprzód. Ludzie w jego środkowej części – ci, których obawiałem się najbardziej, szli równym krokiem, podobnie jak wojownicy po obu ich stronach, ale skrzydła się wahały. Irlandczycy nie ruszyli do ataku, podobnie jak sąsiadujące z nimi oddziały. Inni też pozostali w miejscu. Zobaczyłem mężczyznę obejmującego żonę, jego zwolennicy także odmówili wykonania rozkazu. Może połowa wojsk Ragnalla pomaszerowała na fort, druga połowa przestała się go bać.

Sigtryggr zawrócił, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał granie rogów. Odwrócił się i zobaczył, że połowa wojowników brata opiera się z przejściem do ataku. Konni cwałowali za murem tarcz Ragnalla, próbując wrzaskiem zmusić maruderów do marszu. Irlandczycy nie podnieśli nawet tarcz, lecz z uporem stali w miejscu. Mieliśmy przed sobą wojska, które biły się z myślami, wojska, które straciły pewność siebie. Mężczyźni, którzy odzyskali żony, wazyli swoją lojalność, a ja widziałem ich wahanie.

Sigtryggr zawrócił i spojrzał na mnie.

– Panie Uhtredzie! – zawołał ponagląjącym tonem. – Panie Uhtredzie!

– Wiem – odkrzyknąłem.

Zaśmiał się. Mój zięć lubował się w wojnie. Był urodzonym wojownikiem, panem wojny, Norwegiem i zobaczył to samo co ja. Gdy się rządzi poprzez strach, trzeba odnosić sukcesy. Trzeba podporządkować sobie ludzi, pokazując im, że nie mogą cię pokonać, że twoim przeznaczeniem jest zwycięstwo i bogactwa. *Wyrđ bið ful āraed.* Przeznaczenie jest wszystkim. Człowiek rządzący za pomocą strachu nie może sobie pozwolić na ani jeden krok w tył, a Sigtryggr, uwalniając zakładniczkę, poluzował więzy strachu. Jednak wahający się nie mogli długo stawiać oporu. Gdy zobaczyli włóczników Ragnalla przedzierających się przez ciernistą barykadę bramy fortu, gdy zobaczyli ludzi rojących się na wałach, topory siekające nasze tarcze na szczycie obwarowań grodu – zapragnęli przyłączyć się do walki. Ludzie chcą znaleźć się po stronie zwycięzców. W ciągu kilku chwil ujrzeli siły Ragnalla tłumnie oblegające fort i oskrzydłujące nas. Wystraszyli się, że po odniesieniu zwycięstwa Ragnall będzie chciał się zemścić na tych, którzy go opóźniali.

Sigtryggr i ja zrozumieliśmy, że szala zwycięstwa nie może przechylić się na korzyść Ragnalla. Nie byliśmy w stanie obronić fortu, mimo że został wzniesiony jako punkt obrony, bo atakujących ludzi Ragnalla nadal było aż

nadto, żeby nas rozgromić, a widok tych wojowników prących na naszą warownię mógł skłonić resztę wojsk do przystąpienia do bitwy.

Więc musieliśmy reszcie wojsk Ragnalla pokazać, że szala zwycięstwa przeważa na naszą stronę.

Musieliśmy dać im nadzieję.

Musieliśmy opuścić nasz fort.

Musieliśmy zaatakować.

– Naprzód! – krzyknąłem. – Naprzód i zabijać ich!

– Jezu Chryste – powiedział Finan, maszerując u mego boku.

Moi ludzie przez chwilę się wahali, nie z powodu oporu wobec wykonania rozkazu, lecz ze zdumienia. Całą noc przygotowywaliśmy ich do obrony fortu, a teraz mieliśmy go opuścić, żeby mieczami zaatakować wrogów. Zeskoczyłem z wałów do rowu.

– Ruszamy! – wrzasnąłem. – Będziemy ich zabijać!

Moi wojownicy kopniakami rozwalili ciernistą barykadę. Inni pokonywali wały grodu i rów, żeby uformować mur tarcz.

– Nie zatrzymywać się! – krzyczałem. – Nie zatrzymywać i zabijać ich!

Sigtryggr i jego konni rozproszyli się po drodze, którą podążaliśmy. Szliśmy wzdłuż płaskiego szczytu wzniesienia, ciągle uderzając mieczami o tarcze. Zdumieni przeciwnicy stanęli.

Wojownicy potrzebują okrzyku bitewnego. Nie mogłem żądać od nich, żeby krzyczeli „za Mercję”, bo większość z nich była nie Mercjanami, lecz Norwegami. Mogłem użyć jako zawołania imienia Sigtryggra i bez wątplenia wszyscy by na nie odpowiedzieli, bo walczyli o jego koronę, ale coś podkusiło mnie, żeby wznieść inny okrzyk.

– Za Mus! – zawołałem. – Za najlepszą dziwkę w Brytanii! Za Mus!

Wśród moich ludzi na chwilę zapadła cisza, a potem ryknęli śmiechem.

– Za Mus! – odkrzyknęli.

Co się dzieje, kiedy wróg widzi, że napastnicy się śmieją? To jest lepsze niż obelgi. Wojownik, który ze śmiechem idzie do walki, jest pewny siebie, a pewny siebie wojownik wzbudza trwogę.

– Za dziwkę! – wrzasnąłem. – Za Mus!

Ten krzyk zaczął obejmować cały szereg, gdy ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o Mus, dowiedzieli się, że jest dziwką, i to dobrą. Ogromnie spodobał im się ten pomysł. Śmiali się i wykrzykiwali jej imię. Wzywali imię dziwki, idąc w objęcia śmierci.

– Mus! Mus! Mus!

– Lepiej, żeby im to wynagrodziła – powiedział ponuro Finan.

– Wynagrodzi! – zawołał z drugiej strony mój syn.

Ragnall wrzeszczał na swoich włóczników, żeby szli naprzód, ale oni obserwowali Sigtryggra, który nadjeżdżał ze swoim konnym oddziałem z ich prawej strony. Wołał do wojowników, którzy nie dołączyli do ataku, wlekli się za murem tarcz Ragnalla. Zachęcał ich, by zwrócili się przeciwko jego bratu.

– Zabijcie ich! – wrzasnąłem, przyspieszając.

Musieliśmy otoczyć wroga, bo ryzykowaliśmy, że poniesiemy klęskę, zanim maruderzy w końcu zdecydowaliby się do nas dołączyć. Ludzie lubią być po stronie zwycięzców, więc musieliśmy zwyciężyć!

– Szybciej! – ryknąłem. – Za dziwkę!

Trzydzieści kroków, dwadzieścia i patrzysz w oczy człowieka, który chce cię zabić, widzisz ostrza włóczni, instynkt każe ci się zatrzymać, ustawić pionowo tarcze. Wzdragamy się przed bitwą, trwoga szarpie nam wnętrzności, czas jakby stanął, panuje cisza, choć krzyczy tysiąc mężczyzn,

i w momencie, kiedy przerażenie atakuje twoje serce jak zwierzę złapane w sidła, musisz rzucić się w sam środek potworności.

Bo przeciwnik czuje to samo.

A ty musisz nadejść i go zabić. Jesteś potworem z jego koszmarów. Mężczyzna naprzeciw mnie przykucnął lekko z uniesioną włócznią i wysoko trzymaną tarczą. Wiedziałem, że kiedy się zbliżę, uniesie albo obniży ostrze miecza, a chciałem, żeby je podniósł, więc specjalnie opuściłem tarczę, żeby zasłaniała moje nogi. Nie myślałem o tym. Wiedziałem, co się wydarzy. Stoczyłem wystarczająco dużo bitew. Zgodnie z moim przewidywaniem ostrze włóczni podniosło się i wycelowało w mój tors lub szyję, a przeciwnik stanął mocniej na nogach. Ja tymczasem podniosłem tarczę, żeby ostrze się po niej ześliznęło i dźgnęło powietrze. I wtedy uderzyliśmy.

Huk muru tarcz, nagły hałas, zderzenie drewna, stali i ludzi wywrzaskujących okrzyki wojenne, pchnąłem Żądło Osy w szczelinę między tarczami, a człowiek za mną zahaczył toporem brzeg jego tarczy i zaczął nią szarpać. Mój przeciwnik starał się ze wszystkich sił odzyskać włócznię, ja tymczasem wrażliem mu saks między żebra. Czułem, że ostrze przebija kółka jego kolczugi, przechodzi przez skórę i trze o kość. Obróciłem sztych i wyciągnąłem broń z rany, kiedy miecz uderzył w moją tarczę. Finan osłaniał mnie z prawej strony, też zadając pchnięcia saksem. Wróg rzucił włócznię, był to znacznie za długi oręż do walki w murze tarcz. Włócznie przeznaczone były do rozbijania muru tarcz, ale zupełnie nie nadawały się do obrony. Wróg sięgnął po saks, ale zanim wyciągnął ostrze z pochwy, zadałem mu cios w pokrytą wytatuowanymi krukami twarz. Z otwartej rany pociekła krew, która zalała mu oczy i zabarwiła brodę na czerwono. Zadałem kolejne pchnięcie, tym razem w gardło, i mężczyzna padł na ziemię, a wojownik stojący za nim zaatakował mnie mieczem

ponad jego ciałem, zadał cios, który obrócił moją tarczę i ugodził mojego syna w ramię. Niemal potknąłem się o leżącego przeciwnika, który nadal próbował zadawać ciosy saksem.

– Zabij go! – krzyknąłem do człowieka za mną.

Uderzyłem tarczą wojownika z mieczem, który pojękiwał, starając się ponownie zadać pchnięcie. Uderzyłem go tarczą, a Żądłem Osy rozciąłem udo od pachwiny do kolana. Miecz spadł na mój hełm. Nad głową ujrzałem kołyszący się topór, szybko więc przykucnąłem, podnosząc tarczę, i żeleźce spadło na jej stalowe obramowanie, roztrzaskując wierzbową deskę i przechylając tarczę nad moją głową, ale ja zobaczyłem krwawiące udo wroga i ponownie zadałem pchnięcie, tym razem złośliwie wymierzyłem cios wyżej, wywołując okrzyk bólu i eliminując woja z bitwy. Finan saksem odciął wojownikowi z toporem pół twarzy i ponownie zadał cios, celując w oczy. Stojący za mną Gerbruht złapał za topór i użył go przeciw wrogowi. Ponieważ przykucnąłem, myślał, że jestem ranny, i ryknął z wściekłości, kiedy torował sobie obok mnie drogę, i używając całej ogromnej siły, zamachnął się olbrzymią bronią. Przeciwnik wycelował miecz w jego pierś, ostrze uniosło się, kiedy Gerbruht toporem rozciął jego czaszkę i hełm na pół. Uniosła się krwawa mgiełka i fragmenty mózgu spadły na mój hełm. Wstałem i osłoniłem Fryza swoją tarczą. Mój syn, który z lewej strony posuwał się naprzód, zadając ciosy, ciężko nastąpił na twarz leżącego wroga. Powaliliśmy dwa przednie rzędy wojsk Ragnalla, a stojące za nimi rzędy zaczęły się cofać, starając się uciec przed naszymi pomalowanymi krwią tarczami, naszymi wilgotnymi od posoki mieczami i naszym umiłowaniem zabijania.

Znów usłyszałem szcęk broni i krzyk. Nie mogłem zobaczyć, co się stało, ale poczułem poruszenie z lewej strony i zrozumiałem, że do walki włączyli się kolejni wojownicy.



– Za dziwkę! – ryknąłem – Za dziwkę!

To był szaleńczy okrzyk! Wzbudził bitewny zapał i pieśń towarzyszącą zabijaniu. Folcbald stanął po lewej stronie mojego syna, a siłą dorównywał Gerbruhtowi. Trzymał w dłoniach krótki trzonek topora o potężnym żeleźcu, którym roztrzaskiwał tarcze wrogów, dzięki czemu mój syn mógł mieczem zadawać ciosy z góry. Włócznia, która ześliznęła się po mojej tarczy, uderzyła w żelazne okucie mojego buta. Nastąpiłem na jej ostrze, wbilem Żądło Osy między tarcze i poczułem, że dosięga przeciwnika. Nucilem bezgłośną pieśń. Finan swoim saksem zadawał między tarczami szybkie, krótkie pchnięcia, którymi ranił przedramiona przeciwników do czasu, aż wypuścili broń z ręki, a wówczas zagłębiał ostrze w ich torsach. Folcbald rzucił swoją potrzaskaną tarczę i walił toporem, wykrzykując obelgi po fryzyjsku oraz miażdżąc ciężkim żeleźcem hełmy i czaszki. Wokół niego powstał stos zbryzganych krwią ciał martwych wrogów, a on krzyczał do kolejnych przeciwników, by podeszli bliżej na spotkanie ze śmiercią. Z przodu, w niewielkim oddaleniu, zobaczyłem chorągiew Ragnalla. Krzyknąłem więc do niego:

– Ragnallu! Ty draniu! Ragnallu! Ty sparciały wypierdku! Chodź tu i zgiń, łajdaku! Za dziwkę!

Ach, ten bitewny szał! Przeraza nas, lecz go sławimy, bardowie go opiewają, a gdy wypełnia krew niczym ogień, zmienia się w prawdziwy obłęd. To jest radość! Trwoga ustaje i człowiek czuje się nieśmiertelny. Gdy widzi ustępującego nieprzyjaciela, wie, że jest niepokonany, że nawet bogowie cofnęliby się przed jego mieczem i spływającą krwią tarczą. Wciąż intonowałem tę nieokiełznaną pieśń, bitewną pieśń o rzezi, której dźwięk zagłuszał krzyki umierających i jęki rannych. Oczywiście to trwoga napędza ów szał, zmienia strach w okrucieństwo. W starciu murów tarcz

przewagę zdobywa ta strona, która jest bardziej bezlitosna i zdoła zmienić okrucieństwo nieprzyjaciela w trwogę.

Pragnąłem zabić Ragnalla, ale nie mogłem go dojrzeć. Widziałem tylko krawędzie tarcz, brodate twarze, ostrza, kłębiących się ludzi, mężczyznę wypluwającego zęby z zakrwawionych ust, dziecko nawołujące matkę, chłopca, który zawodził i trząsał się na ziemi. Zraniony wojownik jęknął i odwrócił się, leżąc na trawie, a ja pomyślałem, że mierzy we mnie saksę. Wbiłem mu więc miecz w gardło, po czym poczułem strumień ciepłej krwi na twarzy. Przeklinając nieboszczyka, zanurzyłem ostrze jeszcze głębiej, a kiedy je wyciągałem, zauważyłem niską postać z prawej strony. Zamachnąłem się mieczem, gdy go trafiłem, upadł, krzycząc: „Ojczy!” . Mój przeciwnik okazał się dzieckiem, nie mężczyzną.

– Ojczy! – Tym razem zawołał mój syn, ciągnąc mnie w tył. Łkający i trzęsący się chłopiec przeraźliwie płakał, z trudem łapał oddech, jego twarz była umazana krwią. Powaliłem go na ziemię. Nie wiedziałem, że jest dzieckiem. Zobaczyłem tylko sylwetkę zbliżającą się z prawej strony i zadałem cios, niemal odcinając mu lewą rękę, a przecież nie mógł mieć więcej niż dziewięć, może dziesięć lat. – Już po wszystkim – powiedział mój syn, chwytając mnie za dzierżące miecz ramię. – Już po wszystkim.

Bitwa jednak jeszcze się nie zakończyła. Wojownicy wciąż uderzali tarczą o tarczę, ostrza nadal rąbały i cięły, ale ludzie Ragnalla zwrócili się przeciw wodzowi. Irlandczycy włączyli się do bitwy, ale po naszej stronie. Intonowali swoją pieśń bitewną, przypominającą przerażający lament, brutalnie atakując pozostałych jeszcze przy życiu wojowników Ragnalla. Mężowie, których kobiety uwolniliśmy, także uderzyli na naszych wrogów. Z tysiąca zbrojnych pozostała mu jedynie garść – może dwie setki. Zostali jednak otoczeni.

– Dość! – krzyknął Sigtryggr. – Dość!

Dosiadał konia, którego jakimś cudem zdobył. Trzymał zakrwawiony miecz, wrzeszcząc do wojowników usiłujących zabić jego brata.

– Dość! Oszczędźcie ich!

Ragnall stał pośród zdziesiątkowanych i okrążonych wojowników, którzy pozostali mu wierni, teraz jednak opuścili broń, jakby bitwa dobiegła już końca.

– Zaopiekuj się tym chłopcem – poleciłem synowi. Dziecko kucalo nad ciałem ojca, zanosząc się histerycznym szlochem.

To samo mnie przydarzyło się pod Eoferwikiem – pomyślałem. – Ile to czasu już upłynęło? Spojrzałem na Finana.

– Ile my mamy lat?

– Za dużo, panie – odparł.

Miał twarz usmarowaną krwią. Z siwej brody kapała mu posoka.

– Jesteś ranny? – zapytałem, a on pokręcił głową. Nadal miał na głowie hełm brata ozdobiony złotą opaską z wgnieceniem od miecza. – Wracasz do domu?

– Do domu? – Moje pytanie go zdziwiło.

– Do Irlandii – wyjaśniłem i spojrzałem na jego diadem. – Królu Finanie.

Uśmiechnął się.

– Jestem w domu, panie.

– A co z twoim bratem?

Finan się wzdrygnął.

– Już zawsze będzie musiał żyć z poczuciem wstydu za ten dzień. Poza tym jest skończony. – Przechętnął się. – Nie powinno się zabijać własnego brata.

Sigtryggr natomiast zabił brata. Darował życie ludziom, którzy mu się poddali, a oni porzucili Ragnalla. Sigtryggr stoczył z nim walkę. To był uczciwy pojedynek. Nie byłem jego świadkiem, ale Sigtryggr został ranny w biodro i miał złamane żebro.

– Dobrze walczył – rzucił wesoło. – Ale ja walczyłem lepiej.

Popatrzyłem na mężczyzn na łące. Setki mężów.

– Oni wszyscy są teraz twoimi poddanymi – zauważyłem.

– To prawda.

– Powinieneś wrócić do Eoferwicu – powiedziałem. – Nadać ziemie. Ale pamiętaj, żeby mieć wystarczająco dużo ludzi do obsadzenia obwarowań. Czterech na pięć kroków murów. Niektórzy z nich mogą być rzeźnikami, piekarzami, rymarzami, robotnikami, ale wzmocnij ich szeregi wojownikami. I zajmij Dunholm.

– Tak zrobię. – Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i padliśmy sobie w ramiona. – Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Za to, że uczyniłeś swą córkę królową.

Nazajutrz rano zebrałem ludzi. W bitwie straciliśmy szesnastu wojowników, tylko szesnastu, choć czterdziestu było zbyt ciężko rannych, żeby się ruszyć. Uściskałem Stiorrę, potem się jej pokłoniłem, bo przecież była królową. Sigtryggr chciał podarować mi swój złoty łańcuch, ale odmówiłem.

– Ja mam wystarczająco dużo kosztowności – powiedziałem mu. – A ty teraz jesteś rozdawcą złota. Bądź hojny.

I odjechałem.

Spotkałem Aethelflaed sześć dni później w halli w Ceasterze. A także Cynlaefa, Merewalha, Osfertha i młodego księcia Aethelstana. W spotkaniu uczestniczyli również wojownicy z Mercji, którzy nie ruszyli za Ragnallem na północ od Ledecestre. Ceolnoth i Ceolberht stali w otoczeniu innych księży. Mój drugi syn, ojciec Oswald, nie odstępował na krok siostry Gomer-Mus, wdowy po biskupie Leofstanie. Kobieta uśmiechnęła się do mnie, ale na widok mojego gniewnego spojrzenia uśmiech zniknął z jej twarzy.

Nie oczyściłem kolczugi. Deszcz zmył większość krwi, ale skóra kaftana widoczna w miejscach, gdzie ostrza przebiły metalowe pierścienie, wciąż była nasiąknięta krwią. Mój hełm z jednej strony został wgnieciony ciosem topora, którego prawie nie poczułem w bitewnej gorączce, a który teraz powodował tępy ból głowy. Wszedłem do dworu z synem Uhtredem, Finanem i Rorikiem. Tak nazywał się chłopiec, którego raniłem w bitwie. Nosił to samo imię co towarzysz moim dziecięcych zabaw, syn Ragnara Starszego. Ramię Rorika goiło się na tyle dobrze, że mogłem trzymać szkatułę z brązu zdobioną wizerunkami świętych po bokach i Chrystusa w glorii na wieku. Był dobrym chłopcem, o jasnych włosach, błękitnych oczach i figlarnym uśmiechu. Nie znał matki, a ja zabiłem mu ojca.

– To Rorik – przedstawiłem go Aethelflaed i pozostałym obecnym. – Jest dla mnie jak syn. – Dotknąłem złotego amuletu w kształcie młota na szyi chłopca. Należał do jego ojca, podobnie jak za duży miecz, który Rorik miał przypasany do zbyt szczupłego pasa. – Rorik jest, jak to zwykliście określać, poganinem. I poganinem pozostanie. – Zwróciłem się w stronę księży, z których jedynie Oswald spojrział mi w oczy i skinął głową. – Mam córkę – powiedziałem, odwracając się w stronę Aethelflaed zasiadającej na krześle, które w Ceasterze uchodziło za tron – i ona obecnie jest królową

Northumbrii. Jej mąż jest królem. W goście przyjaźni odda Mercji ziemie znajdujące się teraz pod duńskim panowaniem i zawrze z tobą pokój, pani.

– Dziękuję, lordzie Uhtredzie – powiedziała Aethelflaed. Jej twarz pozostała nieprzenikniona, ale rzuciła w moją stronę spojrzenie i przez chwilę nie odrywała ode mnie oczu, po czym przeniosła wzrok na stojącego obok chłopca. – Witaj, Roriku.

– Wydawało mi się, że najlepszym rozwiązaniem było osadzenie przyjaznego nam poganina na tronie Northumbrii, mężczyźni w Mercji są bowiem zbyt tchórzliwi, aby przekroczyć granice tego kraju... – spojrzałem na Cynlaefa – nawet w pościgu za wrogiem.

Cynlaef się obruszył.

– Ja... – zaczął, ale się zaciął.

– Co „ty”? – Przyparłem go do muru.

Spojrzał na Aethelflaed w poszukiwaniu wsparcia, ale się przeliczył.

– Doradzono mi – odparł cicho.

– Ksiądz ci doradził? – zapytałem, patrząc na Ceolnotha.

– Dostaliśmy rozkaz, aby nie wkraczać do Northumbrii – zaprotestował Cynlaef.

– Naucz się od lorda Uhtreda – przemówiła Aethelflaed, wciąż patrząc na mnie, choć zwracała się do Cynlaefa – że czasem trzeba złamać rozkazy. – Odwróciła się do niego, wymawiając te słowa.

– Nie miało to jednak żadnych konsekwencji – odezwałem się, patrząc na ojca Ceolnotha. – Ponieważ Thor i Wodan wysłuchali moich modlitw.

Aethelflaed leciutko się do mnie uśmiechnęła.

– Zjesz z nami dziś wieczór, lordzie Uhtredzie?

– A jutro wyjadę – odparłem. – Z moimi ludźmi i ich rodzinami. – Spojrzałem w stronę sali, gdzie Eadith stała pośród cieni. – I z tobą.

A ona kiwnęła głową.

– Jutro! Wyjeżdżasz? – zapytała Aethelflaed ze zdumieniem i urazą w głosie.

– Za twoim pozwoleniem, pani.

– Dokąd?

– Na północ, pani, na północ.

– Na północ? – Zmarszczyła brwi.

– Zanim jednak wyjadę, mam dla ciebie dar, pani.

– Dokąd na północ?

– Mam sprawy do załatwienia na północy – odparłem i dotknąłem ramienia Rorika. – Teraz, chłopcze, złóż dar u jej stóp – powiedziałem. Chłopiec okrążył palenisko, niosąc ciężką szkatułę z brązu, po czym ukląkł i ze szczękiem upuścił ciężką skrzynkę u stóp tronu Aethelflaed. Wycofał się w moją stronę, ciągnąc swój ciężki miecz po nieświeżym sitowiu pokrywającym podłogę sali. – Zamierzałem podarować ci Eoferwic, pani, ale miasto dałem już Sigtryggrowi. Ten prezent powinien ci to wynagrodzić.

Wiedziała, co jest w skrzynce, zanim ją otworzyła, ale pstryknęła palcami i z cienia pospieszył służący, który ukląkł i podniósł masywne wieko. Zebrani wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć, co kryje się w środku, i usłyszałem pełne obrzydzenia syki księży, Aethelflaed jednak się uśmiechnęła. Zakrwawiona głowa Ragnalla posłała jej grymas z dna szkatuły.

– Dziękuję, lordzie Uhtredzie, to niezwykle hojny dar – powiedziała spokojnie.

– Tego właśnie pragnęłaś, pani – odparłem.

– To prawda.

– A zatem, za twoim pozwoleniem, pani – skłoniłem się – moje zadanie zostało ukończone i chciałbym odpocząć.

Przytaknęła. Skinąłem do Eadith i poszedłem w stronę ogromnych drzwi dworu.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołała Aethelflaed, a ja się odwróciłem. – Jakie masz sprawy na północy?

Zawahałem się, po czym powiedziałem jej prawdę.

– Jestem panem Bebbanburga.

Jestem nim. Mam stare dokumenty głoszące, że Uhtred, syn Uhtreda, jest prawowitym i jedynym właścicielem ziem starannie oznaczonych kamieniami i groblami, dębami, jesionem, mokradłami i morskim brzegiem. Są to ziemie, o które roztrzaskują się fale, dzikie tereny pod targanym wiatrem niebem, i one zostały mi skradzione.

Miałem sprawę do załatwienia na północy.



## NOTA HISTORYCZNA

Biskupstwo Chester istniało krótko w XI wieku, a na stałe utworzono je dopiero w 1541 roku. Leofstan, a także jego diecezja są więc zupełnie fikcyjne. Muszę wyznać, że wiele wątków *Wojowników burzy* to fikcja ukazana na tle historycznych wydarzeń.

Dzieje tworzenia się Anglii, o których zdumiewająco mało wiadomo, stanowią zasadnicze tło wszystkich powieści o Uhtredzie. Saga rozpoczyna się w okresie przed panowaniem Alfreda Wielkiego, kiedy nie było jeszcze takiego miejsca jak Anglia, lub – jak początkowo je określano – Englalund. Po wycofaniu się Rzymian z wyspy, na początku V wieku, Brytania podzieliła się na wiele drobnych królestw, a w okresie poprzedzającym czasy Alfreda terytorium przyszłej Anglii zajmowały cztery państwa: Wessex, Mercja, Anglia Wschodnia i Northumbria. Duńczycy podbili Anglię Wschodnią i Northumbrię, a także opanowali większość północnej Mercji. W pewnym momencie wydawało się, że podporządkują sobie także Wessex, a wielkim osiągnięciem Alfreda było uchronienie przed nimi ostatniego saskiego królestwa. W następnych latach Anglicy stopniowo odzyskiwali swoje ziemie, posuwając się na północ od położonego na południu Wessexu. Aethelflaed, córka Alfreda, która władała Mercją, uwolniła znaczną część północnej części kraju spod duńskiego panowania. Podczas jej rządów Sasi odzyskali kontrolę nad Ceasterem (Chester). To właśnie Aethelflaed nakazała wybudować burhy w Brunanburhu i Eads Byrig, chociaż ten ostatni krótko znajdował się w jej rękach.

Znaczenie umocnień w Ceasterze, Brunanburhu i Eads Byrig wykraczało poza ochronę Mercji przed najazdami z rządzonej przez Duńczyków Northumbrii. Na początku X wieku Norwegowie, którzy dotąd kontrolowali większość wschodniego wybrzeża Irlandii, znaleźli się pod ogromną presją ze strony irlandzkich władców. Z tego względu wielu z tych przybyszów opuściło Irlandię – nowego miejsca do życia szukali w Brytanii. Twierdze Aethelflaed chroniły więc rzeki przed norweską inwazją. Dlatego Norwegowie wylądowali dalej na północy, w większości w Kumbrii. Jednym z nich był Sigtryggr, który naprawdę został królem w Eoferwicu.

Czytelnicy, którzy podobnie jak ja spędzili zbyt wiele męczących godzin w szkółce niedzielnej, zapewne pamiętają, że Gomer była prostytutką, która wyszła za mąż za proroka Ozeasza. Przypowieść o dwóch niedźwiedzicach, które rozszarpały czterdzieścioro dwoje dzieci z Bożego rozkazu, znajduje się w 2 Księdze Królewskiej, w rozdziale drugim. Tworzenie się Anglii było krwawym procesem. W końcu ludzie Północy (Duńczycy i Norwegowie) wymieszali się z Sasami, niemniej dopóki obie strony walczyły o własność ziemi, dopóty musiała trwać wojna. Uhtred wyruszył z Wessexu na południu do północnych granic Mercji. Nie jest to koniec jego wędrówki, więc uda się w drogę ponownie.

## **POWSTANIE ANGLII. TŁO HISTORYCZNE POWIEŚCI O UHTREDZIE**

Seria powieści o Uhtredzie opowiada o tworzeniu się Anglii. W przypadku niektórych państw, na przykład Stanów Zjednoczonych, można podać dokładną datę ich powstania – początki Anglii są jednak znacznie bardziej niejasne. Podobnie wygląda kwestia kształtowania się Walii, Szkocji, Irlandii, a także wielu innych krajów europejskich.

W wielu szkołach uczy się, że początkiem historii angielskiej jest podbój normandzki w 1066 roku. Chociaż Anglia oczywiście już wówczas istniała, informacje o okresie przednormandzkim ograniczają się do wzmianki o Juliuszu Cezarze, który przybył, zobaczył i zwyciężył (w rzeczywistości przybył, zobaczył i odszedł), i informacji, że królowi Alfredowi nie szło pieczenie placków. Wikingowie pozostają romantycznymi, niebezpiecznymi awanturnikami z rogami na hełmach (najprawdopodobniej to wymysł dziewiętnastowiecznych projektantów kostiumów operowych), którzy przybywali na łodziach z głowami smoków na dziobnicy, aby gwałcić i rabować. Rzadko uczy się o prawdziwym znaczeniu wikingów dla powstania Anglii, nie mówiąc o zrozumieniu ich wpływu na ówczesne wydarzenia. Obecność wikingów w czasach tworzenia się Anglii winna stanowić dla nas sygnał, że było to niezwykle wydarzenie, któremu towarzyszyły rozlew krwi, bohaterstwo i bitwy. I to właśnie jest historia Uhtreda.

Stale nazywam swojego bohatera Sasem, co denerwuje purystów, ponieważ najprawdopodobniej był on Anglem. Niemniej nazywam wszystkie ludy, które używały języka angielskiego, Sasami, aby uniknąć nadmiernych komplikacji. Anglowie i Sasi to dwie germańskie grupy etniczne, które najechały Brytanię w wiekach V i VI. Oprócz nich na wyspę przez Morze Północne wyruszyli Jutowie, Fryzowie i Frankowie. Wszystkie te ludy germańskie wykorzystały moment, gdy opuszczona przez Rzymian Brytania była właściwie bezbronna. Sasi stanowili zagrożenie nawet przed odejściem Rzymian – dlatego ci wzdłuż wschodniego brzegu wyspy pobudowali linię umocnień (zwanych warowniami na saskim wybrzeżu). Jednak po odejściu legionów Germanie najechali Brytanię w jeszcze większej liczbie.

Upraszczając: Anglowie osiedlili się na północy terytorium, które miało stać się Anglią, a Sasi na południu. Wynikało to z ich pochodzenia – Anglowie i Jutowie przybyli z dzisiejszej Danii, a Sasi, Frankowie i Fryzowie z wybrzeży obecnych Niemiec i Holandii. Chociaż mieli odrębne pochodzenie etniczne, posługiwali się tym samym językiem (z różnicami regionalnymi) i wyznawali pogaństwo. Gdy najechali chrześcijański kraj, zmusili lokalną ludność do ucieczki na obrzeża wyspy: na niziny Szkocji, do Kornwalii, do Walii, a także przez morze do Bretanii. Wszyscy wyżej wymienieni Germanie, którzy mówili – wedle własnego określenia – „językiem angielskim”, przeprowadzili najbardziej udany podbój wyspy. W rezultacie stali się niemal jedynymi mieszkańcami Anglii. Ponieważ zawierali małżeństwa z Brytami, pozostawili część rodzimych nazw geograficznych. Z tego względu tak wiele rzek w Anglii nosi nazwę Avon, która pochodzi od słowa *afon* – oznaczającego w języku Brytów rzekę. Gdy przybysze pytali o nazwę danej rzeki, przypuszczalnie słyszeli „to rzeka” i z tego względu zaczęli mówić o niej „rzeka Rzeka”. Lundene

(Londyn) to jeszcze jedna nazwa, która najprawdopodobniej ma korzenie w języku Brytów, chociaż miasto odkryte przez najeźdźców na północnym brzegu Tamizy zbudowali Rzymianie.

Rdzenni Brytowie nie potrafili zorganizować oporu wobec Germanów, którzy po zdobyciu kraju podzielili go na wiecznie walczące ze sobą królestwa. Jednym z nich była Bernicja, której nazwa dawno temu zatarła się na kartach historii. Bernicja zajmowała znaczną część północno-wschodniego wybrzeża Anglii i południowej Szkocji. Jest ważna dla naszej opowieści, ponieważ przodkowie Uhtreda byli niegdyś królami tego kraju. Uhtred wywodzi swoje pochodzenie od Idy Niosącego Ogień, który należał do pierwszych zdobywców i założył własne królestwo na terenie obecnie znanym jako Northumberland. Tam właśnie, na tym dzikim wybrzeżu, Ida ujrzał wielką skałę, na której dzisiaj stoi zamek Bamburgh. Najprawdopodobniej w tym miejscu stała już twierdza, którą Ida zdobył i odbudował, a którą jego wnuk Aethelfrith nazwał na cześć swojej żony Bebbi. W ten sposób zamek na niezdobytej skale otrzymał nazwę Bebbanburg, która z czasem zmieniła się w Bamburgh. Aethelfrith jako władca Bernicji odnosił znaczne sukcesy. Jak zanotował Święty Beda, wczesny historyk Kościoła, król „najeżdżał Brytów bardziej niż którykolwiek z możliwych Angłów”. W końcu jednak poległ w bitwie, a jego królestwo zostało włączone do Northumbrii. Uhtred należy właśnie do jego potomków. Stracili oni władzę w Bernicji jeszcze przed początkiem IX wieku, ale zatrzymali Bebbanburg wraz z okolicą. Dzięki temu odcisnęli swoje piętno na tych północnych terenach.

Sasi odebrali ziemię rdzennym Brytom i nie był to pokojowy proces. W jego trakcie ponieśli przynajmniej jedną wielką klęskę (pod Mount Badon), którą zrównoważyło wiele zwycięstw, w tym pod Catraeth

(obecnie Catterick), opiewanych w słynnym walijskim poemacie *Y Gododdin*.

Mężowie wyruszyli do Catraeth na chyżych koniach,  
Zbrojni w wojenny oręż i tarcze, z bojowym okrzykiem na ustach.  
Swe włócznie o ostrych grotach nieśli wysoko,  
A ich zbroje i miecze lśniły.

Poemat, który może być datowany nawet na VII wiek, opowiada o walijskiej klęsce w starciu z Sasami. Przykuwa uwagę, że Walijscy wkroczyli do dzisiejszego Yorkshire z południowej Szkocji, co potwierdza, że Brytowie zostali zepchnięci na te tereny przez germańskich najeźdźców. Z czasem walijscy uciekinierzy przyjmą nową szkocką tożsamość, ale gdy szli na spotkanie swego nieszczęsnego losu pod Catraeth, wciąż mówili po walijsku i uważali się za Brytów. *Y Gododdin*, chociaż opisuje klęskę, jest poematem heroicznym. Wiele utworów Anglów i Sasów również podejmuje wątek wojny i bitew. W poezji najeźdźców także odbija się rzeczywistość, w której żyli ci nasi przodkowie.

Uderzył swą tarczą tak, że złamał drzewiec włóczni,  
A ostrze wymierzone w odpowiedzi się rozprysło,  
Wojownika ogarnęła wściekłość,  
Dźgnął dumnego wikinga, który zadał mu ranę.  
Zaprawiony w boju skierował włócznie naprzód  
I przebił szyję nieprzyjaciela, a rękę tak prowadził,  
Aby śmiertelnym uderzeniem odebrać wrogowi życie.

Powyższy fragment pochodzi z poematu *Battle of Maldon*, opowiadającym o bitwie pod Maldon, która rozegrała się znacznie później

niż starcie pod Catraeth. Poemat ten – podobnie jak walijski epos – opisuje klęskę. Tym razem poniósł ją Brythnoth, saski przywódca z Anglii Wschodniej pobity przez wikingów, którzy przybyli do Essexu, żeglując w górę rzeki Blackwater. Ów utwór, tak jak wiele mu podobnych, stanowi świadectwo, że tworzeniu się Anglii długo towarzyszyły wojny. Były to nie tylko pierwsze starcia z rdzennymi Brytami, ale także późniejsze krwawe walki przeciw nowym najeźdźcom, których my określamy mianem wikingów.

Zanim nastał IX wiek, nowe ludy próbowały podbić saskie królestwa. Owi najeźdźcy pod wieloma względami przypominali wcześniejszych, czyli Germanów, a nawet przybywali z tych samych ziem, z których niegdyś wyruszyli na wyspę Anglowie i Jutowie. Część z nich pochodziła z terenów dzisiejszej Szwecji i Norwegii. Wszyscy, znani nam jako wikingowie, odegrali znaczącą rolę w historii Anglii. U progu IX stulecia potomkowie niegdysiejszych najeźdźców, którzy zamieszkiwali cztery saskie królestwa w Brytanii, w większości przyjęli chrześcijaństwo. Ich nowi przeciwnicy pozostali przy starej religii, oddając cześć Thorowi, Wodanowi i innym wielkim bogom z germańskiego panteonu, co sprawiło, że konflikt między oboma grupami dotyczył nie tylko posiadania ziemi, ale miał także aspekt religijny. Pewien ówczesny mnich, gdy kopiował rękopis, dodał na jego marginesie: „Od furii ludzi Północy zachowaj nas, Panie”. Najazd wikingów był bowiem krwawy i przez pewien czas odnosili oni zwycięstwa.

Napadali na wszystkie cztery królestwa. Na północy znajdowała się Northumbria, na południe od niej Mercja (w uproszczeniu: w dzisiejszej środkowej Anglii), na wschód Anglia Wschodnia, podczas gdy Wessex leżał na południe od Tamizy. Początek historii Uhtreda jest opisany w *Ostatnim królestwie*, którym jest Wessex. Nazywam go „ostatnim”

królestwem, ponieważ tylko ono pozostało wówczas pod panowaniem saskim. Pozostałe wpadły w ręce wikingów, głównie Duńczyków, którzy podbili Northumbrię, Anglię Wschodnią i znaczną część Mercji. Następnie najechali Wessex i zmusili króla Alfreda do ucieczki na bagna Somerset. Właśnie z tej podmokłej krainy rozpoczęła się saska kontrofensywa. Tworzenie się Anglii to tak naprawdę historia o tym, jak Sasi odebrali utracone królestwa, wyruszając z południa i nieprzerwanie maszerując na północ. Dzieło zwieńczyła bitwa pod Brunanburhem w 937 roku, w której armia Sasów zachodnich pod wodzą Aethelstana, wnuka króla Alfreda, pokonała zjednoczone siły wikingów, Szkotów i Irlandczyków. Nic dziwnego, że to wydarzenie uwieczniono w poemacie:

Wówczas król Aethelstan, pan panów [...],  
Uderzył ostrzem swego miecza  
Pod Brunanburhem. Przełamał mur tarcz [...].  
Roztrzaskał je mieczami,  
Zgniółł znenawidzonych przeciwników,  
Szkoci i morscy najeźdźcy polegli.  
I pole spłynęło krwią.  
Tuziny mężów zginęły od ostrzy.  
Sasi zachodni następowali zaś od świtu do zmierzchu,  
Wojownicy na koniach ścigali wroga,  
A uciekinierów nie oszczędzali,  
Tylko dźgali ich z tyłu świeżo naostrzonymi mieczami.

Skutkiem bitwy pod Brunanburhem było uznanie przez Sasów władzy Aethelstana, co oznaczało, że w końcu nad terenem zamieszkanym przez ludzi posługujących się językiem angielskim panował jeden król. Powstał,



jak wówczas mówiono, Engaland. Utrzymanie nowego królestwa okazało się wyzwaniem. Północne obszary asymilowały się wolno, ponieważ ponownie podbili je wikingowie i należało jeszcze raz je odzyskać. Jak powszechnie wiadomo, przez pewien czas duńscy królowie rządili całą Anglią, a potem przyszli Normanowie. Nie zmniejsza to jednak znaczenia osiągnięć Aethelstana, czyli zjednoczenia czterech królestw, odzyskania saskich terytoriów i utworzenia państwa zwanego Anglią, której istnienie uważamy dziś za oczywiste.

Nowe królestwo nie było tworem czysto saskim ani nawet anglo-sasko-jucko-fryzyjskim. Językiem mieszkańców był (a może raczej: stał się) angielski z silnymi zapożyczeniami z norweskiego. Uważamy wikingów za brutalnych najeźdźców, którzy siali postrach na swoich długich łodziach o dziobnicach w kształcie bestii, a przecież – tak jak wcześniej Sasi – z czasem osiedlili się i odcisnęli swoje piętno na Anglii i języku jej mieszkańców. Na północy i wschodzie kraju często napotykamy nazwy miejscowe nadane przez wikingów. Każde miasto o nazwie zakończonej na *-by*, jak na przykład Grimsby, zostało założone przez nich. Zawierali oni małżeństwa z Sasami, a także przyjmowali ich religię. Zaczęli także używać ich języka, ale wprowadzili do niego wiele słów skandynawskich, których wciąż używamy. Spalone placki króla Alfreda mogły zawierać *eyren*, które my dziś za sprawą przybyszów z Północy nazywamy *eggs* (jaja). *Slaughter* (rzeź), *sky* (niebo), *window* (okno), *anger* (gniew), *husband* (mąż), *freckle* (pieg), *leg* (noga), *trust* (zaufanie), *dazzle* (blask) – lista słów pozostawionych przez wikingów w angielskim zdaje się nie mieć końca.

Obecnie, gdy angielski używany jest na całym świecie, trudno sobie wyobrazić, że saskie panowanie na wyspie niemalże skończyło się w 878 roku. W tym roku duński najazd zmusił króla Alfreda do ucieczki na

równiny Somerset. Gdyby poniósł klęskę, gdyby nie poprowadził swojej armii do zwycięstwa pod Ethandun, najprawdopodobniej Duńczycy podbiliby ostatnie królestwo, czyli Wessex. Nie byłoby Anglii. Przeznaczenie – jak lubi mawiać Uhtred – jest wszystkim. Historia powstania Anglii to opowieść o mężczyznach i kobietach, którzy walczyli z przeznaczeniem, aby stworzyć swoją ojczyznę. *Wýrd bið ful āræd*, jak napisał w X wieku saski poeta, którego język byłby zrozumiały dla Uhtreda.

*Wýrd bið ful āræd!  
Swa cwæð eardstapa,  
earfeþa gemyndig,  
wraþra wælsleahta,  
winemæga hryre.*

„Los jest nieubłagany! Tak rzekł wędrowiec świadomy przeciwności, krwawych masakr i śmierci najbliższych”. Masakry i przeciwności – to historia powstania Anglii.

# Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Nazwy geograficzne

Część pierwsza. Rzeka w płomieniach

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Część druga. Widmowy płot

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Część trzecia. Bratobójcza wojna

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

Rozdział trzynasty.

Nota historyczna

Powstanie Anglii. Tło historyczne powieści o Uhtredzie

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Warriors of the Storm*

Copyright © Bernard Cornwell 2015

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

Grafika przedstawiająca wilki: Bourbon-88 / Shutterstock.com

ISBN 978-83-8135-829-3



Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink



plik przygotowała Katarzyna Rek